



*Wielkie marzenia, wielkie uczucia,  
a na horyzoncie wielka wojna...  
Porywająca historia zakazanej miłości.*

Krystyna Mirek

# SYLWIA TROJANOWSKA

# ŁABĘDŹ

MARGINESY





SYLWIA  
TROJANOWSKA

**ŁABĘDŹ**

MARGINESY



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

## I. NIECHCIANE WSPOMNIENIA

Schyłek życia

Program, nie dokument

Powroty są trudne

Miasto duchów

Königsplatz

O kilka wspomnień za dużo

Umowa

## II. POMRUKI ZŁA

Nasz mały świat

Nowy rozdział

Długie dni

Jak matka z córką

Przybyszka

To taka piękna miłość

Rodzinne rozmowy

Najtrudniejsze chwile

Tylko szczęśliwa bądź

Uchronić przed złem

Zostaję

A więc jesteś

Nowy początek  
O kilka chwil więcej  
Zupełnie inne święta

### III. GROMNY CZAS

W śniegi liche i deszcze  
Białe przedwiośnie  
O świcie, w południe, wieczorem  
Pierwszy raz  
Oczekiwanie  
Nareszcie  
Gustaw Guderian  
To, co nieuniknione  
Gonitwa myśli  
Razem  
Nowe  
Potwór  
Niedopuszczalne  
Coraz więcej, coraz częściej  
Mania Kwiatkowska  
Dwa złote więcej  
Lipcowe popołudnia, sierpniowe wieczory  
Żdźbło trawy  
Ostatni raz  
Rdzawy wrzesień  
Najgorszy czas  
Znajdę cię  
Dolina Śmierci

### IV. SNY O PRZESZŁOŚCI

Niech one się już skończą

Od autorki

## Przypisy

Wydawca, redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA  
Redakcja MARIA KONOPKA-WICHROWSKA  
Konsultacja historyczna ZDZISŁAW BIEGAŃSKI  
Korekta MALWINA KOZŁOWSKA, JAN JAROSZUK  
Projekt okładki i stron tytułowych KATARZYNA BORKOWSKA  
Zdjęcia na okładce © PIOTR URAKAU / Shutterstock, Inc., © TAMA2u / Shutterstock,  
Inc., © JACQUI MILLER / Stocksy, © ZELENA / Shutterstock, Inc., © PLASTEED /  
Shutterstock, Inc.  
Opracowanie typograficzne, łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Sylwia Trojanowska  
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022

Niniejsza powieść jest fikcją literacką, jednak pewne zdarzenia i postaci są prawdziwe.  
Autorka przedstawiła je w oparciu o materiały źródłowe z zachowaniem należytej  
staranności.

Warszawa 2022  
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67022-60-6

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.  
ul. Mierosławskiego 11A  
01-527 Warszawa  
tel. 48 22 663 02 75  
e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)  
[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Mieszkańcom Fordonu. Tym, którzy się w nim urodzili,  
i tym, którzy oddali w nim swe ostatnie tchnienie.  
Oraz mężczyznom mojego życia: Tomaszowi i Alanowi.



I

# NIECHCIANE WSPOMNIENIA

*Kraków–Szczecin, rok 2000*

## SCHYŁEK ŻYCIA

To był wyjątkowo upalny lipiec – tak upalny, że rzadko wychodziłam z mieszkania. Na obowiązkowe spacerunki, które zalecił mi mój lekarz i jedyny przyjaciel Tomasz Redmer, zbierałam się o świcie, kiedy powietrze było jeszcze rześkie po nocy, a Kraków dopiero budził się z głębokiego snu. Wolnym krokiem pokonywałam wówczas aleje Plant, zwykle trzy, a kiedy miałam więcej energii nawet cztery kilometry – po prostu tyle, na ile pozwalały mi zmęczone życiem kolana. Na koniec przysiadłam na jednej z ławek tuż obok Bramy Floriańskiej, karmiłam gołębie albo po prostu patrzyłam na nieobecne twarze zaganianych ludzi, którzy przejęci swoimi sprawami spieszyli w różnych kierunkach. Kiedyś też taka byłam. Dawno, bardzo dawno temu. Obserwując teraz mieszkańców Krakowa, łudziłam się, że ja sama żyłam uważniej, pełniej; podskórnie czułam jednak, że to tylko moje wyobrażenie. Ludzka pamięć lubi wygładzać szorstkość niektórych wspomnień.

W te letnie dni tuż po godzinie dziesiątej byłam już z powrotem w mieszkaniu i otwierałam okna, choć wlewało się przez nie nieprzyjemnie gorące powietrze. Trudno. Wolałam to niż życie w ciszy. Bez dźwięków miasta czułam się tak, jakby ktoś pozbawiał mnie ubrania, wręcz zrywał je ze mnie, i to w miejscu publicznym. Sama myśl o życiu w ciszy napawała mnie lękiem. A ja nie lubiłam się bać.

Po powrocie ze spaceru jadłam skromne śniadanie. Zazwyczaj była to miniaturowa bułka maślana, którą kupowałam u piekarza na rogu. Smarowałam ją cienko masłem i marmoladą, koniecznie wiśniową. Do tego cappuccino, bo przeciw małej czarnej, którą kiedyś wlewałam w siebie z rozkoszą, buntował się żołądek. Powinnam spożywać obfitsze i pożywniejsze śniadania. Tomasz gorąco mnie do tego namawiał, ale zawsze jadałam jak wróbel. Tyczyło się to zresztą nie tylko śniadań, ale

także pozostałych posiłków. Pewnie dlatego moje wyniki badań krwi wskazywały na anemię. Nie dbałam o to ani trochę. Tomaszowi, który niepokoił się o mój stan, mówiłam, że karmię się widokiem miasta, i nie przyjmowałam jego zaleceń. Bo istotnie tak właśnie było. Lubiłam Kraków. Właściwie to nawet kochałam. Nie wyobrażałam sobie życia w innym miejscu. Czasami zastanawiałam się, jak kiedyś mogłam funkcjonować bez niego. Bez hałaśliwych turystów, którzy tłoczyli się pod oknami mojego mieszkania na drugim piętrze Kamienicy Zacherlowskiej. Bez hejnału, tak bardzo wyczekiwanego przeze mnie każdego dnia, i bez najpiękniejszej melodii świata wystukiwanej końskimi kopytami, która działała na mnie jak napar z najlepszej marokańskiej melisy. To miasto zupełnie nieoczekiwanie i całkowicie bezinteresownie przyniosło mi spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Od dwudziestu dwóch lat prowadziłam nudne, przewidywalne i wspaniałe życie, na które nie zasługiwałam. Czułam, że powinnam cierpieć, gnić w jakiejś norze z widokiem na ponury, od lat nieczynny magiel, łykając dławiącą wilgoć starych murów i zgniliznę. Cierpieć z bólu... Choć w zasadzie z bólu cierpiałam, i to każdego dnia. Moje kolana były pogruchothane, a ja nigdy nie zgodziłam się na implanty, mimo że mnie wielokrotnie na nie namawiano. Chyba chciałam, żeby ten ból został ze mną jako swoista kara. Hmm... Czymże jednak jest ból w kolanach wobec wyrzutów sumienia...? Niczym, zupełnie niczym. Na bolące kolana brałam leki, czasem nawet podwójną dawkę. Ale na wyrzuty sumienia nie było żadnego lekarstwa. Niektórzy mówili, że pomaga spowiedź. Nigdy nie odważyłam się tego sprawdzić.

Popołudniami, kiedy słońce zmierzało ku zachodowi, lubiłam czytać książki i stare, naprawdę stare gazety. Czasami, bardzo rzadko, zamawiałam taksówkę i jechałam nad Wisłę, w okolice Wawelu. Nie po to, by spacerować, bo tego nie zniosłyby moje stawy, ale by posiedzieć na ławce, godzinę albo dwie, i napawać się widokiem łabędzi. Nie powinnam ich karmić, wiem, ale przyzwyczajenia sprzed lat były silniejsze. Podrzucałam im więc to i owo, najczęściej gotowane ziemniaki.

Wieczorami zazwyczaj słuchałam radia albo oglądałam telewizję. Lubiałam też duży ekran, ale w Krakowie do kina nie chodziłam. Czasem urządzałam sobie domowe pokazy, bo miałam sporą kolekcję starych francuskich filmów, które nigdy mi się nie nudziły.

Z chęcią wyglądałam przez okno, z którego rozpościerał się imponujący widok na Rynek Główny. Najbardziej podziwiałam kościół Mariacki, karmiłam głodne oczy strzelistą bryłą. Znałam jego detale niemal na pamięć, a dwadzieścia jeden figur w konsolach potrafiłam opisać z najdrobniejszymi szczegółami. Nawet w środku nocy. Często zachodziłam w głowę, jak zwykły ludzki umysł mógł wymyślić tak nieludzko idealne dzieło.

To moje wypatrywanie przez okno... Na początku, tuż po przenosinach do Krakowa, ogarniał mnie wstyd, kiedy przyciągałam spojrzenia zadzierających głowy turystów. W pamięci miałam słowa mojej matki, która przestrzegła przed wysiadymaniem w oknie.

„Ludzie powiedzą, żeś ciekawska” – mawiała z niesmakiem.

Poważałam matkę i dlatego „ciekawskość” traktowałam jako jedną z najgorszych obelg. Stawiałam ją w tym samym rzędzie, co głędę, papłę i plotkarę, i za nic w świecie nie chciałam być uznana za ciekawską. Dopiero na stare lata, a dokładnie wtedy, gdy ból w kolanach znacząco mnie ograniczył, wysiadymanie w oknie przestało wywoływać we mnie nieznośne uczucie wstydu. Nawet je polubiłam, a po pewnym czasie, co przyznawałam niechętnie, uzależniłam się od niego.

Wczesny wieczór dwudziestego czwartego lipca miałam spędzić w towarzystwie Tomasza. Na tę okazję kupiłam wytrawne wino musujące i upiekłam sernik, jedyne ciasto, które zawsze wychodziło spod mojej ręki jak należy. Umówiliśmy się na partyjkę pokera, co zwykliśmy czynić kilka razy w miesiącu. Tomasz zadzwonił jednak tuż przed dziewiętnastą i odwołał spotkanie, bo z niespodziewaną wizytą przyjechał do niego wnuk. Szczęściarz... Tomasz, nie wnuk. A może obaj?

Usiadłam przy niskim stoliku nakrytym jedwabną serwetą. Do wysokiego kieliszka w kształcie tulipana nalałam wina i przez chwilę

przyglądałam się bąbelkom pędzącym ku górze w zwartym szeregu. Włączyłam telewizor. Musiałam go pogłośnić, bo rozbawieni turyści, którzy okupowali restauracyjne stoliki pod moimi oknami, zachowywali się wyjątkowo rubasznie i wykrzykiwali niezrozumiałe dla mnie hasła, chyba po holendersku. Nie przeszkadzało mi to ani trochę. Potrzebowałam hałaśliwego Krakowa.

Żeby zabić czas, którego nie spędzałam z Tomaszem, skakałam po kanałach w poszukiwaniu czegoś, co mogłabym obejrzeć. Miałam ich bardzo dużo, bo wykupiłam największy pakiet telewizji kablowej. Co prawda, faworyzowałam pięć, najwyżej osiem stacji telewizyjnych, ale skoro mogłam mieć wybór...? Teraz zdecydowałam się na swój ulubiony kanał historyczny; kiedy jednak zobaczyłam tytuł reportażu, który za chwilę miał być nadawany... Zastygłam. Przecież rano sprawdziłam ramówkę, powinni teraz puścić materiał o zimnej wojnie, a nie o...

– Gustaw Guderian. Nieznana postać, nieznana historia, nieznany kat Polaków – rozbrzmiało z telewizora.

Głośno przełknęłam ślinę i kieliszek z winem wypadł mi z ręki. Spojrzałam na rozbite szkło i płamę wsiąkającą w mój piękny wełniany dywan. W innej sytuacji zerwałabym się z miejsca, by jak najszybciej posprzątać, ale nie tym razem. Przesłoniłam dłonią usta i przez chwilę wgapiałam się w człowieka, który z satysfakcją mówił o odkryciu wielkiej tajemnicy sprzed lat. Złapałam za pilota i drżącym palcem jeszcze podkreśliłam dźwięk. W mieszkaniu dudniło. Tak samo jak w mojej głowie.

Przez kolejne czterdzieści pięć minut słuchałam tyrady demaskatora nazistów, jak nazwał siebie pyszałkowaty mężczyzna, czując, że z każdym nienawistnie wypowiedzianym przez niego słowem: kat, oprawca, morderca, potwór, moim ciałem wstrząsają torsje. Ścisnęłam mocno brzuch, by wytrwać przed telewizorem, by nie stracić ani jednego „kata”, „oprawcy”, „mordercy” i „potwora”, by wysłuchać całej opowieści o Gustawie Guderianie. Program się skończył i pojawiły napisy końcowe, a ja nadal tkwiłam w tej samej pozycji. Jak zahipnotyzowana.

„Guderian, kat, oprawca, morderca, potwór...” – bez końca, jak zdarta płyta, powtarzał w mojej głowie głos „demaskatora nazistów”.

Po kilku minutach zerwałam się z fotela i tak prędko, jak mogłam, udałam się do łazienki. Musiałam opróżnić żołądek. Potem stanęłam nad umywalką i spojrzałam w ośmiokątne lustro, które kupiłam kiedyś za grosze na pchlim targu. Wyglądałam parszywie. Miałam rozmazany makijaż, a dwie ciemne strugi łączące dolną powiekę z linią żuchwy świadczyły o tym, że musiałam płakać, i to rzewnie. Zmarszczyłam brwi, bo zupełnie tego nie pamiętałam. Umyłam twarz, przetrąłam ją ręcznikiem i bez sił usiadłam na krawędzi wanny. Czułam, jak mój oddech staje się coraz cięższy.

„Guderian, kat, oprawca, morderca, potwór...”

Nie wiem, jak długo dochodziłam do siebie i kiedy w końcu ucichły w mojej głowie słowa młodego dziennikarza, ale gdy wstałam, dotarło do mnie wycie telewizora. Zapomniałam go wyłączyć! Nie byłam jedną z tych hałaśliwych lokatorek, które zakłócały mir domowy lub ciszę nocną. Wolałam raczej żyć w cudzym hałasie, niezauważana. Nigdy nie przeszkadzały mi imprezy w mieszkaniu na trzecim piętrze ani ekscesy w sypialni apartamentu za ścianą. Nawet były mi na rękę, bo sąsiedzi całą swą uwagę skupiali na nich, nie na mnie.

Czym prędzej wyłączyłam telewizor, umyłam podłogę i wyczyściłam dywan. By odzyskać oddech po takim wysiłku, podeszłam do szeroko otwartego okna. Oparta biodrem o parapet, sunęłam palcem po nierównościach drewnianej framugi i patrząc na kościół Mariacki, próbowałam uspokoić myśli. Bezskutecznie.

Szeroka rzeka turystów fedrowała rynek, nie omijając żadnych zakamarków. Ten widok często mnie uspokajał, ale nie tym razem. Nieoczekiwanie postanowiłam spróbować czegoś nowego.

Wzulałam buty, zarzuciłam na plecy cienki sweter i wyszłam z domu. Nie miałam w zwyczaju urządzania sobie wieczornych ani nocnych eskapad, od lat unikałam ciemności. Nawet w świetle latarni i sklepowych neonów nie czułam się bezpiecznie. Poza tym tłumy ludzi z tak bliska mnie przerażały,



bałam się poczucia osaczenia. Tym razem jednak po prostu musiałam wyjść z mieszkania, od którego ścian nadal odbijał się echem głos butnego dziennikarza.

Pomyślałam, że przejdę się tylko do piekarni na rogu i z powrotem, ale kiedy stanęłam w gęstwinie ludzkiej na Świętego Jana, ruszyłam w przeciwnym kierunku. Jak ja szybko szłam! Zazwyczaj drobię kroki, stąpam uważnie, by nie nadwyrężyć kolan i broń Boże się nie przewrócić, a teraz? Pędziłam niemal tak jak za młodu. Pewnie koślawiej, bardzo niezdarnie, ale szłam! Mijałam sklep za sklepem, szturchana przez jednych, popychana przez drugich. Dopiero gdy dotarłam do kościoła pijarów, zatrzymałam się, bo moją uwagę przykuła młoda skrzypaczka wygrywająca jakąś tęskną nutę. Wtedy też poczułam żar w kolanach. Ależ one piekły! Potrzebowałam odpoczynku, a w zasięgu wzroku znajdowały się jedynie schody prowadzące do świątyni. Nie miałam wyjścia, musiałam na nich usiąść. Z kieszonki spodni wyjęłam podłużną tabletkę przeciwbólową, wierną przyjaciółkę, którą zawsze nosiłam przy sobie na wszelki wypadek. Choć była duża, połknęłam ją bez trudu, bez popijania. Doszłam w tym do perfekcji. Wiedziałam, że miną jakieś dwa kwadransy, zanim zaczną działać. Wcisnęłam się całym drobnym ciałem w ścianę kościoła, by stać się jak najmniej zauważalna, i przymknęłam oczy. Ludzie mogliby pomyśleć, że wypięłam co bądź za dużo, ale było mi to obojętne.

W oparach skrzypcowego koncertu odtwarzałam kadr po kadrze obejrzany chwilę temu reportaż. Całkiem dobrze mi szło, choć nie pamiętałam wszystkiego. Zrzuciłam to na karb emocji, bo z pamięcią nie miałam problemów.

Ból w kolanach zaczął odpuszczać dokładnie w chwili, kiedy podjęłam najtrudniejszą decyzję w jesieni mojego życia.

Wracałam do mieszkania powoli i żaden tłum nie był już w stanie mnie wciągnąć w swój nurt. Szłam blisko frontalnych murów kamienic, zupełnie jakbym drążyła własne koryto, któremu na imię było odkupienie.

## PROGRAM, NIE DOKUMENT

Spodziewałam się, że dotarcie do Artura Wolnego, dziennikarza z programu o Guderianie, zajmie mi trochę czasu. Ba! Myślałam nawet, że będę musiała odnowić znajomość z kilkoma osobami, z którymi nie rozmawiałam od lat. Jak się okazało, wystarczył jeden telefon do sekretarza redakcji i słowa (wypowiedziane nadzwyczaj zbolalym głosem, jakbym stała już nad grobem): „Jestem świadkiem czynów Gustawa Guderiana i chciałabym o tym porozmawiać z autorem programu”. Następnego dnia miałam już kontakt do Artura Wolnego. Zrobiłam kilka podejść, ale za każdym razem tchórzyłam. Pomógł dopiero mały kieliszek wina. Artur Wolny odebrał po dwóch sygnałach. Po wymianie wstępnych grzeczności przeszłam do sedna.

– Obejrzałam pana program.

– Dokument – poprawił mnie.

Dość łagodnie.

– Program. – Byłam miła, acz stanowcza. – To, co pan stworzył, to nie jest dokument, lecz program... – Zawahałam się, a potem wypowiedziałam słowo, którego znaczenie nie do końca oddawało to, co chciałam przekazać. Czułam jednak, że ono pomoże mi wzbudzić zainteresowanie dziennikarza. – ...rozrywkowy.

– Aha! – Sądząc po tonie, jakim to wypowiedział, na pewno nie to spodziewał się usłyszeć. – Mam nadzieję, że pani wie, że za chwilę się rozłączę? Nie mogę pozwolić, by w taki sposób mówiła pani o dokumencie, który dotyczy mordercy Polaków.

– Aha! – użyłam jego języka. – Czyli nie chce się pan dowiedzieć, z jakiego powodu w taki sposób oceniam pana program?

Przez chwilę po drugiej stronie panowała cisza. Czekałam, co odpowie Artur Wolny, licząc na to, że mimo wszystko połknął haczyk.

– Niech będzie – westchnął wreszcie, a ja odetchnęłam w duchu. – Jestem profesjonalistą i... moją rolą jest wysłuchanie każdego, nawet jeśli ktoś mnie obraża. Obejrzała pani mój dokument i co w związku z tym? Ma pani jakieś zdjęcia Guderiana? Guziki z jego splugawionego munduru? A może słyszała pani jakąś gorącą plotkę na jego temat?

– Znałam Gustawa Guderiana osobiście. To, co pan mówił o nim w programie, nie jest prawdą.

– Aha!

Irytowała mnie ta jego odzywka, ale nie dałam tego po sobie poznać.

– Być może informacje, które pan zebrał, świadczą na jego niekorzyść – ciągnęłam – i ma pan dziką satysfakcję z pastwienia się nad człowiekiem, który nie może się obronić, zapewniam jednak, że nie zna pan całej historii. Poznał pan zaledwie jej namiastkę.

– Czy ja dobrze rozumiem, że znała pani Gustawa Guderiana i jest pani w stanie zaświadczyć, że człowiek ten, o ile w ogóle można go nazywać człowiekiem, nie znęcał się nad Polakami, nie był ich katem i ich nie mordował? – Z jego tonu bił sarkazm.

– Źle mnie pan zrozumiał – mówiłam spokojnie, lecz z wyższością, z której nie miałam ochoty rezygnować. – Jedyne, co pan ode mnie usłyszał, to to, że mogę opowiedzieć panu prawdę o Gustawie.

– A ile pani ma lat?

– A pan? – zripostowałam i nie czekając na odpowiedź (oceniałam go najwyżej na trzydziestkę), dodałam szybko: – Bo ja wystarczająco dużo. Zresztą, mój wiek nie ma nic do rzeczy.

Zamilkł. Słyszałam jego przyspieszony oddech.

– Czy ma pani jakieś dokumenty? Dowody? – odezwał się w końcu.

– Nie, ale pewne rzeczy da się sprawdzić. Komuś takiemu jak pan nie nastęrczy to większych trudności.

– Ale te pewne rzeczy to nie data urodzin Guderiana, co?

Ton głosu Artura Wolnego zdradzał jego poirytowanie. Zaczepnęłam głęboko powietrza. Nie byłam bez winy, bo go sprowokowałam.

– Nie dzwonię do pana z nudów. Zapewniam, że prowadzę szczęśliwe życie i rozmawianie z kimś tak dalece grubiańskim jak pan nie należy do czynności ubogacających moje coraz krótsze dni. Nadmienię, że program, który pan przygotował i który miałam wątpliwą przyjemność oglądać, jest po prostu... zły. – Cmoknęłam. – Hmm... Niewłaściwie się wyraziłam. On nie jest zły. Dobrze, że pan go stworzył. Jednak uważam go za wadliwy, niepełny i przedstawiający fałszywy obraz człowieka uwikłanego w historię. Jeśli interesuje pana prawdziwa opowieść o Gustawie Guderianie, jestem gotowa ją przedstawić.

– To ja jestem gotowy jej wysłuchać – rzucił od niechcienia. – Mogę zaraz do pani oddzwonić. Ustawię sprzęt i nagramy rozmowę. Mam teraz wolne pół godziny, no, może nawet czterdzieści pięć minut, jeśli zajdzie taka konieczność.

Roześmiałam się. Użyłam całego swego aktorskiego talentu, jaki jeszcze drzemał w moich trzewiach.

– Proszę pana, czy pan próbuje mi dyktować warunki? Doprawdy? Chyba czegoś pan nie zrozumiał. To panu powinno zależeć na zdobyciu informacji. Oboje wiemy, że dziś władzę dzierży ten, kto ma informacje. Najwyraźniej nie będzie nim pan. Skontaktuję się z innym dziennikarzem.

– Nie, nie. – Natychmiast zmienił front. – Przepraszam.

Na tym właśnie mi zależało. Nie chciałam dzwonić do nikogo innego, nie zamierałam opowiadać o Gustawie komuś, kto nie znał żadnego szczegółu z jego życia, dla kogo byłby on *terra incognita*. Przecież mogłam to zrobić, ale z jakiegoś przedziwnego powodu przez tyle lat nie chciałam. Dlaczego dopiero teraz uznałam, że właśnie ten zadufany w sobie dziennikarzyna będzie idealnym kandydatem do wysłuchania mojej ostatniej spowiedzi? Sama nie wiedziałam.

– Być może źle to zabrzmiało – kontynuował. – Ale proszę mnie zrozumieć. Dzwoni pani, mówi o jakichś tajemniczych informacjach, które rzekomo stanowią kontrę dla mojego dokumentu. – Słyszając to określenie, wywróciłam oczami. – Nie przedstawia pani żadnych konkretów, a rozmowa, delikatnie rzecz ujmując, nie toczy się łatwo. A zatem

spróbujmy raz jeszcze: chętnie wysłucham pani w dogodnym dla pani terminie.

– Dobrze. Wobec tego odwiedzę pana równo za trzy dni. Czy godzina dziesiąta będzie odpowiednia?

Zapewne nawet nie zerknął do kalendarza, bo od razu potwierdził.

– A więc do zobaczenia w studiu.

– Podam pani adres.

– Proszę pana... Nie tylko znam adres studia, w którym pan nagrywa, ale wiem też, że miesiąc temu przeprowadził się pan razem z żoną i synkiem do nowego mieszkania na szczecińskim osiedlu Majowym.

– Słucham?!

Udało mi się go zszokować, wykorzystując informację rzuconą mimochodem przez sekretarza redakcji.

– Do zobaczenia za trzy dni – pożegnałam go i się rozłączyłam.

Na mojej twarzy królował tryumfalny uśmiech.

## POWROTY SĄ TRUDNE

Choć rozmowa przebiegła zgodnie z moimi oczekiwaniami i osiągnęłam chyba wszystko, co chciałam, długo dochodziłam po niej do siebie. Wypiłam dwa kieliszki wina i przesiedziałam w oknie dobrą godzinę, zanim postanowiłam się ruszyć. Spojrzałam na zegarek. Zbliżała się piętnasta. Sięgnęłam po telefon i wybrałam numer Tomasza Redmera.

– Jesteś wolny? – zapytałam.

– Nawet w niewoli byłem wolny, przecież wiesz. – Nie lubiłam, kiedy tak odpowiadał, a robił to nader często.

Nigdy nie zapytałam, o jaką niewolę mu chodzi, nie chciałam się nawet domyślać. Kiedy on sam próbował o niej mówić, ucinałam rozmowę, mówiąc, że liczy się tylko tu i teraz, a przeszłość to zamknięty rozdział.

– Od siedemnastej jestem w gabinecie.

Pomimo siedemdziesięciu pięciu lat na karku Tomasz Redmer wciąż był aktywny zawodowo. Nie zależało mu na pieniądzach, bo pobierał raczej symboliczne opłaty, ale zależało mu na pacjentach i tylko dla nich jeszcze prowadził prywatną praktykę. Uważał też, że dzięki pracy nadal trzyma formę, i psychiczną, i fizyczną. Był przy tym pokorny wobec upływających lat i świadom ograniczeń, jakie wiązać się mogą z zaawansowanym wiekiem. Porzucił wszelkie aktywności zabiegowe, skupiając się na poradach rehabilitacyjnych i reumatologicznych.

– Potrzebujesz czegoś ode mnie? Coś nie tak z kolanami?

– Z moją głową – zażartowałam.

– Na to ci nie pomogę – odparł chłodno.

– Jadę do Szczecina – wyznałam po chwili nieprzyjemnego milczenia.

– Do Szczecina? Po co? – zaniepokoił się. – Masz tam kogoś?

– Hmm... Można tak powiedzieć.



- Nie rozumiem.
- To dość skomplikowane. Może po powrocie o wszystkim ci opowiem.
- Jeśli chcesz, mogę jechać z tobą – oznajmił, zaskakując mnie tą ofertą.
- Bez problemu.
- Nie! – zaproponowałam. – Absolutnie! Jadę sama!
- Dobrze, nie denerwuj się. To tylko taka luźna propozycja.
- Przepraszam, że tak na ciebie naskoczyłam – zreflektowałam się. – Ten wyjazd to nagła sprawa, ale czekałam na niego... od lat. No i teraz dopiero wyszło, a wiesz, że w moim wieku to już nie ma na co czekać – stęknęłam.
- Gadam nieskładnie. Wybacz, Tomaszu.
- Nie ma czego.
- Chciałam cię poprosić, żebyś podlewał mi kwiaty.
- No tak. Tylko do kwiatów się nadaję.
- Wiesz, że tak nie jest. I przepraszam, jeśli to problem. W sumie, może wytrzymają?
- To żaden problem. Poza tym ja lubię twoje problemy.
- Moje kolana, chciałeś powiedzieć.
- Twoje problemy z kolanami w szczególności – doprecyzowałam i po raz pierwszy podczas tej rozmowy usłyszałam w słuchawce coś na kształt uśmiechu.
- Obiecuję, że po powrocie o wszystkim ci opowiem. Wyjeżdżam pojutrze i nie będzie mnie jakieś dwa tygodnie, może nawet trzy. Zamierzam wynająć mieszkanie i trochę tam pobyć. Nie wiem, czy aż tyle wytrzymam, ale taki mam plan.
- Przywiozę ci jutro recepty na leki.
- Dziękuję. Jesteś dla mnie za dobry.
- Płacisz mi za to. I to przesadnie hojnie. – Tomasz miał w zwyczaju tak mówić, kiedy czułam się nieswojo z jego dobrocią.

Parsknęłam rozbawiona. Rzeczywiście płaciłam mu za wizyty i za dostarczane recepty. Uparłam się na to, a on obstawał, żeby to była

przysłowiowa złotówka. Nie zgodziłam się, ale i tak cennik jego usług był śmiesznie niski.

– To do jutra – powiedziałam.

– To do jutra.

## MIASTO DUCHÓW

Wracałam do miejsca, w którym miałam już nigdy się nie pojawić. Do miasta pełnego wspomnień, marzeń i... duchów.

Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach, kiedy na dworcu kolejowym dostrzegłam tablicę z napisem: Szczecin Główny.

„A więc to już...” – pomyślałam.

Wysiadłam z pociągu, mając w planach jak najszybsze wydostanie się z dworca, ale kiedy stanęłam na peronie, nie mogłam się ruszyć. Moje nogi zrobiły się ciężkie, zupełnie jakbym zamiast skórkowych trzewików miała na stopach betonowe kamasze. Tkwiłam tam i wgapiałam się w brudną szybę wagonu.

Większość podróżnych opuściła już peron, kiedy nagle ocknęłam się z tego dziwnego letargu i obejrzałam za siebie. Przede mną widniała wysoka ściana z cegieł oddzielająca dworzec od biegnącej wyżej ulicy. Ileż razy budziłam się w nocy zrana potem, w sennych majakach zobaczywszy właśnie ją, tę ścianę. I chłopców, najwyżej piętnastoletnich, odwróconych do mnie plecami, z rękoma założonymi na karku. Jeden z nich, najwyższy i najchudszy, miał na spodniach mokrą plamę, która powiększała się z każdą sekundą. Mimo upływu lat nie potrafiłam o niej zapomnieć. Ani o tym, że dygotał niczym osika i chyba płakał, bo jego ramiona drżały, wstrząsane spazmami. Ci chłopcy... Stali tak, a potem... Potem zlegli niczym ścierwo...

– Proszę pani... Halo! – Młody konduktor, który kilka chwil wcześniej pomagał mi znieść torbę podróżną, wyrwał mnie z zamyślenia. – Czy pani się zgubiła?

– Ja? – zapytałam niezbyt przytomnie.

Mężczyzna, pomimo widocznego w oczach zmęczenia, zdobył się na uśmiech. Znałam ten wyraz twarzy i szczerze mówiąc, nie cierpiałam go.

To była litość przeznaczona dla starego człowieka, a ja nigdy nie czułam się stara.

– Czy mogę jakoś pomóc? Może gdzieś zadzwonię? Po kogoś? Jakiegoś pani krewnego?

Potrząsnęłam głową, zacisnęłam palce na rączkach torby i ruszyłam w stronę hali głównej.

\*\*\*

Wsiadłam do taksówki i podałam kierowcy kartkę z adresem. Spojrzał na nią, po czym wychrypiął:

– Ale to za rogiem. Niech pani weźmie ostatniego.

– Zapłacę podwójnie – rzuciłam bez zastanowienia.

Nie miałam ochoty na tarabanienie się na koniec długiego rzędu taksówek.

– W takim razie nie ma problemu.

– I proszę się nie spieszyć – dodałam słabym głosem. – Chciałabym najpierw zobaczyć miasto.

– Z tym też nie ma problemu. – Taksówkarz ściszył radio i spojrzał na mnie badawczo w lusterku wstecznym. Może mój ton głosu go zaniepokoił? Postarałam się o uspokajający wyraz twarzy. – Mam jechać w jakieś szczególne miejsce?

Chciałam odpowiedzieć, że całe to miasto składa się ze szczególnych miejsc. Że niemal każdy jego zakątek, zakamarek, wąska uliczka – są wyjątkowe. Dla mnie.

– A co pan proponuje?

– Uuu... – Rozpromienił się w mgnieniu oka. – Skoro zdaje się pani na mnie, to może tak... – Wydał wargi, a potem kilka razy postukał w nie poślódką od nikotyny palcem. – Przejedziemy przez Wały. Wały Chrobrego. Tam mamy ładny widok na Odrę i na tę wyspę, tę, no, Grodzką. No i to takie szczególne miejsce. Turyści je lubią. Pani też tu przyjechała

zwiedzać, tak? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, plótł dalej: – Potem może przejedziemy przez uliczki za Wałami. Są dość ładne i dużo tam starych kamienic. Nie, żeby te kamienice były jakieś nadzwyczajne – cmoknął powątpiewająco, a ja się skrzywiłam.

Dla mnie nawet zniszczone ściany były piękne. W kalekich, odrapanych, z tynkami nadszarpniętymi zębem czasu ceglach dostrzegałam największe piękno.

– Wie pani, jak to jest... – Kierowca nie przestawał trajkotać. – Te kamienice wymagają remontu. Miasto musiałyby wyłożyć trochę kasy na renowację, a przecież na stare budynki zawsze kasy brak. Sam mieszkam w jednym z nich, to wiem. No, ale ja nie o tym chciałem... – Włączył się do ruchu ulicznego.

Z ust taksówkarza płynął potok słów. Nie słuchałam go, tylko patrzyłam przez szybę na miasto, które kochałam i którego nienawidziłam. Miasto, w którym rozsypało tyle okruchów dobra i wylano bezkresny ocean zła.

\*\*\*

Kurs trwał ponad godzinę. Taksówkarz kilka razy pytał mnie, wskazując na taksometr, czy ma już kończyć. Kręciłam głową i nakazywałam, by wiózł mnie dalej. Po tych wszystkich latach nieobecności chciałam dobrze się przyjrzeć Szczecinowi. Chłonełam jego każdy kwartał, drząc w duchu i dławiąc łzy wzruszenia, bo choć miejsca się zmieniły, odnajdowałam w ich nowoczesnych interpretacjach mój dawny świat, z ludźmi i chwilami, które go tworzyły.

Kiedy dojechaliśmy na ulicę Korsarzy, zapłaciłam za kurs, wręczając sowity napiwek, który mężczyzna przyjął z błyskiem w oku.

– Gdyby pani potrzebowała transportu – podał mi wizytówkę, którą wcześniej wygrzebał z podłokietnika – proszę dzwonić. O każdej porze dnia. Nocy w sumie też.

Pokiwałam głową i wzięłam sfatygowany kartonik. Pożegnałam się uprzejmie, ale kiedy tylko straciłam samochód z oczu, wyrzuciłam

wizytówkę do kosza na śmieci. Nie chciałam być przez nikogo zapamiętana, nawet przez taksówkarza.

Stałam na nierównym chodniku i spojrzałam na dom, w którym wynajęłam mieszkanie na piętrze. Właścicielka z kluczami miała na mnie czekać w środku.

„Jest idealnie!” – pomyślałam.



## KÖNIGSPLATZ<sup>[1]</sup>

Mieszkanie, które wynajęłam, było skromnie urządzone: wysłużone meble, stary telewizor, kanapa z fotelami, które na pewno nie były nabytkiem sprzed miesiąca. Miało jednak pewien niezaprzeczalny atrybut: okna wychodzące na Königsplatz 13, a na tym zależało mi najbardziej. Poza tym nie miałam zbytniego wyboru. To było jedyne dostępne mieszkanie w tej okolicy.

Zamierzałam wyjść na krótki spacer, lecz kiedy wyjrzałam przez okno, zmieniłam zdanie. Po tylu latach już zapomniałam, jak wietrznym miastem jest Szczecin. Kraków bywa wietrzny, a Szczecin jest. Patrzyłam na uginające się od wiatru gałęzie lip, dębów i topoli. Na ludzi, którzy mierzyli się z żywiołem, złorzecząc na zwiewane z głów kapelusze i potargane fryzury.

Zostałam w mieszkaniu i z nosem przy szybie patrzyłam na to miasto, próbując przypomnieć sobie Stettin<sup>[2]</sup>.

Syciłam się widokiem starych drzew, gotyckimi murami kościoła, Bramą Królewską, fasadami kamienic... Brakowało tylko jednej budowli, dla mnie najważniejszej – Teatru Miejskiego. Nie było go tam już od dawna. Kiedyś wpisywał się w architekturę miasta, stanowił jego wizytówkę. Teraz nie została po nim nawet tablica pamiątkowa, bo komunistyczne władze sfinalizowały jego rozbiórkę w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym roku. Dla współczesnego szczecinianina Teatr Miejski być może po prostu nie istniał, dla mnie – nigdy nie zniknął. To był budynek, który widział moje łzy wzruszenia i rozpacz. Dawał schronienie, kiedy go szukałam, był świadkiem największych moich szaleństw i głupot, czynów najszlachetniejszych i najpodlejszych.

Nie musiałam nawet przymykać oczu, aby znowu go zobaczyć. Wyrósł natychmiast pośród asfaltowych dróg, po których mknęły hałaśliwe

pojazdy. Znałam go tak dobrze. Ze snów i z widokówki, którą obok kilku starych zdjęć skrywałam w osobistym albumie.

Najpiękniejszy z pięknych! Był tam, choć tylko dla moich oczu.

\*\*\*

Kiedy wiatr zelżał, udałam się na krótki spacer w stronę Zamku Książąt Pomorskich. Chciałam stanąć u szczytu tarasów zamkowych i spojrzeć z góry na odmieniony Szczecin: nowoczesny, pełen splotów smolistych ulic, wiaduktów posadowionych na gigantycznych betonowych nogach, obskurnych, ciągnących się w nieskończoność parkingów i kolorowych budynków. Jakże inne było to miasto; inne niż to, które pamiętało moje serce.

Ostatni raz widziałam je w tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym. Niby dawno, a... jakby wczoraj. Wielokrotnie oglądałam też Szczecin w telewizji, ale to nie to samo, co na żywo. Nie to samo...

Szłam powoli. Serce waliło mi jak szalone, oddech się urywał i co chwilę przecierałam oczy z łez, które napływały niekontrolowanie. Samo oddychanie powietrzem tego miasta wzruszało mnie do szpiku kości. Na co dzień byłam twarda, niektórzy mawiali, że posągowa, zimna, a teraz? Teraz czułam się krucha jak porcelanowa filiżanka.

Przystanąłam przy bramie prowadzącej na dziedziniec zamkowy. Zerknęłam na tabliczkę z nazwą ulicy. „Kuśnierska” – odczytałam w myślach, po czym od razu przypomniałam sobie jej niemiecką wersję: Pelzer Strasse.

Zrobiłam kilka kroków i spojrzałam w dół. Brukowana ulica budziła wspomnienia. Nie chciałam ich, ale zdążyłam już do nich przywyknąć, wszak nawiedzały mnie ciągle i ciągle. Dziwne... Mogłam nie pamiętać, jak byłam ubrana przed tygodniem, co jadłam poprzedniego dnia, kto zagadnął mnie kwadrans temu na spacerze. Za nic w świecie nie potrafiłam jednak zapomnieć o tym, co tak bardzo chciałam pogrzebać w odmętach niepamięci. O swoim życiu w Szczecinie.

Przymknęłam oczy i od razu zobaczyłam panią Iris, najbardziej elegancką z eleganckich, która zawsze chodziła w kapeluszu z nazbyt dużym rondem i wianuszkami małych koralików w roli zdobin. Stukot jej obcasików zwracał uwagę przechodniów. Ja też obejrzałam się za nią nie raz. Dostrzegłam też starego pana Lindorfa, który kłaniał się pani Iris tak nisko, że ręką niemal dotykał bruku... Tak...!

Natychmiast uniosłam powieki.

„A więc wszystko pamiętam!” – pomyślałam.

Wzięłam głęboki wdech, przetrąłam twarz bawełnianą chustką, którą wyjęłam z torebki, i ruszyłam dalej. Ku przeszłości.

## O KILKA WSPOMNIEŃ ZA DUŻO

Jadąc do Szczecina, nie miałam jeszcze pomysłu na to, jak i czy poradzę sobie z emocjami. Nie bałam się tego, że zrejteruję, bo nigdy nie wycofywałam się ze swoich postanowień, choć czasami ponosiłam tego gorzkie konsekwencje. Ale taka już byłam. Uparta. Ta upartość należała też do moich zalet, nieraz się o tym przekonałam.

Drugiego dnia w Szczecinie spacerowałam po Śródmieściu. Rozglądałam się dookoła, szukając dobrze znanych mi miejsc, kawiarni, księgarni, sklepów kolonialnych, po których nie było już śladu. Jakie to dziwne uczucie, ten brak! Wszystko przemija, zmienia się, ale wspomnienia zostają i przez lata karmią nas złudnymi obrazami.

Usiadłam przy kawiarnianym stoliku w alei Fontann, zamówiłam kawałek ciasta czekoladowego i cappuccino, i wpatrując się w tryskający zdrój, próbowałam uspokoić myśli i zatrzeć wizje, które jedna za drugą pojawiały się w mojej głowie. Jak dobrze, że towarzyszył mi plusk wody, że z głośników rozbrzmiewał melodyjny głos Diany Krall, a ulicą sunęły kordonem lśniące auta. Cała ta melodia żyjącego miasta uciszała głos Wernera Haasa, który dawno temu słyszałam właśnie tu, na Kaiser Wilhelm Strasse<sup>[3]</sup>.

„Hände hoch! Hände hoch!” – rozbrzmiewało w mojej głowie.

Zadrzałam. Szybko dopiłam kawę, wcisnęłam do ust mały kęs ciasta i podeszłam do lady, żeby zapłacić. Kelnerka dostrzegła moje drżące palce i z uspokajającym uśmiechem wybrała z portmonetki monety, z którymi nie mogłam sobie poradzić.

– Może zapakuję pani na wynos – zaproponowała, widząc, że zostawiłam prawie całe ciasto.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Nie trzeba.

Szybko złapałam taksówkę i zleciłam kurs powrotny na Korsarzy, ale po chwili zmieniłam decyzję.

– Niech pan jedzie przed siebie.

– To znaczy? – zapytał młody kierowca.

– Nie wiem. Gdzieś!

Spojrzał na mnie w lusterku. Zaniepokoił się.

– Ucieka pani przed policją?

Zdziwił mnie, bo poniekąd jego podejrzenie było słuszne. Uciekałam przed policją, a raczej przed wspomnieniem o niej. Prychnęłam dla niepoznaki.

– A wyglądam?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– W moim wieku człowiek ucieka już tylko przed śmiercią. Niech pan jedzie do Podjuch.

Od dawna, bardzo dawna tam nie byłam.

\*\*\*

Podróż na prawy brzeg Szczecina podziałała na mnie oczyszczająco i uspokajająco. Samochód, o ironio, mercedes, kołysał mnie tak skutecznie, że w połowie drogi zasnąłam. Kierowca taktownie ściszył radio, zapewne słysząc moje pochrapywanie. Cisza wybudziła mnie ze snu.

– To dokąd teraz? – zapytał, kiedy znaleźliśmy się na ulicy Metalowej.

– Niech pan przejedzie w górę i w dół. Nie znam nazw ulic – skłamałam, bo powinnam powiedzieć, że znam, ale niepolskie. – Po prostu chcę się przejechać.

Chłopak, który mógł być moim wnukiem, ze zrozumieniem pokiwał głową i spełnił moją prośbę. Jeździliśmy asfaltowymi ulicami, brukowanymi uliczkami, a nawet ziemistymi alejkami. Niektóre miejsca wyglądały jak kiedyś. No, może nie do końca, bo fasady budynków zyskały nowy kolor albo... go straciły. Latarnie też wyglądały inaczej, nie było

restauracji, słupów ogłoszeniowych. Ale poczułam tu wszechogarniający spokój. To była kojąca wycieczka do miejsca, które zawsze kojarzyło mi się z dobrymi chwilami, najlepszymi w moim życiu.

## UMOWA

Spałam wyjątkowo spokojnie i dopiero nad ranem budzik wyrwał mnie ze snu. Niechętnie wstałam, by wyszykować się na spotkanie z młodym dziennikarzem. W moim wieku zajmowało to nie dziesięć minut ani nawet trzydzieści, a niemal godzinę. Miałam swoje lata, ale zapewne nikt poza Tomaszem Redmerem, który znał mój PESEL, nie dałby mi tylu, ile faktycznie liczyłam. Sama bym ich sobie nie dała. Natura obeszła się ze mną łaskawie.

Podjechałam przed budynek studia nagrań zaledwie kilka minut przed dziesiątą. Mężczyzna, którego znałam z ekranu telewizora, czekał przed wejściem i palił papierosa. Kiedy mnie dostrzegł, od razu go zgasił i sięgnął do kieszeni po odświeżacz do ust.

– Dzień dobry. Do końca nie wierzyłem, że pani przyjedzie – stwierdził na przywitanie i otworzył drzwi.

– A jednak – odpowiedziałam, wchodząc do środka, i dodałam: – Dzień dobry.

Hol studia był bardzo obszerny. Utrzymany w szaro-pomarańczowych barwach, nie wydawał się ani trochę przytulny, ale nowoczesny i owszem. Na ścianach wisiały wielkie plakaty hollywoodzkich gwiazd kina. Rozpoznałam kilka: Meryl Streep, Leonarda DiCaprio, Roberta De Niro. Musiałam przyznać, że ktoś całkiem zgrabnie zaprojektował to dość pokraczne wnętrze z licznymi zaułkami i filarami.

– Napije się pani kawy? – zaproponował Artur Wolny.

– Herbaty, jeśli można.

– Można. – Otworzył drzwi po prawej, za którymi kryło się zaplecze kuchenne.

Stałam w progu i uważnie przyjrzałam się dziennikarzowi. Podczas nagrania miał na sobie zbyt duży garnitur, przez co odnosiło się wrażenie, że był niższy i mniej postawny. W rzeczywistości Artur Wolny okazał się bardzo wysoki i dobrze zbudowany. I chyba dumny z tej swojej muskulatury, bo nosił dość obcisły podkoszulek, uwypuklający bicepsy i te wszystkie inne mięśnie. Miał szeroko rozstawione brązowe oczy, ładne, w kształcie migdałów. Myślę, że mógł się podobać kobietom, choć nie mnie. Ja gustowałam w zupełnie innych mężczyznach.

– Podróż spokojna? – zapytał znad czajnika.

– Tak – odparłam cicho. – A zatem nie przypuszczał pan, że się zjawię?

– Szczerze mówiąc: nie. Po emisji mojego dokumentu skontaktowało się ze mną wiele osób. Spodziewałem się tego, ale ich liczba i tak przerosła moje najśmielsze przewidywania. Większość telefonów to były bzdurne, nic niewnoszące plotki. Wie pani, takie, że babcia komuś opowiadała, że matka gdzieś tam była. Tylko dwa okazały się całkiem ciekawe. Jeden dotyczył aktora Igo Syma – drgnęłam na dźwięk tego nazwiska – a drugi jednostki wywiadu „Bombaj”. – Teraz aż zaciągnęłam się powietrzem.

Wolny nie mógł tego jednak ani widzieć, ani słyszeć, bo był zajęty parzeniem herbaty.

– Nie żeby mnie to szczególnie interesowało – kontynuował. – Wolę demaskować zbrodniarzy, odkrywać wielkie tajemnice historii i skarby, niż skupiać się na jednostkowych historiach... No, ale dobre i to. – Podał mi filiżankę. – Coś trzeba robić. Jestem w trakcie weryfikacji dokumentów. – Wziął swój kubek i poprowadził mnie w głąb korytarza. – Pani telefon należał do tych nieoczekiwanych, bo wiem, że temat Gustawa Guderiana jest ludziom absolutnie obcy. Heinza Guderiana kojarzą, ale Gustawa nie. W oficjalnych aktach znajdziemy tylko tego pierwszego.

Nie musiał mi tego mówić. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że Heinz, daleki wuj Gustawa, jest rozpoznawalną postacią z uwagi na wybitne zasługi dla Wehrmachtu podczas drugiej wojny światowej.

– Ja sam natknąłem się na niego przypadkiem.

– A w jaki sposób? – zagadnęłam przesadnie grzecznym tonem.



Chciałam zabrzmieć tak, by nie mógł mi, staruszcze, odmówić odpowiedzi, jednak tym razem okazał się głuchy na moje manipulacje. Lub za sprytny. Może go nie doceniłam.

– Nie mogę powiedzieć. To tajemnica zawodowa – niemal wyrecytował irytująco. – A wracając do Guderiana... Każdy dziennikarz chce dojść prawdy, a przy tym zostać zauważony. I dlatego uznałem swój dokument za tak odkrywczy. – Wyraźnie był z siebie zadowolony.

– I pewnie z tego powodu nazwał się pan demaskatorem nazistów? – zapytałam z lekką ironią, którą od razu wyczuł.

– Zebrałem świetny materiał i udało mi się pokazać człowieka, o którym nie słyszał świat. A powinien! Gdyby ten człowiek żył, należałaby mu się najsroższa kara.

– Hmm... Tak pan myśli?

– A pani nie?

Nie był już taki uprzejmy jak w chwili powitania. Umniejszałam jego dokonania, a to najwyraźniej był jego czuły punkt.

– Zresztą nieważne. Jeśli rzeczywiście ma pani coś do powiedzenia...

– Coś do powiedzenia... – przerwałam mu. – Hmm... Dziwnie pan nazywa prawdę.

– Bo prawda bywa dziwna i różnie postrzegana w zależności od tego, kto ją podaje.

– Prawda jest tylko jedna – powiedziałam z przekonaniem.

– Fakt, ale każdy myśli, że ta jego jest tą jedyną.

Wyglądał tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stole konferencyjnym. Zająłam się piciem herbaty, kątem oka spoglądając na dziennikarza.

– Za chwilę studio będzie wolne – stwierdził, zerkając na zegarek.

Spokojnym ruchem odstawiłam filiżankę i wyciągnęłam z torebki zadrukowaną kartkę.

– Zanim cokolwiek nagramy, proszę zapoznać się z umową, którą przygotował mój prawnik. – Podałam mu papier.

– Co? Z jaką umową? Nic pani wcześniej nie mówiła.

– Dla takiego profesjonalisty jak pan to chyba nic nowego. Zwykła formalność.

Zaczął czytać dokument. Po chwili spurpurowiał.

– Nie mogę... Nie mogę się na to zgodzić. Wydawca się nie zgodzi. Pani tu stawia warunki. Ma nie być widać pani twarzy? Materiał ma się ukazać w całości, bez żadnych cięć?

– Tak – odparłam spokojnie.

– Czyli gdyby pani miała opowiadać o Guderianie sto godzin, to też miałbym to puścić? Nonsens.

– Zapewniam pana, że aż tak rozgadana nie jestem – odparłam nonszalancko. – Jeśliby pan doczytał, to w paragrafie szóstym doprecyzowałam, że materiał nie przekroczy dwóch godzin, chyba że prowadzący będzie zadawał dodatkowe pytania. I że nagramy to w czterech lub sześciu odcinkach. Wolałabym w czterech.

Natychmiast zerknął na rzeczony paragraf. Przeanalizował go uważnie i pokiwał głową.

– Tak, tak. Nie wiem, czy...

– Redaktor Michalski również specjalizuje się w historii Szczecina. – Nadszedł czas na wyjęcie asa z rękawa.

Rumieńce na policzkach Artura Wolnego stały się jeszcze czerwieńsze.

– Dwa dni. Proszę mi dać dwa dni. Porozmawiam z wydawcą. Zobaczymy.

– Maksymalnie dwa dni.

Opuszczając budynek studia, byłam pewna, że ten człowiek zrobi wszystko, co w jego mocy, aby na umowie znalazł się podpis jego szefa.

\*\*\*

Wróciłam do mieszkania. Zjadłam naprędce przygotowaną kanapkę i otworzyłam okno. Uspokajające uliczne hałasy wlały się do wnętrza. Usiadłam w fotelu, wzięłam do ręki kieliszek z winem, stojący na stoliku od poprzedniego wieczoru, i upiłam spory łyk, potem kolejny... Dopiero wtedy odważyłam się sięgnąć po zdjęcie, które zawsze miałam przy sobie w tajnej przegródce portfela. Wyjęłam je nie bez trudu, gdyż palce lekko mi drżały. Patrzyłam na postaci na fotografii: dwie kobiety i jednego mężczyznę. Uśmiechniętych, rozpromienionych, młodych, obejmujących się na molo nadmorskiego kurortu... To była czarno-biała fotografia, ale ja doskonale, mimo upływu lat, pamiętałam tamte kolory i emocje.

Te wspomnienia...

„Niech ktoś w końcu je ode mnie zabierze”.

## II

### POMRUKI ZŁA

*Fordon i okolice, rok 1938 i wspomnienie lat wcześniejszych*

## NASZ MAŁY ŚWIAT

Otulony szalem wiślanych fal podbydgoski Fordon był miastem niemal sennym w porównaniu do gwarnej Bydgoszczy<sup>[4]</sup>. Nie było w nim tramwajów, szpaleru aut ani tłumów ludzi spieszących ulicami, szerokimi nadrzecznymi bulwarami czy po parkach. Nie było domów towarowych ani wielopiętrowych strojnych kamienic z wielkimi szyldami i markizami strzegącymi witryn. Lecz było w Fordonie coś, co sprawiało, że ludziom mieszkało się tu dobrze. Być może chodziło o to, że po wojennej niepewności i tułaczce znaleźli tam ukojenie, bezpieczeństwo i ciszę, których w dużym mieście obawiali się nawet poszukać. Przybywali licznie, z różnych stron, i rozpoczynali nowe życie przy dźwiękach pociągów pędzących ponadkilometrowym mostem łączącym oba brzegi Wisły, parostatków oraz licznych fabryk, w tym cegielni Alberta Medzega, która dzierżyła dumne miano największej na Pomorzu.

Łabędzio wie sprowadzili się do Fordonu tuż po powrocie Jana z wielkiej wojny. Mężczyzna wraz z żoną Justyną, bliźniętami Radkiem i Olkiem oraz ze swoją matką zajęli niewielki podniszczony dom na samym końcu ulicy Piłsudskiego<sup>[5]</sup>. Tylko na taki było ich stać. Cieszyli się jednak, bo w końcu mieli coś własnego i nie musieli już prosić się w gościnę do obcych. Skromne poletko za domem wykorzystali co do piędzi, uprawiając warzywa, owoce i zboża. W niewielkim sadzie zadbali o drzewa, przycinając je i szczepiąc owocodajne gatunki.

Zorganizowali kury i kaczki. Przygarnęli też psa, a do rozprawiania się z myszami – szaroburego kota.

W Fordonie czuli się bezpiecznie, a kiedy w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku po wielogodzinnym i trudnym porodzie na świat przysła ich upragniona córka Anna, wiedzieli, że są także szczęśliwi. I to z każdym rokiem coraz bardziej.

\*\*\*

Wczesnym porankiem na fordońskich obrzeżach zazwyczaj było spokojnie. Każdy pilnował swoich obowiązków. Ci, którzy szli do pracy, wychodzili z domów skoro świt. Ci, którzy zajmowali się gospodarstwem, uwijali się w swoich obejściach. Tamtego lipcowego dnia jednak na skraju ulicy Piłsudskiego panował niespotykany o tej porze harmider. Był tak wielki, że nawet stara Krügerowa oderwała się od swoich słynnych koronek, które dziergała dla bogatych bydgoszczanek, i wyszła przed dom, by podejrzeć sąsiadów.

Przed kwadransem do Łabędziów przyjechała wyładowana po brzegi ciężarówka. Kierowca, stary Makaryk, przywiózł tak wiele pak, że sam nawet nie potrafił powiedzieć, ile ich było.

– Panie Łabędź... – Zrezygnowany machnął ręką, strząsając przy tym popiół z papierosa trzymanego w dwóch palcach. – Jechałem do was z duszą na ramieniu. Kazali, to wziąłem, ale Bóg mi świadkiem, że słyszał, jak most pode mną trzeszczy.

– Doceniam – odparł gospodarz. – Wie pan, wszystko na ostatnią chwilę.

– Ano słyszałem i pędziłem. Panie! – Raz jeszcze machnął ręką. – Mam nadzieję, że kolubryny nie zarznąłem. – Poklepał samochód niczym klacz po pęcinnie, wetknął papierosa do ust i zaczął wyładunek. – Pomogę tylko rzucić – rzekł przez zęby – bo mam robotę jeszcze dziś przy szportplacu w Bydgoszczy.

– I za to dziękuję. Coś do picia mogę zaproponować w zamian.

Mężczyzna przystał na to, dodając, że chętnie, ale po pracy.

– Sam pan chyba nie jesteś, co? – zagadnął, kiedy się rozejrzał. – Masz jakiego chłopca do pomocy?

Jan Łabędź pokręcił głową.

– Z córką jestem. Żona na targu, matka w domu, chora, a synowie w robocie. Trzech miejscowych zwołałem, ale to ledwie od ziemi odrosło i jeszcze cherlawe takie.

Makaryk podrapał się po głowie, zaciągnął resztką cygareta, wyrzucił kiepa i wypuścił dym.

– Pomógłbym, panie! Co by mi szkodziło. Ale dziś naprawdę nie dam rady.

– I tak pan pomogłeś.

Po trzech kwadransach po Makaryku została tylko chmura kurzu, na którą niechętnie spoglądał Łabędź.

– Do diabła! – stęknął i ocierając pot z czoła, klapnął na schodach. – W życiu nie dam rady!

Zawsze był szczupły, ale silny i żylasty, jak mawiali niektórzy, bo w niepozornym ciele drzemały spore pokłady mocy. Ostatnimi miesiącami nie czuł się jednak w formie, utracił dawną młodzieńczą witalność. Ten ring i młodzi bokserzy w obejściu to miał być krok w stronę odzyskania pełni formy.

– Papo, przecież nie jesteś sam! A ja to co? – zapytała Anna, która pojawiła się u boku ojca. – Poza tym mamy pomocników, a za dwie godziny jeszcze nasi będą.

– Ty to zawsze jesteś na fleku, córcia. Te huncwoty – ruchem głowy wskazał na chuderlawych piętnastolatków, którzy zniknęli właśnie za domem – do siłaczy nie należą, a Radek z Olkiem to pewnie dopiero wieczorem zjadą. Zmęczeni po robocie, pójdą spać i tyle z ich pomocy będzie. Kto to widział samemu brać się za taką rzecz?

– Papo, powtarzam ci! Nie jesteś sam! Poza tym, to był twój pomysł z tym ringiem.

Żartobliwie wycelowała w ojca palec. Wiedziała, że tego nie lubił. Spojrzał na nią chmurnie, a ona natychmiast cofnęła rękę. Westchnął i potarł kolana, jakby chciał rozgrzać mięśnie i stawy przed pracą.

– Wiem i chyba żałuję.

– Chyba nie! – Zaśmiała się, zbiegła po schodach i poderwała jedną z lżejszych paczek. – Mama ciągle powtarza, że trzeba robić to, co się kocha. A ty to kochasz, prawda?

Ojciec pokręcił głową, z wesołym błyskiem w oku. Uważnie spojrzął na córkę. Była bardzo drobna, miała niedługie, ciemne włosy i orzechowe oczy, dokładnie takie same jak on. Nos i usta też miała podobne. Gdyby zmieniła fryzurę na męską, wyglądałaby jak jego kopia.

– Pyskata jak... matka... – rzucił cicho i podniósł się z sapnięciem.

Szarpnął wiązkę desek. Od dobrych trzydziestu minut przenosili je sprzed domu na plac za kurnikiem, tuż obok nieurodzajnego poletka, na którym Jan od lat składował zdobyczne części do furmanki i drewno na opał. Na południowo-zachodnim rogu mieli postawić prowizoryczny ring bokserski dla młodzików z klubu „Astoria”, rozpoczynających coroczny letni obóz treningowy w pobliskim lesie. Ostatnie deszcze sprawiły, że tam, gdzie zazwyczaj stawiano ring, powstało bajoro, i otwarcie obozu było zagrożone. Z pomocą przyszedł Jan; zaproponował urządzenie ringu na swojej posesji, a klub przyjął tę propozycję i wysłał deski, liny i osprzęt do Fordonu.

Jan Łabędź od dziecka interesował się sportem, szczególnie bieganiem i gimnastyką. Nie myślał o karierze sportowej, w jego otoczeniu nikt nie brał jej pod uwagę. Chłopcy ze wsi zostawali na roli, a w najlepszym wypadku zdobywali fach stolarza, zduna lub rymarza. Dla Jana ojciec wybrał stolarkę, widząc w tym przyszłość. Jan jednak nigdy nie zaprzestał uprawiania sportu. Nie zmieniły tego ani ożenek, ani późniejszy wojenny czas. Kiedy wrócił z francuskiego frontu, był inny, jakby zgaszony, często zamyślony i w ogóle nieskory do żartów. Budził się w nocy zlany potem, czasami krzyczał. Ale gimnastyki ani biegania nie zarzucił. Justyna nieraz narzekała na popołudniowe ćwiczenia męża, które odbywał za domem. Dla niej to było zwyczajnie niemęskie i nie pasowało do głowy rodziny.

– Chłop, a wygina się jak baba – marudziła, bo wołała, żeby zajmował się synami, którzy przyszli na świat podczas jego żołnierskiej tułaczki, albo schorowaną matką, która mieszkała z nimi, a była już u kresu życia. A najlepiej, gdyby przyjmował stolarskie fuchy, bo gąb do wykarmienia mieli sporo, a pieniędzy jakoś nie.



Jan przymykał oko na pojękiwania żony, bo wiedział, że jego Justysia taka była. Zresztą kiedy na te swoje łamańce, jak zwykła nazywać gimnastykę, zaczął zabierać synów, dając jej wytchnienie od ich niespożytej energii, przestała utyskiwać, a nawet z zadowoleniem, acz z za firanki, patrzyła, jak dobrze radził sobie z Radkiem i Olkiem.

Bo Jan bardziej niż sport kochał chyba tylko swoje dzieci i żonę. Kibicując na zawodach lekkoatletycznych, które odbywały się w Fordonie w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku, tuż przed narodzinami córki Anny, zapatrzył się na Adama Pęgowskiego, trenera biegaczy krótkodystansowych. Pęgowski tak mu wówczas zaimponował, tak wielkie wrażenie na nim zrobił, że Jan zapragnął sam zostać trenerem. Nie miał znajomości ani stosownego wykształcenia, ale czuł, po prostu czuł, że ma do tego dryg. Widział to po synach, z którymi wszystko mu się udawało. Wiele wody jednak upłynęło, zanim spróbował sił poza własnym obejściem. I wcale nie w klubie lekkoatletycznym, o którym początkowo myślał.

Kiedy w bydgoskiej „Astorii” pojawiła się sekcja bokserska, Jan oszalał na jej punkcie. Cały wolny czas spędzał na podglądaniu bokserskich treningów i na... boksowaniu. Czuł ten sport jak żadnego wcześniej.

Regularnie zjawiał się na treningach młodych zawodników, a czasami, nigdy jednak nie wchodząc trenerowi w paradę, zbierał się na odwagę i czynił drobne podpowiedzi, chwalił za wysoką gardę, wskazywał błędy przy markowaniu, zadawaniu i przyjmowaniu ciosów. Nie, żeby się wymądrzał, ale wiedział, że niektórzy może i nie posiadają wrodzonego talentu, pięściarskiego instynktu, ale mają zapał i chęci, a czasami to jest ważniejsze od palca bożego.

Raz w „Astorii” spotkał Feliksa Stamma, który zachęcił go do trenowania młodzików. Jan Łabędź jakby tylko czekał na taką zachętę. Słowa znanego trenera wziął za dobrą monetę i od razu rozpoczął starania o stanowisko. Namaszczony przez Stamma, szybko rozpoczął luźną współpracę z klubem, bo akurat szukano pomocnika trenera. Żona boczyła

się na niego przez tydzień, ale potem, udobruchana kwiatami, dała mu wolną rękę, zapowiadając tylko:

– Skończysz z tym boksem, jak nie będę miała co do gara włożyć!

Przystał na taki układ i wbrew obawom Justyny zaczął nawet zarabiać więcej niż wcześniej. Z „Astorii” wpadał drobny grosz, a i ludzie dowiadywali się o stolarzu, który pomaga szkolić chłopców w boksie, i z wdzięczności podrzucali zlecenia.

Starczało im na normalne życie. Nie na luksusy, eleganckie ubrania, szykowne buty, ale głodny, brudny czy obdarty nikt z nich nie chodził. Czasami nawet pozwalali sobie na ekstrawagancję. Największą bodaj był zakup radiodbiornika. Ależ Jan pęczniał z dumy! Zgłosił go nawet do opodatkowania<sup>[6]</sup>, choć Justyna przekonywała, by przykładem sąsiadów dał spokój. Parę złotych więcej w miesięcznej kiesie działało na jej wyobraźnię. On jednak zawsze postępował uczciwie, a poza tym nie chciał, by ktokolwiek podejrzliwie spoglądał na mały, nieco pokraczny dom na końcu ulicy Piłsudskiego.

Kiedy Jan rozliczał większe fuchy, zabierał rodzinę na ciastka z kremem, kanoldy<sup>[7]</sup>, nawet na wycieczkę do modnego lasu parafialnego w Jaruzynie. Justynie kupował wodę perfumowaną albo materiał na sukienkę. Lubił, kiedy jej oczy błyszczały na widok niezdarnie zapakowanego prezentu i gdy promieniała, oglądając podarek. Przysłuchiwał się potem, jak szczebiocze do sąsiadek o dobrotliwym mężu, i cieplej mu się na sercu robiło.

Czasami Jan chadzał na płatne odczyty. Cenił sobie zwłaszcza prelekcje redaktora Nowakowskiego z „Dziennika Bydgoskiego”. Justyna mu towarzyszyła, choć nie podzielała jego fascynacji. W fordońskim towarzystwie chciała jednak uchodzić za inteligentkę i kobietę obytą, a takie spotkania były ku temu doskonałą okazją. Chciała też wrosnąć w społeczność i zyskać szacunek mieszkańców, mimo że majątek mieli niewielki. I to jej się udało. Przekonała się o tym, kiedy zmarła jej teściowa. Zeszli się wtedy sąsiedzi z kondolencjami, wspólnie odmawiali różaniec,

czuwali przy trumnie, a potem stawili się gromadnie, by towarzyszyć matce Jana w ostatniej ziemskiej drodze.

Justyna była wdzięczna za wszystko, co dawał jej los, choć dawał raczej skąpo i do tego w wiecznej tułaczce. Teraz, dzięki fordonianom, poczuła, że oto znalazła swoje miejsce na ziemi.

\*\*\*

Bracia Anny: bliźniacy Radosław i Aleksander, na których nikt nigdy nie powiedział inaczej niż Radek i Olek, urodzili się w tysiąc dziewięćset piętnastym roku i byli wyjątkowo absorbującymi dziećmi. Wszędzie było ich pełno, a psocili jak nie dwa, a cztery czorty. W dziesiątym miesiącu życia obaj stanęli na nogi, ale nie po to, by chodzić, a biegać. Justyna nie nadążała za nimi, nawet nie miała do tego głowy. Jan poszedł na wojnę, zostawiając ją w mieszkaniu, w którym we czwórkę gnieździli się w dwóch izbach. Było jej ciężko z dwójką wyjątkowo żywotnych dzieci i schorowaną teściową, która wymagała opieki niemal takiej, jak bliźniacy. Sąsiadki, bywało, zjawiały się z pomocą, ale w tamtych czasach każdy miał ręce pełne roboty, więc Justyna zasadniczo musiała sobie radzić sama. Z tym, co do garnka włożyć, także. Na szczęście chłopcy rośli zdrowo i choć dokazywali, nie byli chorowici. Justyna każdego wieczoru modliła się o to, bo wiedziała, że na medykamenty nie byłoby jej stać. O lekarzu nie wspominając.

Jan wrócił z wojennej tułaczki zarośnięty, brudny i chudy jak pęd szczypioru. Justyna z początku go nie poznała, a rodzona matka krzyknęła przerażona: „A kysz, diable!”. Bliźniacy za to z ciekawością przyglądali się przybyszowi, który po kilku godzinach obrządku zaczął przypominać mężczyznę z czarno-białej fotografii, z którą gorliwie i każdego dnia rozmawiała ich matka, a z którą oni musieli się witać o poranku serdecznym: „Dzień dobry, papo”, i żegnać: „Dobranoc, papo”.

Kiedy Jan doszedł do siebie i nabrał nieco sił, od razu rozejrzał się za nowym domem, bo chciał zapewnić rodzinie lepszy byt. Trafiło na odległy Fordon, w którym znalazł się i tani dom, i nadzieja na pracę. A tej nigdzie

wtedy nie zbywało. Jan miał się każdego zajęcia i najmował gdziekolwiek: przy budowie dróg, noszeniu cegieł, cięciu tektury, nawet połowie ryb. Najrzadziej pracował w swoim zawodzie, bo akurat na stolarzy nie było zapotrzebowania, meble znajdowały się na końcu długiej listy potrzeb ludzi, którzy odradzali się po trudach wojny. Jan brał wszystko, nawet od Niemców, choć na początku się przed tym wzbraniał.

– Janku, tu Polak z Niemcem i Żydem sąsiadem – tłumaczyła Justyna, kiedy siadł przy stole, by podzielić się wątpliwościami. – Dogadujemy się przecież, ciastem częstujemy, na swoje dzieci mamy baczenie.

– Ale oni w nas strzelali, rozumiesz?

– No, rozumiem! Sam mówisz, że oni strzelali. A oni to na pewno nie nasi. – Pogładziła męża po ramieniu i nalała kawy do szklanki w koszyczku. Jan ledwo wcisnął spracowane paluchy w małe uszko i siorbnął łyk. – Poczekaj, aż trochę ostygnie, bo język poparzysz – obsztorcowała go, a Jan posłusznie odstawił szklankę.

– Inni biorą robotę u Niemców. I to chętnie – stwierdził.

– No, pewnie. Powtarzam ci, to nie są ci sami Niemcy, co tam, w okopach. A nawet jakby... Janeczku, wojna się skończyła, trzeba zapomnieć, bo inaczej by człowiek z tej nienawiści i niechęci nabawił się zgryzoty i do grobu położył. A my przecież jeszcze tyle dobrego mamy przed sobą. Życia tyle.

Justyna pocałowała męża w czubek głowy, a potem z miłością przyglądała jego niesforne włosy.

– Żaden pieniądz nie śmierdzi, Janeczku. Żaden. Ale każdy może ładne zapachy do domu przynieść. No, na przykład taki placek... I on coś kosztuje przecież.

Jan dał się przekonać Justynie i odtąd inaczej patrzył na okolicznych Niemców. Przyjmował od nich fuchy, pracował z nimi ramię w ramię. Zaczął nawet z nimi rozmawiać, bowiem niemieckim władał biegle, jak zresztą każdy z Łabędziów. Najął się do prac stolarskich i dekarских u znanej rodziny Rosenthalów, która po wojnie w nieco szemrany sposób weszła w posiadanie majątku w pobliskim lesie. To dało mu sporo grosza,

niemałą sławę w sąsiedztwie i listę stolarskich zleceń od niemieckich znajomych Rosenthalów. Może i Jan nie był artystą, nie strugał w drewnie rzeźb godnych westchnień rozkapryszonych panien, ale pracował sumiennie, szybko i uczciwie. To wystarczyło, by wrócił do wyuczonego zawodu stolarza i otworzył warsztat na tyłach domu przy Piłsudskiego. Dzięki temu spędzał więcej czasu w obejściu, co cieszyło przede wszystkim rosnące jak na drożdżach dzieci. Chłopcy podglądali ojca, a kiedy nie patrzył, dobierali się do młotka i tłukli po ścianach, po podłodze, a czasem po palcach, jeśli Jan nie zdążył wyrwać narzędzia z ich sprytnych i nazbyt spieszonych rączek. Czasami ojciec wykazywał się wyjątkową cierpliwością i uczył ich prostych stolarskich czynności, a chłopcy z zachwytem wkręcali drewnienka w imadła, szlifowali kołki, rozmiękcza listawki. I obydwaj przysięgali, że w dorosłości zostaną stolarzami. Później zaczęli marzyć o karierze sportowej, bo ojciec zaraził ich pasją do wysiłku fizycznego. Biegali, gimnastykowali się i... wspinali na wszystko, byle wyżej i niebezpieczniej. Nie było drzewa ani komina nie do zdobycia, słupa i muru, na który nie dałoby się wspiąć. Nie podarowali sobie nawet wiekowego orzecha włoskiego, który strzegł wjazdu do domu Krügerów, ani dachu kościoła. Ksiądz proboszcz mało zawału nie dostał, kiedy zobaczył dwóch Łabędziów wiwatujących na gzymsie neobarokowej świątyni.

Ojciec nie raz interweniował i ściągał nicponi z sękatych dębów i lip, strzelistych topoli i rozłożystych świerków, bo wleźć potrafili, ale z zejściem bywało gorzej. Nie złościł się jednak na nich, wszak sam w dzieciństwie podobnie psocił.

– Tylko mi się nie połamcie! – grzmiał. – Bo wtedy to i mnie matka przetrąci gnaty.

No i nigdy się nie połamali. Byli jak z gumy, nawet kiedy raz czy drugi spadli z wysokiej gałęzi. Obtłukiwali się, i to sromotnie, ale nic poza tym. Po otrzepaniu kolan i zdartych do krwi łokci zaczynali szukać kolejnej przeszkody.

W szkole powszechnej uczyli się mało. Nie lubili siedzieć w ławce. Za nic mieli linijkę srogiej nauczycielki od polskiego, która wymierzała razy za ortograficzne byki, czy ciężką rękę matematyka, którą poznawali niechętni algebrze. Więcej uciekali z lekcji, niż na nich siedzieli. Szkolne grandy i klasowe psikusy to była ich specjalność. Chowali zeszyty, związywali w jeden supeł sznurówki butów, do kanapek dosypywali soli. Rozlewali klej na nauczycielskich krzesłach, a w przewody kominowe wpuszczali żaby, tak że często nie dało się w spokoju przeprowadzić lekcji. Niejednego doprowadzali do wściekłości, co delikatniejszych do łez. Mieli jednak zasadę: nigdy nie bruździli dziewczynom. I nieważne, czy chodziło o te ładne, czy o te, które nie wzbudzały ich najmniejszego zainteresowania. Dziewczyn nie tykali, a kiedy ktoś im szkodził, zawsze ich bronili. Byli wobec nich eleganccy i szarmanccy, choć nigdy przesadnie usłużni. Z łątką miłych łobuzów wzbudzali powszechny dziewczęcy zachwyty.

Radkowi i Olkowi nie raz zdarzały się nielegalne wypadki. A to do największego podfordońskiego sadu na szaber jabłek, a to do restauracji „Dworcowej” na papierosy, które podkradali pijanym w sztok klientom, a to do zakrystii, żeby capnąć parę groszy z tacy. Sporo mieli na sumieniu, ale dziwnym trafem zawsze wszystko uchodziło im płazem.

Kiedy trochę zmężnieli, zaczęli wdawać się w bijatyki. Nie należeli do tych zadziornych, ale gdy ktoś wytykał im przykrótkie spodnie czy zdarte buty, nie certolili się, tylko rozwiązywali sprawę pięściami. Zdarzało się, że dostawali za to karę i w szkole, i w domu, ale jak to oni, nic sobie z tego nie robili.

– Oby tylko do więzienia ich nie wzięli – biadoliła Justyna. – Tego bym nie zniosła!

Nie wzięli, choć czasem pewnie powinni. Bracia byli prawdziwymi fuksiarzami!

Kiedy Jan odkrył boks, bliźniacy również zakochali się w tym sporcie. W końcu mogli się bić bez obaw przed karą, bez krzywych spojrzeń ludzi na to, że wymachują pięściami. Były co prawda reguły, które nie do końca

im odpowiadały, bo czasami woleliby kopnąć przeciwnika w krocze albo ugryźć w ucho, ale podporządkowali się i... trenowali jak szaleni. Na początku nawet dobrze rokowali. Trener mówił, że zrobią karierę, a oni fantazjowali o wielkich sukcesach na polskich i światowych ringach.

– Obijemy pyski Niemcom! – ekscytował się Radek.

– I Żydom też! – dodawał Olek, którego osiągnięcia Rotholca kłuły w oczy.

Jednak z miesiąca na miesiąc ich zapał słabł, aż w końcu zgasł całkiem. Być może stało się to za sprawą dziewczyn, coraz gęściej kręcących się wokół braci Łabędziów, którzy, gdyby ich porządnie ubrać, wyglądałoby jak z żurnala.

Zarówno Radek, jak i Olek zarzekali się, że do żeniaczki i zakładania rodziny im daleko. Obydwu stan kawalerski wybitnie służył. Chcieli się bawić. Po zakończeniu szkoły powszechnej bez trudu znaleźli pracę jako dekarze, mieli więc pieniądze na uciechy, a i matce mogli coś wsunąć do kieszeni fartucha. Znali się też na stolarce i kiedy grosz na używki oraz dziewczyny im się kończył, dorabiali sobie u ojca na fuchach albo u innych stolarzy w okolicy.

Dziewczyny zmieniali często, bawili się nimi, rozkochując je w sobie równie szybko, co porzucając. Bywało tak, że z jedną budzili się o poranku, a z drugą zlegali wieczorem. Żadna nie potrafiła zatrzymać ich na dłużej, żadnej też nie robili nadziei, bo z żadną nie łączyło ich nic szczególnego. Tak naprawdę w ich życiu liczyły się tylko dwie kobiety: matka i o pięć lat młodsza siostra Anna. O obydwie dbali w wyjątkowy sposób i za obydwie gotowi byli oddać życie.

\*\*\*

Anna od małego była pogodna, ze wszystkiego zadowolona. Czarowała bystryimi orzechowymi oczami i usteczkami składającymi się bez przerwy do uśmiechu. Stała się pupilką wszystkich, maskotką, bo każdy lubił się z nią pokazywać. Taka ładna była. I mądra. Matce marzyło się, że robi

z niej prawdziwą damę, by miała szansę wejść w bogatą rodzinę i żyć na wysokim poziomie. Ale Ania, choć z pokorą przyjmowała wszystkie matczyne nauki, najbardziej ekscytowała się wygłupami braci. To oni nauczyli ją wspinania się na drzewa i pływania w rwącej rzece. Pokazali, jak ukryć się w gęstwinie, by nikt jej nie znalazł, jak opatrzyć ranę liśćmi, a nawet jak używać pięści, rzecz jasna w samoobronie. Z tym ostatnim nie radziła sobie najlepiej, bo z założenia nie przepadała za walką wręcz, ale pozostałe umiejętności opanowywała z łatwością, a w bieganiu na długie dystanse okazywała się wytrzymalsza od starszych, znacznie leniwszych chłopaków.

– Będą z ciebie ludzie – mawiał Radek. – Żaden gówniarz ci nie podskoczy!

Chichotała na słowa ukochanego brata, a on wtedy dodawał:

– Ale niejeden straci dla ciebie głowę! Tylko pamiętaj, że jakby chciał ci jaką krzywdę zrobić, to mu w pysk wal, a jak nie da rady, to kop między nogi, w jaja. Boli jak pierun.

Rady brata ceniła wyżej niż matczyne, ułożone, przesadnie porządne. Owszem, lubiła się wystroić, wodą perfumowaną z maminej toaletki skropić i podkraśnić usta, ale wiedziała, że nie potrafiłaby żyć tylko tym, że to byłoby dla niej nudne. Ona chciała przygód. Kiedy słyszała o niesamowitych kobietach, na przykład o Wandzie Modlibowskiej, polskiej szybownicze, która biła rekordy przestworzy, z emocji dostawała wypieków. A natrafiwszy na wzmianki o Helen Bridge czy Amelii Greenwald, które kierowały prężnymi warszawskimi szkołami dla pielęgniarek, z wrażenia nie mogła potem zasnąć. Ona też chciała taka być! Niezwykła, odważna, światowa. Czuła, że mogłaby tego dokonać. Jeśli będzie ciężko pracować i stanie się najlepsza we wszystkim.

Rówieśnicy mieli problemy z dorównaniem jej, nie tylko sprawnością, ale i w nauce. Zawsze zdobywała najlepsze stopnie, i to z każdego przedmiotu. Brylowała na szkolnych przedstawieniach, wiersze recytowała bez zająknięcia, rachowała niemal tak szybko jak nauczyciele, których miała wielu, bo w szkole ciągle ktoś się zatrudniał i zwalniał. Czytała



wszystko, co jej wpadło w ręce. Zarówno po polsku, jak i po niemiecku, więc w obydwu językach wysławiała się lekko i naturalnie.

Kiedy ojciec siedział w fotelu z „Dziennikiem Bydgoskim” w rękach, zaglądała mu przez ramię, łapczywie czytała i zadawała pytania, bo rzecz jasna, nie wszystko rozumiała, ale, co ojciec dostrzegał z zadowoleniem, szybko pojmowała. Każdą stronę znała od deski do deski wraz z dodatkami, szczególną uwagę poświęcając nowinom ze świata medycyny i filmu.

Oglądała wszystkie spektakle teatralne i muzyczne, na które udało jej się sprytnie wcisnąć, nie płacąc za wstęp ani grosza. Nie potrafiła oderwać oczu od sceny, od kolorowego świata, który tak bardzo ją elektryzował. Słuchała i zapamiętywała każde słowo, każdy gest, każdą nutę, a potem z bijącym sercem dniami i nocami odtwarzała je w wyobraźni, minuta po minucie. Karmiła tym swoją wiecznie nienasyconą duszę.

Kiedy we wrześniu tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku do fordońskiego więzienia miała trafić Rita Gorgonowa, której proces o zabójstwo dziewięcioletniej Lusi Zarębskiej był głośno komentowany w całym kraju, Ania wraz z matką czekała przy torach na przyjazd specjalnie zabezpieczonego wagonu. Miała zaledwie trzynaście lat, ale już wtedy była żądna wiedzy o wszystkim i wszystkich. Stojąc na peronie, liczyła na to, że na własne oczy zobaczy kobietę, o której nikt nie mówił inaczej, jak tylko zbrodniarka i morderczyni. Nie udało się, ale później, ilekroć przechodziła obok więzienia, zerkała w okna, licząc na to, że za kratami ujrzy twarz ciemnowłosej Rity.

Kiedy rok później na okołofordońskich stokach Czarnej i Łysej Góry uruchomiono szybowisko i zorganizowano zawody szybowcowe, Ania w pierwszym rzędzie oklaskiwała zwycięzcę, pilota Kazimierza Mindaka, który wydał jej się wtedy najprzystojniejszym i najmężniejszym mężczyzną pod słońcem.

Należała do osób wyjątkowo wrażliwych na cudze nieszczęście i kiedy ojciec Ewy Mandyczówny, jej szkolnej przyjaciółki, stracił w pracy nogę i nie mógł zarabiać, dzieliła się z nią kanapkami. Z Antkiem Dziarkowskim też, choć on głodem nie przymierał. Wręcz przeciwnie. Pochodził

z bogatego domu, ale zawsze jakoś tak łakomie patrzył na jej skibki chleba, że nie potrafiła mu odmówić. Poza tym miał „trudny” dom, często przychodził do szkoły z siniakami na rękach i na twarzy. I choć nigdy się nie żalił, Ania lubiła go pocieszać. To jej dzielenie się jedzeniem sprawiło, że z Ewą i Antkiem stworzyli nierozłączną trójkę i wszędzie szwendali się razem. Po lekcjach siadali na rynku i obgadywali co ciekawszych przechodniów, fantazjując, że kiedyś i ich będzie stać na wykwintny obiad w restauracji, szykowny strój od krawca i kapelusz prosto z żurnala. Że będą się wozić fiatem, a może i mercedesem, albo dumnie paradować szeroką ulicą Bydgoską, kłując w oczy zazdrosnych fordonian.

W trójkę trzymali się do końca szkoły powszechnej, później ich drogi się rozeszły. Antek, choć chciał, nie mógł uczyć się dalej. Ojciec zaplanował dla niego inną przyszłość – w rodzinnym gospodarstwie sadowniczo-warzywnym. Syn miał mu pomagać przy rozwożeniu towaru, co Antkowi nawet odpowiadało, bo szalał na punkcie samochodów. Przystał więc na to, choć wcześniej zapowiadał, że zerwie się z ojcowskiego łańcucha.

Ewa także zakończyła edukację na szkole powszechnej. Dla niej rodzice przewidzieli przyszłość krawcowej. Miała pójść w ślady matki i starszych siostr, co w pełni akceptowała, bo lubiła szyć, a spod jej ręki wychodziły już całkiem zgrabne sukienki i spódnice. Była też przygotowywana do zamążpójścia. Ojciec obiecał ją dla syna sąsiada. Gdyby Ewa była podobna do Ani, zapewne by się nie zgodziła, zaprotestowałaby przeciwko jakimkolwiek ustaleniom za jej plecami. Ewa kochała jednak niewysokiego i niezbyt urodziwego Walusia i z niecierpliwością oczekiwała momentu, gdy odda mu swój wianek.

Jedynie Anna kontynuowała edukację. Jej ojciec był wielkim orędownikiem nauki i podziwiał córkę, mimo że nie zawsze okazywał to na głos, ale kiedy przyszła pora na podjęcie decyzji o dalszym kształceniu, nie zawahał się, choć zdawał sobie sprawę, że w domowym budżecie nie ma na to odłożonych pieniędzy.

– A może byśmy perły i złoto po mamie sprzedali? – zaproponował Justynie.

– Przecież to na wesela miało być. Tak mówiła twoja matka.

– Wiem, ale kto to wtedy myślał, że z Ani taka mądrała wyrośnie. Przecież nie ma po kim... – stwierdził, a Justyna już chciała zaprotestować, kiedy uspokajająco dodał: – No, oczywiście, najbardziej to po tobie, ale sama dobrze widzisz, że ona nawet ciebie już przeskoczyła.

Justyna pokiwała głową i mruknęła.

– Ale myślisz, że twoja matka nie miałaby nam za złe? Że na szkołę?

– A gdzieżby! Ważne, żeby na wnuki. Na tym jej zależało. Tak sobie myślałem... – cmoknął – ...że Ania byłaby pierwszą tak dobrze wykształconą kobietą w naszej rodzinie.

– Masz rację. – Jego żona aż pojaśniała. – To byłaby duma dla nas wszystkich.

– Tak, Justysiu. Dokładnie tak jak mówisz, a poza tym... – ściszył głos, jakby zdradzał tajemnicę. – Twoja siostra będzie ci zazdrościć.

Oberwał za to ścierką w ramię, ale w mig pojął, że właśnie przedstawił swej żonie absolutnie kluczowy argument, który przekonał ją do sprzedaży rodzinnych kosztowności na edukację córki.

\*\*\*

Wnikliwa lektura dodatków medycznych „Dziennika Bydgoskiego” zaważyła na tym, że Ania postanowiła zostać pielęgniarką. Chciała zgłębiać anatomię człowieka, umniejszać bólu schorowanym i cierpiącym, a także przynosić światło życia, kiedy wokół panoszyła się ciemność – jak mawiał ksiądz na kazaniach. Wybrała pielęgniarstwo, bo naczytała się o dzielnych sanitariuszkach, które podczas wielkiej wojny na frontach Europy opatrywały żołnierzy. I o tych, które później zakładały szkoły pielęgniarские i wprowadzały w tajniki zawodu. Czuła, że ona też by tak mogła. I zbawiać świat, i nauczać! Tak!

Zamarzyła o Warszawskiej Szkole Pielęgniarstwa. Zdobyła już o niej wszelkie informacje i cieszyła się, że ma szansę na stypendium, bo bez niego nie byłaby w stanie podjąć dalszej nauki.

– Przyjmą mnie od września! – oznajmiła mamie.

– To cudownie, dziecko!

– Tak! Nie mogę się już doczekać! To będzie wielka szkoła, światowi nauczyciele i... stolica.

– Tak jak chciałaś.

– No! Ale nie zamierzam beczynnie czekać, wiesz? Pójdę do pracy, bo do Warszawy dobrze byłoby wyjechać z jakimś groszem. Zatrudnię się w restauracji. Byłam dziś na mieście popytać. Z pracą jest krucho, ale ponoć w „Wiślanej” szukają. A ja jestem bystra, dobrze rachuję i znam niemiecki, to mnie na pewno wezmą.

Matka załamała rękę.

– Dziecko! Do takiej pracy to pewnie kolejka. I to mężczyzn.

– A gdzie tam! Ewa mi mówiła, że ten Węzyk, właściciel, wszystkich odprawił. Bo albo ze słabym niemieckim byli, albo w rachunkach się mylili, albo nie wyglądali najlepiej. Teraz przepytuje nawet kobiety, ale na razie żadnej nie wziął – Ania trajkotała radośnie, a Justyna, słuchając jej, łapała się za głowę. – Ale jak mnie przepyta, to na pewno weźmie, bo u mnie ze wszystkim prima sort, mamuś! Przecież wiesz!

Wstała i zaczęła kręcić się jak fryga.

– Poza tym będę się uczyć. Jak szalona! Wypożyczę wszystkie książki medyczne, jakie są w bibliotece. I dodatki medyczne do „Dziennika Bydgoskiego”, bo przecież wszystkich nie znam. I od doktora Naborowa poproszę o podręczniki. On jest mi przychylny, więc na pewno udostępni. Te periodyki medyczne, co trzyma w gabinecie, też. I pójdę do pani Stasi. Ona może mieć coś dla pielęgniarek. Wszystko przeczytam i... I...

Justyna wstała od stołu, podeszła do córki i dobrotliwie pogłaskała ją po głowie.

– Zawsze wiedziałam, że będziesz kimś niezwykłym. Nawet jak w brzuchu cię miałam, to inaczej się ruszałaś niż te dwa wisusy. A potem tymi swoimi oczkami – palcem uniosła jej brodę – z taką ciekawością na wszystko patrzyłaś.

– A mówiłaś mi, że byłam uparta! – przypomniała jej Ania wesoło.

– Od dziecka, ale nie tak jak chłopcy. Ta twoja upartość, choć czasami mnie złościła, pchała cię w dobrą stronę.

Anna spojrzała na matkę uważnie. Zmarszczone brwi, drgające nozdrza, a w hardych oczach łzy. To był rzadki widok, bo matka nie kryła się z emocjami tylko na dużych uroczystościach rodzinnych – ślubach czy pogrzebach, lub gdy na rezurekcję ksiądz śpiewał niskim głosem pierwsze powielkopostne „Alleluja”. Teraz Justyna Łabędź przez krótką chwilę naprawdę była wzruszona. Odchrząknęła, wygładziła fartuch i nagle zmieniła front.

– A mąż? A dzieci? Przecież... Ty skończysz szkołę za dwa lata. Będziesz już po dwudziestce! Jak ja tyle miałam, to chłopcy byli na świecie. Dziecko drogie – zaniepokoiła się. – Kto cię zechce po tej szkole? Stara będziesz na zamążpójście!

– Mamuś, czasy się zmieniły – odparła z lekkością Ania, w ogóle niez mieszana. Co najmniej jakby spodziewała się takiej reakcji. – Dziś to kobiety decydują o sobie, a nie małżeństwo o nich. Ja tak uważam! I chcę się uczyć! Chcę świat lepiej poznać! To jest dla mnie najważniejsze!

Matka pokręciła głową i opadła na krzesło, które zaskrzeczało pod jej ciężarem. Na piecu już bulgotała zupa i w normalnych okolicznościach Justyna pospiesznie by ją przemieszała. Teraz nawet nie spojrzała w tym kierunku.

Ania jeszcze przez chwilę paplała o swoich wielkich planach, wyjeździe, podbojach, ale w końcu dostrzegła strapioną twarz matki i dodała:

– Nie martw się, mamuś. Będę miała męża, ale nie stąd! Z jakiegoś dużego miasta. Będzie wykształcony i przystojny jak z plakatów! Zobaczysz! A może i wnuków się doczekasz?!

Justyna najwyraźniej pragnęła usłyszeć to magiczne słowo. Wnuki... Uniosła wzrok, a prawy kącik jej ust poszybował w górę. Tęskniła za tupotem stópek, dziecięcym jazgotem, nawet za nieznośnym płaczem, na który nieraz w przeszłości skarżyła się mężowi. Teraz ich dom przy Piłsudskiego trawiła cisza.

– Mam nadzieję, Aneczko. Mam nadzieję...

## NOWY ROZDZIAŁ

Anna Łabędź rzeczywiście otrzymała pracę w niezbyt wykwintnej restauracji „Wiślana” przy ulicy Bydgoskiej. Beniamin Wężyk, szef sali i jednocześnie właściciel przybytku, przepytał ją drobiazgowo i z rachunków, i z niemieckiego. Sprawdził też, nie do końca ufając kobiecym zdolnościom, szybkość zapamiętywania nazw dań i umiejętność gładkiego wysławiania się. Był z niej zadowolony. Ania myślała, że od razu trafi do obsługi klientów, jednak Wężyk wysłał ją na zaplecze. Oczywiście, że wolałaby przyjmować zamówienia, być wśród ludzi, uwijać się między stolikami, ale nie mogła przecież wybrzydzać i każdego dnia pędziła co tchu do lokalu, by myć naczynia, obierać ziemniaki i kroić cebulę, roniąc przy tym wiadra łez. Potrzebowała pieniędzy, a każdą przepracowaną godzinę przeliczała na pończochy, wymarzone skórkowe buty z obcasikiem i paseczkiem czy materiał na sukienkę. Kiedy pewnego dnia szef wysłał ją na salę, z radości aż podskoczyła i ku zaskoczeniu wszystkich poradziła sobie wyśmienicie. Na początku nieco stremowana, po godzinie czuła się jak ryba w wodzie. Drzenie rąk zniknęło, a na twarzy pojawił się uśmiech. Po tygodniu pracowała już głównie na sali. Wszystko dlatego, że kartę dań, która zresztą nie należała do skomplikowanych ani wyrafinowanych, znała na pamięć i po polsku, i po niemiecku, a do tego nie myliła się w liczeniu. Dla klientów była uprzejma, nawet przesadnie, co szczególnie cieszyło Wężyka, który usłużność traktował priorytetowo. Ania przysłużyła się „Wiślanej”. Klienci chętnie wracali, bo mieli na kim oko zawiesić, a czasami nawet do kogo posuszyć zęby (albo to, co z nich zostało).

Pracy w restauracji nigdy nie brakowało, nawet gdy gości było niewiele. Do obowiązków dziewczyny, oprócz obsługi klientów, należało bowiem dbanie o czystość sali oraz przyjmowanie towarów. I o ile za sprzątnięciem Łabędziówna nie przepadała, o tyle dostawy lubiła przyjmować, bo to

zawsze była szansa na poznanie nowych ludzi i zagadanie o to, co się dzieje w świecie. A przecież to ją interesowało najbardziej. Dostawcy w większości byli niezbyt rozmowni, ale zdarzały się wyjątki. Kiedy z Łodzi przyjeżdżał pan Musiał, oferując wyszukane alkohole, z zapartym tchem wsłuchiwała się w opowieści o łódzkim szpitalu wybudowanym ze społecznych składek. Sędziwego pana Smarzewskiego z Bydgoszczy wypytywała o sprawy lokalne, bo był najlepiej zorientowany w tym, kto zbankrutował, a kto dzięki pożyczce otwierał nowy interes. Pana Wróbla natomiast, przywożącego piwo z pobliskiego browaru, nie zagadywała wcale. Gdy tylko ją widział, sam zaczynał snuć opowieści o... wielkiej wojnie i swojej, zapewne odrobinę wyolbrzymionej, roli w armii Hallera. Robił to tak ciekawie i przejmująco, że Ania przerywała mu dopiero wtedy, gdy słyszała ciężkie kroki Beniamina Wężyka.

Łabędziówna lubiła też odwiedziny swojego przyjaciela Antka Dziarkowskiego, który w restauracji zjawiał się regularnie. Jego ojciec od lat dostarczał „Wiślanej” ziemniaki i jabłka na strucle, a Antek zajmował się dostawami.

– Dobrze ci u ojca? – zapytała podczas jednego z ich pierwszych spotkań w „Wiślanej”.

– Nie jest źle – odpowiedział chłopak lakonicznie, po czym dodał: – Mało siedzę z ojcem. Jeżdżę z towarem, a to najlepsza strona tej roboty.

– Zawsze lubiłeś samochody.

– To prawda. Nie minęło mi. A teraz to nawet radzę sobie z naprawami. Dużo już pojąłem.

– A na początku tak ci się nie chciało pracować u ojca.

– Bo wiesz, jaki jest – powiedział zadziwiająco spokojnie.

Kiedyś na samo słowo „ojciec” drżał, nawet zaczynał się jąkać. Teraz jawił się jakoś inaczej.

Stefan Dziarkowski znany był z pociągu do wódki oraz z ciężkiej ręki względem swoich dzieci i pracowników. Żony też. Skórzany bat niemal zrósł się z jego ręką. Niejednemu Dziarkowski wygarbował nim skórę,



niejednemu narobił blizn. Było kilku, co mu się postawili. Pięciominutowi bohaterowie, którzy po chwili glorii musieli się wynosić z fordońskiej, a nawet bydgoskiej okolicy, bo ojciec Antka miał wielkie wpływy i potrafił załatwić, by nikt człowiekowi nie dał pracy. „Skurwysyn” – tak na niego pokątnie mówiono i każdy wiedział, że całkowicie zasłużenie. Lepiej było nie wchodzić mu w drogę.

Dziarkowski był stałym bywalcem burdeli. Nawet się z tym nie krył, przynosząc ujmę żonie, której zresztą nigdy dobrze nie traktował. Miał swoje ulubione miejsca w Bydgoszczy, a ponieważ sporo zarabiał, stać go było na najlepsze dziwki, a także na towarzystwo aktorek, które obsypywał drogimi prezentami. Nie trzymał się przy tym jednej kochanki. Mówiono nawet, że zlegał z kilkoma naraz. Kiedyś po Fordonie hulała plotka, że dopuścił się gwałtu na nieletniej, jednak formalnie sprawa nie ujrzała światła dziennego, a rzekoma ofiara nigdy nie zabrała głosu.

– Ale o twoim ojcu nadal nie mówią najlepiej.

Antek zmarszczył nos.

– Teraz, jak siedzę w tych interesach, to widzę, że czasem trzeba huknąć, bo ludzie to śmierdzące lenie i złodzieje, jak im człowiek popuści.

Ania patrzyła na starego przyjaciela z niedowierzaniem. Mówił jakby inaczej. Tak w zasadzie to nie mówił, a ciskał słowami.

– I nerwy trzeba mieć ze stali, żeby ze wszystkim dać sobie radę, szczególnie z ludźmi. Chyba lepiej rozumiem ojca. Nie żebym go tłumaczył, ale pojąłem, skąd u niego te napady złości.

„I wyzywanie się na dzieciach też? I na żonie?” – pomyślała z żalem Ania. Rękoczynów w żaden sposób nie potrafiła wytłumaczyć.

Antek spojrzał ponad jej głową na pakę ciężarówki.

– Jeszcze dwie skrzynie dla was.

– Aha.

Przyglądała mu się, kiedy nosił towar. Dostrzegła w nim mężczyznę, nie chłopca, z którym kolegowała się w szkole powszechnej. Co prawda rysy twarzy nadal miał delikatne, iście chłopięce, ale zapuścił cienkiego wąsa.

Poza tym zmężniał i sporo urósł. Był wyższy od niej niemal o głowę. Policzki pozostały nieco pyzate, ale fryzura „na garnek” ustąpiła miejsca bardzo modnemu uczesaniu, z przedziałkiem po lewej. Gdyby nie zniszczone od pracy fizycznej dłonie i upaprane ubranie, powiedziałyby, że pracuje za biurkiem.

– Dobrze wyglądasz – stwierdziła i klepnęła go w ramię, po kumpelsku.

Antek zrobił zdziwioną minę, jakby zapomniał, że kiedyś często w ten sposób się zachowywała.

– No co? – zapytała. – Odwykłeś? – Klepnęła go raz jeszcze.

– Chyba tak. Wiesz... Dawno się nie widzieliśmy, nie gadaliśmy tak jak dziś – mówił niepewnie, ale już bardziej swojsko, bez cwaniactwa, które jeszcze przed chwilą było słychać w jego głosie. Ania pomyślała, że dawny Antek wrócił. Ucieszyło ją to. – Trochę czasu upłynęło i myślałem, że...

– Że co?

– Żeś inna niż kiedyś.

– Bo maturę zdałam?

– No tak.

Końcówki jego uszu poczerwieniały. Zawsze tak miał, kiedy robiło mu się głupio. Ania wybuchnęła śmiechem.

– Antek, to przecież ja!

– No, ale...

– Nigdy się nie zmienię – ściszyła głos. – Matka by chciała, żebym nabrała ogłady, ale to nie dla mnie. Czasami mogę nosa pozadzierać, ubrać się w suknię, ale na co dzień jestem tą samą Anią, jak dawniej.

– Naprawdę? – ożywił się. – I w Fordonie zostaniesz?

– Na razie tak, ale niedługo do Warszawy jadę.

– Aaa...

– Ale nie powiedziałam, że jutro. Jeszcze niejeden raz się zobaczymy.

– A po co do tej Warszawy? Masz tam kogo?

Roześmiała się.

– Do szkoły idę! Do szkoły pielęgniarzkiej! – oznajmiła dumnie. – To moja przyszłość. Tak myślę! Rozmawiałam z naszym doktorem Naborowem i powiedział, że się nadaję. Nie boję się krwi, nie obrzydzą mnie wrzody, nie straszne mi strzykawki ani opatrywanie ran. Do tego lubię się uczyć. Doktor pożyczył mi książki, więc czytam o anatomii, bo chcę być najlepsza, i to od samego początku. Antek! – Cmoknęła z zachwytem. – Ja czuję, że to dla mnie! To jest coś wyjątkowego!

– Taa... – rzucił pogardliwie.

Anna zdawała się tego nie słyszeć, bo ciągnęła zafascynowana:

– Warszawa! Wielka szkoła! Cieszę się, ale tam jest dużo takich dziewczyn jak ja. Chyba nawet same takie jak ja. I dlatego tyle się uczę, żeby je przewyższyć już na starcie. I żeby pokazać nauczycielom, jaka jestem dobra!

– Pójdiesz w świat, zobaczysz szerokie ulice Warszawy, ludzi jak malowanych w tych no... W futrach, w kapeluszach jakich. Zobaczysz tłok na chodnikach i na ulicach pewnie też. Wielkie budynki, teatry i zapomnisz o nas. Tego chcesz? – Antek najwyraźniej próbował obrzydzić Ani stolicę.

Ona jednak odparła z entuzjazmem:

– Tak! Idealnie to ująłeś!

Radosna ekscytacja zniknęła z jej twarzy w ciągu sekundy, gdy na zaplecze wszedł szef i rzucił z dezaprobatą:

– Za paplanie ci nie płacę! Do roboty!

## DŁUGIE DNI

Po pierwszych dwóch tygodniach pracy Ania знаła już większość stałych bywalców i ich upodobania, co budziło ogólne zdziwienie. „Ależ ma panienka pamięć!” – mawiali. Albo: „Naprawdę pamięta panienka, że z okrasą lubię?”. A ona pamiętała wszystko. Kto z kim wpadał, w jakim humorze i o której godzinie. Czy na obiad, czy tylko na kielicha ze śledziem lub galaretą. Czy burczał, czy też się uśmiechał. Czy pachniał czosnkiem, czy wodą kolońską. Pamięć Ania miała wyborną, a i intuicja jej nie zawodziła. Jakoś tak jej się udawało, że naburmuszonego potrafiła obłaskawić, a nazbyt rozochoconego jej kobiecym wdziękiem utemperować.

Polubiła pracę w „Wiślanej”, choć nie myślała, że tak będzie. Jedyne, co jej przeszkadzało, to zmęczenie i opuchlizna stóp po całym dniu skakania między klientami a zapleczem. Wracała do domu i padała na łóżko, a wcześniej bardzo często moczyła nogi w przygotowanym przez mamę naparze z ziół.

– I jak? – zagadnęła matka, stając w progu pokoju Ani.

– Chyba lepiej.

– Chyba? Pokaż. – Podeszła do miski, uklękła i obejrzała stopy córki. – Przeżyjesz, córuś. Może ziółek do picia ci jeszcze przyniosę?

– Dziękuję, ale nie chcę – odparła. – W pracy opiałam się kawy.

– Ale kawa to nie wszystko. A niektórzy mówią nawet, że ona wcale nie taka zdrowa, że na żołądek szkodzi i w głowie miesza.

– Mamuś, nic mi tak nie pomaga jak ona. Bez niej nie przetrwałabym tylu godzin na nogach. Wiesz, ile ja się tac nanoszę? Ile się nastoję albo, jak trzeba, naobieram?

– Wiem, córuś, i jestem z ciebie dumna. Ale przypominam ci, że sama tak sobie wybrałaś. Ja tam bym do takiej roboty nie poszła.

– A do jakiej byś poszła? – zapytała poirytowana Ania, bo już kolejny raz matka wytykała jej kelnerowanie.

Justyna uważała, że praca w „Wiślanej” nie przystoi tak dobrej uczennicy jak jej córka. Ani przyszłej pielęgniarce.

– W domu powinnaś pomagać albo w jakimś miejscu, gdzie jest praca dla kobiet, gdzie nie ma awanturujących się klientów, tego całego dymu papierosowego i alkoholu. Alkohol najgorszy.

– Wiesz, że z pracą jest ciężko, bo więcej szukających niż dających robotę. Wężyk chciał mężczyzny, ale to mnie wybrał. A tak poza tym, w „Wiślanej” nie ma awantur ani bijatyk. Wężyk nad tym czuwa. Codziennie prawie ci sami nudni klienci – skłamała, nie chcąc martwić mamy. Zdarzały się bowiem awantury, ale jej to w ogóle nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Wtedy czas w pracy leciał znacznie szybciej. – Poza tym tylko tak mogę zarobić na książki i gazety, i odłożyć sobie na szkołę.

– Dziecko drogie, przecież dostaniesz stypendium. Sama mówiłaś.

– Dostanę, ale za coś muszę żyć w Warszawie i muszę też jakoś się ubrać, żeby w ogóle tam pojechać.

– Ale ty chodzisz pięknie ubrana.

– Akurat!

– Aniu! Twoje sukienki są bardzo ładne, szyte u dobrej krawcowej. Przecież byłaś zadowolona.

– Moje sukienki są dobre, ale w Fordonie, a może nawet w Bydgoszczy by uszły, ale tam, w Warszawie, jest inne życie niż u nas! – rzuciła ze złością, wycierając ręcznikiem stopy. Odstawiła balię i wsunęła się pod kołdrę. – Tam nie mogę mieć starych fasonów, sukienek bez falban, zdartych cholewek, buta bez obcasa ani cerowanych pończoch! Muszę doskonale wyglądać i w szkole, i... – Chciała dodać, że na randkach również, ale powiedziała tylko: – ...i poza nią też!

Justyna spojrzała na córkę z wyrozumiałością. Usiadła na skraju łóżka i złapała ją za dłoń.

– Nieba bym ci przychyliła, Anusiu, gdybym mogła. Ale wiesz, że nam się nie przelewa. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, żebyś do matury doszła.

– Wiem – powiedziała Ania, łagodniejąc. – I jestem wam wdzięczna, naprawdę. Tylko proszę cię, nie wytykaj mi już mojej pracy.

Matka pokiwała dobrotliwie głową, a potem nagle zaniosła się charczącym kaszlem. Anna usiadła na łóżku i spojrzała z troską.

– To nic – uspokoiła ją Justyna, kiedy atak ustąpił. – Trzyma się ten kaszel i trzyma.

– A tamten lekarz, u którego ostatnio byłaś, nie pomógł?

– Przepisał jakieś nowe leki, ale sama nie wiem, czy warto po nie jechać. Fortunę kosztują, a dotychczas żadne niczego nie zdziały. Ten lekarz też gwarancji nie dał, że mnie się poprawi. Wiesz, córuś... – Była jakaś smutna, podłamana. Dłonią cały czas przemierzała skraj łóżka. – Niby nie mogę oddychać, a na płucach czysto. Niby kaszlę, a lekarz mówi, że nie powinnam. Już sama nie wiem, czy to nie jakieś moje wymysły, czy sobie nie wmówiłam jakiej choroby. Ponoć tak można...

Ania pogładziła mamę po przedramieniu.

– Mamuś, przecież wiesz, że ty taka nie jesteś. Krügerowa to ciągle ma ból głowy, ale jak tylko ktoś z plotką przychodzi, od razu o bólu zapomina.

– Masz rację, Aniu. Masz rację... Ja nie z tych, co udają... – Uśmiechnęła się, ale ten uśmiech nie rozjaśnił jej ani trochę, bo od jakiegoś czasu blakła. Tak po prostu.

Zawsze była szczupła, ale ostatnimi tygodniami schudła jeszcze bardziej. Jan żartował czasami, że jak się w nocy do niej przytula, to tylko chrobot kości słyszy. Rozśmieszał tym żonę, oboje się śmiali, ale to nie było szczere, bo i on, i ona obawiali się tej chudości. Kiedyś kobiety z sąsiedztwa mówiły, że Justyna ma idealną figurę, i pokątnie zazdrościły jej i sylwetki, i grubego blond warkocza, i cery bez jednego piega. Teraz już żadna tak nie myślała.

Justyna wślizgnęła się pod kołdrę do córki i przytuliła do niej. Ania poczuła na ramionach kościsty i lodowaty uścisk mamy.

– Ale jesteś zimna – wyszeptała.

– Jak byłaś mała, lubiłaś mnie rozgrzewać. – Ania na te słowa zaczęła pocierać dłonie mamy, chuchnęła w nie nawet. – I słuchać opowieści o tym, jak się rodziłaś...

Ania pokiwała głową, bo rzeczywiście uwielbiała historię o dziesięciogodzinnym porodzie, któremu akuszerka nie wróżyła szczęśliwego zakończenia.

\*\*\*

Ania rzadko miała okazję spędzać czas z braćmi. Najczęściej przy posiłkach albo wieczornym obrządku kur, który należał do jej obowiązków, a w którym bracia, o ile tylko siedzieli w domu, zazwyczaj jej pomagali. Obydwaj byli zapracowani, a kiedy nie latali po dachach, szwendali się z dziewczynami. Szczególnie Olek, bo Radek ostatnio częściej siedział przy piwie z kolegami albo w domu.

– Żadna nie jest taka jak ty, a gorszej przed ołtarz nie wezmę – odpowiedział, kiedy Ania w drodze do kurnika zapytała go o plany ożenku.

Ania wzięła brata pod ramię.

– Daj spokój! Nie chciałbyś takiej żony jak ja. Nie jestem ideałem.

– Ideałem rzeczywiście nie – dworował sobie Radek. – Ale wzorem jakimś to i owszem.

– Ja tam wolę mniej wyszczekane i bardziej pękate – wtrącił Olek, wlewając wodę do kurzego poidełka.

Rzeczywiście gustował w mniej wygadanych i o rubensowskich kształtach, ale filigranowym też nie przepuszczał.

– Ty to i z chudej szczotki, i z becзки miałbyś pożytek, szczególnie takiej wypełnionej bimbrem! – rzucił Radek, za co natychmiast oberwał od brata kuksańca.

– No, no! Zważ trochę! Gówniarz jesteś o całe siedem minut! – Olek pogroził mu pięścią, a potem parsknął wesoło. – Beczka bimbru to byłoby coś, ale jak cię znam, pijusie, wychlałyś ją całą przede mną!

Ania lubiła te ich słowne przepychanki, szturchańce, a nawet niewybredne przytyki. Niby się spierali, ale tak naprawdę jeden skoczyłby za drugim w ogień.

– Nas się pytasz o ożenek, a kiedy ty jakiego przyprowadzisz? – Na twarzy Olka rysowała się ciekawość.

– Przecież nie raz przyprowadzałam.

– A tam! Te wyrostki, co były, to by mojego błogosławieństwa nie dostały – parsknął starszy z bliźniaków, a młodszy dodał:

– Mojego też!

– Nie miałam pojęcia, że wasze błogosławieństwo jest konieczne! – rzuciła sarkastycznie.

– To teraz już wiesz. – Olek odstawił puste wiadro.

– A więc... – odezwał się Radek. – Zanim z jakim poważnym absztyfikantem do rodziców pójdiesz, do nas z nim najpierw przyjdź.

– Chcielibyście! – Ania zachichotała. – Nie zamierzam wam nikogo pokazywać! Moja sprawa, z kim się prowadzam i którego na męża wybiorę! Rodzicom też nic do tego. To ja muszę wybrać, a nie oni! – fuknęła. – Nie zamierzam wychodzić za mąż z rozsądku, dla fortuny czy stanowisk. Ja wyjdę za mąż z miłości! Wyłącznie z miłości!

Radek podszedł do siostry i spojrzał na nią groźnie. Po chwili jednak się rozpromienił.

– No! I tak masz zawsze gadać! – Poklepał ją po ramieniu, nie bacząc na to, że ma brudną dłoń i zostawia kleiste ślady na rękawku sukienki. – Moja siostrzyczka wyjdzie za mąż z miłości! Koniec i kropka.

– Tak! – Ania roześmiała się i chwyciła koszyk z jajkami. – Dokładnie tak będzie!



## JAK MATKA Z CÓRKĄ

Ania odsłaniała romantyczną stronę swojej natury szczególnie wtedy, kiedy drzewa pyszniły się zielenią, rabaty kolorami, a ukochane łabędzie – szarobeżowym potomstwem. Uwielbiała przyglądać się tym królewskim ptakom, które na fordońskich brzegach Wisły zamieszkiwały całymi stadami. Tak daleko, jak sięgała pamięcią, podglądanie łabędzi było dla ich rodziny najczęstszą rozrywką. Ojciec lubił żartować, że nazwisko zobowiązuje, i wszyscy się z nim zgadzali. Jak mogli nie kochać łabędzi, skoro sami byli jak one – kochający się i lojalni wobec siebie.

Chadzała też do łabędzi, kiedy nie była już podlotkiem. Siadała na trawie i po prostu na nie patrzyła, a czasami karmiła je ziemniakami albo prosem. Pouczała też maluchy, by nie straszyły dostojnych ptaków, bo wiedziała, że tego nie lubią i syczą, a nawet gryzą, kiedy ktoś podchodzi zbyt blisko albo ma złe intencje. One je wyczuwały.

Odwiedzała łabędzie, kiedy czuła się szczęśliwa oraz gdy było jej smutno, tak jak tamtego dnia. Dowiedziała się bowiem, że w Wiśle utonęło małżeństwo z pobliskiego Jaruzyna. Osierocili piątkę dzieci, i to całkiem małych. Ta historia wstrząsnęła nie tylko nią, ale i wieloma mieszkańcami, którzy, każdy na swój sposób, postanowili coś dla tych dzieci zrobić, zanim ktoś z rodziny zdecyduje się je wszystkie przygarnąć. Na początku myślano, by upchnąć je w fordońskim przytułku, ale był przepełniony. W całej okolicy nie znaleziono sierocińca z pięcioma wolnymi miejscami. Myślano nawet, by dzieci rozdzielić, ale zaniechano tego, bo gdy dowiedziały się o zamiarze, wpadły w histerię i tak przywarły do siebie, że nie szło ich rozłączyć. Przyspieszono więc zatrudnienie nowej nauczycielki do jarużyńskiej szkoły i za jej zgodą przeniesiono dzieci do służbowego domu, w którym miały tymczasowo z nią zamieszkać i czekać na przeprowadzkę.

Tamtego dnia Ania zasiedziała się nad brzegiem Wisły, wpatrując w łabędzie płąsy i zastanawiając się nad losem sierot i nad nauczycielką, która zgodziła się zająć sierotkami. W myślach rysowała jej portret. Widziała ją jako podstarzałą starą pannę o wybujałych kształtach i siwiejących włosach zaczesanych w skromny kok.

– Co tak długo? – Mama stanęła w korytarzu, gdy Ania w końcu dotarła do domu. Uniosła dłonie obklejone białymi piórami. – Już się o ciebie martwiłam i gdyby nie to, że oprawiam gęś, pewnie bym się po ciebie wybrała.

– W pracy było ciężko i poszłam się przewietrzyć nad Wisłę – powiedziała Ania. – Zasiedziałam się. Przepraszam, mamuś!

– Ty mi tam sama nie chodź! Bierz kogo ze sobą, bo tych gwałcicieli i morderców nie sieją. Przecież wiesz, że znowu jakąś młodą kobietę w Bydgoszczy zaszlachtowali.

– Fordon to nie Bydgoszcz! U nas sami swoi, a na przystani ruch.

– Ja tam już w nic nie wierzę, córuś, ale dobrze, że jesteś. Przebierz się i chodź, pomożesz mi.

Słuchały radia. Matka pomrukiwała w rytm skocznej melodii, a Ania, pochłonięta rozmyśleniem nad jarużyńską tragedią, przygotowywała kanapki z leberką na kolację.

– A z tej szkoły pielęgniarskiej dostałaś już coś? – Mama wyrwała ją z zamyślenia. – Bo przecież za dwa tygodnie wyjeżdżasz, prawda?

– No tak. Masz rację. Powinnaś dostać pismo o przydziale internatu. Pewnie przyjdzie na dniach.

– No bo jeśli nie dostaniesz, to jak miałabyś jechać? Nie mamy tam żadnej rodziny, a na stancję... yyy... – zająknęła się, a Ania spojrzała na jej strwożoną minę.

– Stancja nie będzie potrzebna. Dostanę internat. Pamiętasz przecież, że jak byłam na rozmowie w Warszawie, to już wtedy mówili o przydziale. Opowiadałam ci. Tyle że dopiero w sierpniu mają zebranie, jakąś komisję

czy coś takiego... Oni wtedy wszystko zatwierdzą. To formalność. Tak mówiła dyrektorka.

– Tak, tak, pamiętam. Ale co na piśmie, to na piśmie.

– Wszystko będzie dobrze, nie denerwuj się, mamuś.

Justyna zaczęła nucić słowa nadawanej w radiu piosenki Toli Mankiewiczówny. Zawodziła, bawiąc tym Anię.

– Za dwa tygodnie pojedziesz... Zleciało... Sama zostanę... – westchnęła później.

– Daj spokój, mamuś... Przecież będę przyjeżdżać. Warszawa to nie koniec świata. Pociągi kursują codziennie, a jak chcesz, będę listy pisać.

Matka pokiwała głową. Co i rusz pociągała nosem, a gdy zebrało jej się zbyt dużo oznak tęsknoty za dorosłą córką, wytarła go o przedramię.

– Ale już nie będziesz co dzień w domu. Nie zjemy razem śniadania ani radia wieczorem nie będziemy słuchać. Chłopaków wiecznie nie ma, ojciec całe dni poza domem. Przyjdzie mi jaką kurę przysposobić do towarzystwa – zebrała się na żart, choć Ania widziała, że zrobiła to na siłę.  
– Smutno mi będzie, córuś, bez ciebie.

– Ale...

– Ale wiem, że taka kolej rzeczy... – ciągnęła. Odłożyła gęsi korpus i wyprostowała plecy, rozmasowując dłonią lędźwie. – Rolą matki jest urodzić i wychować, najlepiej jak potrafi, i patrzeć, jak pisklę przeobraża się w dorosłego ptaka, a potem wyfruwa, by uwić gdzie własne gniazdo. Nie mogę cię zatrzymać, Aneczko. Bym chciała, a nie mogę.

Ania cały czas patrzyła na uśmiechniętą, ale tak naprawdę smutną twarz matki. Podeszła do Justyny i mocno ją objęła.

– Nawet kiedy stąd wyjadę, kiedy założę swoją rodzinę, zawsze będę do ciebie wracać, bo jesteś najlepszą mamą, jaką mogłam sobie wymarzyć. Najwspanialszą.

Matka wyraźnie się wzruszyła.

– Aj tam! – Wyswobodziła się z objęć Anny i machnęła ręką. – Taka kolej rzeczy. Nie ma co się rozczulać, bo jak to u nas mówią, łyzy to na

pogrzeb, a nie do radowania się – tłumaczyła, próbując opanować wzruszenie, które zaciskało jej gardło. – No już, już! Kończ z tymi klapsztulami, bo zaraz chłopcy wleczą i jeść będą wołać.

## PRZYBYSZKA

Ania sądziła, że „Wiślana” będzie miejscem, które da jej jedynie zarobek, dzięki czemu odłoży nieco grosza na życie w Warszawie. Tymczasem dało jej dużo więcej.

Pewnego dnia, tuż przed zamknięciem, w restauracji zjawiała się kobieta ubrana w skromną szarą sukienkę zapiętą wysoko pod szyją. Ania pomyślała, że wygląda zupełnie tak, jakby wróciła z kwesty dobroczynnej na rzecz sierot. Tylko modna fryzura, taka jak Ani, jakoś nie pasowała do tego wizerunku.

– Ja do pana Wężyka – zagaiła nieznajoma. – Może go pani poprosić?

– Przykro mi, już go nie ma – oznajmiła Ania. Przybyszka skrzywiła się.  
– Czy coś mu przekazać?

– Obiecał mi, że będzie... – wyszeptwała, a potem głośniejszym głosem dodała: – Ja nie dla siebie. Rozumie pani... – Wyjęła z torebki świstek papieru.

Ania rozłożyła kartkę i szybko przebiegła wzrokiem po tekście.

– To pani jest z tej szkoły w Jaruzynie, którą od września otwierają? – ożywiła się. – I od opieki nad sierotkami, którym rodzice utonęli, tak?

Kobieta potaknęła, a Ania uśmiechnęła się w duchu. Nie tak wyobrażała sobie nową nauczycielkę.

– Jolanta Pietranek. – Wyciągnęła rękę, a Ania ją uścisnęła.

– Szef mówił, że ktoś się pojawi, ale nie myślałam, że przyślą kobietę.

Pietranek wzruszyła ramionami.

– Nie mam nikogo do pomocy.

– A podwózkę jakąś pani ma?

Nauczycielka pokręciła głową.

– Niestety. Tam wszystko w powijakach. Nawet roweru nie mam. Ma coś przyjechać z Bydgoszczy, ale oni tacy nierychliwi. Zresztą, nie ja jedna w potrzebie – rzuciła skromnie.

– Ale to, co szef dla pani zostawił... Nie dźwignie tego pani sama.

– Poradzę sobie. Proszę się o to nie martwić.

– Wątpię. I ja bym nie uszła z tym daleko, a jestem przyzwyczajona do dźwigania, ale... – Ania rozejrzała się po sali.

W narożniku siedział Szymon Gumny. Akurat kończył jeść golonkę – pałaszował ją w pośpiechu, jakby ktoś stał mu za plecami, gotów wyrwać mięso z rąk. Gumny dwa razy w tygodniu dostarczał do restauracji mąkę, i to całkiem dobrego sortu, a co najważniejsze, bez robactwa i zgnilizny. Nie robił tego bynajmniej ze szlachetnych pobudek, słynął bowiem z cwaniactwa, ale miał układ z równie cwany Wężykiem. Za porządny towar dostawał „coś” do kieszeni i obiad, a jak była sposobność, to i kieliszek wódki.

– Niech pani poczeka.

Ania podeszła do mężczyzny.

– Smakuje, panie Gumny? – zapytała, udając zaciekawienie.

– Tak, tak, tak – odparł z pełnymi ustami.

– To dobrze. Golonka dziś wyszła kucharzowi jak rzadko.

– Tak, tak.

– A po tej golonce to może szanowny pan czegoś by się napił? – Gestem zasygnalizowała, że ma na myśli alkohol.

Szymon akurat szarpnął duży kęs mięsa, więc nie dał rady niczego powiedzieć, ale mruknął z niekłamany zachwytem.

– Co prawda szef nie polecił, bym dała, jednak... – Ania ściszyła głos i nachyliła się poufale w stronę gościa. – Tak sobie myślę... Jeden kieliszek...?

Gumny rozejrzał się z lekkim strachem, jakby właśnie dostał propozycję jakiegoś nielegalnego interesu. Rozdziawił usta i strużka tłuszczu pociekła mu na brodę. Szybko wytarł ją rękawem, a potem gorliwie pokiwał głową.

Ania wróciła, gdy Gumny kończył obgryzać wieprzowy gnac i zabierał się do wysysania szpiku. Z zadowoleniem spojrzął na tacę. Dziewczyna ujęła kieliszek w dwa palce i już prawie postawiła go na stole, kiedy zmieniła zamiar.

– Pan chyba dziś po pracy, prawda?

– No.

– Czyli jedzie pan przez Jaruzyn?

– No. – Zniecierpliwiony mężczyzna wyciągnął rękę, by samemu sięgnąć po kieliszek, ale Ania cofnęła się o krok. Gumny spojrzął na nią pytająco.

– A widzi pan tamtą kobietę? – Wskazała na Pietranek.

– No.

– Trzeba ją podrzucić do Jaruzyna właśnie. Ma ciężki bagaż i na nogach nie da rady. Będzie tam szkołę od września prowadzić. Dla Polaków.

– Aaa. To wezmę. Mogę.

– Świetnie. – Rozpogodziła się i postawiła przed Gumnym sznapsa, a ten wstając od stołu, wychylił go jednym haustem.

– Niech no panienska szanownemu panu Wężykowi przekaże, że w następnym tygodniu będę podług umowy.

– Przekażę.

Anna podała skrzynkę z ciastem i zawekowanymi kluskami na parze, których poprzedniego dnia nie udało się sprzedać, oraz pół bochenka chleba i małą kankę zsiadłego mleka.

To, co w „Wiślanej” zostawało niezjedzone, Wężyk zabierał do domu albo rozdzielał między pracowników. Z rzadka przekazywał jedzenie dla sierot czy biedoty. Zazwyczaj odwracał wzrok od potrzebujących, prośby z fordońskiego przytułku zbywał milczeniem, a żebrzących nawet przeganiał. Łabędziówna pomyślała, że okazał serce tym sierotom pewnie dlatego, że jeden z chłopców nosił to samo imię, co on. Innego wytłumaczenia nie znajdowała.

Odprowadziła nową nauczycielkę do drzwi, a potem patrzyła, jak wsiada do brudnej i zapewne cuchnącej ciężarówki Gumnego. Przypuszczała, że

w najbliższym czasie kobieta zapewne będzie częstszym gościem „Wiślanej”, ale na pewno nie wzięła pod uwagę tego, że ich spotkania nie ograniczą się do przekazywania Wężykowych darowizn.

\*\*\*

Jolanta bardzo szybko stała się dla Ani Jolą. Dzieliło je pięć lat, kilka centymetrów wzrostu i spojrzenie na przyszłość, ale łączyło jedno: obie chciały zrobić coś dobrego dla innych. Jolanta pragnęła prowadzić wiejską szkołę, by zmniejszyć niechlubne statystyki dotyczące wykształcenia dzieci, a Ania chciała im pomagać w chorobie i edukować je, jak tym chorobom zapobiegać.

– Wyobraź sobie świat, w którym każdy potrafi czytać i pisać – powiedziała Jola podczas jednego z ich pierwszych spotkań.

Przycupnęły na siedzisku zbitym z desek, które chwilę wcześniej ustawiły w skromnej salce lekcyjnej. Nie brakowało w niej już mebli i to cieszyło Jolę. Martwiła się jeszcze o tablicę, ale wierzyła, że do rozpoczęcia roku szkolnego uda jej się w jakiś sposób ją zdobyć. Okoliczni ludzie okazali bowiem wielką solidarność i zaangażowanie w organizację szkoły. Pomagali też przy piątce sierot, które tymczasowo znajdowały się pod jej opieką.

– Bez tyfusu, gruźlicy i dyzenterii... – rozmarzyła się Ania.

– To możliwe.

– Wiem i dlatego chętnie ci pomagam. Jak już zdobędę pielęgniarski dyplom, też będę. Z pogadanką przyjadę, pokażę, jak się chronić przed bakteriami, zaszczepię.

– Myślisz o powrocie do Fordonu?

– Szczerze mówiąc, dopóki ciebie nie poznałam, zupełnie tego nie rozważałam. Warszawa... Wielki świat był mi w głowie, ale teraz widzę, jak wiele możemy zdziałać tu, wśród swoich. Może nie ma takich pieniędzy jak w stolicy, prestiżu brakuje, ładnych ubrań, ale... – poklepała się po klatce piersiowej – ...czuję, że na sercu mi lepiej, kiedy mogę coś tutaj zrobić. No



bo zobacz... – Ania nie potrafiła usiedzieć w miejscu. Wstała i zaczęła krążyć w kółko, a Jola spokojnie czekała na to, co powie dziewczyna, którą już za chwilę będzie mogła nazywać najlepszą przyjaciółką. – Ja nie miałam pojęcia, że ktoś może rąk nie myć, ale nie z powodu lenistwa, tylko braku świadomości, czym grożą brudne ręce. A zęby... Te dzieci nie mają pojęcia, ile cierpienia i chorób mogą uniknąć, jeśli zadbają o drobiazgi. Wystarczy im pokazać i parę razy przypilnować, a potem już jakoś idzie. Nie myślałam, że to takie...

– Uskrzydlające?

– Tak. Dokładnie. Jak tak spędzę u ciebie sobotę czy jak wieczorami po pracy wpadam, to potem... – Spojrzała przez okno, na spokojne gałęzie potężnych jabłoni otaczających szkolną przybudówkę. – Na skrzydłach wracam do domu.

– Powiem ci, że i ja nie marzyłam o wiejskiej szkole. Gdzie tam. Myślałam, by w Bydgoszczy osiąść, w prywatnej szkole uczyć. A raczej rodzice tak chcieli. Kiedy kończyłam kolegium, chwalili się moimi wynikami, a w szkole, którą prowadzą, ucztę nawet urządzili. Ale na rozdaniu dyplomów zjawiała się pionierka nauczania wiejskiego, Teresa Mokrzecka. Niezwykła kobieta. – Jola wskazała ręką na czarno-biały portret, który wisiał na ścianie tuż obok tablicy matematycznej. – Opowiadała o osiągnięciach w nauczaniu, pokazywała zdjęcia szkół, nauczycielek otoczonych dziećmi. Mówiła o misji i o tym, że bez naszej pomocy dzieci skończą na ulicy, kraj nie będzie się rozwijać, bieda będzie nas trawić. Zmieniłam myślenie o swojej karierze w ciągu kwadransa. I nie żałuję.

– A co na to twoi rodzice?

Jola popatrzyła na nią smutno.

– Nie lubię o tym wspominać... Obrazili się na mnie. Matka krzyczała, że dała mi wykształcenie, a ja chcę wszystko zmarnować na jakiejś wsi... – Utkwiła wzrok w półotwartym oknie, którego rama wymrukiwała skrzeczącą melodię. – Nie wątpiłam, że będą źli, bo mieli wobec mnie wielkie plany, ale nie myślałam też, że zareagują tak nerwowo. Wiele razy

opowiadali o wiejskim nauczaniu i jakoś w samych pozytywach. Że ważne, potrzebne... Chyba nie do końca byli w tym szczerzy. A ja mimo namów, krzyków, nawet gróźb, nie zmieniłam zdania i jestem. – Ania pogładziła ją po dłoni. Poczowała, że Jola drży, więc objęła ją pocieszycielsko ramieniem. – Bolało mnie, kiedy mama prawiała kazania, kiedy wytykała, że nad prestiżową posadę, którą przez wiele lat dla mnie przygotowywała, i to pośród doborowej kadry, wybrałam nauczanie w pojedynkę tam, gdzie pedagog odarty jest z estymy, bo nawet sprzątać musi.

– Przykro mi, że tak powiedziała... – Ania oparła czoło o skroń Joli. – Ja uważam, że dobrze zrobiłaś.

– A czy ja wiem? – przyjaciółka rzuciła ze złością.

Takiej jej Ania jeszcze nie widziała. Jola jakby zawstydziła się wybuchu złości i wstała. Podeszła do okna i rozchyliła je szeroko. Do środka wlał się strumień ciężkiego letniego powietrza.

– Dla idei zostawiłam rodziców. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam. W końcu to im wszystko zawdzięczam.

– Ale może powinni wziąć pod uwagę to, czego ty pragniesz? Może powinni dać ci szansę, żebyś spróbowała? Moja mama też nie była przychylna pracy w „Wiślanej”, ale nie sprzeciwiła się mojej woli, a teraz to chyba nawet jest zadowolona. Więc może i twoi rodzice będą? Może zmienią zdanie?

Jola zrobiła kwaśną minę, która oznaczała, że na to raczej nie ma nadziei.

– A może... – Łabędziówna nie zdążyła dokończyć myśli, bo do salki z głośnym okrzykiem „hurra!” wdarła się piątka sierot, którymi opiekowała się Jola.

Dzieciaki przyłgnęły do nóg dziewczyn, a potem zaczęły ciągnąć Anię i Jolę do sąsiedniego pomieszczenia, w którym bawiły się w dom.

## TO TAKA PIĘKNA MIŁOŚĆ

Pomimo że Ania pracowała po dziesięć godzin dziennie, nadal skrupulatnie wypełniała domowe obowiązki, znajdowała czas na przeglądanie medycznych książek i gazet oraz wypadły do Joli. Tam zresztą czuła się najbardziej potrzebna i spełniona.

Pewnego wieczoru Olek wrócił do domu nad wyraz podekscytowany.

– Chodźcie zobaczyć, co przywlokłem!

Wszyscy wyszli przed dom, nawet mama, która cały dzień spędziła w łóżku, bo trawiła ją gorączka. Ich oczom ukazała się powyginana kupa żelastwa, którą kiedyś ktoś zapewne nazywał rowerem.

– I co z tym zamierzasz zrobić? – Radek wybuchnął śmiechem. – Na części do swojego gruchota przytargałeś?

– Ej! Na jakie części?! Toż to prawie dobry rower! – Olek obszedł pojazd dookoła i pogłodził wystające szprychy, które odwdzińczyły się metalicznym skrzypnięciem. – Jak z Radkiem naprawialiśmy dach w Jaruzynie w zeszłą sobotę, za szopą zobaczyłem starą ramę. Nada się. A stąd coś wyciągnę i będzie glancowny rower!

– Dla Joli? – zapytała Ania z radością w głosie.

– A tak! Przecież o niej pomyślałem. Ona tam nic nie ma, to chociaż rower jej zorganizujemy.

Ania rzuciła się Olkowi na szyję i ucałowała go w policzek.

– Daj spokój! – zachnął się. – To nic wielkiego. Pomagać trzeba chyba, co?

– Żeby wszyscy myśleli tak jak ty, to by u Joli już nawet tablica stała.

– A ona tablicy nie ma? – zdziwił się Olek.

– Nie ma, chociaż prosiła w Bydgoszczy. Będzie musiała sobie inaczej radzić.

– Niby jak? Bez tablicy to przecież nie szkoła. Nawet dzieciaki to wiedzą. Coś trzeba wymyślić.

– Tylko co?

Matka z ojcem patrzyli na trójkę rodzeństwa, które debatowało nad tym, jak zdobyć tablicę dla jarużyńskiej nauczycielki. Spojrzeli na siebie z iskrą w oczach, bo duma ich rozpieła, że ich dorosłe już pociechy zajmuje pomaganie innym. Justyna przyłgnęła do męża, a ten czule pogłaskał ją po czole i powiedział:

– Porządnych dzieciaków się doczekaliśmy.

\*\*\*

Dziesięć dni później Jola Pietranek miała już do dyspozycji i rower, i tablicę. Ani jedno, ani drugie nie było nowe, ale cieszyło ją tak, jakby dopiero wyjechało ze sklepowej witryny.

– Bardzo panu dziękuję, panie Aleksandrze – powiedziała dość oficjalnie, odbierając niespodziewany dar, który Olek uparł się wręczyć jej osobiście i w pojedynkę.

Nie odpowiedział, tylko stał jak słup soli i wgapiał się w Jolę, ubraną w szarą sukienkę zapiętą pod samą szyję. Ani drgnął, ale oddychał tak szybko, jakby go ktoś gonił.

Od chwili, gdy ją zobaczył, zawsze w jej obecności czuł się inaczej, ale nie pojmował, o co chodziło. Dlaczego tak bardzo przyciągała jego wzrok, z jakiego powodu on, rozgadany podrywacz, stawał się całkiem niemrawy. Dopiero teraz, kiedy dzieliło ich kilka kroków, kiedy pierwszy raz byli sami i widział jej twarz z najdrobniejszymi zmarszczkami i piegami rozsianymi po nosie niczym ziarnka maku, zrozumiał, że oto w końcu się zakochał. On! Ten, który drwił z miłości! Który zmieniał kochanki szybciej, niż gepard dopada antylopę, który zarzekał się, że będzie kawalerem po kres swych dni – nagle i nieoczekiwanie zapragnął, by to się zmieniło.

Jolanta nie rozumiała zachowania gościa i odrobinę zawstydzona natarczywością spojrzenia odwróciła wzrok. Słyszała, że Aleksander

Łabędź to gaduła, ale ten przed nią jawił się jak niemowa.

– Pan oczekuje zapłaty...? – wydusiła z przestachem, bo nie miała pieniędzy, które mogłaby przeznaczyć na coś ponad wikt dla dzieci i drobne przybory szkolne. – Bo ja...

– A nie! Nie, nie, nie! – ożywił się nagle. – Nigdy w życiu. To prezent. I... – zbliżył się do niej – ...jeśli pani pozwoli – mówił dość nieśmiało jak na siebie – to prosiłbym do mnie po imieniu. I nie żaden Aleksander, bo mi do caratu daleko, ale Olek. Olek jestem.

– Jola. Bardzo mi miło. I jeszcze raz dziękuję za prezent... Olku. Mogę odwdzięczyć się dobrym kompotem z truskawek.

Tamtego popołudnia Olek wypił niejedną szklankę kompotu. A w ciągu następnego miesiąca nie tylko pił kompot, ale i jadł obiady, śniadania, a nawet kolacje, choć nie spędził żadnej nocy u boku Jolanty. Nie, żeby nie chciał. Ach! Czego on by nie dał za to, by móc pomiętosić jędrne piersi dziewczyny, ucałować jej wąską kibić, która kusiała niemiłosiernie, albo złapać za krągłe pośladki... Marzył o tym wieczorami, kiedy samotnie kładł się spać, i śnił nocami. Radek naśmiewał się nawet, że o kształtach jarużyńskiej nauczycielki opowiada przez sen, i to z intymnymi szczegółami.

Po pięciu tygodniach Olkowych odwiedzin w Jaruzynie Jola dała się wyciągnąć na spacer nad Wisłę. Była smutna, bo piątka sierot, którymi zajmowała się od przyjazdu, właśnie została zabrana do rodziny mieszkającej pod Toruniem. Dzieci okropnie płakały, a ona wraz z nimi. Choć wiedzieli, że ta chwila kiedyś nastąpi, zdążyli się ze sobą zżyć. Od początku dobrze im było razem, choć dzieci zostały przecież okrutnie potraktowane przez los. W jednej chwili straciły oboje rodziców. Ostrzegano Jolę, że są nieufne, dzikie nawet, że uciekają opiekunom, a najmłodszy Władek gryzie po nogach i wyzywa od najgorszych. Niezrażona opowieściami, zajęła się dziećmi najlepiej, jak potrafiła. Miała do nich niespotykane podejście. Skromnie przyznawała, że to wszystko dzięki naukom z książek Teresy Mokrzejkiej, jej mentorki, ale każdy, kto poznał pannę Pietranek, wiedział, że ona po prostu posiadała dar docierania

nawet do tych najbardziej zamkniętych w sobie i nieokiełznanych. Robiła to ciepłym uśmiechem, nienachalnym gestem i dobrym słowem.

– Nie wiem, jak ja jutro przeżyję dzień bez maluchów – wyznała Olkowi, kiedy stanęli przy zejściu do Wisły.

Olek za wszelką cenę chciał rozweselić towarzyszkę, puszczając kaczki. Na jej twarzy wciąż malował się smutek.

– Wstanę, a ich nie będzie – ciągnęła. – Cisza za to będzie, i to taka najgorsza... Wiesz, Olku, ja nie przyjechałam tu dzieci wychowywać. Szkołę przecież mam prowadzić, ale... Boże... – Spojrzała w niebo.

Z jej oczu pociekły cienkie strużki łez, które natychmiast otarła dłonią. Zupełnie bezwiednie powiodła wzrokiem za gołębiem przelatującym nad jej głową.

– Pokochałam te dzieci tak bardzo, jakby były moje. Całą piątkę. Nawet Władzia, choć najtrudniejszy. A może Władzia najbardziej, bo najtrudniejszy...

– Wiesz... – wtrącił Olek. – Zawsze myślałem, że dzieciaki to nie dla mnie, ale przy tobie się zmienilem i... nawet ja... nawet ja te małe krzyżące bestyje pokochałem. I masz rację, Władzia najbardziej. On taki szczególny.

Jola pociągnęła nosem, a potem jakby zawstydzona się tego niezbyt eleganckiego odruchu i pospiesznie wyciągnęła z torebki chusteczkę.

– Mam nadzieję, że będą tam szczęśliwe. Bo serce by mi pękło, gdyby nie były. Przecież wiedziałam, że je zabiorą, że muszę się nimi zająć tylko chwilę, ale nie wiedziałam, że ta chwila okaże się dla mnie taka ważna. I że jak się skończy, to poczuję się taka pusta.

– Ale ja zostałem – odezwał się Olek.

Jola pokiwała głową i wtuliła się w Olkowe ramię tak mocno, jak jeszcze nigdy dotąd. Zerknął na nią z góry, na jej włosy potargane przez wiatr, na drobny nos i długie, gęste rzęsy. Pomyślał, że gdyby ktoś przed dwoma miesiącami powiedział mu, że zadurzy się w skromnej kobiecie noszącej niewymyślne sukienki, w dodatku w kolorach zarezerwowanych dla

zakonnice i opiekunek z przytułków, która nie maluje ust czerwoną pomadką i nie nosi butów na obcasach, postukałby się w głowę. A jednak!

– I to jest jedyne pocieszenie, Olku... – powiedziała, a potem uniosła głowę, spojrzała mu prosto w oczy i dodała: – Oleczku, najkochańszy...

Choć bardzo pragnął ją pocałować i choć czuł, że teraz w końcu mógłby skosztować smaku jej ust, nie zrobił tego. Zrobiła to ona, a Olek oddał pocałunek najlepiej, jak potrafił. A całować to on umiał jak mało który! Każda z jego licznych kochanek by to potwierdziła. Jola pozwoliła się złapać w pasie, dotykać po szyi i dekolcie... Pozwoliłaby na więcej, gdyby tylko Olek wykonał kolejny krok. Ale on był dziwnie, nienaturalnie onieśmielony. Wcześniej, kiedy tylko zdarzała się sposobność, zlegał z każdą, w której oczach dostrzegł choćby iskierkę pożądania, ten charakterystyczny błysk. Oczy Joli całe błyszcząły, klatka piersiowa unosiła się w rytm łapczywie połykanych oddechów, a dłonie zwilgotniały. Wiedział, że poddałaby mu się, ale nie potrafił jej poderwać na ręce i bezceremonialnie położyć na trawie, a potem kochać się z nią do utraty tchu. Nie potrafił. Czuł, że ona zasługiwała na coś więcej. Głębokie uczucie, którym nieoczekiwanie ją obdarzył i którym został obdarzony, zmieniło go.

Kiedy oderwali się od siebie, ucałował jej dłonie, a potem złapał za rękę i pociągnął w stronę rzeki. W milczeniu szli ścieżką wydeptaną pośród wysokich traw. Prowadziła do niewysokiego wzgórza, z którego roztaczał się uroczy widok na rozlewisko Wisły. Poza dziećmiakami i zakochanymi parami mało kto tam zachodził.

– Przyjedziesz na obiad? – zapytała, kiedy stanęli na szczycie.

Cała jeszcze dygotała i powiedziała to wyłącznie po to, by się uspokoić, by zagadać emocje. Powinna opowiadać o pięknie krajobrazu, jak robiła zazwyczaj, kiedy widziała cud natury. A niewątpliwie taki cud się przed nimi rozścielał.

– Zrobiłam ziemniaki z okrasą – ciągnęła. – Dużo ziemniaków. Bo przecież miały być dzieci...

– Uwielbiam ziemniaki, z okrasą w szczególności – zadeklarował Olek i objął ją ramieniem.

Potem chwilę stali, a gdy oboje już ochłonęli, zaczęli rozmawiać o tym, co mieli przed oczyma: o niesfornych kaczkach buszujących w tataraku, o malcach z wędkami na drugim brzegu Wisły, chichoczących tak głośno, że i oni słyszeli ich śmiech, i o zwalistym mężczyźnie w marynarskiej czapce, który na przepływającym właśnie statku wycieczkowym opowiadał historię jawiącego się przed nimi fordońskiego mostu. Tuba, której używał, tak deformowała jego głos, że brzmiało to tak, jakby dochodził co najmniej z cmentarnej krypty, o ile nie z samych zaświatów.

Zjedli późny obiad. Olek, mimo iż nie czuł zbytniego głodu, wziął aż trzy dokładki. Chciał sprawić Joli przyjemność, a przy tym nie znosił, gdy marnowała się choć łyżka jedzenia. Potem śmiali się, kiedy musiał poluzować pasek w spodniach.

Pusty i cichy dom, pozbawiony dziecięcych pokrzykiwań, napawał Jolę lękiem. Nie chciała być sama, zapytała więc nieśmiało:

– Zostaniesz? Na noc?

Pokiwał głową i zmrużył oczy.

To była najniezwyklejsza noc w jego życiu. W jej także. Olek niespiesznie odkrywał zakamarki ciała Joli, a ona mu na to pozwalała, doświadczając rozkoszy tak wielkiej, jak nigdy przedtem. Namiętnie całował, zachłannie dotykał, gładził i pieścił wszędzie tam, gdzie tylko zapragnął. Jola nie pozostała mu dłużna, doprowadzając go do szczytowania niejedną raz podczas długich nocnych godzin.

– Nie myślałem... – wyszeptał rano, kiedy tylko otworzyła oczy.

Cienki słup światła spomiędzy zasłon padał wprost na ciało wybudzającej się ze snu kobiety, a Olek, zamiast na nie patrzeć, jak zazwyczaj czynił, gdy spędzał noc u boku kochanki, karmił swe oczy obrazem jej kształtnych ust.

– Nie myślałeś, że co?



Olek zbliżył twarz i otulił jej głowę swoimi spracowanymi dłońmi, posiekanymi zasklepiającymi się rankami i twardymi odciskami.

– Nie myślałem, że tak to będzie...

„Tak dobrze...” – dodał w myślach, a Jola jakby usłyszała.

Pocałowała go w usta, a potem pozwoliła mu na jeszcze więcej, dużo więcej.

## RODZINNE ROZMOWY

Po przybyciu Joli do Jaruzyna życie niemal wszystkich członków rodziny Łabędziów się zmieniło. Ani, bo zyskała przyjaciółkę. Olka, bo prawdziwie się zakochał. Radka, bo w końcu nie musiał temperować zakusów porywczego brata. Justyny i Jana, bo nareszcie z ulgą patrzyli w przyszłość wszystkich swoich dzieci, nie tylko córki.

– O Anię to zawsze byłam spokojna – powiedziała Justyna, kiedy kładli się wieczorem do łóżka. – O Radka też. On to pewnie by już dalej zaszedł, gdyby nie Olek, który go zawsze w dół ciągnął.

– Wiesz, że nie lubię, jak tak mówisz. To nasze dzieci!

– Kiedy tak jest. Co mam prawdę bałamucić...

– Ach... – Jan zacisnął usta na znak, że ma inne zdanie, i pokręcił głową.

– Toż oni siebie warci, wszędzie razem chodzą. Na równi gagatki.

– No właśnie! Na równi. Ale gdyby Radek nie miał przy boku Olka, to kto wie? Może by jaką posadę urzędniczą dzierżył? Albo gdzie w transporcie robił? On ma dobrze naoliwiony łeb.

– Ano ma, ale to nie znaczy, że brata ma się nie trzymać. Jedna krew przecież.

– Tak, tak. Jedna krew... – Justyna zanosła się kaszlem.

Usiadła na łóżku, a Jan, jak zwykł robić, z troską oklepał jej plecy. Potem złapał grubą poduszkę wypełnioną gęsim pierzem, strząsnął i przesunął wyżej, tak by żona mogła się ułożyć w pozycji półsiedzącej. Czasami pomagało jej to w spokojnym śnie.

– Trzeba coś na ten kaszel zaradzić – stwierdził z troską, bo nie przywykł do tych uporczywych napadów i za każdym razem czuł niepokój.

– Och, Janku, ale co? Wszystkiego już próbowaliśmy. Teraz to już tylko do Boga trzeba się modlić, żeby jakie nowe lekarstwo nam zesłał. No i nie

myśleć o tym wszystkim, żeby nie zwariować. Co mamy płakać nad kaszlem, Mandyczowi nogę urwało, to dopiero katastrofa. A Blumsfeld oko stracił. Nie tak źle ze mną, Janku. Nie tak źle... – Justyna uspokajająco pogładziła małżonka po dłoni, choć sama w głębi ducha martwiła się coraz bardziej.

Jan poczekał, aż żona umości się na posłaniu, i wyłączył lampę.

– A co do chłopców... – Justyna wróciła do bezpiecznego tematu. Często tak właśnie rozmawiali, w całkowitej ciemności, gdy gasły wszystkie światła. Wtedy, wtuleni w siebie, mogli się skupić na znaczeniu słów i na ciepłe swych ciał. – Mam wrażenie, że teraz ku dobremu idzie. Ta Jola zmieniła Olka nie do poznania.

– A ja ci powiem, że bałem się o nią. Bo to dobra dziewczyna, z oczu jej szczerością bije, dla tych sierot tyle zrobiła i myślałem, że nasz Olek ją... wiesz... zbałamuci jak inne. I zostawi. Serce mnie bolało, jak ich razem widziałem... To mój syn, ale kiedyś, jak ciebie nie było, nawrzucałem mu, żeby tę biedną, porządną dziewczynę w spokoju zostawił. Powiedział mi wtedy, że ma względem niej uczciwe zamiary, i obiecał, że krzywdy jej nie zrobi.

– A ty czemuś mi nie mówił?

– Bo to męskie sprawy. Na takich chłopaków, jak nasi, to i pięścią trzeba wygrozić, przecież wiesz.

– A może ta Jola do naszej rodziny wejdzie?

– Nie miałbym nic przeciw.

\*\*\*

Ania z mamą miały w zwyczaju wieczorne posiedzenia przy herbacie. Słuchały wtedy radia, gotowały albo zajmowały się robótkami ręcznymi, rozmawiając przy tym i o sprawach codziennych, i tak zupełnie od serca.

– Z Antkiem ty tak na poważnie? – zapytała raz mama.

Ania z wrażenia aż odłożyła szydełko.

– Mamuś, Antek to kolega, nawet powiedziałabym, że przyjaciel, ale nic poza tym.

– Szusterowa mówiła, że widziała was na spacerze. Najpierw na Jagiellońskiej<sup>[8]</sup>, obok apteki, a potem na Bydgoskiej, jak szliście w stronę cegielni.

– A czy ja nie mogę iść na spacer z kolegą? Całą szkołę łąziłam z nim na spacerach i jakoś nikomu do głowy nie przyszło, że coś jest między nami, a teraz nagle ma być? Po pracy przyszedł i mnie wyciągnął. Nic wielkiego.

– Po prostu pytam, a raczej ludzie pytają. Bo lata ci lecą...

– Jakie lata? Nie mam jeszcze dwudziestu!

– Ale niektóre dziewczyny w twoim wieku to i dzieci już mają.

– A niech se mają! Ja mam inne rzeczy na głowie i mogę nawet być starą panną! Mnie mąż do szczęścia nie jest potrzebny! A już na pewno nie taki, jak Antek! O czym ja miałabym z nim rozmawiać?! To dobry chłopak, ale nie dla mnie. Ja potrzebuję o literaturze rozmawiać, teatrze, medycynie! Nie mogę całe życie pyłkować o tym, czy kura zniosła jedno jajko, czy dwa! Czy pompa dobrze działała, czy się zepsuła. Czy wichura połamała drzewa, czy przeszła bokiem. Nie zrozum mnie źle, bo ja nie mam nic przeciwko kobietom, które cieszą się domowym życiem, ale ja po prostu chcę więcej! Ja czuję, że mogę więcej! Po coś Bóg dał mi ciekawość świata!

– Wiem... Wiem to, Aniu. – Matka poklepała ją po dłoni, a potem objęła ramieniem. – Od małego byłaś inna i... My to z ojcem od razu zobaczyliśmy. Inaczej byśmy nie starali się o twoje wykształcenie. Tacy dumni z ciebie jesteśmy. I zrozum, chcielibyśmy też, żebyś jakiegoś chłopca przyprowadziła, a potem żeby wnuczka się pojawiły.

– Pierwsi to chyba Radek z Olkiem będą. Oni starsi.

Matka machnęła ręką.

– Oni starsi, ale siano w głowie mają. No, może Olek... Z Jolą już się długo trzyma jak na niego, ale sama nie wiem. I żal mam czasem do siebie za to, jak ich wychowałam, bo oni ani myślą o rodzinie, tylko o tym, żeby...

– Zamilkła i podparłszy się rękoma, wstała od stołu. – Czasami to ja bym

im tak tę skórę przeflancowała, ale to pewnie na nic, bo już tacy są... Po twoim dziadku pewnie.

– Po dziadku? – Ania ożywiła się. – Nigdy nie mówiłaś, że Olek i Radek są do niego podobni.

– Bo nie ma o czym gadać.

– Ja tam chętnie posłucham.

Justyna otworzyła kredens, wyciągnęła butelkę wiśniówki i postawiła na stole z jednym kieliszkiem, a rzuciwszy szybkie spojrzenie córce, wyjęła zaraz drugi. Przetarła je nieodłączną ścierką, którą nosiła za paskiem fartuszka, po czym nalała trunku. Sobie pełen kieliszek, córce odrobinę. Uniosła szkło i powiedziała:

– I Radzikowi, i Olusiowi do dziadka Mariana daleko. – Upiła łyżek wiśnióweczki, mlasnęła, a potem wzięła znacznie większy łyk. – Był takim hulaką i rozpustnikiem, że jego matka, a moja babka, krzyżyk na nim postawiła. Latał i za panienkami, i za wdowami. Chętnej mężatce też nie odpuścił. – Pokręciła głową. – Nieraz go w domu jaki zdradzony mąż nachodził, kiedy skruszona żona przyznała się do grzechu. Co też tam się wtedy rozgrywało! Lepiej nie mówić... Dziadek przez okno musiał wiać, żeby życia nie stracić...

– Naprawdę? – Ania zachichotała.

– Nikomu do śmiechu nie było, córuś. Wszyscy to raczej w strachu cali, bo pal licho Marian... O dom się bardziej bali, o rodzinę. Pożarem co niektórzy grozili, czasem bronią.

– Nieee! – Ania była zachwycona opowiastką.

– A tak! Nagrzeszył twój dziadek, nagrzeszył!

– Dlaczego ja nigdy o tym nie słyszałam?

– Eee... – Justyna wychyliła kieliszek i ponownie go napełniła. – A kto miałby się tym chwalić? I po co? O zmarłych źle się nie mówi.

– Ale w tym nie ma niczego złego.

– Tak tylko mężczyźni myślą, bo uważają, że przed ślubem muszą się wyszaleć. Dziadek Marian chyba nawet za bardzo wziął to sobie do serca.

Krążyły plotki, że dzieciaki nieślubne się pojawiły. Ożenku jednak nie było.

– No, z babcią był – wtrąciła Ania.

– Tak. To prawda. Babcia Henia, tak szczerze mówiąc, zlitowała się nad nim. Dziadek miał wtedy pod trzydzieści lat, a w tamtych czasach to już mało atrakcyjny wiek dla kawalera. Zresztą, dzisiaj też. Babcia Henia zakochała się w nim. Ponoć całe życie go kochała, od małego przez płot go wyglądała i wyczekiwała, kiedy się wyszaleje. Ojciec babci Heni nie był zadowolony z wyboru. Szykował ją dla innego, dla Niemca, ale babcia kochała się w polskim hulace i doczekała swego, a po ślubie tak krótko trzymała dziadka, że ten się ustatkował i ponoć nigdy już nie zdradził Heni. Byli szczęśliwym małżeństwem.

– Tę ostatnią część historii znam.

– Bo ona dobra do opowiadania, a o dziadku hulace to lepiej nie wspominać.

– Ale to ważne! To nasza historia. Ona taka strasznie poważna i smutna, a tu, jak się okazuje, były i wesołe akcenty. Ja rozumiem, że moim pradziadkom wesoło nie było, ale teraz to już co innego. Chyba możemy się pośmiać?

– Możemy, ale... – Justyna upiła kolejny łyk nalewki. Była już rozluźniona i rozgadała się. – Nie mów tacie, że ci o tym wspomniałam. On to się wstydzi tej historii. Wiesz, jaki jest ojciec... Poprawny do granic możliwości. Nawet nie wyobrażasz sobie, jak on gorliwie się modli, żeby Olek z Radziem się ustatkowali.

Ania doskonale zdawała sobie z tego sprawę, bo nie raz słyszała, jak ojciec na głos prosił, by dobrotliwy Bóg przywołał jej braci na właściwą ścieżkę.

Justyna sięgnęła do dłoni córki i mocno ją ścisnęła.

– Dziecko... Najważniejsze, że uczyć się chcesz. A Radek i Olek pewnie w końcu też przestaną się po chabaziach szwendać. Chciałabym dożyć chwili, kiedy w końcu z jakimiś Polkami przy ołtarzu staną.

– Z Polkami? A gdyby zdecydowali się na Niemki? – rzuciła Ania.

– Moi chłopcy przyprowadzą Polki. To pewne – stwierdziła zasadniczo matka. – I to takie porządne, uczciwe i... No, nieprzechodzone. – Nieco się zawstydziała ostatniego słowa, bo kojarzyło jej się z zaglądaniem do cudzego życia, a tego nigdy nie pochwałała.

– A co byś zrobiła, mamuś, gdyby to jednak nie były Polki? – Ania uparcie drążyła temat.

– Moi chłopcy na pewno przyprowadzą Polki! – powtórzyła twardo matka. – Dla niektórych narodowość może i nie ma znaczenia, ale dla rodziny Łabędziów to jest ważniejsze niż wszystko inne! To płynie we krwi. Trzymamy z Niemcami, wszyscy znamy ich język, nawet się z nimi spotykamy na co dzień, ale w naszych rodzinach nie ma mieszanych związków. I nie będzie! Dla nas liczy się Bóg, honor i Polska! A skoro tak, to nie ma miejsca dla obcych.

„Dla obcych...” – powtórzyła Ania, a potem wstała i poszła do spiżarki pod pretekstem napicia się kompotu.

Jej rodzice, od kiedy pamiętała, hołdowali postawie patriotycznej, mówili swoim dzieciom o przywiązaniu do polskości, z dumą opowiadali o tym, że z dziada pradziada byli Polakami. Fakt. Nigdy jednak nie myślała, że traktują to tak zasadniczo. Podczas rodzinnych, suto zakrapianych alkoholem spotkań słyszała męskie okrzyki: „Bóg, honor, ojczyzna” albo „Bóg, honor, Polska”, ale z drugiej strony nikt nigdy nie prawił antyniemieckich kazań, przynajmniej ona ich nie pamiętała. Nie przypuszczała, że fakt niewchodzenia w związki małżeńskie z Niemcami nie był czystym przypadkiem, a regułą.

Kiedy wróciła ze spiżarki, była jakby bledsza. Matka od razu to dostrzegła.

– Co ci? Wiśniówka zaszkoziła?

– Chyba tak – skłamała.

– Za młoda jeszcze jesteś na alkohol. Idź do łóżka, a ja ci mięty zaparzę.

– Wygoniła córkę ruchem ręki. – No, już.

## NAJTRUDNIEJSZE CHWILE

Służbowy dom w Jaruzynie dzięki Jolancie Pietranek zyskał nowe życie. Za kilka lat pewnie popadłby w ruinę, bo poprzedni mieszkańcy wyprowadzili się z niego dawno temu, tuż po wojnie. Był niewielki i bez szczególnych wygód: składał się z dwóch pokoi, kuchni i dobudowanej sali lekcyjnej, której okna wychodziły na ogród i na słoneczną stronę parceli. Na podwórku stały mała szopa i wychodek z drzwiami, które Jola pomalowała na niebiesko, bo tylko taką farbę miała. Przyzwyczajona do miejskiego życia i wygód, zaskakująco szybko zaaklimatyzowała się w nowym domu.

– Chyba ci tu dobrze, co? – spytała Ania, kiedy przyjechała do przyjaciółki w odwiedziny.

Jola rozejrzała się po posesji. Zatrzymała wzrok na potężnej jabłoni, pod którą stała zwichrowana ławka. Lubiła tam przysiąść popołudniami z książką albo z podręcznikami szkolnymi. Znała je na pamięć, ale i tak ciągle wertowała, upewniając się, że jest doskonale przygotowana do rozpoczęcia roku szkolnego.

– Nie marzyłam o takim życiu – powiedziała w końcu, ciągnąc Anię w stronę ławki. – Wiś? O rety, to było takie odległe. Zawsze współczułam ludziom, że mieszkają z dala od sklepów, kina, teatru, tych wszystkich możliwości, które daje miasto. Moi rodzice współczuli, a ja z nimi. Teraz się temu dziwię, bo to głupie tak oceniać ludzi bez rozmowy, bez zadania krótkiego nawet pytania, czy im na wsi dobrze, czy źle... Teraz wiem, że może być dobrze. Że jest im dobrze, a myślenie, że mają gorzej, wydaje się co najmniej niemądre. Mają inaczej, ale nie gorzej.

– I Olka masz...

– Tak... To najbardziej zaskakujące w tym wszystkim. Bo... W Bydgoszczy rozpaczliwie szukałam kogoś. Wiesz... Koleżanki brały śluby, chodziły na randki, a mnie się nie udawało. To, co było, krótko



trwało. – Wzruszyła ramionami. – Musiałam przyjechać do Jaruzyna, żeby spotkać Olka, mimo że wcześniej pewnie już go widziałam, bo nieraz przechodził obok mojej kamienicy.

– Wszyscy przechodziliśmy. W Bydgoszczy nie sposób tam nie być, skoro mieszkałaś obok apteki „Pod Łabędziem” – stwierdziła Ania. – Kupowaliśmy tam leki dla mamy.

– Tak. – Jola zerwała źdźbło trawy wychylające czubek spomiędzy desek ławki. Z namaszczeniem położyła je na udzie. – Nigdy nie oglądałam się za takimi jak Olek. Nieokrzesanymi nerwusami, którzy nie stronią od przekleństw. Ci, z którymi wiązałam się wcześniej, byli wykształconymi elegantami, wiesz, takimi „ą”, „ę”. Ale to przy Olku poczułam się spokojna i prawdziwie szczęśliwa. Na początku podchodziłam do niego z nieufnością. Lubiłam go, doceniałam pomoc. Ale poza tym niczego między nami nie było. Dopiero jak dzieci zabrali... Wtedy zrozumiałam, że z Olkiem mogę być szczęśliwa, że to coś innego.

– On się przy tobie bardzo zmienił, uspokoił.

– On się uspokoił, a ja nieco ożywiłam – zaśmiała się Jola.

Chwilę jeszcze siedziały na ławce i rozmawiały. Trochę o Olku, trochę o Bydgoszczy zajmującej w ich sercach ważne miejsce, nawet o wozach, które kursowały do księzego lasu z hałaśliwymi wycieczkowiczami i przejeżdżały pod oknami domu Jolanty. Jola bardzo obrazowo opowiadała, jak na wertepach ludzie podskakują jak na sprężynach, jak kapelusze na wietrze gubią, a Ania pękała ze śmiechu.

\*\*\*

Łabędziówna wracała do Fordonu w wybornym nastroju. Niesiona jak na skrzydłach, pokonywała rowerem kolejne zakręty, śpiewając na cały głos za Eugeniuszem Bodo: „Już taki jestem zimny drań”. Rozpierała ją energia. Nagle usłyszała stłumiony huk; wystraszona, zahamowała gwałtownie, a koła zabuksowały, zostawiając długi, wężykowaty ślad na piaszczystej drodze. Nadstawiła uszu. Nieprzyjemny dźwięk nie powtórzył się.

Pomyślała, że to trzasnęło drewno podczas wyciągania przez rybaków łodzi na brzeg. Już miała ruszyć w dalszą drogę, kiedy usłyszała coś zgoła innego. Niepokojącego, wręcz przerażającego. Oto gdzieś przed nią, i to całkiem niedaleko, rozpaczliwie krzyczała kobieta.

Nie namyślając się ani chwili, popędziła na rowerze w jej stronę. Dociskając pedały, poganiała się: „Szybko! Szybciej! Już! Już!”.

Wybujała wyobraźnia podpowiadała jej przerażające obrazy: oto ta, która wołała o pomoc, wpadła w kłusownicze szczęki, zakładane na łąkach na bażanty i zające. Albo grzęzła w bagnistej paszczy mokradeł, które przecież skrywały już niejedną tajemnicę czyjś zaginięcia, niejedną ludzką tragedię... Nie była przygotowana na to, co zobaczyła.

Najpierw dostrzegła wbity w drzewo dymiący samochód, który zapewne wypadł z ostrego zakrętu i stracił przyczepność. Potem ujrzała Manię Kwiatkowską. Dziewczyna leżała kilka metrów dalej i krzyczała. To ją Ania słyszała z drogi. Nogi Mani były dziwnie wykrzywione, w nienaturalnych pozycjach. Musiały być połamane.

„Biedna dziewczyna...” – pomyślała Ania.

Mania Kwiatkowska mieszkała w Strzyżawie, na prawym brzegu Wisły, z rodzicami i siódmką rodzeństwa. Utrzymywali się z roli, choć słowo „utrzymywali” było nie na miejscu, gdyż ojciec większość zarobku najzwyczajniej przepijał. W Fordonie plotkowano, że aby związać koniec z końcem, Mania i jej dwie siostry najęły się w bydgoskim burdelu. Ania nie miała pojęcia, czy była to prawda, ale współczuła niewiele od siebie starszej dziewczynie pełnych dezaprobaty spojrzeń, jakimi częstowały ją lokalne dewotki. Te plotki i kąśliwe spojrzenia stały się powszechne, kiedy Mania zaszła w ciążę. Wtedy z rzadka pojawiała się na fordońskich ulicach, a z wózkiem nie było jej widać prawie wcale, bo na spacerzy wybierała się po bocznych drogach, takich jak ta.

– Tam! Tam! – Mania nie przestawała krzyczeć. – Moje dziecko...

Od strony wsi przybiegło dwóch mężczyzn, najemnych rolników, których Ania widywała najczęściej w kościele na jakichś dużych uroczystościach. Ledwie na nią spojrzeli. Mani też nie poświęcili zbytniej

uwagi. Skierowali kroki do dymiącego samochodu, jakby w środku był ich znajomy.

Łabędziówna za to podbiegła do Mani.

– Mnie nic nie jest. Ratuj dziecko! Wacusia!

Ania natychmiast wykonała polecenie. Niski wiklinowy wózek stał na poboczu, w jeżynowych chaszczach, tuż obok drewnianego drogowskazu z napisem „Fordon”. Jakimś cudem nie przewrócił się, choć ślady kół na piasku świadczyły, że pokonał sporą drogę. Dostęp do niego był utrudniony, bo podstępne kolczaste sidła więziły go w swoich ramionach. Ania wyteżyła słuch i zamarła, nie słysząc płaczu dziecka. Pod kocykiem, który dostrzegła spomiędzy pędów i liści, nie widziała też żadnego ruchu. Wystraszyła się nie na żarty. Bała się, że mały nie żyje, że jakiś przeklęty jeżynowy kolec wbił się w jego wątłe ciało, w szyjkę, gdzieś... i zakończył jego krótki żywot. Zaszło jej w gardle i odruchowo przełknęła ślinę. Słyszając za sobą żalosne wołania Mani, a potem jej krzyki, zaczęła siłować się z pędami jeżyn. Nie było to łatwe, bo kłuky i rozdzierały do krwi jej skórę na przedramionach. Ale kiedy usłyszała słabe kwilenie dziecka, nie zważała już na nic: odciągała tylko pęd za pędem i przygniatała je stopą, czując przebijające się przez podeszwę kolce.

– Zaraz cię uwolnię... – mówiła pod nosem. – Zaraz... Zaraz... Zaraz...  
Czekaj...

– Pomóc panience? – usłyszała za plecami kobiecy głos.

Odwróciła się i ujrzała Edytę Synyszyn. Młoda żona fordońskiego aptekarza patrzyła na Anię wyczekująco.

– Tak! – odpowiedziała z ulgą. – Potrzeba mi czegoś ostrego. Ma pani coś takiego?

Kobieta skinęła głową, pobiegła do furmanki i po chwili wróciła z siekierą. Ania bez zawahania wzięła ją do rąk i wprawnymi ruchami zaczęła rąbać grube pędy.

– Niech pani uważa – rzuciła przez ramię do Edyty – żeby dłoni nie poranić, żeby krwi nie było. Trzeba wyjąć dziecko i sprawdzić, czy nie

ranne. A jak się pani pokłuje, to nic nie zobaczymy. Moje całe upaprane.

Edyta mruknęła twierdząco, uważnie odrzucając na bok porąbane pędy.

– Cholerstwo jedno... – bąknęła Ania, tnąc ostatni. – Niech pani powoli odkryje Wacusia i...

Nie musiała nic więcej mówić, bo aptekarzowa doskonale wiedziała, co i jak powinna zrobić. Miała przecież dwójkę własnych osesków. Zwinnym ruchem wyciągnęła chłopca z wózka. Jego bladą buźkę przecinało kilka draśnięć. Ale nic poza tym.

– Żyje... – wyszeptała, a potem tryumfalnie krzyknęła: – Wacusi żyje!

\*\*\*

Edyta Synyszyn zajęła się chłopczykiem bardzo troskliwie. Dokładnie obejrzała dziecko, a jego głośny płacz przyjęła z ulgą. Pokazała go matce, a tamta, choć z trudem, wzięła go na ręce i z radości się rozplakała.

– Po śmierć lażaś, durna babo?! – rozległ się męski głos.

Anna doskonale знаła ten tembr, ten przerażający tembr. Odwróciła się. Stefan Dziarkowski, ojciec Antka, z obrzydzeniem wgapił się w Manię z dzieckiem. Wyglądał na mocno wstawionego.

– Mało przez ciebie życie bym stracił! – bełkotał, choć bardzo starał się mówić wyraźnie, jakby był trzeźwy. – Ale zapłacisz mi za to! – Pogroził jej pięścią. – Oooo! Już ja się postaram!

Ania od razu pojęła, że to Dziarkowski kierował samochodem. Musiał go kupić niedawno, bo nigdy go w takim na ulicy nie widziała.

– To nie moja wina, Stefan... – powiedziała Mania łagodnie, przepraszająco. Spuściła wzrok.

– Dla ciebie pan Stefan, ty blirwo! – zagrzemiał Dziarkowski. – Nie waż się o tym zapominać!

Ależ on był wściekły. Co najmniej, jakby Mania go przeklęła, a nie użyła jego imienia. Spurpurowiał i przestępował z nogi na nogę. Gdyby miał w ręce bat, na pewno by nim świsnął.

– To pan... To pan we mnie wjechał. Ja szłam poboczem. Jak mogłam środkiem drogi? Toż Wacusz w wózku.

– Ta! Jeszcze powiedz, że cię nie widziałem! Że słaby wzrok mam czy coś! – sarknął i spojrzał porozumiewawczo na mężczyzn, którzy jak na komendę pokiwali głowami.

– To nie moja wina. Jechałeś... Jechał pan za szybko – dodała odważnie Mania. – Omal nas pan nie zabił! Mnie i Wacusia. Wypadł pan z zakrętu.

Dziarkowski, gdyby tylko potrafił, cisnąłby teraz w nią piorunami, bo nienawidził, kiedy ktoś zwracał mu uwagę i wytykał błędy, nawet gdy chodziło o coś prozaicznego. A tu przecież rzecz szła o życie.

– Mam świadków, żeś wlaźła z tym swoim bękartem na środek drogi jak święta krowa i żem przez ciebie omal życia nie stracił, a mojego nowiusieńkiego fiata prawie na złom żeś skazała. Ty się do końca swego marnego żywota za to nie wypłacisz! – Splunął, zaciskając pięści. – Zaraz przyjedzie policja i wszystko potwierdzi. I ciesz się, żem cały, bo jakby mnie co było, to byś się już z wolnością żegnała. Za kraty by cię wzięli i do tej Gorgonowej dostawili. – Znowu rozejrzał się po swoich klakierach. Na jego usta zawitał grymas tryumfu.

Do wczoraj Ania po prostu nie lubiła Stefana Dziarkowskiego. Przede wszystkim za to, jaki był dla Antoniego. Teraz czuła względem niego nienawiść.

– Jak pan tak może, panie Dziarkowski! – odezwała się Edyta.

– Nie wtrącaj się, babo. Na ciebie nic nie mam, ale zawsze mogę coś znaleźć... – Spiorunował ją wzrokiem. – Lepiej idź pilnować swojej apteki i wiekowego chłopca, bo jeszcze nie będziesz miała do czego wracać.

Żona aptekarza chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się pohamowała, jakby wyobraziła sobie pożar w aptece albo jeszcze coś gorszego. Każdy wiedział, że Dziarkowski ma wiele na sumieniu i szerokie kontakty... Potrafił każdemu dopiec albo... każdego zniszczyć.

– A ty? Co tak patrzysz? – Dziarkowski spojrzał pogardliwie na Anię. – Też masz coś do powiedzenia?

– A mam! To, że pan nie bieduje, nie znaczy, że może pan wszystko.

– Tak myślisz, Ła-bę-dziów-na? – Zbliżył się do niej na centymetry.

Ania odważnie uniosła głowę i hardo spojrzała w jego przekrwione oczy. Nachylił się ku niej. Alkoholowy odór uderzył w jej nozdrza.

– Jeśli jeszcze raz się odezwiesz, lafiryndo... – wyszeptał przez niemal zaciśnięte wargi – ...twój ojciec straci robotę w „Astorii”.

– A...

– A i twoja matka może coś stracić. Dobre imię na przykład... – Anię zmroziło. – Na każdego coś się znajdzie.

Spojrzała Dziarkowskiemu głęboko w oczy i dostrzegła w nich jakąś demoniczną iskrę. Chciała coś powiedzieć i czuła, miała nawet pewność, że nie było to nic przyjemnego. Gdyby tylko potrafiła, gdyby tylko zebrała się na odwagę... Trzasnęłaby go prosto w twarz, otwartą dłonią zdzieliłaby w pierś albo chociaż splunęłaby na te jego wyglancowane oficerki.

– Twoja matka nie taka święta, jak myślisz... – szeptał powoli, zjadliwie. – Żadna święta nie jest...

Wstrzymała oddech, a jej oczy się zaszklily. Dziarkowski tylko na to czekał. Parszywy, tubalny śmiech wydobył się z jego gardła. Szepty i półgłosy ucichły. Wszystkie twarze zwróciły się w jego stronę.

– No. – Mlasnął, jakby właśnie skonsumował smakowity obiad, i z wyższością oświadczył: – Dziewka wie już, kto to Dziarkowski. I... długo nie zapomni.

Rechot zgromadzonych mężczyzn sprawił, że Ania nagle wyrwała się z dziwnej niemocy. Objęła twarz dłońmi i przez chwilę masowała skronie.

– Powinien się pan mieć na baczności – rzuciła cicho, zbyt cicho, bo nikt nie zwrócił na nią uwagi. – Słyszysz pan?

Mężczyzna odwrócił się.

– Co słyszę?

Ania poczuła na ramieniu powstrzymujący uścisk Edyty.

– Policję – wciąła się Synyszyn i wyciągnęła rękę. – O, tam.

Dziarkowski spojrział we wskazanym kierunku, a kobieta odetchnęła i wyszeptała do Ani:

– Nie warto.

Łabędziówna posłuchała. Bez słowa patrzyła na tego mężczyznę, który najwyraźniej uważał się za kogoś w rodzaju nadczłowieka, kto stał ponad innymi, ponad prawem nawet. Zaciśnęła wargi, a w głębi duszy obiecała sobie, że kiedyś mu się odwdzieczy; dopilnuje, aby sprawiedliwość dopadła i jego.

## TYLKO SZCZĘŚLIWA BĄDŹ

Było późno, kiedy wracała do domu. Chciała zostać przy Mani do czasu, aż zabiorą ją do szpitala. Czuła zmęczenie, ale gdy przed rodzinnym domem dostrzegła samochód doktora Naborowa i rower księdza, zapomniała o tym, że ledwo szła. Co sił pobiegła do domu.

Oczami wyobraźni widziała ojca z palcami uciętymi przez piłę. Wszak nadal miał wszystkie, a jego koledzy stolarze dawno już niektóre potracili. Zobaczyła kałużę krwi, zsiniałe palce walające się po zasłanej trocinami podłodze warsztatu i doktora, który próbował je uratować. Potem wyobraziła sobie Radka tonącego w rzygowinach pomieszanych z żółcią i krwią. Ostatnio narzekał na ból brzucha i matka mówiła, że to pewnie wrzody po pijaństwie się odzywają. Z hukiem odstawiła rower i wpadła do domu. W przedsionku zobaczyła braci i tatę, i struchlała.

– Gdzie mama? – wydusiła.

– A ty gdzieżeś była? – Olek wysyczał przez zęby. – Zszedłem się za tobą po całym mieście. Jak kamień w wodę.

– Co się stało? – powtórzyła jeszcze bardziej zdenerwowana.

Radek podszedł do niej, ciasno oplótł ją ramionami, jakby bał się, że ucieknie, i wyszeptał:

– Z mamą źle. Zaczęła okropnie kaszleć, jak przyszliśmy na obiad. Jeszcze gorzej niż ostatnio. Nawet pluć krwią. Zaprowadziłem ją do łóżka, a Olek poleciał po doktora. Patrzyła tak spokojnie. Myślałem, że już dobrze, a ona wtedy dostała jakichś drgawek. I krwotoku... – Z każdym słowem brata Ania bladła. – Jest źle... Doktor kazał nam się pożegnać...

– Co?! To... To niemożliwe! Jak to? – Zrobiło jej się gorąco, a w gardle poczuła gorzki smak. Wyrwała się z jego objęć i z przerażeniem patrzyła to na Radka, to na Olka. Kiedy spojrzała na ojca, odwrócił twarz. Jego wzrok był nieobecny.



Pokręciła niedowierzająco głową i rzuciła się w stronę pokoju rodziców. Radek próbował ją powstrzymać.

– Doktor zabronił...

Ania nawet nie spojrzała na brata, tylko szarpnęła za klamkę i... aż się cofnęła. Matka leżała na łóżku, które bardziej przypominało stół po uboju wołu. Tyle krwi Ania nie widziała nigdy w życiu. U krocza matki siedział doktor Naborow, a tuż obok Krista, sąsiadka, która kiedyś była akuszerką. Jednak tu o porodzie nie było mowy; matka dostała potężnego krwotoku. U wezgłowia łóżka siedział ksiądz i trzymając Justynę za rękę, odprawiał modły. Miał zamknięte oczy, wręcz zaciskał powieki, jakby widok krwi go odrzucał. Nie otworzył ich nawet, słysząc krzyk przerażenia, jaki wydarł się z gardła dziewczyny. Za to Naborow, potwornie upapraną czerwoną mazią, spojrzał na Łabędziównę i rzucił:

– To nie miejsce dla ciebie! Prosiłem, żeby nie przeszkadzać.

– Tu dużo krwi! Wyjdź! – zawołała sąsiadka.

Ania nie bała się krwi, nie wzdygała na jej widok ani zapach, jak wielu innych. I po pierwszym szoku zdecydowała, że chce być przy matce.

– Może pomogę? – zapytała.

– Pomożesz, jak wyjdiesz.

Nie wyszła, nie mogła. Nie potrafiła. Na łożu leżała przecież jej matka, mama, mateczka. Krista zamknęła drzwi, a Ania zbliżyła się do Justyny, uklękła przy niej, naprzeciwko księdza, i zaczęła szeptać:

– Mateczko, co ci? Mamuś...? Mamusiu... To ja, twoja Ania... Otwórz oczy.

Justyna reagowała słabymi pomrukami, bezgłośnym poruszaniem ust i próbami rozwierania powiek, które ciężkie niczym z ołowiu nie chciały jej słuchać. Ciepłe policzki budziły w córce nadzieję, że to, co się dzieje, to tylko chwilowa zapaść, osłabienie, a za chwilę wszystko wróci do normy i matka uściśnie jej dłoń, ucałuje ją...

Doktor i Krista uwijali się, próbując uciskać, drenować, zszywać. Rozkładali jednak ręce, bo upływ krwi był zbyt silny. Ksiądz, słysząc ich

bezradność, namaścił Łabędziową olejami, poczynił ostateczny znak krzyża i pospiesznie wyszedł z pokoju tonącego w zapachu potu i krwi.

Doktor podawał Justynie kolejne leki. Coś wstrzykiwał, uciskał w różnych miejscach, patrzył na odruchy, ale te z każdym tchnieniem stawały się słabsze. Krista nasłuchiwała i sprawdzała puls.

Ania spojrzała na spocone czoło doktora, na strudzone dłonie, które zazwyczaj pewne, teraz lekko drżały. Nerwy mu puszczały; zestresowany fukał na Kristę, że nie te szczypcy podaje, nie ten wacik, że źle tętno mierzy. Stara kobieta cierpliwie znosiła doktorowy gniew, bo czuła, że on nie na nią żółć wylewa, lecz na śmierć, która nad Justyną dyszała.

W pewnym momencie matka otworzyła oczy. Ania aż pisnęła, a potem wypuściła z ust litanie:

– Mamuś...! Mateczko...! Matuchno...!

Poczuła mocny uścisk dłoni, wręcz szarpnięcie. Zbliżyła się do matki. Mimo jej rżężącego oddechu zdołała ją zrozumieć.

– Obiecuj mi... – wycharczała mama. – Obiecuj, że zajmiesz się ojcem.

– Obiecuję.

– I że z miłości wyjdiesz za mąż, nie z rozsądku.

– Obiecuję. – Ania gładziła matkę po dłoni, płacząc tak gorzko, że nie mogła złapać tchu.

– Tylko szczęśliwa bądź... – Justyna wypluła z siebie niewyraźne słowa, a potem głęboko westchnęła. Jej powieki opadły.

– Panie doktorze...? – Ania spojrzała na lekarza. Z jego twarzy wyczytała rezygnację. – Niech pan coś zrobi, proszę! Błagam! Niech pan coś zrobi...!

Naborow złapał za nadgarstek chorej i głośno przeklął, a potem ze złością machnął ręką i strącił świeczkę, która stała na komódce przy łóżku.

– Wszystko na nic! – rzucił.

– Jak to na nic? Doktorze!

Lekarz pokręcił głową i zrezygnowany odstąpił od chorej. Ania przywarła do matki i pozostała tak długo.

Odciągnął ją dopiero Radek, który cicho wszedł do pokoju. Mówił do siostry przez łyżę, a potem zaprowadził ją do kuchni. Długo płakała. Wszyscy płakali, nawet ojciec, u którego nigdy wcześniej nie widzieli łez.

## UCHRONIĆ PRZED ZŁEM

Po odejściu Justyny dom wyblakł i ucichł. Brakowało pokrzykiwań, fuknięć, żartobliwego wachlowania ścierką, zapachu ciasta drożdżowego, które było niemal codziennym rytuałem. Matczyne ciepła, całusa na dzień dobry i przytulenia na dobranoc.

Ania chodziła smutna, popłakiwała. Źle jej było bez matki. Często obecność Joli trochę pomagała, choć najczęściej pomagały wizyty na cmentarzu. Ania wystawała przy kopcu i rozmawiała z mateczką, żaliła się i opowiadała o tym, jak im źle bez niej. Czasami chodziła tam z braćmi. Z ojcem nigdy, bo on wzdygał się na samą myśl o cmentarzu.

Jan w kilka dni postarzał się o kilka lat. Przybyło mu zmarszczek i siwych włosów. Do tego zaczęło boleć go serce, a ręka drętwiała tak bardzo, że nie mógł pracować w warsztacie. Doktor orzekł, że to z nerwów, i kazał się oszczędzać, żeby nie było gorzej.

– Zadbam o tatę. Zrobię, co w mojej mocy – powiedziała Ania do doktora, kiedy wychodził z domu.

– Tę maść u Synyszyna pani robi. Trzeba ją w ramię wklepywać, a krople, które przyniosłem, proszę mu dawać dwa razy dziennie. Bez wyjątku. Są okropnie gorzkie, ale lepsze to niż... – zawahał się – ...niż szpital.

– Będę tego pilnowała. Podam z cukrem, jak pan mówił.

Doktor pokiwał głową i spojrzał na nią z uznaniem. Zawsze lubił Łabędziównę, bo nad ugrzecznione dziewczynki wolał te z charakterem i ambicjami. A kiedy usłyszał, że Ania chce zdobyć pielęgniarские szlify, zwracał się do niej nawet z pewnego rodzaju szacunkiem.

– Niech teraz więcej odpoczywa i broń Boże nie siedzi w warsztacie, bo tam ciężka praca. Musi leżeć.

– Na to już nie mam wpływu. Papa i tak zrobi, jak będzie chciał. Nie mogę go przecież przywiązać do łóżka. Ale o krople zadbam i maść.

Lekarz wyszedł, ale po kilku krokach odwrócił się jeszcze i rzucił:

– W razie potrzeby proszę po mnie posłać.

– Dziękuję.

\*\*\*

Jan Łabędź nie lubił wizyt Naborowa. Lekarze zawsze zwiastowali złe nowiny i dlatego omijał ich szerokim łukiem. Lubił za to księży. W jego rodzinnym domu, w Małopolsce, byli częstymi gośćmi. Tu, w Fordonie, również.

Od śmierci Justyny ksiądz proboszcz bywał u Łabędziów niemal codziennie. Starał się dodawać Janowi otuchy i cierpliwie wysłuchiwał jego słów pełnych buntu, żalu i zgryzoty.

– Dlaczego to na nas spadło...? – pytał Jan złamanym głosem.

Ania nie siadała z nimi przy stole, choć ksiądz zapraszał. Jak sam mówił, jest tu dla wszystkich domowników. Ona wolała jednak zostać w swoim pokoju, sama ze sobą. Ciągle ktoś okazywał jej współczucie, a to wcale nie pomagało. Wręcz przeciwnie, jedynie rozgrzebywało ranę, która otwarta się po odejściu matki. Zasklepić ją mogła tylko samotność. I czas.

Dziewczyna usiadła na łóżku i zaczęła wertować gazetę. Próbowwała się skupić na felietonie o życiu w stolicy, wiadomościach ze świata, nawet na ogłoszeniach matrymonialnych, które zawsze ją elektryzowały, ale nie potrafiła. Mimowolnie przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej za ścianą.

– Tak chciał Bóg – odpowiedział ksiądz.

– Ale po co Mu moja Justysia? Toż On musiał widzieć, że ona tutaj potrzebna! Dzieci mamy, córka na wydaniu... Kto jej suknię będzie sposobił...?

– Bóg lepiej wie, kiedy kogo do siebie przywołać – odpowiedział spokojnie ksiądz.

– Tu się pomylił!

– Nie bluźnij, Janie – rzucił ostro kapłan. – Bóg przywołuje do siebie tylko po to, by umniejszyć cierpienia tej osobie na ziemi. Tu najwidoczniej było jej coś gorszego pisane. Bóg jej tego po prostu oszczędził.

– Czego niby jej oszczędził?! Dobrego życia z nami? Chleba w piecu? Zbożówki o poranku? Czego?

– Tego to ja nie wiem, Janie. Może choroby własnej albo czyjej? A może udręki jakiej? Może i... – zawahał się – ...choć strach o tym mówić, zawieruchy politycznej. Wojny jakiej może... Przed czymś Bóg ją uchronił i do siebie powołał.

Zapanowała cisza. Ania nawet przez ścianę czuła dojmujący ból ojca, bo i ją słowa księdza mocno dotknęły, a wbrew jego intencjom nie dawały pocieszenia. Nie potrafiła pohamować łez ani pytania o to, przed czym Bóg chciał matkę uchronić...

– Bez niej uschniemy. – Zbolały głos ojca przerwał ciszę. – Nie damy rady. Kto zadba o dom? Kto nagotuje obiadu? Kto mi na niedzielę koszulę wyprasuje?

– Poradzicie sobie, a i Ania już dorosła, to pomoże.

– Ania za chwilę do wielkiego miasta jedzie. Ona stworzona do innych rzeczy. Nie mógłbym jej prosić o to, by została, by rezygnowała ze swoich planów. Mnie potrzebna Justysia, kobieta, która kochała dom i obejście! Która była tu, przy mnie, a nie gdzieś w świecie.

– To znajdziecie taką. Ty jeszcze młody jesteś. Pięćdziesiątki dopiero dobiegasz, Janie, to i kobiet wiele się znajdzie, które chciałyby z tobą żyć. Wdów wiele w okolicy, a i niezamężnych sporo.

– Co też ksiądz! – oburzył się Jan i nawet podniósł głos. – Ja nie chcę innej. Żadnej! Nigdy! Ślubowałem Justysi i nikomu więcej nie będę.

Ania już nie płakała, tylko szlochała. Nie podejrzewała ojca o taką uczuciowość. W jej oczach rodzice zawsze tworzyli zgodną parę, szanowali się, wspierali. Nigdy jednak nie myślała, że łączyło ich tak szczególne, głębokie uczucie.

– Zrobicie, jaka wasza wola, Janie. Czas leczy rany. Modlitwa też – powiedział ksiądz. – Ja mogę pomóc dobrym słowem, dziesiątkę zdrowasiek odmówić, a jak trzeba, to moja gospodyni może coś dla was naszykować. Olka czy Radka poślecie i przyniesie wam posiłek.

– O dobre słowo i modlitwę zawsze poproszę, a za pomoc gospodyni podziękuję. Damy radę sami – mówił zboliałym głosem. – Musimy.

– Odejście trzeba opłakać, żal czuć, a potem trzeba się pozbierać. Bo nawet kiedy odchodzi ktoś wyjątkowy, życie się nie zatrzymuje, lecz idzie dalej. I wy też musicie iść, chociaż już tylko w czwórkę.

No i szli. Przynajmniej próbowali.

Na początku ze smutkiem w oczach, krok za krokiem, zatrzymując się niekiedy i oglądając wstecz. Czas z reguły leczy rany. Ich też leczył, choć wolno.

Ania zrozumiała, że powinna odłożyć na bok przyjemności, przyjaźń, nawet książkową pasję i poświęcić się domowi, by choć w drobnym procencie zastąpić rodzicielkę. Gotowała, prała i sprzątała. Szło jej dość dobrze, choć wieczorami słaśniała się na nogach. Czasami mogła liczyć na braci. Na Radka w kuchni, bo gotował całkiem przyzwoicie, na Olka w obejściu.

Pomagali sąsiedzi, rodziny Krügerów i Mandyczów. Jola także ochoczo wspierała Łabędziów we wszystkich czynnościach, którym jako niedawna mieszcanka dawała radę. Najlepiej szło jej z prasowaniem, co szczególnie cieszyło Anię, gdyż z żelazkiem nigdy nie było jej po drodze.

Ojciec z kolei stronił od ludzi. Zamykał się w pokoju, uciekał do warsztatu. Kiedy przychodziło do rozmowy, często wybuchał, tracił nad sobą panowanie. Najlepiej znosił obecność Ani. Pozwalał jej o siebie dbać, choć z umiarem. Zgadzał się na przyjmowanie zapisanych kropli i lepkie smarowidła, które parszywie śmierdziały.

– Jakbyś mnie krowim łajnem brukała – marudził, krzywiąc się.

– Daj spokój, tato. Doktor kazał. Wiesz, że czasami maści nie pachną jak perfumy – próbowała zażartować, lecz kamienne oblicze ojca ani drgnęło. –

Ale przynoszą skutek, a o to nam przecież chodzi.

– Mnie tam wszystko jedno.

– Nie mów tak. – Ania miała już dość marudzenia taty. – Ciągłe narzekasz, a to niczego dobrego nie przynosi. Wszystkim nam ciężko, wszystkim żal, ale przynajmniej próbujemy jakoś żyć.

Ojciec zerwał się jak oparzony, nie pozwalając córce dokończyć zabiegu. Naciągnął koszulę na ramię i bez słowa zapiął guziki.

– Wam może i żal, może smutno, a mnie jakby kto kawał bebechów wyrwał.

– Papo... – Ania podeszła do ojca i chciała się do niego przytulić, ale zrobił krok w tył.

– Fajans ze mnie, nie ojciec, skoro nie potrafiłem zachować matki moich dzieci przy życiu – rzucił i nie patrząc jej w oczy, wyszedł z kuchni.



## ZOSTAJĘ

To była dla niej piekielnie trudna decyzja, ale wiedziała, że musi ją podjąć, że mama by tak chciała. A przecież ostatnio tyle o niej myślała, szczególnie wtedy, gdy samotnie odwiedzała ją na cmentarzu.

Starannie posprzątała dom, jak przed niedzielą, a potem przygotowała obiad. Na pierwsze jarzynówkę, na drugie kotlety mielone z ziemniakami i mizerią z cukrem. Tak jak papa lubił najbardziej.

– Nie pojedę do szkoły – zakomunikowała, kiedy we dwójkę z ojcem siedzieli przy obiedzie. – Nie pojedę do Warszawy. Zostanę i zajmę się domem. Pomogę ci.

Zapatrzony w talerz jarzynówki ojciec uniósł wzrok i obrzucił córkę posępnym spojrzeniem. Głęboka łyżka zastygła w pół drogi między talerzem a splekanymi ustami. Zabielona śmietaną zupa kapała do talerza.

– Nie zgadzam się – powiedział stanowczo. Łyżka z pluskiem wpadła do talerza, rozbryzgując zupę na ceracie. Ania sięgnęła po ścierkę i wytarła plamy. – Na wiele mogę przystać, ale nie na to.

– Nie musisz na nic przystawać, papo. Wcale o to nie proszę. Ja już zdecydowałam i nawet poszłam zadzwonić do szkoły. Pani dyrektor zrozumiała i pozwoliła, bym zaczęła edukację od następnego roku.

– A kto wie, co za rok będzie? – Twarz Jana stężała. – Kto to wie? Czy tej dyrektorce się nie zmieni i cię weźmie? I czy to stypendium da. Nie! – Zacisnął usta i potrząsnął głową. Wyraźnie się zdenerwował. – Nie ma mowy!

– Papo... – Łagodny głos córki zwykle działał na niego uspokajająco, ale nie tym razem.

Jan trzasnął pięścią w stół, aż zabrzęczała zastawa.

– Nie!

Anna wstała i podeszła do pieca.

– Zrozum, papo... Nie mogę, nie potrafię teraz wyjechać. Zostawić cię samego? I Radka? I Olka? Zwariowałabym tam, w Warszawie. Zadręczałabym się myśleniem o tym, czy wam niczego nie brakuje, czy jesteście najedzeni, czy w domu czysto i czy kury obrobione... Uczyć bym się nie mogła, a wiesz, że dla mnie liczą się tylko najwyższe noty, bycie najlepszą. Pojadę za rok, kiedy już wszystko nam się poukłada. Radek jest za.

– Radek? To on wie?

– Tylko on – skłamała, bo Olek i Jola też znali jej zamiar. – Sam mnie zawiózł, żebym mogła zatelefonować.

– Pierun jeden. I nic nie powiedział.

– Bo przysiągł milczeć. Chciałam sama ci wszystko wyjawić.

– Upartaś... – rzucił z przekąsem, ale brzmiał już dużo łagodniej.

Ania podeszła do taty i objęła go za szyję.

– Po kimś to mam.

Kąciki ust Jana drgnęły. Doskonale wiedział, że córka odziedziczyła upór po swojej matce.

– Jesteśmy rodziną... – tłumaczyła. – A rodzina się wspiera. Gdybym teraz wyjechała, to tak jakbym uciekła. A ja sobie tego nie wyobrażam. Zajmę się tobą, papo.

– Czy aż tak ze mną źle? Czy wymagam opieki? – Niby niechętnie rzucił z siebie ręce córki.

Ania nie przejęła się tym zbytnio. Znała ojca, wiedziała, że potrafił być choleryczny i chłodny. Nawet dla swojej ukochanej żony, do której o poranku pieszczotliwie szeptał: „Justysiu”, a po południu tupał ze złością i na długie godziny zamykał się w warsztacie, kiedy zrobiła coś nie po jego myśli.

– Wiesz, papo, o co mi chodzi – kontynuowała, stając po drugiej stronie stołu, naprzeciwko ojca. – Ty nigdy nie musiałeś gotować ani sprzątać. Mama... Mama tym się zajmowała.

– Ale potrafię – burknął. – Kiedyś robiłem dobre schabowe, a i moje cynaderki w pieprzu Justysia chwaliła.

– Nie wątpię, ale sam powiedziałaś: kiedyś. Jak nie będę miała pewności, że i teraz sam wszystko oporzędzisz, nigdzie nie wyjadę.

Jan spojrzał groźnie na córkę.

– Nie masz co tak patrzeć, papo. Wiesz, że Warszawa to moje największe marzenie, ale na co mi być pielęgniarką, dbać o innych, kiedy zostawię dom, którym nie będzie miał się kto zajmować? W którym mój ukochany papa będzie usychał.

– Nie będę usychał, do jasnej cholery! – Pacnął dłonią w stół. – Nie mam stu lat, żebym usychał! Mam robotę, dach nad głową, jedzenia dla mnie samego nie zbraknie, a i dla chłopaków też nie będzie mało. Mam ręce i nogi. Sprawne, póki co, a że żadnej pracy się nie boję, zawsze sobie coś znajdę. Nawet jakby mnie jaki Niemiec chciał zleceń pozbawić, znajdę nowe!

Ania pokiwała głową. Czowała, że dalsza dyskusja niczego nie zmieni, że ojciec się zaciętrzewił i potrzebuje czasu, aby wszystko przemyśleć.

– Podgrzać ci zupę? – zapytała.

– Zjem zimną – odpowiedział niechętnie.

## A WIĘC JESTEŚ

Jan wbrew pozorom szybko pogodził się z decyzją córki. W głębi duszy nawet się na nią cieszył, bo nie wyobrażał sobie Łabędziowego domu bez kobiecej dłoni.

Prababka, babcia, ciotki, stryjenki, kuzynki... Kobiet w rodzinnym domu Jana zawsze było wiele. Nie zmieniły tego ani wojna ani polityczne przewroty czy zwykłe życiowe sytuacje. Kobiety od Łabędziów były ważne i cenione. Może żadna z nich nie została literatką, lekarką, aptekarką czy żoną znanego urzędnika, ale żadna też, przynajmniej oficjalnie, nie zeszła na złą drogę, nie zajęła się aktorstwem (którego to fachu w rodzinie nigdy nie popierano) i nie odzęgnęła od wiary katolickiej. Wszystkie za to potrafiły czytać i pisać, dobrze odgrywały rolę dbającej o męża żony, zaangażowanej matki i zaradnej gospodyni.

Justyna pod każdym względem pasowała do Łabędziów.

Delikatna, gdy po ciężkim dniu masowała Janowi zmęczone palce, a potem pozwalala się nimi dotykać po obfitych piersiach, do których przejawiał słabość. Zdecydowana, kiedy targowała się z przekupkami o cenę jaj i kurczaków. Łagodna, kiedy trzeba było ukoić mężowe nerwy. Surowa, gdy wieści o psotach synów dochodziły jej uszu, i to nie drogą, którą powinny do niej dotrzeć.

Kiedy odeszła, świat Jana się zawalił, bo on nigdy, nawet w najmroczniejszych snach, nie widział tego świata bez niej. Jego Justysia zawsze była obok, od nastoletniości, i miała z nim zostać po kres jego dni.

– Ale za rok już idziesz, tak?

Jan stanął w progu i patrzył na córkę krzątającą się przy zagniataniu ciasta. Jej ruchy nie były takie wprawne jak ruchy Justyny. Nie miała tak silnych ramion i wyrobionych palców, ale się starała. Jan wyraźnie to widział.

– Tak, papo, ale pod warunkiem, że będziesz zdrowy i dasz sobie radę ze wszystkim sam.

– Nie zaczynaj – fuknął.

– Wiem, wiem. – Uniosła ręce i strząsnęła mąkę. Białe drobinki leniwie opadały na drewnianą stolnicę. – Ty zawsze dawałeś sobie radę i masz do pomocy Radka i Olka... I Jolę.

– Nie inaczej.

Ania łagodnie spojrzała na tatę. Ostatnie dni bardzo go zmieniły. Sińce pod oczami, które wcześniej z rzadka mu towarzyszyły, co najwyżej wtedy, gdy zarywał noc przez jakieś zlecenie w warsztacie, były teraz codziennością. Cera mu zbielała i stała się pergaminowa. Przygarbiony chodził po domu bez życia, szurając kapciami. Jakby przywoływał Justynę, by dostać reprimendę za „starcze ciągnięcie nóg”, jak nazywała jego specyficzny chód. Ania martwiła się o niego. O to pochmurne oblicze, które z trudem się rozjaśniało. O bezsenne noce i dni, w które nic nie robił, tylko wgapiał się w sufit. A przede wszystkim o to, że tracił wolę życia. Na dobre porzucił „Astorię”, choć namawiali go, by nie rezygnował. By odpoczął, ale wrócił. Był im pomocny. Uważano go przecież za ojca sukcesu Krzysztofa Kiszkwowiaka, młodego, dobrze rokującego boksera z kategorii piórkowej. O ile wcześniej klub zajmował w jego sercu szczególne miejsce, teraz stał mu się obojętny. Podobnie jak stolarski fach. Nie przyjmował wielu zleceń, nawet drobnych, którymi ludzie po śmierci Justyny zasypywali go z litości. Nie słuchał dzieci, doktora ani księdza, mimo że zdanie tego ostatniego zawsze poważał. Nieoczekiwanie posłuchał kogoś zupełnie innego.

Joli Pietranek.

Pewnego przedpołudnia, kiedy wszyscy byli w pracy, przyjechała z Jaruzyna i zajęła się obiadem. Potem przygotowała dla Jana zioła w wysokiej szklance z metalowym koszyczkiem. Zapukała do drzwi z nadzieją, że otworzy. I otworzył. Uśmiechnęła się na jego widok, mimo że biło od niego chłodem. Zmierzył ją wzrokiem, a potem zamarł, patrząc na szklankę, którą trzymała w dłoniach. Rozpłakał się, a przecież nigdy nie płakał. No może nie nigdy, ale bardzo rzadko. Potarł powieki palcami,

jakby chciał jak najszybciej pozbyć się oznaki słabości. Na nic. Łzy leciały i leciały, a on nie potrafił pohamować drżenia brody i przyspieszonego oddechu. W końcu, ku zaskoczeniu Joli, opadł przed nią na kolana, jakby jakimś bóstwem była. Ona również uklękła, a na podłodze postawiła parujący napar. Ze współczuciem dotknęła ręki mężczyzny, a on spojrzał najpierw na nią, a potem na ziola.

– W tej szklance... – wydukał przez łyżę. – W tej szklance pijałem tylko z żoną.

– Przepraszam... Nie wiedziałam. Zaraz przeleję do innej.

– Nie, nie trzeba. Dobrze, że do niej nalałaś.

Jan uniósł szklanekę i przez chwilę toczył ją w drżących palcach, potem kilkakrotnie podmuchał i siorbnął. Powoli podniósł się z kolan, doczłapał do wyświechtanego fotela, który pamiętał dawne czasy, i usiadł ciężko. Intuicja podpowiadała Joli, by zostać w pokoju. Podeszła do niskiej pufy i przycupnęła na niej. Czekala, aż pan Łabędź się odezwie, ale on tylko chrapliwie oddychał i uporczywie wpatrywał się w szklanekę.

– Kiedyś byłam bardzo zakochana... – Jola przerwała ciszę. – Kryłam się z tym uczuciem, bo chłopak pochodził z biednej żydowskiej rodziny. W szóstkę mieszkali w jednym pokoju w suterenie. Tylko on z matką pracował, a reszta to byli wykolejeńcy. Gdybyśmy wyszli z Laszlem na ulicę, trzymając się za ręce, wywołalibyśmy niemały skandal w okolicy. Nie chcieliśmy tego robić. On nie chciał... – Snuła opowieść powoli, jakby tkala ją z delikatnych nitek wspomnień, które szarpnięte nazbyt gwałtownie mogą się zerwać. – Postanowił, że zdobędzie dobrą pracę i mieszkanie, i dopiero wtedy pokażemy naszą miłość światu. Byliśmy bardzo młodzi i naiwnie wierzyliśmy, że ziści się to, co sobie postanowimy. Ale pewnego dnia, kiedy Laszłó wracał z pracy, zbłąkana gangsterska kula przebiła jego skroń. Zginął na miejscu. Mój świat legł w gruzach. Straciłam chęć do życia, przestałam jeść. Rodzice, nieświadomi przyczyny, bo niczego im nie wyjawiałam, myśleli, że zachorowałam na coś zakaźnego, bo ponoć wyglądałam jak chodząca śmierć. Słyszałam, jak szeptali nawet o hiszpance, którą przecież oboje znali sprzed lat. A ja po prostu chciałam

umrzeć. Na cmentarz wymyślałam się ukradkiem... Kładłam się przy grobie Laszla i mówiłam do niego, choć nigdy nawet tchnienia w odpowiedzi nie usłyszałam. Leżałam w słońcu i w deszczu. Naprawdę chciałam umrzeć. Raz, taką zziębniętą, skostniałą wręcz, znalazł mnie grabarz i zabrał do sali ostatnich pożegnań. Znaleźliśmy się tam pośród kilku nieboszczyków, którzy w różnych: lichych sosnowych i wykwintnych dębowych trumnach czekali na ostatni dotyk bliskich. Patrzyłam na zapadnięte usta, wklęsłe oczodoły i obficie przyklepane różem poliki, a starzec opowiadał o sobie, o stracie całej swojej rodziny i o tym, że mimo wszystko, mimo bólu i beznadziejności warto żyć. Że trzeba się podnieść i znaleźć powód, bo zawsze jakiś jest... – Zrobiła pauzę i uważnie przyjrzała się Łabędziowi. – Pan też taki ma, panie Janie. Odeszła pana żona i ja panu ogromnie współczuję, ale zostali Ania, Olek, Radek... Oni pana potrzebują, szczególnie teraz...

Mężczyzna westchnął ciężko, wypił do końca zioła, odstawił szklanekę. Przez chwilę patrzył na Jolę, a ona na niego. Milczeli. Potem Jan wstał, skinął głową w stronę jarużyńskiej dobrodziejki, jakby dziękował za opowieść, a może za morał. Podeszedł do łóżka i zzuł kapcie.

Jola pospiesznie zebrała się, widząc, że Jan chce się położyć.

– To była melisa? – zapytał, kiedy domykała drzwi.

– Tak. Mówią, że to jakaś afrykańska odmiana, marokańska chyba.

– Smaczna.

– Nazbieram więcej i ususzę. W moim ogrodzie rozsiała się niczym plewy – dodała i wyszła.

Poszła do kuchni i wyjrzała przez okno. Nad ulicą unosił się tuman kurzu, a drobinki piasku tańczyły i wirowały w gorącym powietrzu niczym pary na parkiecie w rytmie walca. Brutus ujadł na sąsiada, który z zapalem naprawiał bronę przy szopie.

Pomyślała, że dawno nie wspominała Laszla, tytułowego bohatera jej ukochanej powieści obyczajowej, napisanej przez Edith Rausch. Skłamała przed panem Łabędziem, czyniąc z fikcyjnej historii miłosnej własną.

Zrobiła to jednak w dobrej wierze, czując, że może ona mu pomóc pozbierać się po stracie.

Westchnęła.

„W Olku jest coś z Laszla... – przeszło jej przez myśl. – Moim rodzicom też by się nie spodobał...”

\*\*\*

W rzeczy samej państwu Pietrankom Olek nie mógł się spodobać, choć starał się zrobić na nich jak najlepsze wrażenie, zarówno pod względem ubioru, jak i sposobu wysławiania się. Rodzice Joli, a w szczególności matka, która krzywiła się na dźwięk wszelkich językowych nieczystości, choć sama nie była ich pozbawiona, od razu zobaczyli w Olku mężczyznę z prowincji. Dla Ryszarda być może nie stanowiłoby to problemu, ale dla Józefiny oznaczało niemal koniec świata.

Kiedy zapowiedzieli się z wizytą w Jaruzynie, Jola przyjęła ich propozycję z zadowoleniem. Nie do końca rozumiała ich niechęć względem jej decyzji, ale kochała ich i tęskniła za nimi. Szczególnie za ojcem, do którego zawsze było jej bliżej. Obawiała się jednak, że ich wizyta powodowana jest głównie chęcią przyjrzenia się Olkowi, bo w liście wyraźnie zażyczyli sobie, że pragną go poznać.

– A pan, panie Aleksandrze... – zagadnęła Józefina, kiedy z gracją popijała popołudniową herbatę z niezbyt wykwintnej filiżanki – ...zapewne w Bydgoszczy zdobywał wykształcenie, czyż nie? – sarkazm przebijał z jej pytania.

Zjedli już obiad i Olek czuł dumę, że tak dobrze mu idzie rozmowa z państwem Pietranek. Nie odzywał się zbyt często, ale kiedy mówił, zdawało mu się, że nie odstaje językowo od swoich rozmówców.

– A gdzie tam... – wymsknęło mu się.

Natychmiast spurpurowiał, a dla niepoznaki zaczął kasłać. Jola za to uśmiechnęła się, bo czuła, że plan Olka, by na czas spotkania z jej rodzicami stać się językowym purystą, właśnie spełzył na niczym. Ona



wolałaby, aby był sobą, takim, jakiego pokochała. Nie potrzebowała, aby udawał kogoś innego.

– Przyznam, szanowna pani... – Olek ponownie nabrał ogłady, a przed niemal każdym wyrazem czynił pauzę, jakby rozważał jego poprawność. – Że schlebiałoby mi, gdybym pobierał nauki w Bydgoszczy, jednak Fordon również szczyli się dobrymi... hmm... edu... katorami, rodzice zadecydowali więc o tym, bym kształcił się na miejscu.

– Doprawdy? Dobrzy edukatorzy? Tutaj? Nie miałam takiego zdania o Fordonie – odpowiedziała natychmiast Józefina, udając grzeczne zdziwienie. – Nie przeczę, że jakiś wyjątek mógł się zdarzyć również tutaj.

– Mamo, Fordon to rozwijające się miasto i ma niejedną szkołę. Na dodatek wielu naprawdę dobrych nauczycieli, w tym, jak dobrze mi się wydaje, twój kolega, pan Arciuch, uczył właśnie w Fordonie. Zawsze go poważałaś – wtrąciła Jola.

– No tak, masz rację, córeczko. Uczył. Ale obecnie pracuje w naszej szkole w Bydgoszczy. Tam, gdzie jest życie.

– Tu też jest życie, mammo.

– W tej twojej wsi? – Pietrankowa w końcu wydusiła z siebie to, co najbardziej ją bolało. Na dodatek z nutą złośliwości. – Tu masz raptem kilku sąsiadów, żadnego kina ani teatru. Parków, bulwarów, placów... Nie wspomnę o księgarniach, które tak lubiłaś odwiedzać, kawiarniach, fryzjerze. Niczego tu nie masz.

– Nie mylisz się. – Jola wzruszyła ramionami. – Tego, o czym wspomniałaś, akurat nie mam, ale w Jaruzynie odkryłam coś, czego szukałam chyba przez całe życie. Spokój, ciszę... Słyszę świergot ptaków, a nie dźwięki ulicy. Szum wiatru, a nie łoskot tramwajów i pokrzykiwania z Targu Rybnego. Nie miałam pojęcia, że to wszystko jest mi potrzebne. A jednak! Poza tym do Bydgoszczy mam niedaleko i praktycznie w każdej chwili mogę się tam udać.

– A nie mogłabyś na odwrót? Mieszkać w Bydgoszczy i robić wypadki na wieś? Tak chyba byłoby korzystniej.

– Mamo. – Jola twardo spojrzała na matkę. – Mam tu do spełnienia bardzo ważną misję i nie mogę się z niej wycofać. I nawet nie chcę, nie potrafiłabym. To, co robię i co będę robiła, jest ważne.

– Potwierdzam – wtrącił się Olek. – Bez Jolci tutejsze dzieci, których jest niemało, być może wcale nie chodziłyby do szkoły albo robiły to z rzadka, a tak będą miały blisko i rodzice je podeślą.

– A do Fordonu nie mogą ich wysłać? – prychnęła Józefina.

– Oczywiście, że mogą, a raczej mogliby, gdyby ich było na to stać – wytłumaczyła Jola.

– A cóż to za koszt? Szkoła powszechna jest darmowa i na nogach się do niej chodzi. Bo chyba tych twoich dzieci nie trzeba wozić furmanką?

– Masz rację, dzieci poruszają się na własnych nogach. – Jolanta starała się zachować spokój, jednak matczyne uszczypliwości sprawiały, że w środku dygotała ze zdenerwowania. – I tak, mogłyby chodzić do Fordonu, to niedaleko, ale... Im bliżej mają szkołę, tym lepiej. Bo dzieci potrzebne są rodzicom w gospodarstwach. Pomagają im na roli, przy zwierzętach i młodszym rodzeństwie. Mają mnóstwo obowiązków, mamo. Im szkoła jest bliżej, tym rodzice częściej posyłają te dzieci na lekcje. Dobrze o tym wiesz.

Olek rwał się, by coś jeszcze dodać, ale Jola mocno ścisnęła jego dłoń, dając w ten sposób znak, by zachował milczenie.

Wszyscy spoglądali na Józefinę Pietranek, która wyprostowana niczym struna siedziała przy stole okrytym świeżo wykrochmalonym obrusem, patrzyła przed siebie i stukała palcem o blat. Kilka razy machinalnie zwilżyła usta językiem, przez co krwistoczerwony kolor szminki stracił na intensywności. W końcu wstała i podeszła do okna. Odśloniła firankę i wyjrzała na podwórko.

– A zatem dobrze – odezwała się w końcu. Brzmiała przesadnie słodko. – Skoro tego pragniesz... My z Ryszardem nie będziemy się sprzeciwiać. Aczkolwiek – spojrzała na córkę z nadzieją – gdybyś zmieniła zdanie, zawsze możesz na nas liczyć.

– Dziękuję. Będę pamiętała, mamó.

– I... – W końcu zabrał głos również Ryszard. – Jeśli potrzebowałabyś czegokolwiek, co związane jest ze szkołą, z nauczaniem, to mów. Postaramy się z matką – zaakcentował ostatnie słowo i zrobił pauzę, by dodatkowo podkreślić jego znaczenie – zorganizować wszystko tak, byś mogła bez przeszkód wypełniać swoją ważną misję.

– Naprawdę? – Jola nie kryła radości, bo miała gotową listę potrzeb, którą i tak zamierzała wręczyć tacie.

– Oczywiście – potwierdziła matka i odwróciła się tyłem do siedzących przy stole.

Ojciec puścił oko do córki, a ona pojaśniała. Zawsze trzymał jej stronę, choć głównie za plecami swej hardej żony.

– Aleksandrze, może opowiedziałbyś o dekar skim fachu? – zagadnął Ryszard dla rozładowania atmosfery. – Ja się na tym zupełnie nie znam i mówiąc szczerze, zawsze z podziwem spoglądam na tych, którzy odważnie mierzą się z wysokością.

Zachęcająco skinął głową, na co Olek wyraźnie się ucieszył.

– Ooo! Jest o czym ga... rozmawiać. To idealna praca dla mnie, bo widzi pan... Ja od małego lubiłem po dachach ganiać, na drzewa się wspinałem i... – Olek mówił szybko i w swoim stylu, choć i tak znacznie poprawniej niż zwykle.

Jola patrzyła na ukochanego i promieniała, a gdy opowiadał o spadających dachówkach i o szelkach, które staremu brygadziście uratowały życie, chichotała. Ryszard także. Jedynie Józefina zachowywała obojętność, choć Joli zdawało się, że były to tylko pozory.

– Mama musi przywyknąć – wyszeptał ojciec, kiedy został sam na sam z córką.

– Wiem.

– Widziała cię w naszej szkole, w związku nauczycieli. Jesteś jej jedynym dzieckiem, dlatego przelała na ciebie wszystkie swoje niespełnione plany i marzenia.

– Tak, ale... Ja nigdy nie czułam się tak potrzebna jak teraz. Sieroty, którymi się na początku zajmowałam, dały mi tyle radości. A te ze wsi i okolic, które do mnie przychodzą... To jest coś innego, bo wiem, że oprócz tego, że przykładam rękę do ich cenzurki, daję im szansę na lepsze życie.

– Jestem z ciebie dumny. I pamiętaj... – Ryszard odruchowo zerknął w stronę korytarza, z którego dochodził pospieszny stukot pantofelków Józefiny. – Mama też jest dumna, nawet jeśli tego nie okazuje.

## NOWY POCZĄTEK

Po rozmowie z Jolą Jan się zmienił. Przestał być taki opryskliwy, zaczął wychodzić z domu i rozmawiać z doktorem, kiedy ten zjawiał się z wizytą. Poszedł też na cmentarz, co było prawdziwym przełomem, bo od czasu pogrzebu nie był na grobie Justyny ani razu. Spędził przy nim kilka godzin i krokiem lżejszym, jakby ubyło mu kilogramów i zmartwień, wrócił do domu. Potem zamknął się w warsztacie i zajął zbijaniem stołu, którego nikt nie zamówił, oraz krzesel, o które nikt nie prosił. Kiedy skończył, porąbał je ze złością i spalił, gapiąc się na szalejące jęzory ognia. Na koniec, gdy z mebli został popiół, odszedł od paleniska i cały wkłęśły, bez życia zbliżył się do córki, która przyglądała się temu swoistemu widowisku, i przytulił ją tak mocno, że czuła bicie jego serca.

– Pożegnałem Justysię... – wyszeptał. – Obiecała, że zawsze będzie z nami, mimo że słowem się już nie odezwie.

Anię zmroziło, bo jej racjonalny ojciec brzmiał jak nie on.

– Pewnie myślisz, że zwariowałem, ale nie. Nie zwariowałem... Kiedy będziesz miała u boku mężczyznę... Kogoś tak ważnego dla ciebie, jak dla mnie była Justysia... Wtedy zrozumiesz. Wszystko zrozumiesz.

Odstąpił od córki na krok, ale jeszcze trzymał dłoń na jej ramieniu. Westchnął głęboko.

– Teraz już będzie dobrze.

– Wiem, papo.

– Teraz już mogę spełniać prośbę Justysi.

– Prośbę? – zapytała Ania.

– Kiedy się ze mną żegnała, choć Bóg wie, że odmawiałem pożegnania, rzekła mi coś. – Przetarł dłonią twarz rozgrzaną od ogniska.

– Co takiego?

– Tylko szczęśliwy bądź. Dokładnie tak powiedziała.

Ania musiała zrobić zaskoczoną minę, bo ojciec pokiwał głową i dodał:

– Tak! Wiem, że brzmi to dziwnie, bo jak niby miałbym być szczęśliwy bez niej, ale... Skoro taka jej wola...

Ania poczuła, że szklą jej się oczy. Zmrużyła je szybko.

„A więc jego też tak pożegnała...” – przemknęło jej w myślach, a po chwili szybko dodała:

– Musimy zrobić, jak chciała mama, papo.

## O KILKA CHWIL WIĘCEJ

Tego dnia Ania wracała z pracy później niż zwykle, bo Wężyk zlecił jej przyrządzenie kiszonek w zastępstwie za Lodzię, pomoc kuchenną, która zapadła na podagrę i od kilku dni nie pojawiała się w pracy. Ubranie Ani przesiąkło zapachem octu, a szczerze tego nie znosiła, dlatego spotkawszy na ulicy księdza proboszcza, wymieniła jedynie grzecznościowe pozdrowienia i czym prędzej ruszyła dalej. Z daleka pomachała też Ewie Mandyczównie, która z wałówką, najpewniej dla narzeczonego, zmierzała w stronę cegielni. Idąc, Ania zerknęła to tu, to tam w otwarte na oścież okna na parterze, zawieszając co jakiś czas wzrok to na obrazie na ścianie, to na wiszącym zegarze z kukułką, to na wazonie z kwiatami.

Gdy była już blisko obejścia, doszło ją radosne szczekanie Brutusa, nieco zwariowanego, ale kochanego kundla, którego przygarnęli lata temu. To był trzeci Łabędziowy pies na fordońskiej ziemi, ale najukochańszy ze wszystkich. Przykleił się do Jana, kiedy ten wracał z Bydgoszczy, i... został. Był psem podwórkowym, ale ani minuty nie spędził na łańcuchu, bo Jan czuł wobec tego powszechnego zwyczaju wewnętrzny sprzeciw.

Brutus niechybnie musiał być owocem miłości posokowca bawarskiego, którego szczególnie upodobali sobie tutejsi Niemcy, i wiejskiej suczki, miał bowiem szalenie rozwinięty instynkt myśliwski, nasłuchiwał dźwięków i rwał się do pogoni za zwierzyną. Nigdy jednak nie tknął Łabędziowych kur. Wiedział, że swojego trzeba bronić.

Otworzyła furtkę, a wtedy zwierzak skoczył na nią na powitanie. Poczochnała go przyjaźnie po łbie.

– Dobry psiak, dobry... – Rzuciła mu kij. – No leć!

Ledwo przekroczyła próg domu, gdy jej uszu doszedł chropawy głos spikera z radioodbiornika.

„Papa pewno już zasiadł do wieczornej audycji” – pomyślała.

– Serwus, tatku – powitała Jana, wchodząc do kuchni, ale on uciszył ją ruchem ręki.

– Trzeba bronić zaolziańskich Polaków! – grzmiał teraz jakiś głos w radiu. – I Polski za Olzą. Musimy tłumnie i do każdej możliwej instytucji wystąpić o przywrócenie tego, co nam zagrabiono, co bezprawnie i podstępnie odebrano! – Ojciec kiwał głową, a głos huczał: – Wojska czeskie dokonały czynu złodziejskiego, ale za każdą kradzież jest przecież kara. Teraz nadszedł czas na tę karę! Polacy! Idźcie na manifestacje, podpisujcie petycje, okazujcie sprzeciw wobec barbarzyńskich czynów Czech! Musimy osiągnąć nasz cel i przywrócić to, co nasze! Zaolzie! Nie możemy im tego odpuścić! Nie my! Jesteśmy Polakami i jeśli będzie trzeba, to i krwi upuścimy, byle oddali Polsce, co polskie!

Mężczyzna jeszcze długo nawoływał do udziału w lokalnych manifestacjach popierających walkę o Zaolzie, wymieniając nazwy miejscowości, w których miały się one odbyć. Kiedy skończył, w radiu rozpoczął się letni, skoczny koncert smyczkowy. Ojciec z niesmakiem skonstatował zmianę audycji i ściszył radio.

– Nerwowo się robi, papo. Dzisiaj wszyscy o Zaolziu mówią. I o Hitlerze – odezwała się ostrożnie Ania.

Jan sapnął.

– Idą piekielne czasy. Dobrze, że my tu bliżej północy mieszkamy, a nie na południu. Tam, przez sprawę czeską, to pewnie ludzie stracha mają.

– Nic dziwnego.

– Ten Hitler to podstępna żmija. Nie podoba mi się.

– On chyba tylko Niemcom się podoba. A nasi to albo się z niego śmieją, albo go nienawidzą.

– Śmieją się tylko durnie, bo i z czego tu się śmiać?! On mi śmierdzi na kilometr. – Jan, który z nagłą poczerwieniał, wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po kuchni. – Tacy jak on do niejednej tragedii doprowadzili! Ta żmija pewnie tylko czeka, aż będzie mogła jad w nas wcisnąć! W nas,



Polaków! Jak bym go dorwał w swoje łapy, to bym mu te purchawe wąsiki z gęby wyrwał.

– Papo, nie unoś się! – Ania próbowała uspokoić ojca.

On jednak nic sobie z niej nie robił. Krążył po kuchni, a dłonie mu drżały ze zdenerwowania.

– Z Warzechą sobie czasami rozmawiamy o... patriotycznych sprawach. On też wie, co to wojna. Nie był we Francji, ale na wschodnim froncie. Zresztą – machnął ręką – co to ma za znaczenie, gdzie był. Ważne, że wie, co nam Niemcy mogą zrobić.

– Ale papo, to nie są ci sami Niemcy.

Jan aż się zapowietrzył.

– Jasne, że nie! Ci są gorsi! Ale wierzę, że my teraz silniejsi i lepszych aliantów mamy, to w razie czego pomogą.

Ania w lot pojęła, co ojciec ma na myśli i zrobiło jej się gorąco.

– Ale jak to w razie czego? Czy... Uważasz, że będzie wojna, papo?

– Na wszystko trzeba być gotowym. Na każdą okoliczność. Na wojnę w szczególności, bo im lepiej się przygotujemy, tym mniej nas zaskoczą. A naziści potrafią zaskoczyć nawet swoich. Weźmy ten terror polityczny, wewnętrzne rozgrywki, które stosują u siebie. Nikt się nie gotował na nie, a oni wyrwali pobratymcom kawał wątroby, krwią kraj zalali i rządzą teraz. Ale to mnie nie zajmuje, niech się wyrzynają, ale już wyciąganie łap poza granicę, konszachty i mordy... – Pokręcił głową z dezaprobatą. – To mnie w sercu uwiera. Ja myślę, że oni planują zamach na Polskę.

– Czytałam o nazistach w dzienniku, Radek też mi opowiadał, ale mnie się nie chce wierzyć, że ktoś mógłby nam nasze ziemie odebrać.

– Bo tyś w wolnej Polsce urodzona i nie znasz innego czasu. A ja wiem, co to niewola. Wiem, co to niebyt na mapie świata i podeptany orzełek. I wiem, jak to boli. Hitler jest zachłanny i na pewno ze smakiem oblizuje się już na myśl o naszym urodzajnym kraju. – Już zacisnął pięść, by nią huknąć w stół, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Jan Łabędź od zawsze interesował się polityką. Wertowanie „Dziennika Bydgoskiego” zaczynał właśnie od kolumny politycznej, chodził na patriotyczne odczyty, no i rzecz jasna wdawał się w dyskusje z sąsiadami. Nigdy jednak Ania nie widziała go tak rozemocjonowanego jak teraz. Nigdy nie wygrażał pięścią, kiedy słuchał radia, nie wyrażał swoich politycznych przekonań tak dosadnie ani nie mówił o nich z taką zaciętością. Kiedy żyła Justyna, bardzo się hamował. Wystarczyło, że na niego spojrzeła albo poklepała go po dłoni, a łagodniał, co najmniej jakby w przedziwny sposób dozowała mu krople walerianowe. Nikt nie działał na niego jak ona. A teraz jej nie było i prawdziwa natura Jana dawała o sobie znać.

Ojciec długo i z nienawiścią prawił o Hitlerze i poczynaniach nazistów, a Ania uważnie i z trwogą słuchała. Przerazały ją te krwawe wizje, ale nie wchodziła z nim w dyskusję. I tak nie przekonałaby go, że może się mylić, że niemożliwe jest, by niepokoje zamieniły się w wojnę. Wiedziała, że ojciec zaciekle broniłby swego zdania.

Kiedy skończył, spojrzeł na córkę i najwyraźniej musiał dostrzec w niej niepokój, bo uśmiechnął się z widocznym przymusem i zwrócił się do niej z nieznaną Annie czułością:

– Przepraszam, że cię nastraszyłem. Nie chciałem, bo przecież musimy wierzyć i w sojuszników, i w naszą armię. Ja wierzę. – Uderzył się w pierś, jakby tym gestem chciał podkreślić wagę swego wyznania. – Wierzę w nią jak nigdy wcześniej, ale... czujność musimy zachować. Nasłuchiwać zagrożeń.

– Tak, papo.

Spojrzeł na ceratę. Starą, tu i ówdzie już poprzecieraną.

– Herbaty bym się napił.

– Już ci robię.

– Tylko cukru nasyp! Choć pół łyżeczki. Od tej goryczy żołądek mi skręca.

\*\*\*

Jesień w domu Łabędziów była w tym roku inna. Smutek po odejściu Justyny unosił się w powietrzu. Nikogo nie cieszyły ani późne maliny, których niewielka uprawa od lat była ich powodem do dumy, ani dorodne owoce dzikiego bzu, które po przetworzeniu wedle rodzinnego przepisu na zdrowotny syrop reperowały nieco domowy budżet, bo wszystkie sąsiadki wiedziały, że syrop Łabędziowy to najlepszy specyfik na podniesienie odporności przed pierwszym mrozem.

Ania pracowała więcej, bo Wężyk zwolnił jednego podrostka z zaplecza po tym, jak przyłapał go na przelewaniu do własnej butelki restauracyjnej berbeluchy. Zaoferował Łabędziównie kilka złotych za przejęcie nowych obowiązków. Początkowo nie chciała się zgodzić, bo musiała mieć przecież baczenie na ojca, który zapominał o lekach, a już na pewno nie jadał regularnie; koniec końców jednak nie mogła odmówić. Bała się, że wtedy Wężyk zrezygnowałby i z niej.

– Wiem, że mnie wykorzystuje – powiedziała do Radka, kiedy pewnego dnia przyszedł po nią do pracy. – Ale co mam zrobić, skoro w okolicy nie ma żadnej roboty, a my potrzebujemy pieniędzy.

– Nie aż tyle, żebyś musiała się zaharowywać. Ja mogę więcej dokładać.

– Lubię, kiedy się o mnie troszczysz, braciszku, ale ty lepiej odłóż na to lokum w Bydgoszczy, bo całe życie będziesz kątem u ludzi pomieszkiwał.

– Do Bydgoszczy też mi niespieszno.

– Jak to? – Złapała go pod ramię. – Przecież tylko o niej ostatnio mówiłeś.

– Ale sporo się zmieniło.

– Ta wdowa z Bydgoszczy, co się z nią widywałeś... To już nie chodzisz do niej, tak?

– Eee... – cmoknął. – Tak. Ona mnie za męża chciała, a gdzie ja z taką zamożną kobietą? Wszyscy by na mnie krzywo patrzyli, że za forszą poszedłem, a ja tak nie chcę.

– A od kiedy ty się ludźmi przejmujesz?

Radek przeczesał palcami nieco przydługą grzywkę.

– Do stolicy chyba pojedę.

– Naprawdę? Przecież zawsze śmiałeś się na myśl o Warszawie. Nie pamiętasz, jak mi odradzałeś wyjazd?

– Aaa... Ostatnio pracowałem z takimi z Barcina i nagadali mi o Warszawie, bo sami tam jadą. Ja chyba też bym chciał. Co za różnica, w którym mieście mam zaczynać, skoro wszędzie i tak od zera?

Ania ze zrozumieniem pokiwała głową.

– A mnie się wydaje, że ty do tej Warszawy chcesz jechać przeze mnie, co? Bo byś za mną za bardzo tęsknił?

Radek zrobił głupkowatą minę, która zawsze ją bawiła.

– Zapomniałem, że nikt nie zna mnie lepiej niż ty.

– To rozumiałe – odparła zuchwale. – Ale to samo mogłabym powiedzieć o tobie.

– Kiedyś tak, ale teraz to pewnie Jola cię lepiej zna, hę? Wydaje mi się, że ostatnio to z nią spędzasz najwięcej czasu. – W jego głosie Ania dosłyszała nutę żalu.

– Radziu, skoro ciebie nie ma w domu całe dni i... noce, to z kim mam rozmawiać? Cieszę się, że jest Jola, bo Ewcia ma teraz ślub na głowie, a nie pogaduchy.

– Też lubię Jolę, ale trochę za bardzo przygruchała sobie Olka, bo...

Ania szturchnęła go żartobliwie.

– Bo braciszek nie szwenda się już z tobą? Daj spokój, nie żałuj chłopakowi.

– A czy ja żałuję? – zaperzył się. – Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem. Ale cieszę się, że taka dziewczyna jak Jola zadurzyła się w Olku. Ma na niego dobry wpływ. Przecież Olek teraz złagodniał. Po spelunach nie chodzi i w domu więcej pomaga niż ty.

– Fakt.

– Powiem ci, że na początku jej się dziwiłam, bo jeśli ktoś by mnie zapytał, powiedziałabym, że do siebie nie pasują ani trochę. Woda i ogień. Bardziej bym z Jolą widziała ciebie. Przecież z wyglądu jesteście niemal identyczni, no może Olek trochę szerszy w barach. – Radek na te słowa dał jej pieszczotliwego kuksańca. – Ale to ty masz więcej ogłady, jesteś bardziej obyty, wyedukowany, no wiesz... W szkole zawsze lepiej ci szło, a Olkowe cenzurki do ramek się nie nadają.

– Ale wybrała jego...

Ania spojrzała na brata z ukosa.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś zazdrosny?

Nie odpowiedział, bo nagle, jakby wilki wywołane z lasu, zza rogu wyłonili się Jola z Olkiem.

Był późnowrzesniowy, ale jeszcze ciepły wieczór, usiedli więc we czwórkę przed domem, na krzesłach wystruganych wiele lat wcześniej przez ojca. Ania kroїła drożdżowca z malinami, którego upiekła poprzedniego dnia, i nalewała mleka do szklanek. Zaprosili też ojca, ale nie chciał do nich dołączyć.

Prawie do północy rozmawiali o swoich codziennościach, o tym, co aktualnie działo się w Fordonie i w Jaruzynie. Jola opowiadała o uczniach i żaliła się, jak ciężko, pomimo nakazów prawa, zmusić niektórych rodziców do wysyłania pociech do szkoły. Nad zdobycie wykształcenia ważniejsza była praca w obejściu, na roli, opieka nad młodszym, często bardzo licznym rodzeństwem. Opowiadała też o pladze wszawicy, z którą przyszło jej walczyć, i o tym, jak dzielnie w tej walce pomagał jej Olek. Ten z kolei gadał jak najęty o Herr Ramsteinie, któremu wraz z Radkiem kładli przed zimą nowy dach. Najkwieściej opowiadał o jego dorastającej córce, Kornelii, która miała oko na Radka i karmiła go smakołykami wykradanymi z domowej spiżarki. Dostał za to od brata solidnego kopniaka w kostkę i aż jęknął z bólu. Ania mówiła o weselnych przygotowaniach swojej przyjaciółki, Ewy Mandycz. O sukience szytej na miarę i dylemacie w kwestii obrusów na biesiadnych stołach.

Śmiali się, przekomarzali i żadne z nich słowem nie napomknęło o sprawach politycznych, mimo że zajmowały one każdego. Chcieli oderwać się od zgrzytliwych haseł i kłujących w oczy sloganów, które budziły w nich głęboki niepokój.

Nagle jednak miny im zrzędyły i ucichli, bo Ania wspomniała mamę. Zrobiło się smutno i Jola chciała się już zbierać do domu, ale wtedy zaczął wspominać Radek. Opowiadał o pogodnych chwilach z mamą, a nawet zabawnych. Olek do niego dołączył, a na końcu Ania, choć ona, wtulona w ramię brata, mówiła przez łzy.

– Bardzo żałuję, że nie poznałam waszej mamy lepiej – stwierdziła Jola.

– Ja tam się cieszę, że w ogóle ją poznałaś – wtrącił Olek. – I że ona poznała ciebie. I polubiła.

Jola pokiwała głową.

– Tak. Masz rację. Dobrze, że choć to było mi dane.

\*\*\*

Mimo smutku, który czuli po stracie Justyny, jesień okazała się dla nich dobra. Wbrew złym nowinom ze świata w Fordonie było spokojnie, wręcz nudno. Mieszkańcy żyli w zgodzie, a konflikty rozwiązywali, zanim na dobre się rozkręciły. Nawet o Dziarkowskim ucichło, jakby po wypadku z Manią Kwiatkowską zapadł się pod ziemię. Mani jednakże też nie było widać. Z nogami w gipsie nie ruszała się poza dom.

Ci, którzy mieli pola i ogrody, zbierali ostatnie plony. Część sprzedawali na targu albo sąsiadom, a część zostawiali sobie i robili przetwory na zimę. W piwnicach i ziemiankach, które miał każdy zaradny gospodarz w okolicy, piętrzyły się stosy ziemniaków, rzepy, brukwi i jarzyn, a w suchych stodołach i na strychach pachniało wymłócone zboże.

Cegielnia nadal pracowała pełną parą. Mówiono, że jest największa w okolicy, a nawet w kraju. Prężnie działała, to fakt. I dawała miastu najwięcej miejsc pracy. W sąsiednich zakładach i fabrykach też nie działo się najgorzej. Zwalniano mało kogo. Za to chętnych do otwierania nowych

interesów nie przybywało. Najważniejsze było jednak to, że ludzie mieli co jeść, głód doskwierał nielicznym, a przytułek dysponował funduszami, które mógł przeznaczać na pomoc najbiedniejszym i poszkodowanym przez los.

Jesień u Łabędziów przyniosła klęskę urodzaju w postaci ziemniaków i kalafiorów. Na małym poletku za domem zebrali tyle, że część mogli spieniężyć, a nawet oddać Joli, która plonów nie miała żadnych, bo też nikt na jej lichym łanie niczego nie posadził. Za to w jej sadzie gałęzie uginały się od zielonożółtych antonówek i potężnych okazów szarej renety. Jola nigdy specjalnie nie przepadała za jabłkami, więc bez żalu podzieliła się zbiorami z rodziną Łabędziów oraz z okoliczną biedotą, zdobywając w ten sposób szacunek.

\*\*\*

W październiku Ewcia Mandyczówna wychodziła za mąż. Ania nie chciała iść na wesele. Nosila przeciw żałobę po śmierci mamy. Tymczasem ojciec, ku jej zaskoczeniu, stwierdził, że mama by jej nie wybaczyła, gdyby nie poszła.

Po takiej argumentacji Ani nie pozostało nic innego, jak przyjąć zaproszenie. Nie miała tylko partnera. Od kilku miesięcy nie spotykała się z żadnym chłopcem, a brata rodzonego za nic nie wzięłaby na osobę towarzyszącą. Wystawiłaby się jedynie na kpiny i natychmiast przyszyto by jej łatkę nieudacznej dziewczyny, co to nawet absztyfikanta nie potrafi zwabić.

– A Antek przypadkiem nie idzie sam? – zapytał Radek, zasiewając w niej ziarno niepewności i nadziei.

Następnego dnia mogła to sprawdzić, bo młody Dziarkowski zwyczajowo zjawił się z dostawą w „Wiślanej”.

– Słyszałam, że idziesz sam na ślub do Ewy – zablefowała.

Nie miała pewności nawet co do tego, że w ogóle się wybiera. Wiedziała tylko tyle, że został zaproszony.

– No idę. A ty z kim? Z tym chłopakiem z Bydgoszczy?

– Przestań! – Skrzywiła się, by po chwili rozjaśnić twarz uśmiechem. – Z tobą idę.

– Co? – Antek z wrażenia wypuścił z rąk skrzynkę z jabłkami, robiąc przy tym mnóstwo hałasu, bo owoce rozsypały się po korytarzu.

Spłoszony, rzucił się, by je zbierać, a Ania, naśmiewając się z jego niezdarności, pomagała mu.

– Widzimy się w kościele, o trzeciej – zdecydowała. – Ale mam żalobę, więc tańce wybij sobie z głowy.

– Jasne. Mogę... Mogę po ciebie przyjechać do domu – wymamrotał.

– Antek... – Ania wyprostowała się i złapała pod boki, jakby chciała go obsztorcować. – Ty sobie za wiele nie wyobrażaj. To nie będzie żadna randka, rozumiesz? To, że idziemy tam razem, o niczym nie świadczy.

Antoni zmrużył oczy, a jego twarz nabrała jakiegoś demonicznego, nieznanego jej wyrazu. Ania cofnęła się o krok i pomyślała, że może potraktowała go zbyt ostro. Nie było jednak czasu na łagodzenie sytuacji, bo w korytarzu stanął Węzyk i rzucił utarty tekst, którym karmił wszystkich swoich pracowników:

– Za gadanie ci nie płacę. No już!

\*\*\*

Ślub Ewy i Walentego był skromny, bo obie rodziny nie należały do zamożnych. W szczególności Mandyczowie, którym od lat się nie przelewało i wiedzieli o tym wszyscy w Fordonie. Przyjęcie odbywało się w domu rodzinnym Walentego. Na podwórku znalazło się miejsce i na stół, i na podest na tańce. A te trwały do białego rana. Jako ostatni z desek zeszedli zachwyceni weselem państwo młodzi oraz... Antek, który obtańczył wszystkie możliwe panny z wyjątkiem Ani. Nie darował nawet mężatkom i wdowom, wzbudzając zachwyt swym sprężystym krokiem szczególnie wśród dojrzałych kobiet.



– Nie miałam pojęcia, że tak dobrze prowadzisz – stwierdziła Ania, kiedy odprowadzał ją do domu. – Kto cię tego nauczył?

– A nie będziesz sobie ze mnie dworować?

– Pewnie, że będę – parsknęła. Nie była pijana, ale rozweselona, bo Antek przy każdej sposobności dolewał jej weselnego napitku. – Ale jak nie powiesz, zadręcę cię pytaniami na śmierć, a nawet i po śmierci będę cię gnębić, Antosiu, Antoneczku... – żartowała.

Przez cały ślub i wesele Dziarkowski nie odrywał od niej oczu. Teraz też. Patrzył, jak zarzucała włosami, jak marszczyła mały nos, jak muskała palcami szyję, zazwyczaj bezwiednie, ale czasami i umyślnie.

– W domu tańczę – wyznał niemal szeptem. – Jak ojciec nie patrzy albo gdzie znika. Z mamą. Bo ona kiedyś była tancerką i mnie nauczyła.

Ani aż się oczy zaświeciły z zachwytu.

– No coś ty?! I nigdy nic nie mówiłeś? Tancerką?

– Tak, w rewii była od nastolatki – wyznał, a potem nagle jakby pożałował tego, bo dodał: – Ale jakby ojciec się dowiedział, że ci powiedziałem...

– Przecież to nic zdrożnego. Praca jak każda, a może i lepsza... Taka światowa. Dużo się dzieje, pełno znajomości. Świetne stroje! Buty na obcasach, pończochy i tyle sukienek! Rety! Antek! To świetna sprawa. Tancerka! – świergotała.

Antek uciszył ją syknięciem, a potem rozejrzał się po oknach i bramach, jakby chciał się upewnić, że nikt nie słyszał słowa „tancerka”.

– Dla mojego ojca każda – ściszył głos – tancerka to... No wiesz... Dziwka.

– Przecież to niedorzeczne. Sama znam kilka dziewczyn z Bydgoszczy, które tańczą w teatrze. W Fordonie też mieliśmy występy tancerek. To porządne dziewczyny – stwierdziła z przekonaniem Ania. – Poza tym, czy nie uważasz, że twój ojciec nie ożeniłby się z tancerką, gdyby uważał ją za... No wiesz...

Antek nie odpowiedział, tylko burknął coś pod nosem.

Ania słyszała od kobiet na targu, że Dziarkowska za młodu była wyjątkowo piękna. Że miała urodę największych gwiazd filmowych, a spojrzenie niezwykle, wręcz elektryzujące. Teraz nie było w niej dawnego blasku. Żadnego blasku nie było. Owszem, wyróżniała się porządnym, acz nie najmodniejszym strojem, starannym uczesaniem, ale z jej spojrzenia bił dojmujący smutek.

Przez chwilę szli w ciszy, ale widać było, że Antkowi coś jeszcze leżało na wątrobie. W końcu odezwał się:

– Pomyśl, no, pomyśl tylko... Co to za fach? Tancerka... – Z jego słów wybrzmiewała pogarda. Ania ze zdziwienia aż rozdziawiła usta. Nie podobał jej się ten ton. – Dla przyjemności, na potańcówkach, ale żeby wywijać przed gębami facetów gołym tyłkiem...? To beznadziejny zawód. Nawet nie wiem, czy to jaki zawód. Dobrze, że już dawno tego nie robi, bo bym ze wstydu zdechł.

– Głupi jesteś – skwitowała Ania i wydłużyła krok. – Ciesz się, że masz matkę!

Nie miała już ochoty na towarzystwo, ale Antoni najwyraźniej czuł potrzebę zwierzeń.

– Nie zrozum mnie źle... Tak mi się powiedziało, a wcale nie chciałem – tłumaczył się nieudolnie. – Wiesz... To nie tak.

– A niby jak? – Ania przystanęła.

W mdłym światełku z przydomowej latarenki dziewczynie wydawało się, że dostrzegła na obliczu Antka wstydlive rumieńce, choć nie mogła mieć co do tego pewności. Może to był efekt wypitego alkoholu?

– Matka jest dla mnie najważniejsza w całym domu. Szanuję ją, ale... Ojciec nieraz pokazywał mi w Bydgoszczy tancerki. Po spektaklu lały na kolana i się śliniły.

Anię zmroziło. Przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć. Wszystkie słowa, jakie przychodziły jej teraz do głowy, uznała za nieobyczajne, ruszyła więc w stronę domu.

„Dziarkowski... – pomyślała z obrzydzeniem – ...brał Antka do burdelu...”

– Wiesz, że ojciec specjalnie cię zabierał w takie miejsca, żebyś trzymał jego stronę? – odezwała się wreszcie, gdy skręcili już w Piłsudskiego. – Czy ty naprawdę myślisz, że wszystkie tancerki są... no... lekkich obyczajów?

Nie odpowiedział i do posesji Łabędziów dotarli w krępującej ciszy. Dopiero kiedy Ania, pełna wewnętrznej złości, otworzyła furtkę i odciągnęła od niej Brutusa, który jak zwykle powarkiwał na Antka, ten odezwał się:

– Nie mów nikomu, że ona tancerka.

– Za kogo ty mnie masz? – rzuciła przez zęby i obdarzywszy go poirytowanym spojrzeniem, weszła na podwórko, starannie zamykając za sobą furtkę.

\*\*\*

– Ja bym chciała jeszcze skromniejszy ślub – stwierdziła Ania w rozmowie z Jolą. – Może być nawet taki... Wiesz... Para młodych i świadkowie. Jak trzeba, to najbliższa, naprawdę najbliższa rodzina.

– Moi rodzice pewnie chcieliby fety.

– Ale ty chyba masz coś do powiedzenia w sprawie własnego ślubu, prawda?

– Teraz na pewno więcej, bo odkąd zniknęli z mojego życia, o wszystkim decyduję sama. – Zebrała się na sztuczny uśmiech, a potem, nie kryjąc nerwowości, dodała: – Czy ty wiesz, że oni odwiedzili mnie tylko raz? A kiedy napisałam do nich list, nie odpowiedzieli. Pojechałam nawet do Bydgoszczy, ale nie mieli dla mnie czasu. To znaczy tata miał i rozmawialiśmy, nawet miło, ale mama wykreśliła się spotkaniem w klubie czytelniczym... – Głęboko westchnęła. – Chyba wolałabym, żeby się wtrącali, ale byli.

– Jak się dowiedzą, że chcesz brać ślub, na pewno się odezwą! – Ania była dobrej myśli. – Bo wiesz... Niektórym trzeba czasu, żeby wszystko w głowie poukładać.

– Staram się wierzyć, ale to niełatwe. Tata prosił mnie, bym była cierpliwa. Jestem. Tylko... – Położyła głowę na ramieniu przyjaciółki. – Tęsknię za nimi i przykro mi, że mnie zostawili.

– Nie zostawili – zaproponowała Ania. – Po prostu muszą wszystko przemyśleć. Wyobraź sobie, że wyjechali w podróż za wielką wodę i nie mają jak napisać. Ale wrócą i wtedy przyjadą, i ci pogratulują.

– Chodzisz z głową w chmurach, Aniu.

– Czasami, jak się bardzo chce, to wychodzi. Tak jak z twoimi urodzinami. – Ania klasnęła w dłonie. – Bo one za tydzień?

– Niczego wielkiego nie planuję, ale chciałabym, żebyście zajechali do mnie.

– No a jak inaczej? Będziemy. Może nawet ojca wyciągniemy?

Jan Łabędź nie opierał się przed wypadem do Jaruzyna. Postanowił również sprawić Jolancie prezent w postaci nowych krzesel, co zaskoczyło ją i zarazem ogromnie ucieszyło, bo te przejęte po poprzednikach piszczały i skrzypiały, chwiały się niemiłosiernie i budziły obawę właścicielki, że lada moment fiknie na którymś z nich kozła.

Ku zdziwieniu domowników to właśnie ojciec szykował się do wyjazdu najdłużej. Ania pomyślała nawet, że może zechce się wycofać, ale kiedy zobaczyła go w korytarzu, zrozumiała tak długi czas przygotowań.

– Do kościoła się tak, papo, nie stroisz – stwierdziła.

Rzeczywiście, należało przyznać, że Jan Łabędź wyglądał paradnie. Ogolił się tak dokładnie, iż nawet drobny kłaczek nie został na bokobrodach. Starannie zaczesał włosy na prawą stronę i potraktował je brylantyną, ale nieprzesadnie, po czym obficie spryskał się wodą toaletową, której nie używał bodaj od pół roku. Granatowy garnitur w drobne prążki, wyglancowane buty, biała koszula i krawat, który zakładał tylko od wielkiego dzwonu, dopełniały całości.

– Fiu, fiu! – zagwizdał Radek, otwierając ojcu drzwi. – I ten ancug!

Ten zmierzył go wzrokiem pełnym dezaprobaty i udał się do furmanki.

Jola przywitała ich ciepłym słowem, a Olka całusem w policzek. Zasiadli do stołu, na którym pyszniły się pieczona szynka, ziemniaki z wody i mizeria. Pośrodku Jola postawiła wazon z bukietem margerytek od Olka. Po daniu głównym podała placek drożdżowy i wyjęła album ze zdjęciami sygnowanymi przez znane bydgoskie atelier Anity i Grzegorza Florkowskich oraz robionymi przez swego ojca, amatorsko parającego się fotografią. Opowiadała gościom historie kryjące się za czarno-białymi odbitkami. Najwięcej, na prośbę Ani, mówiła o wakacjach w Zaleszczykach. Już sama nazwa miejscowości wszystkich zelektryzowała, gdyż Zaleszczyki były w Polsce uznawane za naddniestrzańską Riwierę, ekskluzywną i trudno dostępną dla szarych zjadaczy chleba. Jola mówiła o hotelu Grand, w którym rezydowali dzięki hojności dziadka, o promenadach i piaszczystych plażach, o kawonach<sup>[9]</sup>, drzewach morwowych i makaronikach z morelowym nadzieniem. Olek z Radkiem zapamiętali wertowali album, bo jak się okazało, ojciec Joli miał oko szczególnie wyostrzone na kobiece krągłości, oszczędnie osłaniane przez kuracjuszki.

Jan pierwszy raz od wielu tygodni brzmiał radośnie, a Jola dbała o to, by jego kieliszek nigdy nie był pusty. Talerz również. Komplementowała przy tym stolarskie umiejętności przyszłego teścia i bardzo umiejętnie zagadywała, omijając tematy polityczne.

Zmierzchało, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Biesiadnicy spojrzeli po sobie. Jola uznała, że to może jakieś zapominalskie dziecko przyszło jej złożyć życzenia albo jego rodzic. Otworzyła drzwi.

– Dobry wieczór – wydusiła z trudem, niedowierzając własnym oczom.

– Dobry wieczór – powitała ją śpiewnym głosem matka, a ojciec podał jej dłoń i ucałował w policzek. – Nie myślałaś chyba, córko, że zapomnimy o twoich urodzinach. – Odchrząknęła, po czym przekroczyła próg pokoju i zaskoczona spojrzała po twarzach skonsternowanych Łabędziów. – Widzę jednak, że się wpraszamy.

Niemal jak na komendę Jan Łabędź wstał od stołu, poprawił marynarkę i podszedł do pani Pietranek. Dawno nie widział tak szykownej damy, a do tego wysławiającej się z taką dbałością o czystość każdej głoski. I przy tym tak dumnej.

– Szanowna pani. – Ukłonił się, zadziwiając Józefinę niemal wojskowym drygiem. – Nazywam się Jan Łabędź i szczerze mówiąc, liczyłem na spotkanie z panią oraz... – spojrzał porozumiewawczo na Ryszarda, który uśmiechnął się i wyciągnął dłoń do Jana – ...z panem.

– Ekhm... – Józefina zaledwie mruknęła, a potem odchrząknęła, przesłaniając usta wierzchem dłoni.

Jan spojrzał na klapę garsonki Józefiny, w którą wczepiona była francuska flaga, a gdy otworzył usta, popłynęła z nich perfekcyjna francuszczyzna. Zupełnie jakby nazywał się Jean le Cygne, a nie Jan Łabędź.

Ania, Radek i Olek się zdumieli. Olek stęknął, a Jola uniosła brwi i spojrzała pytająco na przyjaciółkę. Ania, która ocknęła się dopiero po chwili, zareagowała ledwie dostrzegalnym wzruszeniem ramion. W domu Łabędziów nikt nie mówił po francusku. Ojcu nigdy nie wymsknęło się nawet zwykłe „merci”, a co dopiero śpiewne zdania, wypowiedane z lekkością większą niż te po niemiecku. Ania wiedziała, że podczas wojny papa walczył gdzieś w centralnej Francji. I to było wszystko, bo kiedy pytała go o to, burczał na nią i odmawiał uchylecia choćby rąbka wspomnień. Matka też nigdy się nie zdradziła.

Pokój zalały świergotliwe słowa brzmiące jakże inaczej od szeleszczącego języka ojczystego. Jan po wymianie grzeczności zaprosił zaskoczoną Józefinę do stołu i osobiście uraczył ją oraz Ryszarda nalewką, a kiedy pani Pietranek się rozluźniła, znowu zagadnął ją po francusku. Musiał opowiadać o czymś zabawnym, bo Józefina co chwilę wybuchała niemym chichotem, zakrywając przy tym usta, jakby wesołość była jednym ze stanów, które nie przystoją wytwornej damie.

– Czy ty coś z tego „żyżyży” rozumiesz? – Olek zagadnął szeptem Anię, a ona pokręciła głową.

- Zupełnie nic. Papa nigdy nie mówił, że zna francuski.
- Ja to mam wrażenie, że on po francusku mówi lepiej niż po polsku.
- Na pewno więcej – podsumowała.

W rzeczy samej. Jan Łabędź snuł opowieści, ale tylko po francusku, bo kiedy wracał do polskiego, znowu stawał się powściągliwy.

Kiedy opuszczali progi domu Joli, wszystkim dopisywały humory. Józefina, aczkolwiek na początku nic na to nie wskazywało, wyglądała na zadowoloną z przyjazdu, a kiedy wsiadała z mężem do fiata, umawiała się już z Łabędziami na kolejne spotkanie. No, może nie tyle z Łabędziami, co z Janem.

– Co to było, papo? – Ania nie wytrzymała, kiedy ruszali w drogę powrotną.

– Miłe spotkanie – skwitował, jakby mówił o odczycie, w którym wziął udział jako bierny słuchacz.

– Miłe spotkanie?! Papo, ty byłeś gwiazdą wieczoru!

– Nieprawda – odparł, wydmuchując w niebo kłęb papierosowego dymu.

– Prawda, ojciec – stwierdził Radek, pociągając lejcami. – Takim cię nigdy nie widziałem.

– Znasz francuski? Skąd? Kiedy się go nauczyłeś? I dlaczego my nic o tym nie wiemy? – Ania zarzucała ojca pytaniami.

– Eee... – Jan machnął ręką, a potem splunął strzępem tytoniowego liścia.  
– Tylko trochę znam.

– Trochę to ja znam z rozmówek publikowanych w gazecie. Ty znasz, papo, lepiej niż polski.

– Taka prawda – dodał Radek.

– A dajcie mi święty spokój! – Jan cisnął peta w pole. – Nie pytajcie. I tak nie powiem, a poza tym... No, zrobiłem, co było trzeba.

„Co było trzeba...?” – powtórzyła Ania w myślach, nie rozumiejąc znaczenia tych słów.

Pojęła je dwa tygodnie później. Po powrocie z pracy ujrzała przed furką fiata państwa Pietranków. Nikt nie zapowiadał wizyty, weszła więc do domu z przestachem, bo wyobraźnia podsuwała jej same czarne wizje: że zdarzył się wypadek lub że ktoś ciężko zachorował. Kiedy otworzyła drzwi, doszedł ją ojcowski śmiech i napięcie czmychnęło. Nie zawołała jak zwykle „dzień dobry” albo „już jestem”, tylko po cichu, niczym szpieg, zbliżyła się do pokoju ojca i przystawiła ucho do drzwi. Nie zdążyła jednak niczego usłyszeć, bo te otworzyły się nagle, a ona niemal straciła równowagę. Przed nią stał rozpromieniony Jan Łabędź w towarzystwie... Ryszarda Pietranka.

Ojciec na widok córki natychmiast spochmurniał.

– A co to? Jak to tak? Podśluchiwałaś? Aniu!

Ryszard uspokajająco poklepał go po łopatce.

– To nic – powiedział. – Przecież niczego złego nie mogła usłyszeć. Raptem to, że próbujemy Józefinkę moją do Oleczka przekonać. A to żadna tajemnica. Ania spostrzegawcza, więc na pewno sama wszystkiego się domyśliła.

Łabędziówna gorliwie pokiwała głową, choć o konszachtach ojca z Pietrankiem nie miała pojęcia. Teraz jednakże wszystko zaczęło układać jej się w całość. Przesadnie wykwintne zachowanie ojca na urodzinach Joli, zaangażowanie w rozmowę z Józefiną, no i ten szykowny strój. Nie mówiąc o perfumowanej wodzie, której sobie wtedy nie żałował. I o pogaduszkach po francusku!

– Szczęściu czasami trzeba pomóc – dodał Ryszard takim tonem, jakby zdradzał jej największy sekret w dziejach świata, i poprowadził ją korytarzem w kierunku wyjścia. – Bardzo bym prosił... – mówił cicho, acz zasadniczo, bez wcześniejszej łagodności – ...aby nasza tajemnica pozostała naszą. Józefina w żadnym razie nie powinna się dowiedzieć, że obłaskawienie ją francuszczyzną to był mój pomysł.

– Tak, oczywiście. Ja zawsze w takich sytuacjach milczę jak grób, proszę pana.

– No widzisz, Janku! – Gość spojrział na nadal pochmurne oblicze Łabędzia. – Załatwione. Masz naprawdę mądrą córkę.



\*\*\*

Pewnego wieczoru, kiedy ojciec wrócił od Warzechy na rauszu, wygadał się przed Anią, że Ryszard odwiedza go przedpołudniami w co drugi wtorek. Przywozi paczkę dobrych francuskich papierosów, a czasami jakiś alkohol. I rozmawiają, na podwórku posiedzą, a niekiedy radia posłuchają.

– Dobrze się dogadujemy – skwitował Jan, a potem dodał bełkotliwie: – Rysiek to nie jakiś inteligent, co to innych nie widzi i nosa zadziera. Józeczka to bardziej, ale cóż ona może, skoro tak wychowana. Rysiek ma chłopskie korzenie, ale udało mu się daleko zajść, bo właściciel folwarku go lubił. No i pieniądze wyłożył na naukę. To bardzo dziwne. Nigdy takiej historii żem nie słyszał, ale skoro Rysiek tak mówi...

Jan nigdy dotąd nie miał przyjaciela. Co najwyżej kolegów do kieliszka, do politycznych dysput, do bokerskich pojedynków, kiedy jeszcze w „Astorii” bywał. Na pierwszy rzut oka mężczyźni pochodzili z zupełnie różnych światów. Byli jak dwa bieguny kuli ziemskiej, bo czego mógł od zwykłego stolarza chcieć dyrektor szkoły? Hmm... Czegoś jednak chciał, skoro się pojawiał. Na początku to była wdzięczność za opiekę nad Jolą, kiedy ta przyjechała do Jaruzyna i nie mogła liczyć na rodziców. Potem wdzięczność ustąpiła czemuś więcej. Ryszardowi zaczęło zależeć na spotkaniach z Janem, na ich męskich rozmowach i przechadzkach po obejściu. Jakby tęsknił za przeszłością. Zadawał dużo pytań, a Jan odpowiadał, niemniej zazwyczaj zdawkowo. Nieoczekiwanie dla obu mężczyzn ich znajomość przerodziła się w szczerą przyjaźń, a o jej sile Jan szybko miał się przekonać.

Listopadowe święto zmarłych na nowo rozgrzebało wciąż jeszcze świeże rany po odejściu Justyny. Jan zamknął się w pokoju i odmówił pójścia na cmentarz z rodziną. Od rana pił, jakby liczył na to, że alkohol pomoże mu zapomnieć. Nie pomógł. Jan, pomimo usilnych próśb swoich dzieci i Joli, nikogo nie chciał wpuścić do pokoju. Drzwi uchylił dopiero w momencie, gdy usłyszał za nimi wezwanego przez Anię Pietranka. Wpuścił go do swojej jaskini smutku, a Ryszard został z nim na całą noc. Najpierw słyhać było lamenty Jana i słowa pocieszenia ze strony Ryszarda, potem Jan

strugami wypluwał z siebie przekleństwa, a na koniec zalał się łzami, jakby nawiedziła go sama bogini Oizys. Poszli spać grubo po północy, a wstali skoro świt i po lekkim śniadaniu we dwóch pojechali na cmentarz. Jan wrócił sam, po kilku godzinach, i ponownie zamknął się w pokoju. Wyszedł z niego pod wieczór, zupełnie trzeźwy, a co więcej – porządnie ubrany. Udał się do kuchni i powiedział:

– Zupy bym zjadł, córuś. Czy coś dla mnie masz?

Jeszcze przez dwa dni chodził jak struty, ale już nie pił i nawet pracował w warsztacie. Trzeciego dnia zaś, wraz z nadejściem mgły, wrócił do dawnego siebie, jakby gęsta niczym kozuch na mleku biel okryła nie tylko brunatne zwały ziemi na polach, ale i jego smutek.

## ZUPEŁNIE INNE ŚWIĘTA

Ania wiedziała, że Boże Narodzenie tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku będzie zupełnie inne od wcześniejszych. Pragnęła gorąco, by mama żyła, by piekła ciasta, gotowała tradycyjne dania, a potem zajęła zwyczajowe miejsce u szczytu stołu i dyrygowała przebiegiem uroczystości... Ania obawiała się, że bez niej nie poczują ducha świąt. Jakże się zdziwiła!

Kiedy wraz z braćmi wysprzątała dom, umyła okna, a nad drzwiami wejściowymi powiesiła gałązkę świerku, Jan wystrugał z kłody drewna świąteczne drzewko.

– Kiedyś obiecałem Justynce, ale nigdy czasu nie starczyło – powiedział, stawiając je na stole. – Niech choć twoje oczy nacieszy, córciu.

Drzewko cieszyło oczy nie tylko Ani, ale i pozostałych członków rodziny. Wyglądało niczym drogi prezent ze sklepu w domu towarowym – fantazyjne żłobienia Łabędź wykonał niemal z jubilerską precyzją. Ania widziała podobne ozdoby w bydgoskich witrynach: u modystki Waltz i zegarmistrza Dylonga. Tamte były dodatkowo oświetlone, a pod nimi ułożono miniaturowe kartoniki owinięte kolorowym papierem i wstążką. Przechodnie zatrzymywali się i podziwiali cuda jak z zagranicznych żurnali.

– Tata powinien takich więcej zrobić. Sprzedałyby się za dobre monety – stwierdził Olek, ale Jan tylko machnął ręką.

W dużym pokoju bracia ustawili choinkę, którą wyszukali w pobliskim zagajniku. Ania znacznie wcześniej niż zwykle, bo na tydzień przed Wigilią ozdobiła ją suszonymi jabłkami, cukierkami i papierowymi łańcuchami wykonanymi przez dzieci z Jaruzyna. Razem z Radkiem przygotowała dziewięć potraw. Na prawdziwki w cieście, kutię i sandacza nie mogli sobie pozwolić, ale to, co udało jej się zdobyć, rozłożyła na dwunastu

półmiskach, symbolicznie, by tradycji stało się zadość. Gdy pierwsza gwiazdka rozbłysła na kobaltowym niebie, Jan sięgnął po Pismo Święte i przeczytał fragment o narodzinach Jezusa z Ewangelii świętego Łukasza. Potem wspólnie zmówili modlitwę, podzielili się opłatkiem i usiedli do stołu, przy którym zostawili nie jedno, a dwa puste nakrycia. Pierwsze było dla strudzonego wędrowca; drugie dla Justyny.

Ania myślała, że ojciec popadnie w apatyczny nastrój, posmutnieje i nie zechce z nimi siedzieć, a on tymczasem był zadziwiająco pogodny. Przyjęła to jako dobrą wróżbę. Jan co prawda spoglądał tęskno w miejsce, gdzie zawsze zasiadała żona, ale nie zamyślał się i nawet z żywym zainteresowaniem słuchał, jak Olek opowiada o Jaruzynie.

– Tam naprawdę dobrze się Joli mieszka, a mnie... wiecie... yyy... – zająknął się, a potem dodał: – Pomieszkuje. Może nie ma luksusów, ale mury solidne, okna niegorsze, a dach po naprawie ani kropli deszczu nie puszcza... – Mlasnął, po czym przeprosił za nietaktowne zachowanie, zaskakując tym wszystkich. Wcześniej zdarzały mu się mlaśnięcia i beknięcia, ale o przeprosinach nie było mowy. Ania pomyślała, że Jola ma na jej brata niezwykły wpływ. – Kurnik w końcu się przydał, a kury zaczęły się Joli nieść i jakie jajka dają! Wielkie jak pięść! I ziemiankę naprawiłem, nie śmierdzi już zgnilizną...

Olek opowiadał o tym z taką ekscytacją, że nikt nie miał odwagi mu przerwać, a wszyscy patrzyli na niego z zaciekawieniem, bo choć należał do wygadanych, takiej lekkości w mówieniu dawno u niego nie słyszeli.

Gdzieś pomiędzy kolejnymi porcjami barszczu, którego zawsze brali dokładkę, Ania zainicjowała śpiewanie kolęd, bo u Łabędziów ta rola dotąd przypadała mamie. Zaczęła więc ulubioną kolędą Justyny *Lulajże, Jezuniu* i wszystkich, również opornego tatę, wciągnęła do wspólnego śpiewania.

Rodzina Łabędziów nigdy nie opływała w luksusy, ale drobne prezenty pod drzewkiem znajdowały się zawsze, i to dla każdego. Zwyczajowo obdzielano nimi po zjedzeniu kapusty z grochem, bo gdyby robiono to wcześniej, dzieci nie tknęłyby jej za nic w świecie.

Jan przez całą kolację nerwowo zerkał na zegarek i rzucał Olkowi porozumiewawcze spojrzenia. Ania zdecydowała, że nie będzie dociekać, o co im idzie. I dobrze, bo tuż przed osiemną, słysząc zajeżdżający przed dom samochód, a potem ujadanie Brutusa i zgrzytnięcie furtki, w lot zrozumiała podstęp.

– Goście? – udała zdziwienie, widząc, jak ojciec podrywa się z krzesła.

Po chwili w progu fordońskiego domu stanęła rodzina Pietranków. Przynieśli ze sobą kilka dań, w tym sandacza, słynną bydgoską roladę makową, kutię i pomarańcze, których Ania nawet w sklepach nie widywała. Wręczyli też symboliczny prezent dla całej rodziny w postaci dwóch cerat kuchennych w modny kraciasty deseń. Ania ucieszyła się z nich ogromnie, bo stara ceratka wołała już o pomstę do nieba. Jan jakby się gości spodziewał, bo i on na ręce Józefiny przekazał podarek: wystrugane z dębowej kłody świąteczne drzewko, bliźniacze do tego, które zdobiło ich dom. Prezent okazał się wyjątkowo trafiony, bo Pietrankowa aż klasnęła w dłonie i wyrzuciła z siebie ciąg pełnych ekscytacji słów po francusku.

Długo składali sobie życzenia, a potem zasiedli do stołu. Zrobiło się ciasno, jednak nikt nie narzekał.

– Co za niespodzianka! – Ania szepnęła do Joli, kiedy gwar przy stole pozwolił im na chwilę prywatnej rozmowy. – Dlaczego nic nie mówiłaś?

– Bo nie wiedziałam.

– Naprawdę?

– Mnie też tata zaskoczył.

– We dwóch z moim coś uknuli.

– Na pewno, bo mama też nie miała pojęcia, ale, o dziwo, zgodziła się przyjechać bez oporów – skłamała Jola, bo Józefina wcale nie rwała się do tego, by wigilijny wieczór spędzić w skromnym fordońskim domu, a nie w ich wygodnym mieszkaniu.

Wspólnie odśpiewali *Bóg się rodzi* i kiedy Ania podała wykwintną roladę makową, zachwalaną przez Józefinę, Olek hałaśliwie odsunął krzesło.

– Ja bym... – odchrząknął. – Chciałbym coś powiedzieć. – Oczy wszystkich zwróciły się na niego, ale on gapił się tylko w jednym kierunku, na Jolę. – Być może to jeszcze nie jest długo... No na pewno nie jest, bo to ile...? Raptem, jakby nie patrząc, trzy, no cztery miesiące... – jąkał się, słowa mu się plątały, a na czoło wystąpiły krople potu, choć w pokoju było ledwie ciepło. Zupełnie zapomniał o językowej ogładzie, o którą tak dbał w obecności Józefiny. – Jeszcze niedawno zarzekałem się, że nigdy... Że gdzie mi tam do tego... no... Ale po prostu żadna nie była taka jak Jola... – Ania spojrzała na przyjaciółkę. W jej oczach pobłyskiwały łzy, a usta drżały. – I ja od początku wiedziałem, ja czułem i czuję, i wierzę, że zawsze będę to czuć...

Wyciągnął z kieszeni sakiewkę, rozsypał ją i wydobył złoty pierścionek. Ania od razu poznała, że to biżuteria po mamie. Zacisnęła usta, by nie zapłakać w głos. Spojrzała na tatę, który z dumą patrzył na oświadczającego się syna, a potem na Józefinę. Ta wyraźnie zbladła. Ryszard za to przyglądał się całej scenie z uśmiechem.

Olek podszedł do Joli i uklęknął na jedno kolano. Wziął jej dłoń i ucałował, a potem znowu odchrząknął i zapytał:

– Jolu, najdroższa, czy zostaniesz moją żoną?

Dziewczyna bez chwili zastanowienia pokiwała głową. Najpierw ledwie widocznie, a potem bardzo energicznie.

– Tak, tak... Tak!

Olek wsunął jej pierścionek na palec, pocałował go i utulił dłoń. Jola ujęła jego twarz i przyciągnęła do siebie. Trwali tak przez chwilę w ciszy. Ani oni niczego nie mówili, ani nikt z zebranych. Jedynym akompaniamentem tej chwili było tykanie starego zegara.

Wreszcie Ryszard z Janem podnieśli się z krzeseł i złożyli narzeczonemu gratulacje. Za nimi pospieszyli Ania z Radkiem. Tylko Józefina siedziała jak słup soli i w milczeniu wpatrywała się w rozradowaną twarz córki, która przed chwilą zgodziła się zostać żoną mężczyzny, któremu daleko było do matczynego wzoru zięcia.

– A więc to tak... – odezwała się z wyższością, głęboko wzdychając. – Oczywiście, życzę wam... Hmm... Szczęścia.

Ryszard uśmiechnął się wymownie na słowa małżonki i puścił oko do córki. Zarówno on, jak i Jan tryskali entuzjazmem. Na chwilę z głów Łabędziów ulotniły się smutne myśli o nieobecności Justyny. Szybko jednak wróciły.

– Szkoda, że Justynka nie doczekała tego dnia – stwierdził Jan, kiedy goście zbierali się do wyjścia.

– Szkoda, tato – potwierdził Olek i objąwszy mocniej Jolę, dodał: – Ale ja myślę, że mama gdzieś tam jest i cieszy się razem z nami.

Jan pokiwał głową i przesłonił usta dłonią, jakby wzbraniał się przed wypowiedzeniem jakichś słów, po czym głośno odchrząknął.

– Nie spodziewałem się tak pięknej Wigilii. Dużo smutku ostatnio, żalu, a powodów do radości niewiele. Wlaliście dzisiaj tyle szczęścia w mury naszej chałupy... – Poklepał Olka po ramieniu. – Masz rację, synu, mama na pewno wszystko widzi i po swojemu się cieszy.

Na koniec Jan wziął pod rękę markotną Józefinę i odprowadził ją do samochodu. Podczas tej krótkiej drogi mówił do niej po francusku, a ona szczerze się śmiała, chichotała nawet. Następnie kilkakrotnie ucałował jej dłoń, zachowując konwenanse i wzbudzając tym jej zachwyty. Gdyby ktoś spojrział na nich z boku, pomyślałby, że stary Łabędź adoruje panią Pietranek. Jemu jednak nie zaloty były w głowie. Po prostu, najlepiej jak potrafił, grał to, na co się umówili z Ryszardem.

# III

## GROMNY CZAS

*Fordon i okolice, rok 1939*



## W ŚNIEGI LICHE I DESZCZE

Styczeń przyszedł, a wraz z nim plucha i pogoda tak bura, że najstarsi fordonianie drapali się po głowach, gdy próbowali przypomnieć sobie podobną zimę. Śniegu było jak na lekarstwo, mróz skuwał okna i chodniki lodem tylko nocą i przysparzał ludziom kłopotów jedynie o poranku, w drodze do pracy czy na targ.

Dzieci wyczekiwały śniegu z niecierpliwością. Co im po deszczu, kiedy one chciały lepić bałwany i urządzać sobie bitwy na śnieżki? Kiedy więc ziemia się zabieliła, szaleństwu fordońskich młokosów nie było końca. Większość zachowywała się poprawnie, ale nie banda Kostka Kowalskiego, która biegała po całym mieście, ciskając kulami śniegu w przechodniów, w okna mieszkań, sklepów oraz restauracyjne witryny.

„Wiślanej”, choć Wężyka unikali, też nie oszczędzili. Kostek huknął w szybę z całej siły, że ta cała zadrzała w lichych drewnianych framugach. Wężyk z wrażenia zerwał się z zydlą, wciągnął haust powietrza i z okrzykiem: „Już ja cię nauczę, bachorze!” – wybiegł z restauracji. Ostatecznie jednak niczego Kostka nie nauczył, bo z tych całych emocji zapomniał o schodkach przed restauracją i wywinął orła na tyle nieszczęśliwie, że w nodze coś mu boleśnie strzeliło. Ania natychmiast posłała po doktora Naborowa, po czym razem z kucharzem i jednym z klientów zabrali Wężyka na zaplecze i położyli na podłodze. Pod głowę wcisnęli mu czysty fartuch.

– Obejrzę nogę, zanim doktor przyjedzie – zaproponowała Ania.

– Nie ruszaj lepiej! Możesz pogorszyć! – Wężyk wydał z siebie głośny jęk.

Ania nie ruszyła, ale zerknęła. I to wystarczyło, by wiedziała, że poradzi sobie z nogą szefa. Niedawno w jednym z doktorowych periodyków

przeczytała szeroki artykuł o złamaniach. Widziała też, jak po wypadku Naborow udzielał pomocy Mani Kwiatkowskiej.

– Niczego nie pogorszę, proszę pana. I chyba musi się pan na mnie zdać, bo nie wiadomo, kiedy doktor przyjedzie, a pan chyba nie chce się wykrwawić.

– Wykrwawić? – Wężyk nagle usiadł i z przerażeniem spojrzał na nogę. Pod rozerwanym ubraniem dostrzegł krwawiącą ranę i aż złapał się za głowę. – O, Boże drogi! Maryjko Przenajświętsza! Trójco Najwyższa! Czy ja umrę? – lamentował.

– Nie wiem, ale na pewno skróci się panu droga na tamten świat, jeśli nie pozwoli mi pan teraz działać.

Beniamin Wężyk mocno chwycił Anię za nadgarstek. Tak właściwie to ścisnął go swoim grubym łapskiem jak imadłem.

– A spieprzysz coś i zemrę, to cię moja zaszlachtuje – zagroził.

Ania wywinęła się z jego miażdżącego uścisku i wstała.

– To wolę nic nie robić, skoro pan taki niewdzięczny. Poczekamy na doktora, ale... – Zerknęła na zegarek. – Zapewne szybko to nie nastąpi.

– Bo co? Bo do mnie mu niespieszno?

– Bo o tych godzinach ma wizyty domowe – zablefowała – i to po prawej stronie Wisły. Przyjedzie tu pewnie za jakieś trzy godziny. Jak nie dalej.

Ania odwróciła się od Wężyka i ruszyła w stronę wejścia na salę restauracyjną.

– Dobra. Wracaj tu, Łabędziówna, i rób, co trzeba – usłyszała i uśmiechnęła się pod nosem.

Bardzo chciała się zmierzyć ze złamaniem Wężyka. Przecież oczami wyobraźni widziała, jak usztywnia mu tę nogę i zabezpiecza ranę, która na jej oko wcale nie była groźna, ale w mniemaniu Wężyka nawet rozcięty palec (lecz tylko własny) groził śmiercią. Właściciel „Wiślanej” był panikarzem i wbrew temu, na jakiego twardego się kreował, trząsł się nad własnym zdrowiem.

– Tylko sprawdź, czy na sali aby kto nie woła.

– Miecia wyszła. Da radę.

Wężyk westchnął z dezaprobatą. Za Mecią nie przepadał. Uważał, że za słabo rachuje, i przez to bał się ją puszczać między gości. Kiwnął jednak głową na znak zgody.

Ania rozcięła nogawkę spodni i kalesony. Były przetarte, więc sknera Wężyk nie zaprotestował. Noga okazała się lekko spuchnięta i nieco zmieniła kształt.

– Złamana – zawyrokowała Ania.

– To pewne?

– Tak wygląda.

Wężyk rzucił coś niewyraźnie pod nosem, a po chwili syknął przeciągle, kiedy sięgnęła po wódkę i przemyła mu ranę.

– Daj. – Wyciągnął do niej rękę, kiedy odstawiała flaszkę. – Znieczulenie jakiegoś mi się należy – wytłumaczył, a kiedy podała mu butelkę, pociągnął kilka łyków. – Czy to musi tak napieprzać?

Skupiona na nodze, nie odpowiedziała. Obwiązała ranę skrawkiem czystego obrusa, którego Wężyk łaskawie pozwolił jej użyć, i przyniosła z korytarza kilka deseczek, którymi usztywniła nogę.

– Już? – zapytał mężczyzna, widząc satysfakcję malującą się na twarzy Łabędziówny.

– Na teraz tak. Trzeba patrzeć, czy nie przesiąka.

– Co „nie przesiąka”? Moja dziura w nodze? Jezusie drogi! Czy dużo krwi mi ubyło? Bo ja słyszałem, że jak dużo, to człowiek słabnie, a potem umiera. A mnie tak słabo się zrobiło.

Ania podała mu szklankę z wodą, ale nie wziął.

– Nic prawie panu nie ubyło, panie Wężyk. To z emocji panu słabo i z bólu.

– O, tak. Boli, boli! – Znowu sięgnął po wódkę. – Kiedy ten doktor będzie? Ty na pewno pod dobry adres posłałaś?

Doktor pojawił się po godzinie. Rzeczywiście był z wizytą domową po drugiej stronie Wisły.

– No, no! – Pokiwał głową, patrząc na robotę Ani. – Uczciwie chyba ten medyczny przegląd wertujesz, skoro tak ci poszło. Będzie z ciebie świetna pielęgniarka, a i doktor może byłby niezgorszy.

– Tak pan myśli?

– Nie inaczej.

– Dziękuję – odparła skromnie Ania i skinęła głową, pomimo że chciała rzucić się lekarzowi na szyję albo chociaż wydać z siebie jakiś tryumfalny okrzyk. Widok dostojnego medyka zawsze jednak ją onieśmielał.

– Czyli nie spieprzyła? – rzucił Wężyk.

– A gdzie tam. – Doktor spojrział z niesmakiem na właściciela restauracji.

– Nie zrobiłbym lepiej, mając w rękach to, co ona.

– A ta moja dziura w nodze? Lało się z niej jak z cebra.

Naborow nawet nie skomentował.

\*\*\*

Ania była tak dumna z siebie i doktorskiej pochwały, że drogę do domu pokonała w podskokach. Kiedy tylko przekroczyła próg, od razu oznajmiła:

– Uratowałam dziś nogę! Wężykowi!

Odpowiedziała jej cisza, mimo że w kuchni świeciło się światło, a zatem ktoś tam musiał być. Przed domem zresztą stał oparty o ścianę rower Radka, którym chłopak codziennie dojeżdżał do pracy.

– Jest tam kto? – Nadstawiła uszu i wtedy usłyszała dźwięki dochodzące z tyłu domu, z warsztatu.

„Pewnie jakąś fuchę mają...” – ucieszyła się na tę myśl, bo od dwóch tygodni z robotą dla ojca było cienko.

Weszła do stolarni i już miała otworzyć usta w radosnym powitaniu, kiedy zobaczyła siedzącego na podłodze bladego ojca. Obok klęczał Radek,

obejmując dłoń papy jasnym ręcznikiem, na którym rozrastała się ciemnoczerwona plama.

– Co jest? – wydusiła z siebie Ania.

– Palec – rzucił krótko Radek, uciskając zranione miejsce.

– Ucięty?

– A dajże spokój! Czemu od razu ucięty? – Radek spojrział z wyrzutem.

– No nie wiem, tak pomyślałam.

– To nie myśl, bo wilka z lasu wywołasz, a u stolarza palec ważny.

– U każdego ważny – odezwał się ojciec. – Przez głupotę, córciu, to wyszło... Zamyśliłem się i brzeszczotem przejechałem. Krew poleciała jak z fontanny. Myślałem, że z butów wyskoczę.

Ania dokładnie obejrzała dłoń ojca. Radek wstał, otarł czoło i sięgnął po papierosa.

– Nie teraz – obsztorcowała go siostra. – Jesteś mi tu potrzebny. Musimy uratować palec.

Odsłoniła ranę i krew trysnęła prosto na jej twarz. Przetarła ją ręką.

– Cholera. Musiałeś w tętnicę trafić.

– W co?

Pokręciła głową.

„Myśl! Myśl! – huczało jej w myślach. – Co by zrobił Naborow?”

– Przynieś wódkę, nożyczki i prześcieradło z szafy – poleciała bratu. – Migiem!

Ścisnęła ranę. Jan syknął przeciągle, ale nie cofnął ręki.

– Doktor powinien to obejrzeć. Trzeba będzie szyć.

– A ty nie możesz?

– Mogę, chociaż nigdy tego nie robiłam, ale... – Przełknęła ślinę i raz jeszcze spojrziała na ranę. – To wygląda poważnie. Być może coś głębiej uszkodziłeś.

Radek przyniósł jej wszystko, o co prosiła, i natychmiast poleciał po doktora. Po kwadransie byli z powrotem.

– To żeś robotę zrobiła, dziewczyno! – Naborow z podziwem spojrział na opatrunek i opaskę uciskową. – Panie Łabędź, ma pan w domu prawdziwy skarb – mówił, otwierając torbę lekarską. – Najpierw poradziła sobie ze złamaną nogą Węzyka, a teraz z pana palcem. Nic tu po mnie.

– Naprawdę? – Ania mimo powagi sytuacji nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

– Trzeba jeszcze zszyć, ale poza tym? Dobra robota – powtórzył i dodał: – Chodź, zszyjesz sama.

– Ja?

– Tak. Nie wezmę wtedy ani grosza.

Na słowa doktora ojciec odważnie wystawił rękę.

Naborow obejrzał jeszcze ranę i zrobił ojcu zastrzyk. Potem podał Ani narzędzia.

– Tak, jakbyś zszywała rozdartą koszulę – wyjaśnił. – I nie spiesz się, ale też nie gramol, bo to może trochę boleć.

Nawet jeśli ojca bolało, to nie dał tego po sobie poznać. Od czasu do czasu jedynie marszczył czoło, a pytany o powód, odpowiadał, że dawno go tak nikt nie łaskotał. Śmiali się potem z tego łaskotania, kiedy wieczorem zebrali się przy łóżku ojca.

– Spisałaś się, córuś – powiedział z dumą ojciec, a Radek przytaknął. – To pielęgniarstwo jest ci pisane. Od zawsze. Masz talent do zdechlaków.

– Do jakich zdechlaków, papo?

– Takich jak ja. – Puścił do niej oko. – Spisałaś się, a doktor jaki zadowolony! I chyba trochę zazdrosny o to, że tak ładnie mnie pozszywałaś, bo patrzył i patrzył.

Ania przytuliła się do piersi ojca, a on zdrową ręką pogładził ją po włosach.

– Jeśli nie dostaniesz tego stypendium – powiedział cicho – to ja i tak coś pomyszę, żebyś poszła do tej Warszawy się uczyć.

– Obaj pomyślimy – dodał Radek.

## BIAŁE PRZEDWIOŚNIE

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na to, że wiosna tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku się spóźni. Przymrozki mimo marca zdarzały się niemal co noc, a i śnieg nadal bielił pola. Matka ziemia najwyraźniej zabroniła drobnym przebiśnigom i wielobarwnym krokusom rozweselić ponury krajobraz. Niektóre co bardziej odważne pojedyncze okazy wyglądały nieśmiało, ale we wcześniejszych latach o tej porze na polanach i w przydomowych ogródkach było ich już bez liku.

W sobotnie przedpołudnie Ania zmierzała w stronę Jaruzyna, bo umówiły się z Jolą na wspólne pieczenie drożdżowych chałek. Ciepłe promienie słońca ogrzewały spragnione wiosny ramiona dziewczyny i gdyby nie bryzgające spod kół roweru pośniegowe błoto, którym upaćkała się po kolana, tryskałaby radością.

Jola zachichotała na widok przyjaciółki, bo ta jawiła się niczym nieboskie stworzenie.

– Musisz mi coś pożyczyć – stwierdziła Ania, próbując oczyścić się z błota.

– A pewnie. Chodź.

Były podobnej postury, a wzrostem Ania tylko nieznacznie przewyższała przyjaciółkę. Wyglądały jak siostry, a Olek twierdził nawet, że jak bliźniaczki.

Po tym, jak Ania się przebrała, poszły do kuchni i zabrały się do ugniatania ciasta. Jola opowiadała Ani, jak docierają się z Olkiem. Od czasu zaręczyn to był najczęstszy temat ich rozmów – miały przecież stać się rodziną.

– Ja od początku wiedziałam, że coś między nami będzie. No i jest – stwierdziła Jola.

– Ale po prawdzie to wszystkich zaskoczyliście. Nieraz ci mówiłam, że mnie również.

– Mówi to każdy, kto nas widzi. Ostatnio ten Gumny, wiesz, przywiózł mi trochę mąki i pytał, czy my tak z Olkiem na poważnie. Kiedy mu pokazałam pierścionek, to aż zagwizdał. Olek jest wariat, wiem. Biega tu i tam, ma mnóstwo pary, słyhać go wszędzie. Z każdym zagada, i to o wszystkim, byle nie o książkach. – Zaśmiały się, a Ania pokiwała głową. – Ale chyba właśnie takiego mi trzeba – ciągnęła Jola. – Tak się cieszę, kiedy... – Skuliła ramiona, jakby się zawstydzila. – Kiedy zostaje na noc. Wtedy czuję, że żyję, bo my, wiesz... Dużo rozmawiamy, snujemy plany, a czasami w nocy na podwórko wychodzimy i oglądamy gwiazdy.

– Dobrze, że mieszkasz na uboczu, to ludzie was nie widzą i nie gadają.

– Nie chcę prowokować plotek, ale jestem pewna, że i tak swoje wiedzą.

Nagle Jola oderwała się od stolnicy, otrzepała dłonie i podekscytowana spojrzała na przyjaciółkę.

– Z tego wszystkiego zapomniałam! Muszę ci coś pokazać! – Ania też otrzepała dłonie z mąki. – Chodź, spójrz, co wypatrzyłam! – Jola pociągnęła ją za rękę do pokoju, którego okna wychodziły na ogród.

Królowały w nim sękaty jabłonie o bezlistnych gałęziach wygiętych niczym ręce żebraków. Teraz u ich stóp słały się jasnym dywanem śnieżyczki.

– Nie zaglądałam tu od tygodnia, a to słońce mnie skusiło i masz! Całe pole śnieżyczek!

Ania była zachwycona.

– Piękne! Tylko w lesie takie widziałam, niedaleko dworku Rosenthalów, ale nigdzie więcej. Jesteś szczęściarą, bo to ponoć przypałacowa roślina. Tak u nas mówią.

Jola wybuchła śmiechem.

– No nie ma co! To nazywasz pałacem?

– A kto wie, co tu dawniej było? Może dwór, może pałac, a może... – ściszyła głos – ...może dom dla kochanki jakiegoś okolicznego księciunia?



Roześmiały się, a po powrocie do kuchni fantazjowały już tylko o bezimiennym księciu i jego kochance z Jarużyna.

Do domu Ania jechała w dobrym nastroju. Zawsze tak się czuła po wizycie u Joli, a że ostatnio dziewczyny rzadziej się widywały, tym bardziej doceniała te spotkania.

Na miejscu powitały ją radiowe szумы i krzyki ojca. Jan klął jak szewc i uderzał pięścią w stół.

– Co to za rządy! Co to za władza! Polska jest dla Polaków, a nie dla innych! Precz! Precz!

Ania z wyrzutem spojrzała na ojca. I nie chodziło jej bynajmniej tylko o jego nerwy, o to, że miał się oszczędzać, ale też o to, że palił i pił bimber.

A tak go prosiła...

– Masz słabe serce, papo...

– Do diabła z sercem! – Znów uderzył w stół. Huknęło i Ania aż się wzdrygnęła. – Prędzej niż serce wykończą mnie Żydy albo Niemcy. Oni chcą wszystko zagarnąć. Naszą Polskę, o którą ja walczyłem. I moi bracia, kuzynowie, rodzina...

– Co ty mówisz, papo? Kto chce ci coś zagarnąć? – Podeszła do stołu i zabrała z niego w połowie opróżnioną butelkę bimbrową i pełną popielniczkę. Chciała też wziąć papierosy, ale ojciec był szybszy i schował je do kieszeni koszuli. – W głowie ci mieszają i zdrowie psują.

– Aaa! – Machnął ręką i nerwowo poruszył się na krześle. – Jak dziś byłem na tym spotkaniu, to mówili, że nasza sytuacja się pogarsza. Przez nich! Że przygotowują się, by nam wszystko zabrać.

– Nikt ci niczego nie zabierze. Mamy przecież policję i wojsko. Żyjemy w prawym państwie.

– Co ty, dziecko, wiesz? Naiwna jesteś. Wierzyć trzeba, ale we flagę biało-czerwoną, a nie stosunki sąsiedzkie. Przyjdzie pora, to łapy po nasze wyciągną, zobaczysz. A myślisz, że co Niemcy robią na południu? Już na nas dyszą. Czechów zagarnęli. A na wschodzie nie lepiej. Na przykład na

Litwie. Tam hitlerowcy rosną w siłę. Tylko czekać, jak do nas się będą próbowali dobrać. Jak u nas bojówki będą organizować, naszych straszyć.

– Papo, nie mów tak. Sam zobacz, że Niemcy oddali nam Zaolzie. – Otworzyła okno, bo czuła, że robi jej się nieprzyjemnie gorąco. Zimne powietrze wlało się do środka. – Po co by to robili, gdyby chcieli nam je zabrać?

– Dla zmylenia. Nie wiesz, jak oszuści działają?

Ania czytała każdy numer „Dziennika Bydgoskiego” od deski do deski, a czasami zachodziła na odczyty i pogadanki. Lubiła słuchać ludzi. Była na bieżąco z tematami politycznymi, bo przez ojca, a może dzięki niemu, zawsze ją to interesowało, ale ona, wbrew temu, co mówił papa, nie bała się ani Żydów, ani Niemców. Znała ich przecież. I jedni, i drudzy mieszkali obok. I jedni, i drudzy chodzili z nią tymi samymi ulicami, do tych samych sklepów. Jakże mogli teraz stanąć przeciw niej. Sąsiad przeciw sąsiadowi? Nie mieściło jej się to w głowie.

– Zobaczysz, że się mylisz. Że w radiu tylko straszą. Tak samo na tych odczytach.

– I w gazetach niby też?

– Też. Trzeba wiedzieć, co się dzieje, ale nie można tak ślepo we wszystko wierzyć. Ja wierzę w siłę naszych wojsk. I dyplomacji.

Ojciec syknął.

– A po co Żydy wykupują nasz majątek, co? Całe hektary ziemi. W niektórych powiatach to prawie połowę już porzejmowali. Chcą nas pozbawić ojcowizny...

– Ale przecież nie kradną tych ziem, tylko ktoś im je sprzedaje, prawda?

– Bo durnych i naiwnych Polaków nie sieją. Łaszą się na śmierdzący grosz. Ja tam bym Żydom i za złoto niczego nie dał.

– Przestań, papo.

– Taka prawda! Niczego by ode mnie nie dostali. No może w mordę tylko!

– Papo! Przerażasz mnie!

Ojciec spojrzał na nią z niedowierzaniem, po czym odwrócił wzrok, rozłożył dłoń i namacał ranę po brzeszczocie. Już dawno się zagoiła i teraz został tylko drobny ścieg i jedno niewielkie zgrubienie.

– Prawdę mówię... – burknął ledwie słyszalnie.

Ania usiadła przy ojcu.

– Martwię się o ciebie, papo. Jesteś taki nerwowy.

– Bo nerwowe czasy mamy. Tyle ci powiem. I ja muszę, muszę się odzywać. Jak wszyscy umilkniemy, to będzie bieda.

– Ale czy Żydzi albo Niemcy zrobili ci coś złego? Znasz ich dobrze. Żyjesz przecież z nimi przez płot. W zgodzie.

– Bo wroga trzeba trzymać blisko. Bliżej nawet niż przyjaciela. Nie wiedziałaś?

Ania głośno westchnęła. Nie chciała się spierać. I tak niczego by nie ugrała, szczególnie że ojciec wypił tego wieczoru sporo bimbrow. Po alkoholu stawał się jeszcze bardziej zawzięty.

Podniosła się, stanęła za jego plecami i zaczęła masować mu kark. Mama tak robiła, kiedy był zdenerwowany. Zawsze pomagało. Teraz, o dziwo, też. Po kilku minutach Jan położył dłoń na jej ręce i mocno ścisnął, jakby w ten sposób chciał jej wyznaczyć, że kocha, że przeprasza, że dziękuje.

– Napij się herbaty? – zapytała i z wielką miłością pocałowała go w szpakowaty czubek głowy.

\*\*\*

Tamtej nocy długo nie mogła zasnąć. Myślała o pełnych pesymizmu słowach ojca i o tym, jak bardzo zmienił się po śmierci mamy. Ona nigdy nie pozwoliłaby mu na takie nerwy, na politykowanie, na walenie pięścią w stół i nienawistne słowa względem Niemców czy Żydów. Owszem, ojciec zawsze miał swoje zdanie i jasno wyrażał patriotyzm, ale nie emocjonował się tak jak teraz. Anna poczuła tęsknotę za mamą i za jej kojącym wpływem na tatę. Chociaż nie. Bardziej zatęskniła za ich wspólnymi wieczorami, spędzonymi przy dźwiękach radia albo na

rozmowie. Za głośnym śmiechem mamy i dotykiem pocieszenia i zrozumienia. Za poczciwym spojrzeniem, nawet za świstem maminej ścierki. Ależ brakowało jej mamy...

## O ŚWICIE, W POŁUDNIE, WIECZOREM

Ania dużo myślała o słowach ojca na temat Niemców, Żydów i Polaków. Postanowiła zasięgnąć języka u osoby, którą szanowała nie mniej niż własnego tatę, a o której wiedziała, że jest na bieżąco z sytuacją polityczną w kraju. Doktor Naborow, kiedy zjawiała się u niego, by odebrać nowe materiały do studiowania, zalecił bagatelizować ojcowskie czarne scenariusze.

– Nie wierzę, absolutnie nie wierzę, że z tego cokolwiek większego będzie. Owszem, jademy nas podtruwają, wprowadzają zamęt, ale na co Niemcom Polska? Z nas żaden łasy kęs – oświadczył.

– Niemcy nie są naszymi wrogami. U nas tyłu ich mieszka. Neumann, Reis, Krüger... To dobrzy ludzie, zwyczajni, tacy jak my...

– Tak, Aniu, masz rację. Gdzieś tam daleko Hitler mać, ale tu inne życie się toczy. Nie musisz się tym kłopotać.

– A Żydzi? Tata mówi, że nas wykupią. Jak pan myśli?

Lekarz pokręcił głową i westchnął ciężko.

– Tak, słyszałem. Ziemię w różnych częściach kraju skupują i Polacy się burzą. Dobrze, że w naszych stronach takich przypadków niewiele. – Sięgnął po drewniany humidor, pogładził jego wieko, po czym otworzył pudełko i wyjął ze środka cygaro. – Jak już się uporam z pacjentami, to lubię sobie zapalić – wyjaśnił. – Dużo wtedy myślę o wielu sprawach, o tej niechęci do Żydów też. Jest jak fala, zaczyna zalewać kraj. I nie wiem, czy to przypadkiem nie sprawka hitlerowskiej propagandy. – Ostatnie zdanie zabrzmiało dość asekuracyjnie, jakby Naborow bał się jawnie zadeklarować swoje stanowisko.

– Myśli pan, że to możliwe?

Pokiwał głową, a potem dodał ciszej:

– Nie wiem, czy w Polakach byłoby tyle wrodzonej niechęci wobec innych narodowości. Nie wiem... Nie wydaje mi się.

Piotr Naborow, zawsze pewny siebie i zdecydowany, nagle pod wpływem impulsu stał się cieniem dawnego siebie. Mówił cicho, ramiona lekko mu opadły, a z ust zniknął delikatny uśmiech, którym zwykł częstować rozmówców. Był Polakiem, ale jego nazwisko zdradzało zakaukaskie korzenie, których zresztą nigdy się nie wypierał.

– Niewiele o tym piszą, ale w Polsce zdarzały się incydenty pobicia, grabieży, nawet morderstwa. Takie wewnętrzne walki nie prowadzą do niczego dobrego. Trzeba mieć nadzieję, że problemy obejdą nas bokiem.

– Racja – odpowiedziała Ania i podziękowawszy za rozmowę, wyszła z gabinetu z dwoma nowymi numerami „Przeglądu Medycznego” pod pachą.

Mimo zaleceń doktora, aby nie brała sobie za bardzo do serca emocji ojca, Ania czuła niepokój, bo zachowanie Naborowa nie napawało optymizmem. Mówił, że nie ma się czym martwić, a jednocześnie jego ciało komunikowało coś zupełnie przeciwnego. Miała pewność, że doktor nie mówił jej całej prawdy.

Na ulicy wzięła kilka głębokich wdechów i rozejrzała się. Było spokojnie i niemal pusto, tylko bury kot siedział przy jednym z piwnicznych okienek i lizał sobie łapę.

Miała już skręcić w Piłsudskiego, kiedy zza rogu usłyszała jazgot. Grupa przekupek na czele z Szusterową właśnie weszła na rynek. Wyglądały na mocno podekscytowane i zafrasowane jednocześnie. Ania zbliżyła się do nich i stanęła za plecami paplającej Szusterowej.

– Naprawdę. Wszystko rozwalili – gorączkowała się tamta. – Żeby mnie tak teraz piorun jasny strzelił, jeśli nieprawdę gadam. Jak żem to zobaczyła, to trzy razy się przeżegnałam. Na wszelki wypadek, bo jeszcze nie wiedziałam, co to za lichy.

– Dużo zniszczyli? – zapytała najstarsza z kobiet, tak szczelnie opatulona chustą, że ledwie było jej oczy widać.

– Ukradli co? – rzuciła inna. – Krzywdę komu zrobili?

– A żebym to ja wiedziała. Szyb nawybijali, donice potłukli. U Niemców i u Żydów. To na pewno, ale... – Szepnęła coś na ucho do jednej z kobiet, a tamta z wrażenia wzięła głęboki haust powietrza. – Jak policja zjechała, to poszłam, ady mógł mnie kto na świadka brać. A na co mi to? W kartotekach to ja nie chcę zalegać.

Kobiety zaczęły przerzucać się pytaniami, a potem podejrzeniami dotyczącymi sprawców i powodów. W końcu jedna skwitowała:

– To się teraz zacznie.

Zamilkły wszystkie łącznie z Szusterową, jakby owiały je chłód i groza kryjąca się za tym krótkim zdaniem.

– Co się zacznie? – odezwała się Ania.

Szusterowa łypnęła na nią przez ramię z wyrzutem.

– A co to Łabędziówna tak się skrada? – prychnęła. – I tak bez dzień dobry?

– Przepraszam – zreflektowała się dziewczyna. – Dzień dobry. To co się zacznie?

– Nie dość, że się skrada, to jeszcze ciekawska jaka. Widział kto. – Szusterowa zrobiła niezadowoloną minę. – Zacznie się albo się nie zacznie.

– Ale co?

Kobiety milczały. Ania postanowiła nie zważać na tę widoczną niechęć.

– Ja też mieszkam w Fordonie i interesują mnie nasze sprawy – rzuciła ostro. – A przecież słyszę, że ktoś powybił szyby w niemieckich i żydowskich domach. Tu, u nas, po sąsiedzku. Jak się coś dzieje, to każdy powinien wiedzieć! Każdy!

– A czy Łabędziówna wie, że brzydko tak głos podnosić? I to na starszych? – syknęła groźnie Szusterowa. – A poza tym powinna wiedzieć, wszak katoliczka, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Matka to się teraz w grobie przewraca na taką zuchwałość! – Spojrzała w stronę kościoła i przeżegnała się. Jej towarzyszki zrobiły to samo.

– Ale...

– Ady mówię! To sprawy dorosłych! – Szusterowa poprawiła węzeł chusty i nie zaszczyciła już Ani nawet spojrzeniem. – Nie dla dzieciaków... – dodała stanowczo, ucinając rozmowę.

Ania wracała do domu z bijącym sercem. Nigdy wcześniej nie słyszała o żadnym akcie wandalizmu w Fordonie. Pamiętała szarpaniny, potyczki na słowa i pięści, niekiedy dość krwawe, ale wybijania szyb w budynkach mieszkalnych nie.

W domu powinna zastać tylko ojca, bracia mieli wrócić po pracy. Nie było go jednak, i to od kilku godzin, bo zauważyła, że nie zjadł przygotowanych przez nią ani drugiego śniadania, ani obiadu.

Przeraziła się.

„A co, jeśli to papa powybił te szyby...?”

Rozmyślała gorączkowo. Ojciec w ostatnich tygodniach wypowiedział tyle nienawistnych słów o Żydach i Niemcach, że choćby i chciała, to nie mogła wykluczyć, że maczał palce w tym podłym postępku.

Nie mogąc usiedzieć w miejscu, poszła oporządzić kury. Nigdy nie zajmowało jej to wiele czasu, ale teraz zrobiła to jeszcze szybciej. Z koszykiem pełnym jajek zajrzała do starego Siwka, który zarzął przyjaźnie na jej widok.

– Gdzie twój pan, staruszkę? – zapytała.

Wychodząc ze stajni, usłyszała radosne szczekanie Brutusa. Odstawiła koszyk i pospieszyła przed dom, mając nadzieję, że ujrzy tam ojca.

– Radek... – rzuciła z lekkim rozczarowaniem.

Jej brat roześmiał się na to powitanie.

– A co to? Nie jestem mile widziany?

Pokręciła głową i owinęła się ciasno połami swetra. Musiała wyglądać niewyraźnie, bo mina natychmiast mu zrzędała. Spojrzał na nią z przerażeniem.

– Co jest?

– Nie słyszałeś?



– O czym? – Zniecierpliwiał się.

– Ktoś powybił szyby Niemcom i Żydom.

Radek odetchnął z ulgą, bo po tonie głosu Ani spodziewał się jakiejś kolejnej rodzinnej tragedii. Szybko się opamiętał.

– Jak to?

– Nie znam zbyt wielu szczegółów. Słyszałam na rynku, jak baby gadały. Wiesz, ta Szusterowa...

Radek pokiwał głową.

– I... I boję się, że papa też brał w tym udział. Wiesz, jak on ostatnio o Żydach i Niemcach mówi, jak na nich psioczy...

Brat ściągnął kaszkiet i przeczesał włosy palcami, jakby to miało mu pomóc zebrać myśli. Wyciągnął papierosy i zapalił jednego.

– Nie – powiedział, wypuszczając pierwszy kłęb dymu. – To niemożliwe. Ojciec gada na nich, ale nie zrobiłby czegoś takiego. On ma szacunek do cudzego mienia. Przecież wiesz.

– Myślisz? Bo ja już nic nie wiem. Odchodzę od zmysłów, ojca nigdzie nie ma.

– Może na odczyt poszedł?

– Dzisiaj żadnego nie ma.

– A z tym Warzechą na piwo?

– Przecież on na żadne piwo nie chodzi. Nie wydałby pieniędzy na piwo w szynku. Woli w domu... Bimber...

– To może do Bydgoszczy pojechał?

– Niby po co? W „Astorii” nie było go od... – Chciała powiedzieć, że od śmierci mamy, ale zamiast tego dodała: – Od września. Próbowali go przekonać do powrotu, jak już nieco wydobrzał, ale wiesz, że nie chciał.

– Wiem. Nie mamy wyjścia. Musimy na niego poczekać.

Długo czekali, bo ojciec wrócił grubo po dwudziestej.

– Coś się stało? – zapytał, natknąwszy się na ich pełne wyrzutu spojrzenia.

Ania odetchnęła, bo był trzeźwy. Wyglądał jednak jak siedem nieszczęść. Miał brudne spodnie na kolanach i ubłocone rękawy kurtki.

– Gdzie byłeś, papo?

Ojciec łypnął na nią oburzony.

– To moja sprawa. Lepiej mówcie, o co chodzi. Radzicie nad czym?

– Gdzie byłeś, ojcze? – Tym razem pytanie padło z ust Radosława.

Jan spojrzał na syna z ukosa. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy i jeden drugiemu nie zamierzał ustąpić.

– Miałem coś do zrobienia.

– Co takiego?

– Przesłuchujecie mnie?

– Papo... W Fordonie ktoś powybił szyby w niektórych domach, w niemieckich i żydowskich, a przecież ty... Rozmawialiśmy niedawno i... Pomyślałam, że może...

Jan zaskoczony spojrzał na córkę, a potem przeniósł wzrok na syna.

– Czy wyście całkowicie poszaleli? Głowy potraciliście? Po co niby miałbym Żydom albo Niemcom szyby tłuc? – Rzucił kurtkę na hak i pokręcił głową. – Nawet jeśli ich nie poważam?

Ania chciała jeszcze raz zapytać, upewnić się, że ojciec nie miał do czynienia z tym występkiem, ale Radek ścisnął ją za ramię, dając znak, by milczała.

– Przyjechali do mnie z „Astorii”. Chcą mnie z powrotem. A potem u Justynki byłem... – rzucił pod nosem i począpał do kuchni.

\*\*\*

Następnego poranka w rodzinnym domu zjawił się Olek.

– Słyszałem, że i u was pogłupieli z tymi szybami u Żydów – zawołał w drzwiach.

Ania wyszła do niego z kuchni, akurat szykowała śniadanie. Wiedziała, że w biednym Jaruzynie oprócz Polaków mieszkało kilka rodzin

żydowskich i niemieckich. Zajmowali czworaki przy folwarku. Żyli w żalosnych warunkach, a dzieci w każdym domu było tak dużo, że nie każdego dnia mogli sobie pozwolić na porządny posiłek.

– Tak, powybijali. Akurat wyjeżdżałem od Joli. Krzyk był przy tym taki, że pomyślałem, że do jakiego nieszczęścia doszło, że ktoś ranny albo nie daj Bóg zabity. Dzieciaki darły się wniebogłosy, szczególnie te od Rottenfeldów i Schmelzbergów, bo jak już im wybili szyby, ktoś nawrzucał jeszcze do środka śmierdzących ryb, a na domu napisał: „Precz!”.

Ania z przerażenia zakryła usta dłonią.

– Najgorsze, że nie złapałem żadnego z tych gnojków. Uciekli, a ja nie miałem już czasu na bieganie za nimi. Trzeba było pomóc ludziom na miejscu. Bo wyobraź sobie, że ci biedacy... Że oni chcieli uciekać z Jaruzyna, tak się wystraszyli. Opamiętali się na szczęście. Pół nocy pomagaliśmy im z oknami, a Jola zabrała dzieciaki do szkoły. Żeby tam spały.

– Dobrze zrobiliście.

– Nie byłbym taki pewien. – Ojciec wychynął z kuchni. – Ciekawe, czyby tobie Żydy pomogły, jakby ciebie kto sprął?

– Niech ojciec da spokój. Człowiek to człowiek, nieważne, pod jaką flagą się urodził on czy jego dziad. Jak jest w potrzebie, trzeba pomagać.

Ania spojrzała na brata z dumą. Tak bardzo się zmienił, odkąd poznał Jolę, że czasami zastanawiała się, czy to na pewno jest ten sam Olek.

– Eee... – Ojciec machnął ręką i wrócił do kuchni.

– Ale już wszystko macie pod kontrolą? – dopytała Olka.

– Tak. Szyb nowych im co prawda nie załatwię, bo bez grosza to nie takie łatwe, ale coś poradzimy. Trochę wyjmujemy z tego opuszczonego domu w lesie. A potem będziemy sztukować i kitem zaklejać.

– Pomogę – zaoferował się Radek, który właśnie wrócił ze stajni.

Zbliżył się do brata i ścisnął mu dłoń na powitanie.

– Na to liczyłem.

– Jak trzeba, ja też mogę. – Ania poczuła, że musi pomóc.

– Ty się zajmij... – Olek ściszył głos – ...ojcem – dokończył. A potem głośniej dodał: – Domem i pracą, żebyś jej teraz nie straciła. Coraz więcej ludzi ląduje na bruku.

Ania pokiwała głową.

– Ale w razie czego...

– Jasne.

\*\*\*

Mieszkańcy żyli tym zdarzeniem jeszcze przez jakiś czas. Plotkowali, demonizowali fakty. Krążyły podejrzenia, kto mógł stać za tym aktem, ale nikt na nikogo palcem nie wskazał, nikt nikogo za rękę nie złapał i wandalę nadal spokojnie chodzili ulicami. Ania też miała swoje podejrzenia, ale Radek zakazał jej mówienia o nich na głos, a ona przecież zawsze słuchała brata.

Tydzień jednak starczył, by Fordon zapomniał o wybitych szybach i zajął się innymi sprawami, aferami nawet, bo ktoś rozpuścił fałszywą plotkę, że córka bednarza nosi dziecko więziennego urzędnika (jak się później okazało, dziewczyna ani nie była brzemienna, ani nie romansowała z urzędnikiem). Zawrzało i wtedy Ania zrozumiała, dlaczego matka tak bardzo odżegnywała się od plotek, a zajmowanie się nimi uznawała za jedną z najgorszych przywar. W „Wiślanej” nauczyła się ich słuchać, bo uważała, że w każdej tkwi ziarno prawdy, ale nigdy sama nie była ich źródłem. Przynajmniej nie tych, które godziły w cudze imię.

## PIERWSZY RAZ

Do restauracji zaglądała różnego pokroju klientela. Przeważali biedniejsi mieszkańcy Fordonu, nastawieni na prosty posiłek oraz piwo. Albo kieliszek berbeluchy. A czasami na jedno i drugie.

Z rzadka zjawiali się szykownie ubrani panowie i eleganckie damy. Takich zazwyczaj obsługiwał Wężyk, który rwał się do skubania napiwków do własnej kieszeni. Jednak po złamaniu nogi nie odzyskał jeszcze pełni sił i utykał. Noga mu puchła od długich godzin stania, często więc przesiadywał za kontuarem i w ogóle nie stawał przy stolikach.

Ani to było na rękę, bo choć Wężyk wzrok miał iście sokoli, potrafiła tak się zakręcić, że i napiwek przed nim ukryła. Cały czas myślała o Warszawie i o wydatkach, które ją czekały, więc wyrzutów sumienia najnormalniej w świecie nie miała.

Właśnie porządkowała stolik przy oknie, kiedy pod restaurację zajechał czarny opel. Nigdy wcześniej go tu nie widziała. Pamiętałaby. Rzadko bowiem stawały tu samochody, a i przechodniom się to nieczęsto zdarzało. Kamienica, w której mieściła się restauracja, nie miała w sobie nawet krzty blasku, a sama „Wiślana” nie przyciągała spojrzeń szczególnym wykwintem.

Z samochodu wysiadł mężczyzna ubrany w granatowy prochowiec i elegancki garnitur. Stanął na chodniku i rozejrzał się. Bez pośpiechu, z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Wypuszczając leniwe obłoki dymu, zerkał na budynki i na ludzi, jakby na kogoś czekał.

Mógł być starszy od Ani najwyżej o kilka lat. Wysoki i szczupły, miał szerokie ramiona i długą szyję. Pociągła twarz, wąski nos i duże oczy okolone ciemnymi rzęsami musiały przykuwać kobiecy wzrok. Mężczyzna wszedł do „Wiślanej” i ściągnął kapelusz. Idealnie przystrzyżone blond

włosy, zaczesane na prawy bok, lekko mieniły się pomadą i elektryzowały spojrzenia. W całej restauracji, a być może w całym Fordonie nie było nikogo, kto miałby tak perfekcyjną fryzurę.

Kiedy usiadł, Ania szybko poprawiła fartuszek i z firmowym uśmiechem na ustach zjawiała się po jego prawicy.

– Dzień dobry – powitała go w języku niemieckim.

– Dzień dobry – odpowiedział, przyglądając jej się z ciekawością. Miała wrażenie, że przewierca ją wzrokiem. – Tak bardzo widać, że jestem Niemcem? – zapytał, okraszając to szarmanckim uśmiechem.

Ania nie zmieszała się ani trochę. Wskazała ręką na opla zaparkowanego przed restauracją.

– Samochód ma niemieckie tablice. Zobaczyłam, jak pan z niego wysiada.

– Aa, no tak. Rzeczywiście. Tablice nie kłamią. – Pokiwał głową. Jego oczy zamieniły się w cienkie szparki. – Jest pani spostrzegawcza.

– Jak każdy w tym zawodzie.

– Cieszę się, że zna pani niemiecki, bo obawiałem się, że będę musiał porozumieć się po polsku. A nie jestem w nim biegły.

– Zapewniam pana, że po polsku również byśmy się dogadali. Jestem bardzo wyrozumiała na językowe niefrasobliwości.

Mężczyzna mruknął przeciągle.

– Co dla pana? – zmieniła temat.

– A co może pani polecić? Coś treściwego, bo... Jestem głodny – uśmiechnął się zawadiacko.

– Trafił pan we właściwe miejsce – odpowiedziała z gracją. – Może eintopf?<sup>[10]</sup> Dziś jest wyśmienity, nie za tłusty, goście chwalą. Albo kotlet schabowy z zasmażaną kapustą i kartoflami?

– Eintopf brzmi doskonale.

– Co do picia?

– Zdam się na panią – odpowiedział.

Skinęła głową i oddaliła się od stolika. Wiedziała, że odprowadza ją wzrokiem, więc starała się iść najbardziej eleganckim krokiem, na jaki mogła się zdobyć. Plecy proste niczym struna, krok długi, broda wysoko. Chyba nawet odrobinę za wysoko, bo tuż obok kredensu z alkoholami potknęła się o naruszoną klepkę podłogową i gdyby nie kontuar, wywinęłaby orła. Odruchowo zerknęła za siebie i natknęła się na rozbawione spojrzenie mężczyzny. Spłonęła rumieńcem i szybko udała się na zaplecze.

Była na siebie zła, ale i zadowolona, że jednak udało jej się zachować równowagę.

„To tylko drobne potknięcie! – pomyślała. – A może dar od losu?” To była jedna z jej zalet: starała się obracać niepowodzenia w wiktoria. „Przynajmniej lepiej mnie zapamięta!”

Poprawiła fartuszek, przewiązując go jeszcze ciaśniej, sprawdziła, czy otok we włosach dobrze leży, i wróciła na salę. Po chwili odebrała z kuchni zamówienie dla niemieckiego gościa i pewnym krokiem udała się do jego stolika.

– Bardzo proszę. – Postawiła misę gotowanych warzyw z całkiem sporą ilością mięsa i kaszy, a obok musującą oranżadę. – Życzę smacznego.

– Dziękuję. Na pewno smakowałyby lepiej, gdyby zechciała mi pani towarzyszyć – stwierdził nonszalancko.

Ania czuła, że ją podrywa. Wcześniej wielu próbowało różnych zagrywek, była do nich przyzwyczajona. Przy czym jego styl, sposób mówienia oraz sam wygląd znacząco różniły się od tych, jakie prezentowali lokalni adoratorzy.

– Szef urwałby mi głowę, gdybym na chwilę odeszła od obowiązków.

– Ale gdyby nie strach o głowę, toby pani usiadła? – Na jego twarzy znowu pojawił się lekki uśmiezek.

– Być może. – Zwilżyła usta, po czym dodała dość oficjalnie: – Raz jeszcze życzę smacznego.

Skłonił lekko głowę, a ona odeszła. Obsługując innych klientów, krzątając się przy kontuarze, nie odrywała od niego wzroku. On, skupiony na swoim posiłku, z rzadka zerkał na nią, ale zerkał. Schlebiało jej to. Kiedy skończył, przez chwilę patrzył w okno, potem rozejrzał się po sali, jakby czegoś, a może kogoś szukał, a w końcu utkwiał w niej spojrzenie, które jasno sygnalizowało, że jest gotów zapłacić. Nie myliła się.

– Bardzo dziękuję za pomoc w dokonaniu wyboru dania. Było doskonałe.

– Miło mi. – Skinęła głową.

– Byłem tu kilka razy, ale nie widziałem pani – oznajmił, wstając.

– Ja pana również – odparła z tą swoją zadziornością, której niekiedy żałowała, ale nie teraz. – Być może trafił pan nie na moją zmianę.

Lekko przechylił głowę i unióśł brew. Kącik jego ust delikatnie drgnął.

– Być może. Mam nadzieję, że następnym razem trafię na pani zmianę.

– Będzie mi miło.

Patrzyła, jak wychodzi, zapala papierosa i wypuszcza pierwszy dymek, jak spogląda na witrynę „Wiślanej”, a potem wsiada do samochodu i odjeżdża. Gdzieś pod skórą czuła, że jeszcze kiedyś się spotkają.

\*\*\*

Nie pomyliła się, bo mężczyzna z czarnego opla przez kilka następnych dni stołował się w „Wiślanej”. Czasami się spieszył i zamawiał coś na szybko, a zdarzało się, że przesiadywał do zamknięcia, zaczytując się w gazecie albo w jakichś dokumentach. Zawsze zachowywał się kulturalnie i... tajemniczo. Przyglądał się temu, co działo się za oknem, i uważnie obserwował gości w restauracji, również pracowników.

Kiedy Ania stawała przy jego stoliku, chętnie z nią rozmawiał. Najczęściej na banalne tematy, o pogodzie, jedzeniu, o tym, co działo się w mieście. Wypytywał ją o stałych bywalców, ciekawiły go lokalne zwyczaje. Niezależnie od podejmowanego tematu, przy tym szczególnym



kliencie Ania zawsze starała się używać słów znacznie bardziej wysublimowanych niż zwykle, chcąc mu zaimponować.

Pewnego razu zjawił się w wybitnie dobrym nastroju. Rozpromieniony, powitał skinieniem głowy Beniamina Wężyka, wprowadzając tym gburowatego szefa w zadowolenie, bo stary wyjadacz w takim pozytywnym nastawieniu klienta zawsze wietrzył grubą zapłatę.

Wężyk nie zjawiłby się przy stoliku, bo noga nadal mu dokuczała, ale teraz jak oparzony zerwał się z krzesła i z nieodłącznym notesikiem w kieszonce i ołówkiem zatkniętym za ucho pokuśtykał ku gościowi.

– Dzień dobry szanownemu panu. Czy jakieś święto u pana? – zagaił.

– A skąd to pytanie?

– Widać, że wybitnie dobry humor panu dziś towarzyszy.

– Humor to i owszem, ale nie oznacza to żadnego święta. Zresztą, nawet gdyby... – Gość ledwie widocznie wzruszył ramionami. – Nie obnoszę się ze sprawami osobistymi.

– Tak, tak... Rozumiem.

Wężyk usłużnie schylił głowę, jakby poczuł się odrobinę skarcony przez dużo młodszego od siebie mężczyznę, choć nadal klienta, w dodatku o widocznym gołym okiem wyższym statusie społecznym. Położył na stole menu, ale gość nawet się nim nie zainteresował, rozglądając się po sali.

– Co dla pana?

– Hmm...

Szef wyczekująco stuknął ołówkiem w notesik, ale na przybyłym nie zrobiło to najmniejszego wrażenia. Ostentacyjnie raz jeszcze potoczył wzrokiem wokoło i utkwiał spojrzenie w Annie, która obsługiwała gości na drugim końcu sali.

– Jeszcze się zastanowię. A ta kelnerka... – Ruchem głowy wskazał na Annę. Wężyk powiódł wzrokiem w tamtą stronę. – Przypomina mi pewną znajomą, która mieszkała w Bydgoszczy – zagadnął ściszym głosem. – Myśli pan, że to może być ona?

– Nie, nie, nie. Wykluczone. Anna Łabędź mieszka w Fordonie od urodzenia. Być może kogoś panu przypomina, ale to zupełnie inna osoba.

Tamten skinął głową w podzięcie, w pełni usatysfakcjonowany odpowiedzią. Złapał za menu, a Wężyk natychmiast wyrzucił z siebie jednym tchem:

– Polecam bryzol z polędwicy wieprzowej z ziemniakami, zasmażaną cebulą i kapustą. Wszystko świeże, jak zawsze.

– Niech będzie. I oranżadę.

Po kilkunastu minutach Anna postawiła na stoliku porcję dobrze wysmażonego mięsa. Mężczyzna ujął talerz i uważnie przyjrzał się daniu.

– Wygląda apetycznie i... – Odstawił danie, wprawnym ruchem naciął mięso i nadusił je. – I nietłusto.

– Staramy się.

– Tak, to widać. Dlatego tak często was odwiedzam. Aaa... Macie tu kino?

– Na dobry seans proponuję wybrać się do Bydgoszczy. Kino „Kryształ” zawsze ma coś ciekawego w repertuarze. Nie pamiętam, co obecnie grają, ale mogę sprawdzić w gazecie. Szef kupił.

– A może sprawdzimy razem? – zaproponował, a Anna nie do końca rozumiejąc jego intencje, zadała najgłupsze pytanie z możliwych:

– Mam przynieść gazetę do stolika?

Roześmiał się i spojrzał na nią. W jego wzroku dostrzegła nutę wyższości. Nie rozumiała, z jakiego powodu, więc pytająco uniosła brwi.

– Nie, nie... Opacznie pojęła pani moje słowa. Zapraszam panią do kina. Pojedziemy i sprawdzimy na miejscu, co grają. Może jakąś kawę wypijemy?

Był przesadnie pewny siebie. Rozzłościł ją tym.

– Myślę, że to doskonały pomysł, ale dla jakiejś wytwornej panny, a nie dla mnie, dziewczyny z Fordonu. Ja wieczorem pracuję w obejściu, przy kurach, a rozumie pan, że to raczej wyklucza udział w seansie kinowym – rzuciła.

– To może jutro?

– Codziennie zajmuję się kurami, proszę pana.

Uniósł lekko brwi. Anna pomyślała, że nie nawykł do odmowy, i poczuła satysfakcję, chociaż jej serce waliło jak szalone.

– Ale dziękuję za propozycję. Jest pan bardzo hojny.

Usłyszał w jej głosie sarkazm, bo ani trochę nie starała się go ukryć. Z jednej strony chyba go to zirytowało, ale z drugiej cięty język Anny mu zaimponował.

Kiedy wyszedł, Annę dopadły wyrzuty sumienia. Czowała, że zbyt surowo potraktowała gościa, że źle odczytała jego intencje.

„Chciał cię zaprosić do kina... Przecież o tym fantazjowałeś!” – obsztorcowała się, ale na jakąkolwiek reakcję było już za późno, bo mężczyzna wszedł do auta i odjechał, zostawiając na ulicy niesforny tuman kurzu.

## OCZEKIWANIE

Pomimo że dość oschle pożegnała mężczyznę z czarnego opla, Anna liczyła, że ten jeszcze się zjawi. Wypatrywała go na każdej zmianie, ale po kilku dniach przestała. Poniekąd dlatego, że w „Wiślanej” nie brakowało pracy. Wężyk był pazerny i nie rezygnował z żadnego klienta, nawet kiedy przy stolikach brakowało miejsc. Wtedy co mniej wykwintnych czy pijanych delikwentów uprzejmie, ale i zdecydowanie pospieszał, a jak trzeba było, pozbywał się z lokalu i z przesadnym ukłonem sadzał na ich miejsce nowych. Annie kazał niemal biegać po sali. Często strofował ją, że guzdra się jak mucha w smole, chociaż przemykała między stolikami zdecydowanie szybciej niż inne kelnerki. Szef doskonale o tym wiedział, ale pospieszanie ludzi miał we krwi. Uwielbiał mieć coś do powiedzenia, na coś ponarzekać, szczególnie na kobiety, których raczej nie považał.

Łabędziówna przywykła i w przeciwieństwie do współpracownic z zapleczka się nie skarżyła, ale po powrocie do domu padała ze zmęczenia i nie potrafiła zasnąć. Leżała, czując pulsującą krew w skroniach i ból w łydkach. Szczęśliwie stopy przestały jej puchnąć i bolesnych odcisków też już się pozbyła. Nie musiała już robić zimnych okładów, ale nadal popijała napary z ziół. Czasami brała do tego książkę lub gazetę albo uczyła się z wcześniej poczynionych notatek z anatomii człowieka, chorób, zielarstwa czy metod opatrywania ran. Wyjazd do Warszawy zbliżał się wielkimi krokami. Dużo o nim rozmyślała. O tym, jak ułoży się jej życie w wielkiej stolicy, o nowych przyjaźniach, czasami nawet o miłościach.

– Zmęczona? – Do jej pokoju wszedł Radek.

– Ja? Coś ty. Dziś zaledwie dziesięć godzin latałam po „Wiślanej”. Nudy – zakpiła.

Radek przysiadł na krawędzi łóżka. Ania podniosła się na łokciach, widząc w jego twarzy powagę.

– Wiesz, że ojciec chodzi na te odprawy opeelu?<sup>[11]</sup>

– Pewnie. Mówił mi.

– Mocno się zaangażował. Zaszedłem tam dzisiaj. Mieli akurat jakieś spotkanie podsumowujące. Był i Kowalski, i Gumny, i Warzecha. Wielu ich było, a wśród nich ojciec.

– I rzeczywiście dyskutują nad sprawami bezpieczeństwa miasta?

– Aha. Omawiali i sprawy przeciwogniowe, i ratunkowe. O tych plakatach, które rozwieszają po mieście, też dyskutowali i o gotowości ludzi do stawienia czoła Niemcom w razie potrzeby. Powiem ci, że ojciec miał wielki posłuch.

– Tak?

– Tak. Sam byłem zaskoczony.

– Na co dzień nie widać, żeby go ludzie słuchali. Tylko ten Warzecha się u niego pojawia.

– Wiem, co widziałem. Ludzie pytali go o zdanie, jakby był burmistrzem czy wojskowym, a nie zwykłym stolarzem. A on odpowiadał sensownie, składnie. Nie wiedziałem, że tak potrafi. Do tego był cholernie przekonujący. Potrafił ludzi pobudzić i zmobilizować. Klaskali mu nawet.

– Naszemu papie?

Radek pokiwał głową.

– On w domu tak nie mówi. W domu to w ogóle mało mówi, a tam? Sam patrzyłem z zachwytem. Mówił tak, jak wtedy po francusku, wiesz...

Pokręciła głową.

– Ojciec wierzy w Polskę.

– Jak my wszyscy.

– Taa... A wiesz, co mnie zdziwiło? – Ania pytająco uniosła brwi. – Że zaprosił na środek Ryszarda Pietranka.

– Tatę Joli?

– Tak. Okazuje się, że Pietranek jest jeszcze mocniej zaangażowany w te działania obronne. Udziela się w nadzorze w Bydgoszczy, zna się na rzeczy.

I powiem ci, że o ile ojciec miał posłuch, o tyle pan Ryszard budził podziw.

Radek przez chwilę opowiadał o spotkaniu, o wystąpieniu ojca i pana Ryszarda. Ania niby słuchała, ale cały czas chodziło jej po głowie jedno pytanie.

– Myślisz, że to papie nie zaszkodzi? Te spotkania? Wystąpienia?

– Hmm... Może nie wydłuży jego życia, bo te zbiórki do spokojnych nie należą. Wiesz, jak jest z ojcem, jeśli w grę wchodzi sprawy narodowe. Podniesiony głos, uniesiona pięść i tak dalej, ale... Dawno nie widziałem go takim zadowolonym, więc... Nie. Nie wydaje mi się, by mogło mu to zaszkodzić. Poza tym nie myśli o swoim kciuku ani o tym, że nie może pracować na sto procent, ani o... mamie.

– To niech chodzi. – Ostatni argument najbardziej przemówił do Anny, bo martwiła się, kiedy tata popadał w otępienie z powodu odejścia mamy. – Przynajmniej ma jakiś cel.

– Też tak myślę.

\*\*\*

Jan Łabędź rzeczywiście zjawiał się na każdej odprawie, każdym patriotycznym spotkaniu i odczycie. Był bardzo zaangażowany we wszelkie propolskie działania. Często towarzyszył mu Ryszard Pietranek, jeśli akurat nie miał pilnych obowiązków w Bydgoszczy. Ale też Jan czasami zjawiał się u Pietranka na bydgoskich spotkaniach, zazwyczaj w czwartki, bo jeździł wtedy do „Astorii”. Zgodził się pomóc przy młodzikach, do których zawsze miał największe serce. Po dwugodzinnych treningach z grupką stawiających pierwsze kroki na ringu wychodził z przesiąkniętej potem sali bokserskiej i zjawiał się w miejscach uprzednio ustalonych z Ryszardem. Po powrocie do domu późną nocą siadał w kuchni przy stole, zakładał okulary i przeglądał wszystkie ulotki, gazetki i pisemka, które ze sobą przywoził. Kreślił coś na nich, a czasami brał papier i pisał je od nowa.

– Może chciałbyś, żebym ci pomogła? – zaproponowała kiedyś Ania.

– To nie dla ciebie – rzucił, nie odrywając oczu od kartki. – Polityką się zajmujemy.

– Myślisz, że kobiety się do tego nie nadają? – poirytowała się.

– Nie o to chodzi. – Ściągnął okulary i spojrzał na córkę. – Wystarczy, że z naszej rodziny ja się angażuję. Ty musisz być z boku, a nawet z dala od tego wszystkiego. Poza tym masz swoich obowiązków w bród, a te odprawy zabierają czas. Ja nawet się cieszę, bo przynajmniej mam zajęcie. Mój kciuk – popatrzył na dłoń – jeszcze nie pozwala mi dobrze heblem robić. A na spotkaniach palec niepotrzebny. – Zebrał się na uśmiech.

Ania podeszła do ojca i pogładziła go po plecach.

– Uważaj na siebie – szepnęła.

– Ty też. – Poklepał córkę po ręce. – Obiecuj mi, że nie będziesz tam chodzić.

Pokiwała głową. Ojciec na nowo założył okulary i zabrał się do ulotek. Ania wyszła, ale kiedy była w drzwiach, usłyszała ojcowski pomruk:

– To niebezpieczne...

Natychmiast odwróciła się, ale tato zdawał się być pochłonięty zadrukowanymi kartkami. Pomyślała, że się przesłyszała, jednak to słowo nie dawało jej spokoju.

Podpytywała Radka, ale brat jedynie wzruszył ramionami. Nawet Gumnego, kiedy przyjechał do „Wiślanej” z dostawą mąki. I on nie rozumiał, co niebezpiecznego mogło być w tych spotkaniach.

– A że o Polsce to niby ryzykownie mówić? – Wzdrygnął się, po czym rozejrzał dokoła i nachylił się do Ani. Śmierział czosnkiem, jakby przed chwilą się nim natarł, ale Łabędziówna ani drgnęła. Cicho dodał: – Niebezpiecznie to Niemcom powinno być, bo oni u nas w gościnie siedzą, ale my przecież u siebie, to możemy gadać, o czym chcemy.

Ania pokiwała głową, pomimo że ton głosu Gumnego wcale nie dodał jej otuchy. Postanowiła więcej nie pytać, tylko nadstawiała uszu, żeby słyszeć, o czym rozmawiają klienci „Wiślanej”. Zdumiało ją, że nikt nie mówił o niebezpieczeństwie, nikt nie czuł się zagrożony. Ludzie, jak wcześniej,

rozprawiali o problemach domowych i tych związanych z pracą, o chorobach, śmierci bliskich, o powodziach z wcześniejszych lat i lękach przed kolejnymi. Jeśli gadali o opeelowskich odprawach albo o plakatach pouczających o obowiązkach i zachowaniu ludności, to krótko, dumnie i na tym się kończyło.

„Przestań już o tym myśleć! – huknęła na siebie Ania. – Przesłyszałaś się i tyle. Zajmij głowę czym innym”.

No i zajęła.



## NARESZCIE

Czarny opel zajechał przed „Wiślaną”, kiedy Ania skończyła obsługiwać klientów zajmujących stolik przy oknie i szła na zaplecze. Jednak słysząc silnik, zatrzymała się i zerknęła na tablice rejestracyjne.

„Przyjechał” – przebiegło jej przez myśl, ale poczekała, aż wysiądzie, żeby się upewnić.

Pospiesznie poprawiła włosy, mocniej przewiązała fartuszek, podkreślając wąską kibić, i szybko oddaliła się na tyły restauracji. Z kuchni nawoływał ją kucharz po odbiór dań, ale nie zareagowała. Brzęku sztućców i tłuczonego talerza oraz serii przekleństw też jakby nie usłyszała. Najważniejszy w tamtym momencie był dodatkowy róż na policzki i szminka.

„Wystarczy...” – bąknęła w myślach, patrząc na odbicie w małym lusterku, które służyło jej i innym pracownikom do poprawiania włosów puszących się od kuchennego gorąca.

Wzięła głęboki wdech, zabrała talerze z daniami głównymi, na które czekali już goście i spokojnym krokiem weszła na salę restauracyjną. Jak gdyby nigdy nic skierowała się do stolika pod ścianą, tuż obok donicy z palmą. Kątem oka dostrzegła jednak blondwłosego mężczyznę. Sadowił się dokładnie w tym samym miejscu, co wcześniej.

Nadzwyczaj uprzejmie obsłużyła dwóch klientów, którzy zachwyceni jej wdziękiem się, prężyli ku niej liche torsy i zagadywali. Wyczuła, że starszy z nich o nazwisku Wątroba miał przemożną ochotę klepnąć ją w pośladek, czego szczerze nienawidziła, uważając to za ohydny i uwłaczający kobiecej godności gest. Nauczyła się już sprytnie chwytać rękę gościa i z uśmiechem podbijać ją tak, by nie miał szans na plaśnięcie. Tym razem też to zrobiła, a potem szybko ruszyła w stronę kontuaru, przy którym stał Benjamin Węzyk. Dyskretnym ruchem głowy wskazał jej na

mężczyznę z opła. Spojrzała w jego stronę. Wwiercał w nią wzrok. Udając zaskoczenie, skinęła głową na powitanie i zwyczajnym, lecz niepozabawionym gracji krokiem podeszła do jego stolika.

– O! Pan znowu u nas? – Na jej twarzy pojawił się oszczędny uśmiech.

– Żegnając się z panią ostatnim razem, powiedziałem „do zobaczenia”, a ja słowa zawsze dotrzymuję.

– Dobrze wiedzieć, bo rozumie pan, że ma to swoje i dobre, i złe strony.

– Wyraźnie go kokietowała, jakby zupełnie zapomniała o ich ostatniej nieszczęsnej rozmowie oraz jej wtręcie na temat kur, który później wielokrotnie sobie wyrzucała.

– Dotrzymywanie słowa?

– Tak.

– A co dokładnie ma pani na myśli?

– O, na przykład gdyby obiecał pan komuś, w akcie całkiem uzasadnionej zemsty, śmierć i tej obietnicy dotrzymał, to ja tu widzę złe strony. Ale gdyby obiecał pan pięknej damie kwiaty i te kwiaty jej wręczył, to widzę same dobre.

Mężczyzna z fascynacją spijał słowa z ust Anny. A ona wypowiadała je z młodzieńczą lekkością i łatwością! I z wyjątkowym wdziękiem.

– Ach tak – odezwał się. – Śmierci nikomu nie obiecuję, ale kwiaty to i owszem. Szczególnie pięknym kobietom.

– I bardzo dobrze! – odparła hardo i udając nieczułą na jego kuszący uśmiech i tajemnicze oczy, podała mu kartę dań.

Nie spojrzał nawet, tylko dopowiedział:

– Lubię z panią rozmawiać. – Po czym zamilkł, wpatrując się w jej orzechowe oczy. Chciał ją w ten sposób speszyć, ale poniósł spektakularną porażkę. Nie pokazała nawet krzty zmieszania. – Świetnie mówi pani po niemiecku.

– W moim domu to norma. Wszyscy dobrze mówią.

– Pani nie mówi dobrze, lecz świetnie.

– Dziękuję. To zasługa sąsiedztwa. Za płotem mam koleżankę Niemkę. Rozmawiamy po niemiecku. Moi rodzice nie mieli nic przeciwko, a jej rodzice nie pozwalali jej uczyć się polskiego. I tak wyszło. Dla mnie język nie ma znaczenia. Tak samo jak narodowość. Mama nauczyła mnie, że człowiek to człowiek. Jego czyny się liczą, a nie to, jakie ma dokumenty czy jakim językiem się posługuje.

Słowa dziewczyny zdumiały go.

– Naprawdę?

– A czy w przeciwnym razie rozmawiałabym z panem?

– O, tak. Jestem w końcu klientem.

– Klient klientowi nierówny, proszę pana.

– Czyli niektórym nie poświęca pani tyle uwagi, co mnie?

Pokręciła głową.

– Z panem po prostu dobrze mi się rozmawia.

Anna Łabędź musiała sama przed sobą przyznać, że oto wspinała się na wyżyny erudycji i błyskotliwości. Uważnie dobierała niemal każde słowo, czyniąc przy tym bardzo skuteczne starania, by sprawiać wrażenie opanowanej i pełnej luzu.

– Mógłbym powiedzieć to samo. Mnie również dobrze się z panią rozmawia i... zaskakuje mnie pani.

– Tylko ja?

Najwyraźniej nie zrozumiał, co miała na myśli, więc dopowiedziała:

– Pytałam o to, czy tylko ja pana zaskakuję.

Pokiwał głową.

– Na to wygląda. Raczej niewiele rzeczy czy osób jest w stanie mnie dzisiaj zaskoczyć.

– A to szkoda! Mnie świat ciągle zaskakuje. Każdego szarego dnia uczę się o nim czegoś nowego. – Anna spojrzała w okno i odprowadziła wzrokiem przejeżdżającą furmankę. – To co dziś dla pana?

Nie odpowiedział, tylko pomógł w dłoniach menu.

– Patrzyłem, jak pani pracuje – oznajmił nieoczekiwanie i tak zniewalającym głosem, jaki znała tylko z teatralnych występów. Po plecach przebiegł jej dreszcz ekscytacji.

– Tak...? – Starła się wyglądać na zdziwioną. – Z jakiego powodu?

– Nie pasuje pani do tego miejsca.

– Pan też tu nie pasuje – rzuciła z przekąsem, od razu żałując swojego niewyparzonego języka.

Mężczyzna odsunął kartę i oparł dłonie o kant blatu, jakby chciał wstać. Spoważniał.

– A zatem nie jestem tu mile widzianym gościem i mam wyjść?

– Nie, nie o to chodzi i... Przepraszam, jeśli tak pan zrozumiał moje słowa – tłumaczyła się gęsto. – Poza tym, gdyby teraz pan wyszedł bez zamówienia czegokolwiek, szef dałby mi ostrą reprimendę. Urwałby mi głowę...

Gość przechylił się w stronę okna, by zerknąć na rzeczzonego kierownika sali.

– Nie wiem, o co chodzi z tym człowiekiem, ale już drugi raz wspomina pani o urywaniu przez niego głowy. Przyznam, że jest potężny, ale... – Skinął na nią palcem. Schyliła się i poczuła woń wody kolońskiej. – Czy on już komuś to zrobił?

Roześmiała się, a on jej zawtórował. Jej śmiech był co bądź nienaturalny, bo Anna czuła się, jakby za chwilę miała spłonąć. Jej serce torpedowało klatkę piersiową, w podbrzuszu wirowało, a dłonie zwilgotniały.

– Naprawdę pani tu nie pasuje – powtórzył.

Chciała mu potaknąć, opowiedzieć o swoich planach, o wyjeździe do Warszawy, o książkach i gazetach, których lektura wypełniała niemal każdy jej wieczór. O spektaklach teatralnych, które oglądała z uwielbieniem, i o namiętym słuchaniu radia. A przede wszystkim o tym, że chce zostać kimś ważnym, że chce ratować życie ludzkie, a praca w restauracji jest dla niej tylko etapem przejściowym! Naprawdę dobrze jej się z nim rozmawiało. Z żadnym gościem nigdy nie zamieniła tylu słów.

– Przyjmę to zatem jako komplement – powiedziała nieoczekiwanie spokojnie, jakby nerwowość, która wcześniej jej towarzyszyła, odpłynęła. – To co pan zamawia? – Zmieniła temat, czując na sobie surowe spojrzenie szefa.

– Zdam się na panią. Ostatnim razem się nie zawiodłem.

– Dobrze, a zatem...

Nagle przy stoliku zjawił się Beniamin Wężyk.

– Jakiś problem? – Skinął usłużnie w stronę gościa, wyczekując odpowiedzi.

– Ależ skąd. Właśnie otrzymuję pełną informację dotyczącą serwowanych u was potraw. Rozumie pan, jestem dość wymagającym klientem. – Poprawił marynarkę i wyprostował się. – Nie lubię jeść byle czego.

– Szanowny panie, my byle czego nie serwujemy! – obruszył się Wężyk. – Mamy towar pierwszej klasy, nadzór sanitarny to potwierdza, a... A nasz kucharz dba, by potrawy były wyborne.

– Dokładnie taką samą informację uzyskałem przed chwilą.

– Yyy... Mmm... – Z ust Wężyka wydostało się kilka pomruków, po czym właściciel „Wiślanej” pożegnał się uprzejmie i wrócił za kontuar.

– Tym razem również eintopf? – odezwała się Ania.

– Czyli pamięta pani, co zamawiałem?

– Mam doskonałą pamięć. U mnie najczęściej właśnie eintopf, a u szefa bryzol wieprzowy z zasmażaną kapustą i cebulą. Czy nie tak?

– Dokładnie tak. Dzisiaj poproszę eintopf i... – zawahał się.

– Tak?

– I deser. Strudel jabłkowy, który przed chwilą pani podawała, wygląda doskonale.

– Oczywiście.

Mężczyzna jadł powoli, zerkając co chwilę na Annę, ale i przyglądając się pozostałym gościom. Kiedy wychodził z restauracji, na jego twarzy

malowało się nie do końca szczere zadowolenie. Eintopf jak na jego gust okazał się zbyt słony, a strudel za słodki.

– A zatem do zobaczenia – powiedział na odchodne do Anny.

– Do widzenia.

Odprowadziła go wzrokiem, z nadzieją, że może się odwróci, może jeszcze pośle jej ten swój zadziorny uśmiech albo tajemnicze spojrzenie. Ale się nie doczekała. Po prostu wyszedł. Zwyczajnie, jak robili to inni klienci. Kiedy zniknął, upajała się jego zapachem do chwili, aż Benjamin Wężyk wysyczał w jej ucho krótkie, acz okrutnie bolesne:

– Ruchy, dziewczyno!

## GUSTAW GUDERIAN

Anna wychodziła z restauracji grubo po osiemnastej. Zazwyczaj kończyła wcześniej, ale tamtego dnia musiała zostać dłużej, by przygotować rozliczenia dostaw. Stała na chodniku i spojrzała w niebo. Było czyste, bez jednej chmury. Zarzuciła na plecy cienki sweterek, ale nie po to, by się ogrzać. Powód był bardziej prozaiczny; po prostu nie chciało jej się nosić dodatkowego bagażu.

Nie zrobiła nawet kroku w kierunku domu, kiedy od strony Słowackiego doszedł ją dźwięk tłuczonego szkła. Natychmiast tam spojrzała i pierwsze, co jej przyszło na myśl, to to, że ktoś włamuje się do pobliskiego sklepu z konfekcją damską. W zeszłym tygodniu wydarzył się taki incydent, a właścicielka sklepu przypłaciła go palpitacją serca: zniknęły całe bele materiału, które za krocie świeżo nabyła w Łodzi. W Ani od razu obudził się duch społeczniczki i gdyby rzeczywiście spostrzegła włamywacza, z pewnością ruszyłaby z odsieczą lub, co bardziej prawdopodobne, podniosłaby larum. Ku swemu zdziwieniu ujrzała jednego z rybaków, który chwiejnym krokiem zmierzał w stronę Wisły. Najpewniej stłukł jakąś butelkę lub słoik, które, ze względu na swój stan, niezbyt uważnie niósł w szmacianej torbie. Mimo wszystko podeszła do sklepu i upewniwszy się, że nie ma mowy o żadnym podłym występku, zawróciła.

Kiedy znów szła Bydgoską, na końcu chodnika dojrzała mężczyznę. Palił papierosa.

Zwolniła.

Wytężyła wzrok.

Dzieliła ich spora odległość, ale i tak miała pewność, kim ów mężczyzna jest. Ona szła w jego kierunku, a on ruszył jej naprzeciw. W końcu stanęli ze sobą twarzą w twarz.

– Dobry wieczór – powitał ją.

– Dobry wieczór. Pan jeszcze w Fordonie?

– Zostaję na noc. Jutro mam tu sprawy do załatwienia. Zatrzymałem się w hotelu Krüger.

– A myślałam, że czegoś pan może zapomniał albo coś zgubił.

– A, tak. To też. Zgubiłem dobre maniery. – Uśmiechnął się i szarmancko pochylił głowę. – Zapomniałem się przedstawić, a to całkowicie niewybaczalne. Nazywam się Gustaw Guderian.

„Gustaw Guderian...” – powtórzyła w myślach, oddalając natychmiast wszystkie inne imiona, które po nocach nadawała nieznanemu.

– A pani? – zapytał, doskonale znając odpowiedź.

– Anna Łabędź – odparła.

– Hmm... Przyznam, że pasuje do pani idealnie.

– A dlaczego pan tak uważa?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Po prostu.

– Ja tam zawsze chciałam się nazywać Agnieszka Pisarek, jak moja nauczycielka polskiego. Czy to by też do mnie pasowało?

Zmrużył oczy i już chciał coś na to odpowiedzieć, gdy w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Czy zgodzi się pani, pani Anno, bym odprowadził ją do domu?

– To raczej nie wypada – stwierdziła. – Ludzie by pytali, nie mówiąc już o moim ojcu.

– Wydawało mi się, że nie przejmuję się pani takimi rzeczami.

Zmieszła się, a potem nagle zmieniła zdanie:

– Bo się nie przejmuję, ale zupełnie pana nie znam, a nie prowadzam się z obcymi.

– Taki spacer to byłaby szansa na to, bym obcym być przestał.

– Hmm... Dobrze, ale tylko do rynku.

– Czyli jednak obchodzi panią, co plotą wścibskie języki? Obawia się ich pani?

– A nie pomyślał pan, że raczej obawiam się pana? – droczyła się.



– Mnie? Czy wyglądam aż tak groźnie?

– Może... – Westchnęła i spojrzała z boku na Gustawa.

Z tej perspektywy wydawał jej się jeszcze przystojniejszy. Miał prosty nos, bez najmniejszego zgarbienia, idealny; nieprzesadnie wydatne usta, kanciastą, bardzo męską brodę i wysokie czoło. Do tego nosił nienaganny ubiór, który budził w niej lekkie zawstydzenie. Przy nim czuła się jak Kopciuszek. Bracia ciągle jej powtarzali, że jest piękna i że złamie niejedno męskie serce, ale jakże ona miała je złamać, skoro jej szczupłe ramiona okrywał dziergany maminymi rękoma sweter, a stopy osłaniały przechodzone botki, pozbawione tak bardzo pożądanego paska i choćby niewysokiego obcasa?

– Proszę mi coś o sobie opowiedzieć – zaproponował.

– A co konkretnego chciałby pan wiedzieć?

– Zasadniczo niewielką mam wiedzę o pani, więc z chęcią wysłucham wszystkiego.

– Dobrze, ale mam jeden warunek.

– Warunek? Proszę.

– Pan również mi o sobie opowie. – Jej ton brzmiał władczo, ale Guderiana słowa Anny rozbawiły.

– Jest pani niemożliwa.

– Ja? To pan mnie tu na spowiedź bierze. Nie mogę zostać dłużna.

– Pani Anno...

– Tak właściwie to panno – poprawiła go, a on skinął głową.

– Zapewniam, że moja historia nawet w niewielkim procencie nie będzie tak ciekawa jak pani.

– Skąd ten wniosek? Przecież niczego jeszcze pan o mnie nie wie.

Gustaw na ułamek sekundy przymknął oczy. On już wiedział. Wiedział, że Anna jest idealna. Dokładnie taka, jakiej szukał. Podobała mu się, i to bardzo, ale szczerze mówiąc, nigdy nie był wybredny, jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. Zawsze to charakter kobiety do niej go przekonywał. Nigdy

wcześniej nie spotkał jednak takiej, która jednocześnie bawiłaby go i irytowała. Potrafiłaby oprzeć się jego urokowi i zdziwiłaby odmową, pytaniem czy ciętą ripostą. Był zachwycony i chciał lepiej poznać Annę Łabędź. Znacznie lepiej.

– Dobrze – powiedział, patrząc przed siebie. – I ja coś o sobie opowiem.

– Od urodzenia mieszkam w Fordonie. Mam dwóch starszych braci, Radosława i Aleksandra – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu, po czym spojrzała pytająco na Gustawa.

Jakże była go ciekawa! Jak bardzo chciała dowiedzieć się o nim wszystkiego, absolutnie wszystkiego tak, by nie musieć już wieczorami zadawać sobie pytań o to, kim jest tajemniczy mężczyzna z czarnego opla.

– Urodziłem się we Frauenburgu<sup>[12]</sup>, ale obecnie mieszkam w Marienwerder<sup>[13]</sup> z moją babcią, Julią.

– To jest pan szczęściarzem, że ma pan jeszcze babcię. Moje obydwie już dawno na tamtym świecie. A dlaczego nie mieszka pan z rodzicami?

– To długa historia, a przed nami krótka droga.

– Ale opowie mi pan kiedyś?

– Może... Szczerze mówiąc, to nie jest ani zbyt ciekawe, ani zbyt przyjemne. A już romantyczne najmniej.

– Czyli coś w sam raz dla mnie. Nie lubię romantycznych historii.

Weszli na rynek i zamiast od razu skręcić w stronę ulicy Piłsudskiego, zatrzymali się i spojrzeli na plac.

„O, Boże...” – stęknęła w myślach Anna.

Na rynku w dwóch sporych grupach tłoczyli się ludzie, głównie kobiety, i na dodatek nie jakieś tam fordonianki, ale największe miejskie przekupki. Zapewne przed chwilą wyszły z kościoła po nieszporach. Anna odniosła wrażenie, że wszyscy, absolutnie wszyscy na nich patrzą. Na nią i na Guderiana.

Od razu pożałowała, że zgodziła się na spacer. Zrobiło jej się gorąco.

– Niech to szlag! – syknęła.

Gustaw spojrział na nią, a potem na grupkę kobiet.

– To największe plotkary w Fordonie – wyszeptała. – Jutro na targowisku wszystkim rozpowszechnię, że prowadzam się z nieznajomym. – Chciała jeszcze dodać „Niemcem”, bo wiedziała, że dla polskich przekupek to byłaby najważniejsza wiadomość, ale ugryzła się w język.

Za to już wyobraziła sobie treść plotek: „Łabędziówna szlaja się z Niemcem”, „Ledwo co maturę zrobiła, a już leci do męskich gaci” albo „A to w Fordonie mało porządnym chłopaków, że musi za obcym się oglądać?”.

„Za obcym...” – jeszcze raz spojrziała na Guderiana i powzięła decyzję.

– Jest pan katolikiem?

– Tak.

– I dogada się pan po polsku?

– Rozumiem polski, ale nie mówię płynnie.

– Doskonale. Chodźmy do nich.

– Do nich? Nie zamierzam.

– Jeśli chce mnie pan uchronić od plotek, to proszę o tę drobnostkę.

Anna skierowała się w stronę jednej z grupek, a Gustaw, choć bez entuzjazmu, poszedł za nią.

– Dobry wieczór, pani Szusterowo.

– A dobry, dobry.

– Cieszę się, że panią widzę. – Anna ukłoniła się oszczędnie. – To jest pan Gustaw Guderian. – Szusterowa zmierzyła mężczyznę wzrokiem. Jej towarzyszyki również. – Przyjechał do Fordonu w interesach, a w „Wiślanej” jadł obiad... I poprosił mnie, abym pomogła mu znaleźć księdza proboszcza, bo ma do niego osobistą prośbę. Ja niby znam księdza proboszcza, każdy zna, ale jak tylko panią zobaczyłam, to pomyślałam, że to zrzędzenie losu. Bo pani zna księdza najlepiej, no i pani wie, gdzie może teraz być.

Guderian nie odzywał się, tylko przyglądał uważnie starej kobiecie wlepiającej w niego wzrok.

– A pewnie, ady znamy się księdzem proboszczem nie od wczoraj! – Poprawiła pod szyją wiązanie kwiecistej chusty, zadowolona, że znalazła się w centrum uwagi. – Pan pójdzie za mną. – Niski głos doskonale pasował do jej słusznych gabarytów. – Pokażę. Nabożeństwo dopiero się skończyło, ale proboszcz jeszcze na zakrystii. Nie widziałyśmy, żeby wychodził.

Ruszyła w kierunku kościoła, a po kilku krokach obejrzała się za siebie. Guderian nadal stał w tym samym miejscu.

– No idzie, idzie za mną! Proboszcz na kłaśnięcie nie przyjdzie.

Guderian skinął głową w stronę Anny i niechętnie poszedł za kolebiącą się na boki kobietą.

\*\*\*

Anna doskonale знаła Fordon; każdy zakamarek, każde przejście, zaułek, daszek i komórkę. To było jej miasto, może i za małe, może i nie z marzeń, ale jej.

Pożegnała się z pozostałymi przekupkami i udała, że idzie w stronę rodzinnego domu. Tak naprawdę stanęła w otwartej bramie jednej z kamienic i czekała na przebieg wydarzeń. Patrzyła, jak Szusterowa wraca i jak z zaróżowionymi policzkami relacjonuje towarzyszkom, co wydarzyło się na zakrystii, a może i to, co udało jej się podsłuchać. Potem odprowadzała je wzrokiem, uważając, by żadna jej nie dostrzegła. Niezbyt długo czekała na pojawienie się Gustawa, a ten, gdy wyszedł przed kościół, wyjął z kieszeni papierosa i zapalił jednego. Spodziewała się, że ruszy w stronę hotelu, ale kierował się prosto na nią. Zrobiła krok w tył, jakby chciała się skryć, ale zrozumiała, że Guderian jakimś cudem musiał ją dostrzec.

I tak rzeczywiście było. Stał obok niej niczym kompan na warcie i przez chwilę w milczeniu spoglądali na pustoszejący rynek. Kilka osób przemierzało go w pośpiechu, kilku smarkaczy biegło za piłką.

– Gdybym miał wybrać najlepsze miejsce do obserwacji – wyszeptał do niej w końcu, lekko pochylając się w jej stronę – stanąłbym dokładnie tu. Może tylko metr głębiej. Ma pani nosa.

– Dziękuję i... przepraszam, że wpakowałam pana w tę dziwną sytuację. I że nie uprzedziłam. Głupio mi teraz.

– Nie było tak źle – odparł beztrząsco, czym urzekł ją jeszcze bardziej.

Spodziewała się, że będzie prawil jej morały, może fuknie na nią i rzuci parę ostrych słów, by dać do wiwatu. Jakże się pomyliła! Wyglądał na zadowolonego.

– Chwila rozmowy z księdzem pod pretekstem poszukiwań krewnego nie kosztowała mnie zbyt wiele. Poza tym doskonale się bawiłem. A to, jak pani naprędce wymyśliła intrygę! Hmm... Godne podziwu! Aż się pani boję!

– Eee... Nic wielkiego. Samo przyszło. To... To dzięki książkom. Dużo czytam, a ostatnio same kryminały. Kiedy do Fordonu przywieźli Gorgonową, przeczytałam bodaj wszystkie notatki o niej – mówiła szybko, a w jej głosie pobrzmiwało podenerwowanie. – A jak już trochę ucichło, sięgnęłam po kryminały. Wszystkie dostępne w bibliotece już dawno za mną, niektóre po kilka razy.

Zaczęła wymieniać nazwiska swoich ulubionych pisarzy, najwięcej czasu poświęcając Adamowi Nasielskiemu i stworzonemu przez niego bohaterowi, inspektorowi Bernardowi Żbikowi.

Z każdym zdaniem stawała się coraz spokojniejsza. Najwyraźniej wyrzucanie z siebie słów i mówienie o tym, co lubiła, pomagało jej pozbyć się napięcia.

– Rzecz jasna, nie znam żadnej z tych książek, ale przyznam, że teraz boję się pani jeszcze bardziej – stwierdził Gustaw, kiedy skończyła. – Po tylu kryminałach zna się pani na przestępczym fachu, panno Anno. Mam tylko nadzieję, że noża w kieszeni pani nie nosi?

– Nóża nie, ale z garotą się nie rozstaję – zebrała się na żart, który rozbawił ich oboje.

Guderian cicho prychnął, a potem poprawił kapelusz. Zauważyła, że kiedy udawało jej się go zaskoczyć ripostą, zachowywał się podobnie: palcami prawej dłoni łapał za główkę kapelusza i mocniej sadowił go na głowie.

– Muszę już iść – oznajmiła. – Papa będzie się niepokoić.

– Oboje wiemy, że to nieprawda – zablefował, a jej serce podskoczyło do gardła. – Po tym wszystkim należy mi się chyba jeszcze kilka minut pani czasu.

– Ale tylko kilka.

Stali w bramie, nie patrząc sobie w oczy, ale zerkając na siebie i czując, że dzieje się coś dziwnego, że coś narasta, i to tak ekscytującego i niepokojącego zarazem, że ani ona, ani on nie potrafili tego nazwać inaczej niż zauroczeniem. Im dłużej przebywali ze sobą, tym trudniej było im się rozstać i z kilku minut błyskawicznie zrobiło się kilkanaście. Pewnie nie skończyłoby się na tym, gdyby nie fakt, że na rynku pojawił się Antek Dziarkowski. Kręcił się tu i tam, a w końcu oparł o mur, jakby na kogoś czekał.

– Teraz już naprawdę muszę iść – powiedziała cicho Ania do Gustawa.

Złapał ją za dłoń i pocałował. Długo nie odrywał ciepłych ust od jej skóry.

– Spotkamy się jeszcze, Anno? – Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu, na dodatek zaglądając jej głęboko w oczy.

Zadrżała.

– Tak, Gustawie.

## TO, CO NIEUNIKNIONE

Chciała przemknąć do domu niezauważona, niedostrzeżona przez przyjaciela z dzieciństwa, którego nie tak dawno odprawiła z kwitkiem. Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę. Pragnęła oddać się własnym myślom, drobiazgowemu odtwarzaniu tego, co przed momentem, przed kwadransiem i przed godziną się wydarzyło. Tymczasem los zdecydował za nią.

– Ania! – usłyszała zza pleców.

Wiedziała, że musi się odwrócić. Antek zmierzał w jej stronę.

– Tak właśnie mi się wydawało, że to ty – powiedział, stając przed nią. – Widziałem cię z jakimś obwiesiem.

– Coś ci się pomyliło – rzuciła.

– Yhyyy... Dałbym se palce uciąć, że nie byłaś sama.

– To palce byś stracił. – Zaśmiała się dla niepoznaki.

– Może... Do domu idziesz?

– Tak. Mam dużo roboty.

– Odprowadzę cię.

– Przecież to dla ciebie nie po drodze – rzuciła i odruchowo spojrzała w stronę kamienicy, w bramie której stała przed chwilą z Gustawem.

Nie widziała jego twarzy, ale miała pewność, że nadal tam jest. Dostrzegła żar palonego papierosa.

– Skończyłem robotę – tłumaczył Antek – i wcale mi do domu niespieszno. Byłem akurat na rynku i czekałem na kogoś. Ale ciebie to żem się nie spodziewał.

– Bo zazwyczaj o tej porze jestem już w domu. – Ruszyła szybko, licząc na to, że tempo marszu zniechęci Antka do przechadzki. Ten jednak dotrzymywał jej kroku.

– Coś cię dzisiaj zatrzymało?

– Aaa... Takie tam.

Szli ulicą Piłsudskiego, kłaniając się mieszkańcom, którzy albo wracali z pracy, albo do niej spieszili. W oknach pojawiały się pierwsze światła. Z niektórych domów dobiegały dźwięki wieczornego koncertu radiowego, brzdęk talerzy i sztuców. Fordonianie siadali do kolacji. Anię zakreśliło w nosie, gdy poczuła w powietrzu smażone ziemniaki i gotowaną kapustę.

Antek przez cały czas pytał o naprawie maszyn. Był podekscytowany i jakiś inny, przedziwnie pewny siebie.

– No, zobacz tylko. – Uniósł ręce. Miał brudne paznokcie, poranione palce i ciemnobrunatne plamy na opuszkach. – Nie wiesz, ile czasu szorowałem paluchy, ale szare mydło na nic się nie zdało. Pasta też nie wszędzie pomogła. Ale już dawno nie byłem tak zadowolony. Trzy godziny naprawiania i się udało! Pompa działa i łańcuchy naprawione, a ojciec zadowolony, bo oszczędził na mechaniku.

– To dobrze.

Jakieś umorusane dziecko przebiegło im drogę i z impetem wpadło do bramy w pobliskiej kamienicy. Odprowadzili je wzrokiem.

– Widziałaś, jak się ufajdał? Matka mu pewnie skórę przetrzepie, ale mógł nie łązić po bagniskach...

– Daj spokój. To dziecko. My też tam łąziliśmy.

Przez chwilę szli w ciszy, a potem Antek nagle wypalił:

– Odwiedzisz mnie? W domu?

– Co? – Ania aż przystanęła.

– Chciałbym, żebyś mnie odwiedziła.

– Przecież widzimy się prawie codziennie.

– Ale pomyślałem, że miło by było, gdybyś przyszła na placek jaki.

– Nie obraż się, ale nie chciałbym spotkać twojego ojca.

– Przecież on ci nic nie zrobił.



– Ale nasłuchałam się o nim. Od ciebie też... – Antek pokiwał głową. – Gdyby nie ty, czułabym niechęć do waszego nazwiska.

– Czyli jednak mnie lubisz?

– A czy kiedykolwiek powiedziałam, że nie?

– No, ale wiesz...

Doskonale zdawała sobie sprawę, do czego zmierzał, i chciała jak najszybciej uciąć temat.

– Antek, ty byłeś, jesteś i będziesz moim kolegą. Tylko kolegą.

Zacisnął usta, ale już po chwili spojrzał na Anię łagodnie.

– A dasz się zaprosić na potańcówkę? Jako koleżanka.

– Nie! – rzuciła gwałtownie. Miała wrażenie, że w ogóle jej nie słucha. – A jak jeszcze raz zapytasz, to zmienię o tobie zdanie. I przestanę się do ciebie odzywać – zagroziła, a żegnając się z nim, zawołała jeszcze: – Znajdź sobie dziewczynę, Antek!

Pomachał do niej, a pod nosem mruknął:

– I tak kiedyś będziesz moja...

\*\*\*

Weszła do domu i z miejsca poczuła zapach duszonej kiełbasy z cebulą. Skrzywiła się, bo choć była głodna, nie przepadała akurat za tym daniem. Kiełbasy było w nim niewiele, za to cebuli aż nadto. Ojciec ponoć taką lubił, ale jej się zdawało, że zadecydowała o tym zasobność portfela, a nie ojcowskie podniebienie.

Zajrzała do kuchni. Jan Łabędź uwijał się przy piecu, a Radek kroił chleb.

– Nie jestem głodna, papo, więc dla mnie nie szykujcie. Najadłam się w „Wiślanej” tak, że brzuch mi pęka – skłamała.

Nie jadła niczego w restauracji, ale po wszystkim, co wydarzyło się tego popołudnia, i tak niczego by nie przełknęła.

– A co jadłaś? – zaciekał się brat. – Zawsze mówiłaś, że z Wężyka straszny sknera.

– Dziś był wielkoduszny i pozwolił nam się najeść. Pewnie mu żona dogodziła.

– Aniu! – Ojciec zgromił ją spojrzeniem, a Radek wybuchnął śmiechem.

– Taka prawda! Wszyscy wiedzą, że ma dobry humor, tylko jak Wężykowa się przysłuży.

– Wiedzieć a pleść to dwie różne sprawy – rzucił ojciec gniewnie. – Nie zagląda się ludziom do łóżka.

Wbrew powadze słów ojca Radek nie przestawał się śmiać. Puścił do siostry oko i zapytał:

– Naprawdę tak gadają?

Pokiwała głową, po czym dodała:

– Raz na tydzień, czasem i rzadziej.

Radek kolejny raz wybuchnął śmiechem, a ojciec rzucił łyżką w gar. Przez chwilę był poważny, ale później i on się roześmiał.

– Ech, wy...

Ania podeszła do stołu okrytego kraciastą ceratą i pociągnęła łyk kompotu z dzbanka.

– Do szklanki se nalej! – rzucił ojciec, ale nie posłuchała. Z dzbanka zawsze smakowało najlepiej.

\*\*\*

Cały wieczór spędziła w łóżku, rozmyślając o tym, co zaszło między nią a Gustawem. Mrowienie w podbrzuszu, które znała z kilku krótkich wcześniejszych zauroczeń, upewniało ją, że wydarzyło się coś niezwykłego. Karmiła się wspomnieniem jego czułego pocałunku w dłoń, obietnicy kolejnego spotkania i spojrzenia, które sprawiało, że na samą myśl o nim jej ciało zaczynało drżeć.

W pewnym momencie coś do niej dotarło. Usiadła. Na kark wstąpił zimny pot, a z myśli zniknęła wszelka błogość. Zrozumiała, że zachowała się jak pierwsza naiwna, najdurniejsza dziewczucha, która jak ofiara pozbawiona instynktu samozachowawczego sama się pchała w szpony drapieżnika! Przecież Guderian był jej zupełnie obcy. Ekscytujący, ale nieznan. I był Niemcem, o którym nic nie wiedziała. Zaledwie to, co sam chciał jej powiedzieć. Okruchy prawdy raptem. Ale czy na pewno prawdy...? Przeraziła się na myśl o tym, że mógł ją okłamać, że mógł ją zwieść, a ona tego nie zauważyła.

Próbowała przypomnieć sobie jego słowa. To, o czym mówił, ale przecież jak miał mówić, skoro o nic go nie pytała! Idiotka! Gustaw za to pytał. Kiedy stali na rynku... O rodziców, braci, pracę i szkołę... O tyle rzeczy...! A ona, odurzona jego osobą, paplała. A niby taka cwana, taka sprytna! Gustaw tylko czasami wtrącał coś na swój temat. Tak! Przypomniała sobie historię o babci Julii, o jej cieście drożdżowym i płaszczu z karakułów. To były jednak ogólniki. Coś, co mogło dotyczyć każdego.

– Niech to szlag! – Z całych sił walnęła pięścią w łóżko.

Wstała i zaczęła chodzić po pokoju, w myślach odtwarzając całe spotkanie.

„Nie wiem, czym się zajmuje i z kim prowadzi interesy w Fordonie... Jak mogłam o to nie zapytać?!” – wściekała się na siebie.

Najbardziej zdenerwowała się, kiedy dotarło do niej, że dostrzegła, jak wiele ich dzieliło. On pachniał wykwitną wodą toaletową, nosił ubrania szyte na miarę u krawca, zapewne nienależącego do tanich, bo z dobrych gatunkowo materiałów, palił drogie papierosy i jeździł samochodem. Samochodem! Przecież żaden jej znajomy nie miał do dyspozycji samochodu. Antek jeździł dostawczakiem ojca. Rozklekotanym, który częściej się psuł, niż był sprawny. A Gustaw kierował pachnącym nowością oplem, za którym wszyscy się oglądali.

„Uwodził mnie... A jeśli on chce się mną tylko zabawić...?”

Nigdy, ale to przenigdy nie chciała zostać utrzymanką, zabawką jakiegoś bogacza. Gardziła nimi, bo znała tylko takich, którzy ludzi z jej pochodzeniem traktowali jak gorszych, mniej wartościowych. Wykorzystywali ich bez mrugnięcia okiem.

Podeszła do okna i spojrzała w czerń podwórka, oparłszy dłonie o wąski parapet.

„Martwisz się na zapas! – obsztorcowała sama siebie. – Jeśli Gustaw nie jest uczciwy, jeśli myślał zrobić z ciebie zabawkę, nie pozwolisz mu na to, jesteś na to za mądra! A poza tym i tak niedługo jedziesz do Warszawy!”

## GONITWA MYŚLI

Gustaw nie pojawił się w Fordonie w ciągu kolejnych dwóch tygodni i Ania pomyślała, że ich drogi rozeszły się na dobre. Pierwszy raz w życiu było jej żal, bo mimo obaw o czystość jego intencji myślała o nim. Był pierwszym mężczyzną, którego potraktowała poważnie. Chciała go jeszcze spotkać. Chciała zamienić z nim słowo, spojrzeć mu prosto w niebieskie źrenice, mimo że wiedziała, iż nie powinna, bo mogłaby się jeszcze bardziej w nim zadurzyć, bo jeszcze bliżej by go do siebie dopuściła. A przecież należeli do dwóch różnych światów, i to takich, które dzielił gruby i wysoki mur. Nie mogła zapomnieć o tym, że on był zamożny, przynajmniej tak go oceniała, a ona należała do biedniejszej klasy. No i najważniejsze: Gustaw był Niemcem, a ona Polką, a ich ewentualny związek dla ojca i całej rodziny Łabędziów stanowiłby układ niemożliwy, nie do zaakceptowania. Ale Ania zawsze stała gdzieś obok, szła pod prąd.

Codziennie myślała o Guderianie, lecz z dnia na dzień jego obraz stawał się coraz bardziej mglisty. Kiedy jednak ponownie go zobaczyła, mgłą, która zasnuwała jej pamięć, nagle się rozwiąła.

Zaparkował przed wejściem do „Wiślanej” i wysiadł z samochodu. Nie rozglądał się tak, jak robił to wcześniej, nie patrzył na przechodniów, nie marnował czasu na papierosa. Wykonał pięć kroków i już był w restauracji. Dzwoneczek w drzwiach przywołał uwagę nielicznych o tej porze dnia klientów, Beniamina Wężyka również. Ale Gustaw nie jego szukał, nie jego.

– Dzień dobry szanownemu panu. – Wężyk ukłonił się nisko, jak miał w zwyczaju robić wobec klientów, których wysoko cenił. Przesunął dłonią po nadmiernie wybrylantowanych włosach, jakby chciał jeszcze bardziej je ugładzić albo się upewnić, że gruby przedziałek przebiegający przez środek głowy nie zmienił swojego położenia. – Dawno pana u nas nie było.

– Tak wyszło. A pan dziś sam? – zapytał Gustaw, rozglądając się po sali.

– Aa... – Beniamin machnął ręką. – Wie pan, jak to z kobietami bywa. Czasami mają takie dni, że więcej na zapleczu niż wśród ludzi. Co zrobić...

– Czyli panna Anna nadal tu pracuje?

– A i owszem. – Wężyk z zaciekawieniem przechylił głowę w bok.

Od razu pomyślał, że zainteresowanie szykownego Niemca córką biednych Łabędziów to dobry temat na plotkę. Będzie musiał wspomnieć o tym żonie.

– Bo widzi pan... Gdy byłem tu ostatnim razem... – Gustaw wnet przejrzał jego zamiary i postanowił sprzedać Wężykowi tanią historyjkę. – Miałem sprawę do księdza proboszcza. Ważną i dość osobistą. – Szef sali gorliwie pokiwał głową. – Szedłem do kościoła, ale na ulicy natknąłem się na pannę Annę i poprosiłem o pomoc, bo bałem się, że nie znajdę księdza. Dzięki panie Ani wszystko doskonale się udało, dlatego teraz chciałem jej podziękować, bo wtedy, w tym zamieszaniu, po prostu zapomniałem.

– Aaa. Rozumiem... – Wężyk pokiwał głową, nieco rozczarowany zwyczajnością sprawy. – Zaraz jej powiem.

– Będę wdzięczny.

Szef sali skinął głową, a potem wykonał ruch ręki, którym zasygnalizował, że czeka na zamówienie.

– A tak – zreflektował się Gustaw. – Poproszę o kawę i strudel jabłkowy.

– A danie główne? Kotlet schabowy może? Antrykot z indyka?

– Podziękuję. Dziś tylko kawa i ciasto.

– Jak szanowny pan sobie życzy.

W restauracji było już dość pusto, więc Gustaw dosłyszał słowa, które szef sali kierował do Anny na zapleczu. Po chwili zobaczył i ją. Wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Włosy ciemne, ale nie czarne, lekko kręcone przy końcówkach. Podpięte spinkami tuż przy uszach, sięgały drobnych ramion ukrytych w prostej, błękitnej sukience, opasanej białym fartuszkim z niewielką falbaną. Ania szła w jego stronę, ale wzrok miała skupiony na tacy.

– Proszę – powiedziała bardzo oficjalnie, stawiając przed nim kawę i ciasto.

Nie chciała patrzeć mu prosto w oczy. Bardzo nie chciała. Wiedziała, że kiedy to zrobi, to, co przygasło, ożyje na nowo.

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było.

Chciał ją złapać za dłoń, poczuć jej ciepło, ale szybko cofnęła rękę.

– Nic nie szkodzi. Fordon nie jest aż tak interesującym miastem, żeby do niego ciągle zaglądać – odpowiedziała.

– Nie przyjeżdżam tu w poszukiwaniu fordońskich atrakcji.

Wreszcie spojrzała na niego. Jego oczy połyskiwały w taki sam sposób, jak podczas ich ostatniego spotkania. Były ciepłe i pożądlive. Chciała uciec wzrokiem, nie patrzeć w te niebieskie, zniewalające odbicia duszy, ale nie potrafiła. Elektryzował ją, jak żaden inny mężczyzna.

– Proszę się nie tłumaczyć. Każdy może robić, co chce.

– Wiem, ale i tak przepraszam. Musiałem wyjechać aż do Stettina<sup>[14]</sup>. Wysłali mnie tam bez zapowiedzi, a to dość daleko. Właśnie stamtąd wracam. Nawet nie byłem w Marienwerder. Najpierw chciałem przyjechać tu, do Fordonu, żeby cię zobaczyć.

– Mnie?

– Oczywiście, Anno.

Z zaplecza doszedł ich dźwięk tłuczonego szkła i Anna odruchowo obejrzała się za siebie. Natknęła się na surowe spojrzenie Beniamina Wężyka.

– To miłe... Gustawie... – Jej serce biło jak szalone. Chciała... Musiała jak najszybciej uciec od tego stolika. – Czy oprócz kawy i strudla przynieść coś jeszcze? Zaraz zamykamy, ale na pewno coś się jeszcze znajdzie.

– Zamówię wszystko, co trzeba, jeśli to sprawi, że przestaniesz być taka oficjalna, Anno.

– Nie jestem oficjalna. Wykonuję swoją pracę.

Sięgnął po papierosa i zapalił, ale kiedy to robił, niemal przez cały czas patrzył na nią.

– A zatem dziękuję, to wszystko – powiedział, również zmieniając ton na oficjalny.

Oddaliła się i stanęła za kontuarem. Zerkała na Gustawa, na kłęby dymu, które wypuszczał z ust. Na nieidealne uczesanie i kilka kosmyków zadziornie opadających mu na czoło. Na mocno zarysowane kości policzkowe, które dodawały mu męskości. Jakby chciała zapamiętać każdy detal jego twarzy.

Powolnym krokiem podeszła do szefa sali, by zamienić z nim słowo. Wężyk nie wyglądał na zadowolonego, ale spojrzał na zegarek i z niechęcią skinął głową. Anna wyszła na zaplecze, a po krótkiej chwili Gustaw dostrzegł ją na zewnątrz. Stała na chodniku, po drugiej stronie ulicy, i patrzyła na niego. Szybko zgasił papierosa i dopił kawę, po czym uregulował należność i wyszedł z restauracji. W dali zobaczył Annę. Zmierzała w stronę rynku.

\*\*\*

– Anno! – zawołał, kiedy zrównał się z nią. Anna szła szybko, ani myśląc się zatrzymać. Gustaw natomiast cały czas wolno jechał samochodem. – Proszę, porozmawiajmy.

– Nie powinniśmy.

– A ja myślę, że nawet musimy.

Stanęła gwałtownie i rzuciła mu ostre spojrzenie.

– Chcę tylko porozmawiać – powiedział. – Proszę, wsiądź do samochodu.

– Muszę wracać do domu. Mam swoje obowiązki. Poza tym brat będzie się niepokoił.

– Przecież wyszłaś dziś przed czasem. Do końca pracy jeszcze – zerknął na zegarek – prawie godzina. Wsiądź do samochodu, proszę. Albo ja wsiądę i się przejdziemy. Chciałbym z tobą porozmawiać.



Spojrzała mu prosto w oczy. Dostrzegła w nich szczerłość i uczciwość, ale i tak się wahała. Nie to, żeby obawiała się Gustawa, mimo że ostatnio głośno było o porwaniu i utopieniu dwudziestolatki z Torunia. Ale bała się o siebie, o to, że zatraci się w Gustawie Guderianie, a już przecież prawie o nim zapomniała. Prawie...

– To już wolę przejażdżkę – stwierdziła i podeszła do auta.

Guderian wysiadł i otworzył jej drzwi.

– Chciałbym ci się wytłumaczyć – powiedział, gdy ruszyli.

– Nie oczekuję tego.

– Ale i tak bym chciał, jednak jeśli pozwolisz, zrobię to, kiedy dojedziemy na miejsce.

– Gdzie chcesz jechać? Nie mam zbyt wiele czasu.

– To niedaleko.

Przejechali przez most i znaleźli się na drugim brzegu Wisły. Minęli Strzyżawę i kierowali się w stronę Ostromecka, niewielkiej wsi znanej z rozległego i nadzwyczaj urokliwego kompleksu pałacowego.

– Już prawie jesteśmy – powiedział uspokajająco Gustaw, choć Ania nie okazywała niepokoju.

Tuż przed granicą posiadłości rodziny von Alvenslebenów skręcił w lewo i wąską alejką przecinającą las dojechał do końca. Ania doskonale знаła okolicę. Kiedy chodziła do szkoły powszechnej, zdarzało się, że i tu się wypuszczała. Lubiła z ukrycia obserwować pałacowe życie i fantazjować o tym, jak by to było, gdyby należała nie do rodziny Łabędziów, a do von Alvenslebenów.

Gustaw zaparkował, otworzył Ani drzwi i elegancko podał jej rękę.

– Coś ci pokażę.

– Ale ja znam to miejsce – odparła zuchwale, wysiadając. – Każdy zakątek.

– Być może... – odpowiedział niezrażony i nadstawił ramienia, ale Anna nie skorzystała.

Po kilku chwilach znaleźli się nad brzegiem Wisły, tuż obok opuszczonego rybackiego domu.

– Widać stąd Fordon – stwierdził.

– Tak.

– Całkiem ładnie wygląda.

– Wiem, ale chyba nie po to mnie tu zabrałeś, Gustawie? – zapytała, patrząc na majaczący po drugiej stronie Wisły brzeg.

– Przepraszam za nieobecność. Wiem, że to mogło dziwacznie wyglądać po naszej rozmowie, ale nie mam wpływu na to, gdzie mnie wysyłają i...

– Dlaczego wróciłeś?

– Ze względu na ciebie.

Prychnęła.

– I mówisz tak każdej?

– Nie.

– Przyznaj się. Powiedz to, a obojgu nam będzie łatwiej. A może nie obojgu, tylko mnie...

– Nie rozumiem...

Westchnęła.

– Kim ty jesteś, Gustawie? Polujesz na ładne kobiety, kupujesz je tęsknymi gadkami, szelmowskim uśmiechem i wykwintnym wyglądem?

– Tak nisko mnie oceniasz? – Sięgnął po papierosa.

– Nie. Staram się realnie patrzeć na rzeczywistość.

– I to jest ten twój realizm...? Hmm...

Ania zawahała się i spojrzała na Gustawa. W jego oczach dostrzegła rozczarowanie, które podziałało na nią jak katalizator.

– Tak. To-właśnie-jest-mój-realizm. – Siłła się na spokój. – Realizm dziewczyny, której nie stać na futro, nawet na płaszcz z futrzanym kołnierzem. Której ojciec ma furmankę, a o samochodzie może zaledwie pomarzyć. Której bracia do restauracji chodzą tylko po to, żeby odwiedzić pracującą w niej siostrę, a nie po to, żeby wypić kawę czy zjeść obiad.

Guderian pokiwał głową.

– A nie wydaje ci się, że czasami pieniądze nie mają znaczenia? Że nie są najważniejsze?

– Czyli rozumiem, że zamiast tym – wskazała na opla – mógłbyś równie dobrze jeździć furmanką?!

– Samochód nie jest mój, to pojazd służbowy. Mnie nie byłoby na niego stać – odpowiedział błyskawicznie. – W Marienwerder nie potrzebuję samochodu, choć moja babcia ma starego opla. Korzystam z niego sporadycznie. I nie jest tak wykwintny jak ten.

Anna zamilkła. Gustaw również. Patrzyli przed siebie, za melodię wieczoru mając plusk wiślanych fal.

– Powiedz, co jeszcze cię trapi – odezwał się w końcu Gustaw.

Chciała powiedzieć, że najbardziej trapi ją to, że jest Niemcem, ale nie potrafiła tego z siebie wydusić. Nie umiała, bo przecież wcale tak tego nie czuła. Pochodzenie Gustawa miało znaczenie dla jej ojca, ale nie dla niej. Dla niej Gustaw był po prostu ekscytującym mężczyzną.

Postanowiła użyć innego argumentu.

– Nic o tobie nie wiem. Zdałam sobie sprawę, że ja ci o sobie opowiedziałam wszystko, a ty nic...

– Pytaj. Powiem ci, co zechcesz.

– Co zechcę?

– Tak. – Wzruszył ramionami. – Nie mam nic do ukrycia. To, że powiedziałem ci niewiele, nie znaczy, że nie chciałem. Po prostu to ty mówiłaś dużo, a ja słuchałem.

– Hmm... Dlaczego akurat ja? Dlaczego na mnie zwróciłeś uwagę? Na...  
– Zawahała się, a potem bardzo szybko dopowiedziała: – Na zwykłą Polkę, która pracuje w zwykłej polskiej restauracji.

– Bo jesteś piękna – oznajmił ze spokojem, patrząc jej prosto w oczy. – To było pierwsze, co zwróciło moją uwagę. Potem dostrzegłem to, że jesteś błyskotliwa i... Nie wiem, czy to odpowiednio zabrzmiało, ale... zadziorna.

Masz mocny charakter, jesteś waleczna i niezależna, co u kobiet nie jest takie oczywiste.

Mina Ani musiała wyrażać ogromne zdumienie, bo Gustaw pokiwał energicznie głową.

– Wielu mężczyzn, których znam, uważa, że rolą kobiety jest przede wszystkim rodzić dzieci i dbać o dom. Owszem, kobieta jest do tego dobrze przygotowywana, ale to nie musi być jedyny cel jej życia. Tak myślę. W mojej rodzinie panuje tradycyjny podział ról. Babcia Julia jako pierwsza się wyłamała. Uciekła z rodzinnego Frauenburga, bo raziły ją nazistowskie poglądy mojego ojca, i udowodniła, że potrafi sama o siebie zadbać i sama się utrzymać. Cenię kobiety, które chcą czegoś więcej, które mają ambicje i pragnienia. I które robią, co w ich mocy, by te pragnienia spełnić.

– Naprawdę?

– A czy mówiłbym o tym, gdyby tak nie było? Hmm... Kiedy cię dostrzegłem, od razu pomyślałem, że jesteś inna. Pamiętasz, jak mówiłem, że nie pasujesz do tej restauracji? – Potaknęła. – Bo nie pasujesz. Stoisz obok tego podstarzałego szefa sali, obsługujesz podpitych klientów, którzy kleją się do ciebie brudnymi łapskami. Nie pasujesz tam... – Umilkł, a po chwili dodał: – Zachwyciłaś mnie. Tak. To najlepsze słowo. Zachwyciłaś mnie całą sobą. Nie pamiętam, kiedy ostatnio ktokolwiek tak na mnie zadziałał. Nasze pierwsze spotkanie w restauracji było wyjątkowe i dlatego musiałem wrócić. Ten nasz krótki spacer, rozmowa, twoja przezabawna intryga... Zachwyciłaś mnie. I chciałem wrócić do ciebie następnego dnia albo za dwa dni, trzy, za tydzień. Los miał inne plany.

– Gdzie pracujesz?

– Jestem urzędnikiem w Arbeitsamt<sup>[15]</sup>. A ponieważ trochę znam polski, załatwiam tu sprawy związane z kontraktami dla pracowników na roli. My mamy problem z siłą roboczą, a u was panuje spore bezrobocie.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Bo nie pytałaś.

– Hmm... I dają wam tam takie ople?

– Tak. To zwyczajowa praktyka przy oddelegowywaniu urzędników do załatwiania spraw zatrudnieniowych poza granicami.

Wyglądał na szczerego, na uczciwego do granic możliwości. Odpowiadał spokojnie i bez zastanowienia. Przez myśl jej nie przeszło, że mógłby mówić nieprawdę.

– Dlaczego nie mieszkasz z rodzicami, tylko z babcią?

– Nasze drogi rozeszły się dwa lata temu, kiedy skończyłem dwadzieścia jeden lat. Musiałem opuścić rodzinny dom i jedynym miejscem, do którego mogłem się udać, był dom mojej ukochanej babci Julii w Marienwerder.

Gustaw sięgnął po kolejnego papierosa.

– Byłem zaręczony, a o tym, która kobieta miała zostać moją żoną, wiedziałem już jako czternastolatek. Małżeństwo z Katją było zaaranżowane. Dwa dobre frauenburskie rody powinny się połączyć. Tak mawiał mój zasadniczy ojciec, a niemająca zbyt wiele do powiedzenia matka mu przytakiwała. Lubiłem Katję, a ona mnie kochała. To piękna kobieta, przygotowana przez matkę do pełnienia obowiązków pani domu. Opanowana, cicha, zawsze z boku. Nigdy nie żartowała, nie śmiała się głośno i nie robiła głupot. Zdecydowana, by służyć mężowi i ojczyźnie, by rodzić dzieci i błyszczeć u mego boku dla wyższych celów.

Anna słuchała z wypiekami na twarzy.

– Zapewne od dwóch lat byłbym jej mężem, a może doczekałbym już potomka, gdyby nie wypadek.

– Wypadek?

Wyciągnął przed siebie prawą rękę. Nie potrafił wyprostować jej w łokciu. Anna zwróciła na to uwagę już wcześniej, ale nie myślała, że to coś trwałego.

– Byłem bokserem. – Drgnęła. Boks był przecież bardzo ważny w jej rodzinie. – Lubiłem boks, miałem całkiem niezły prawy sierpowy. Rokowałem niezłe i choć to było wbrew planom mojego ojca, chciałem zostać zawodowcem. Jednak podczas letniego obozu zaliczyłem bardzo niefortunny upadek. W łokciu coś chrupnęło. W szpitalu w Gdańsku

próbowali mnie poskładać. Nieskutecznie. Potem w Berlinie poprawiali. Było lepiej, ale łokieć nie wrócił do pełnej sprawności... O zawodowym boksie musiałem zapomnieć. Nadal lubię oglądać mecze bokserskie, czasami chodzę poboksować, ale już tylko na pół gwizdka, amatorsko.

Wspominając tamte wydarzenia, zdawał się być podenerwowany. Mówił pospiesznie i kilka razy skubnął skraj marynarki, co upewniało ją o jego szczerości.

– Katja była przez cały czas przy mnie. Zostawiła wszystko i troskliwie się mną zajęła. To był pierwszy raz, kiedy byliśmy tak blisko siebie przez tak długi czas. Właściwie, jak teraz o tym myślę, to może i dobrze, że ten łokieć się trafił... Gdyby nie on, nie zrozumiałbym, że Katja nie jest dla mnie, że nie mamy zbyt wielu wspólnych tematów do rozmów, że nie śmiesz nas te same rzeczy, że mamy różne spojrzenie na fundamentalne sprawy i na politykę... Zdecydowałem o rozstaniu i zrobiłem to honorowo. Z naręczem kwiatów i przeprosinami. Nie wybaczyła mi, jej rodzice też nie, traktując moją decyzję jako afront. Mój ojciec zareagował jeszcze gorzej. Zrobił mi karczemną awanturę i z hukiem wyrzucił mnie z domu. Po tygodniu kazał wrócić, licząc na to, że zmienię decyzję. Nie wróciłem. U babci Julii poczułem się wolny, a poza tym byłem... Jestem jej potrzebny, bo ma już swoje lata, a mieszka zupełnie sama.

– Czyli nie utrzymujesz kontaktu z rodzicami?

– Nie z ojcem. Matka, w tajemnicy przed nim, czasami do mnie dzwoni. Rozmawiamy, ale to nie to samo, co kiedyś.

– Współczuję ci. Ja bez rodziny czułabym się nieswojo. Czasami moi bracia bardzo mnie irytują, ale to normalne. Ja ich pewnie też, ale nie wyobrażam sobie rozłąki. To znaczy niedługo wyjadę do Warszawy, ale wydaje mi się, że nie mogłabym ich nie widywać raz na tydzień czy dwa. Że nie mogłabym nie pisać listów.

– Życie czasami podsuwa różne scenariusze. Kiedyś nie wyobrażałem sobie, że mogę mieszkać poza Frauenburgiem. A jednak! Marienwerder też jest piękny, w Fordonie też mógłbym zamieszkać, ale szczerze mówiąc, wolę większe miasta. Taki Stettin chociażby! Szerokie ulice, dużo zieleni,

parki. A jakie kamienice! Jakie budowle! Myślę, że można żyć w każdym miejscu na świecie, byle w zgodzie ze sobą.

Im dłużej Anna go słuchała, tym bardziej czuła, że się w nim zadurza. Chłoneła każde jego słowo, zapominając o swoich wcześniejszych wątpliwościach. Był tak wiarygodny, tak niesamowicie przekonujący...

– Czy chcesz coś jeszcze o mnie wiedzieć? – zapytał.

– Teraz chyba nie.

– A czy ja mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Od września zamieszkas w Warszawie. A gdybym i ja tam bywał, dałabyś się wyciągnąć do kawiarni?

Przełknęła ślinę i zwilżyła usta.

– Tak. Myślę, że w Warszawie jest dużo szykownych kawiarni z dobrą kawą i nieprzesłodzonym strudlem.

Uśmiechnął się subtelnie.

– Nie chodzi mi tylko o kawiarnię, Aniu. – Złapał ją za dłoń i przyciągnął do swoich ust. Nie zaoponowała, co dodało mu odwagi. – Chciałbym pójść z tobą do kina, na spacer, do teatru, na kabaret... Wszędzie chciałbym z tobą pójść.

Patrzyła na niego jak zahipnotyzowana. Nasiąkała jego słowami. A on przyciągnął jej dłoń jeszcze bliżej i odważył się pocałować ją ponad nadgarstkiem. Raz, drugi, trzeci... Przez jej ciało przebiegł dreszcz ekscytacji. Wyraźnie to poczuł i... Jakby na to czekał, bo musnął jej szyję opuszkami palców i oczekiwał na reakcję. Wzięła haust powietrza, po czym bardzo powoli je wypuściła. Wtedy ujął jej twarz w obie dłonie, przyciągnął do siebie i pocałował. Namiętnie i pożądliwie. Poddała mu się. Dotykała jego twarzy, czując pod palcami subtelną chropowatość zarostu. Na chwilę oderwał się od niej, ale twarz trzymał bardzo blisko.

– Aniu... – wyszeptał.

– Tak? – zapytała równie cicho.

– Nic. Chciałem tylko usłyszeć twój głos. – A potem znowu ją pocałował.

Ten pocałunek trwał znacznie dłużej i był jeszcze namiętniejszy niż poprzedni. Gustaw odważniej sobie poczynał, dotykając jej ramion i przedzierając się dłonią w stronę talii. Anna lekko drżała, co jeszcze bardziej go ekscytowało. W pewnym momencie oderwał się od jej ust.

– Marzyłem o tej chwili. Rysowałem ją w myślach nie raz i nie dwa, ale nigdy, ale to przenigdy ta chwila nie wyglądała tak idealnie jak teraz. – Cmoknął ją w usta, a potem nagle rozejrzał się, co najmniej jakby kogoś zauważył.

Nikogo jednak nie było, ani w ich sąsiedztwie, ani w pobliskim domostwie.

– Chodź! – powiedział. – Pokażę ci coś jeszcze.

– Mam nadzieję, że nie chcesz pływać? – zażartowała. – Tu jest nieprzyjemny nurt.

– Nie. – Pokręcił głową, ponownie uniósł jej rękę do ust i pocałował. – Chociaż to byłoby kuszące.

– Dla samobójcy może i tak – rzuciła. – Niejeden stracił tu życie, a i niejeden był tego bliski.

– Nam to nie grozi.

Przeszli kilkadziesiąt metrów i stanęli za kępą drzew. Z brzegu wysuwał się ku wodzie krótki i liche drewniany pomost, przy którym cumowała sfatygowana łódka. Na jej dziobie widniał odrapany napis: Lola. Ania знаła właściciela tej łódki. Był nim nieżyjący od kilku lat Leonard Weiss, człowiek pogodny i bardzo rodzinny, wiślański rybak. Część złowionych ryb znosił do domu, a te, których nie zjedli, jego żona Karolina, do której nikt nie zwracał się inaczej, jak Lola, oprawiała, przyrządzała w occie, a potem sprzedawała na fordońskim targu. Były dość popularne, a czasami, choć Ania wzdrygała się na samą myśl o nich, pojawiały się w domu Łabędziów.



Stanęli za drewnianą ławką i patrzyli na drugi brzeg, na rozjaśniające się ulice, coraz gęściej pojawiające się światła w oknach domostw. I na dwa łabędzie, które pływały u brzegu, skubały rzęsę i nieśmiało tuliły się szyjami.

– Trafiłem tu podczas jednego z pierwszych pobytów w Fordonie, jakieś pół roku temu. Po ciężkim dniu musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Recepcjonista z hotelu podpowiedział mi to miejsce. Przyjechałem i odkryłem tę ławkę. Przesiedziałem na niej dobrą godzinę. Pewnie przesiedziałbym i dłużej, ale papierosy mi się skończyły. Te łabędzie też tu wtedy były.

– Zawsze jakieś tu są, to ponoć ich siedlisko od lat. Na jednym i drugim brzegu. Okolica im służy.

– Najwyraźniej. We Frauenburgu mieliśmy czarne.

– Czarne? Nigdy takich nie widziałam. Czytałam tylko o nich. Ponoć przynoszą pecha.

– Nie wierzę w takie rzeczy.

– Ani ja, ale ludzie lubią zabobony. Słyszałam, że te czarne zabijano, aby uchronić się przed nieszczęściem.

Gustaw westchnął.

– To we Frauenburgu wybito by połowę populacji nadrzecznego ptactwa. Dobrze, że tam nikt w to nie wierzy.

Ich dłonie były splecione, ramiona dotykały się, a usta od czasu do czasu stykały.

– Tylko zobacz. – Pociągnął ją przed ławkę i wskazał na małą tabliczkę, na której bardzo starannie wygrawerowano napis w języku niemieckim.

– „Dla Loli, miłości mojego życia” – odczytała Anna, a Gustaw ponownie pocałował ją w dłoń. – To musi być o żonie pana Weissa. Zmarła kilka miesięcy przed nim. O rety... Tyle razy tu byłam i jakoś ten napis, ta tabliczka... Nigdy tego nie widziałam.

– Do zauważenia pewnych rzeczy czasami potrzeba odpowiedniej chwili.

Ania uniosła wzrok i spojrzała na Gustawa. zaproponował, by usiedli. Objął ją ramieniem, a ona wtuliła się w niego. Czuła się przy nim taka mała, ale jednocześnie wzbudzał w niej przedziwne poczucie bycia wielką i bardzo ważną. Przez chwilę patrzyli przed siebie, wsłuchując się w dźwięki kładącego się do snu Fordonu.

Gustaw nachylił się ku niej. Jego niebieskie źrenice nabrały atramentowej barwy.

Poczuła nagły przypływ ciepła. Po podbrzuszu rozchodziło się ekscytujące mrowienie, które sprawiało, że chciała, że pożądała jego pocałunku, dotyku, spojrzenia... Nigdy wcześniej tak się nie czuła. Poprzednie miłości ograniczały się ledwie do wieczornych spacerów i niezobowiązujących pocałunków, muśnięć w policzek i w dłoń. Od pierwszej chwili z Gustawem, od pierwszej rozmowy w restauracji i na rynku wiedziała, że z nim jest inaczej. Drżenie rąk, zasychające gardło, skurcze w żołądku. To wszystko się wydarzało, kiedy Gustaw pojawiał się na horyzoncie, a znikało długo po jego odejściu.

– Taka zwykła, najzwyklejsza ławka, a mam wrażenie, że przez tabliczkę stała się wyjątkowa. – Tym razem to on zagadnął, przerywając milczenie.

– Też tak myślę. I wyobraź sobie, że pan Leonard z panią Lolą tu przesiadywali. Przez tyle lat!

– Tak jak my teraz.

Przymknęła oczy. Poczuła się tak, jakby to była ich ławka, jakby siedzieli na niej nie pierwszy raz, a setny.

– Nie znałam Weissów zbyt dobrze. Rozmawiałam z nimi tylko grzecznościowo, ale pamiętam, że to było dobre małżeństwo. Żyli w zgodzie, dbali o siebie. Kiedy szli z torbami, nawet dużymi, zawsze robili tak, żeby ciężary tachać na zewnątrz, bo lubili trzymać się za ręce. Nasi dziwnie na to patrzyli. Nie przywykli do takich oznak uczuć u starych ludzi. U młodych, po ślubie, to jeszcze, ale u starych już nie. Niektórzy wręcz naigrywali się z nich, ale oni nic sobie z tego nie robili. Kiedy pani Lola zmarła, pan Leonard podupadł na zdrowiu. Nadal żył z ryb, ale już nie zjawiał się na targu, nie robił octowych zapraw. W kościele też nie bywał.

Ponoć złorzeczył Bogu za to, że zabrał mu żonę. Kilka miesięcy po śmierci pani Loli i on zmarł. Pamiętam, jak na pogrzebie mówili, że z tęsknoty za nią poszedł.

– Możliwe. Czasami jedno nie potrafi żyć bez drugiego.

– Wiem i... Chyba też bym tak chciała.

Gustaw przytulił ją mocniej i pocałował we włosy, a potem w szyję.

– Łaskoczesz. – Zwróciła ku niemu twarz i sprowokowała go do pocałunku.

\*\*\*

– Miły wieczór... – wyszeptała Ania, kiedy wrócili do samochodu i ruszyli w kierunku Fordonu.

– Dla mnie nie był miły... – W jego słowach wybrzmiała nuta prowokacji. Chciał, żeby się zaniepokoiła, żeby zapytała, co ma na myśli, ale ona z niewzruszoną miną czekała, aż sam jej wszystko wyjaśni. – No dobrze. Był niezwykły – dodał po chwili.

– Tak... – potwierdziła. – Miał w sobie coś z bajki.

– Hmm... – Odchrząknął. – Czy pozwolisz się jutro wyrwać na ciąg dalszy tej bajki? Do Bydgoszczy, do kina? A wcześniej może na spacer?

– Tak. – Gorliwie pokiwała głową i uśmiechnęła się. – Chętnie. Mam w Bydgoszczy coś do załatwienia.

– Przyjadę po ciebie do pracy.

– Nie. Spotkajmy się na miejscu, przed kinem „Kristal”. Wiesz gdzie?

– Nie, ale się dowiem. To żaden problem. Tylko wolałbym odebrać cię z Fordonu.

– Nie. Nie trzeba.

– Dobrze. Zatem przed kinem?

– Tak. O siedemnastej trzydzieści?

– Będę.

– A więc do zobaczenia, Gustawie. Tu możemy się zatrzymać.

Stanął na ulicy Dworcowej.

– Odwiozę cię pod sam dom – zaproponował.

Spojrzała na niego, zaśmiała się i pokręciła głową. Potem nachyliła się w jego stronę i podarowała mu serdecznego całusa w policzek. Dotknął jej podbródka i chciał ją pocałować prosto w usta, ale zgrabnie się odsunęła i wysiadła.

– Dziękuję za dziś, Gustawie. To był naprawdę miły czas.

– Do jutra, Anno.

Przeszła kilka kroków, po czym stanęła na chodniku i się obejrzała. Gustaw zza kierownicy wgapił się w nią niczym sztubak. Uśmiechnęła się w duchu i pomyślała, że właśnie o takim mężczyźnie zawsze marzyła. Szarmanckim, błyskotliwym, zapatrzonym w nią, a nie w jej dekolt. Gustaw wydawał się idealny. Niemożliwie idealny.

Ruszyła w stronę ulicy Bydgoskiej. Myślała, że za chwilę Gustaw ją minie, ale on bardzo wolno jechał za nią, zachowując spory dystans. W ten sposób dotarli do jej domu. Przystanęła za furtką, poczochnęła Brutusa na powitanie i spojrzała w stronę czarnego opla. Figlarnym, nieco tanecznym krokiem przemierzyła krótką ścieżkę do drzwi wejściowych. Słyszała samochód, ale już się nie obejrzała.

\*\*\*

Po kolacji od razu poszła do swojego pokoju i usiadła na łóżku. Na kolanach, dla niepoznaki, położyła swoje ostatnie notatki. Nie miała najmniejszego zamiaru do nich zaglądać, a nawet gdyby to zrobiła, niczego by z nich nie zapamiętała. Gustaw przesłonił jej myśli, a ona, odtwarzając ich spotkanie, tuliła do siebie wspomnienie każdej chwili, każdego momentu, każdego dotyku...

## RAZEM

Założyła jedyną czarną sukienkę, jaką miała. Może nie była najmodniejsza, bo w żurnalach królowały nieco dłuższe fasony, do połowy łydki i nieznacznie rozkloszowane, no i przede wszystkim nie czarne. Ona jednak była w żałobie i nie myślała o innej, nawet o ukochanej błękitnej w szarotki.

Przed kinem „Kristal” zjawiała się pół godziny wcześniej, ale weszła jeszcze do pobliskiego sklepu bławatnego, by przejrzeć bele z materiałami i być może wypatrzeć jakąś okazję. Co chwilę zerkąła przez okno i w końcu dojrzała Gustawa. Ubrany jak zawsze w nieco dłuższą marynarkę i szykowny kapelusz, stanął przy wejściu do kina, obok afiszu *Szalonej Claudette*, na którą mieli się wybrać, i niespiesznie palił papierosa, zerkając na przechodniów. Na niektórych dłużej zawieszał wzrok, innych traktował pobieżnie. Wyłapała, że uśmiechnął się do grupki młodych kobiet, które pierwsze zwróciły na niego uwagę. Potem przegonił handlarza emaliowanymi garnkami i żebraka, który wyciągał rękę po jałmużnę. Względem tego ostatniego zaraz jednak zmienił zdanie i dogonił go. Zaczął z nim rozmawiać, a raczej, jak wydawało się Ani, przepytawać. Słuchał zmęczonego życiem człowieka, a na koniec podarował mu papierosa, za co obdarowany ukłonił się nisko, i to nie raz.

– Zwracasz na siebie uwagę – powiedziała po przywitaniu.

– Cóż. W okolicy sami starcy, dzieciaki i kobiety. Mężczyzn jak na lekarstwo. Wyróżniam się. Pewnie dlatego.

Chciałaby powiedzieć, że wcale nie. Że to nie był prawdziwy powód, dla którego ubrane w zwiewne sukienki kobiety obdarowywały go zalotnymi spojrzeniami i kusiły uśmiechem. Chciałaby powiedzieć mu prawdę: że jest piekielnie przystojny, przystojniejszy od każdego mężczyzny, którego dziś

– a może nie tylko dziś – widziała. Ale rzecz jasna, tego mu nie powiedziała.

Gustaw wręczył jej kwiaty i jak na dżentelmena przystało, pocałował ją w dłoń.

– Nie są tak piękne, jakbym chciał, ale o tej porze dnia nie mogłem liczyć na nic lepszego.

– Są naprawdę urocze. – Ania zanurzyła nos w białych płatkach. Nie przepadała za zapachem goździków, ale nie dała tego po sobie poznać.

– Nie zrobiłaś żadnych zakupów?

Ania pokręciła głową.

– Nie. Nie mogłam się zdecydować.

– Hmm... A może mógłbym ci pomóc w wyborze?

– Nie, poradzę sobie sama – stwierdziła. – Po prostu muszę dobrze przemyśleć zakup materiału.

Uśmiechnął się i wskazał ręką na sąsiedni budynek.

– Do seansu mamy godzinę. Dziś puszczają później niż zazwyczaj, więc może przejdziemy się do kawiarni? Co ty na to?

Pokiwała głową.

– Popytałem i... W tamtej kamienicy jest ponoć dobra kawiarnia. Serwują sernik z glancem i lodami waniliowymi. No i kawę. Zapraszam. – Nadstawił ramienia, ale nie skorzystała. Szli więc po prostu obok siebie.

Zajęli stolik tuż przy oknie, wygodny, z widokiem na ulicę. Nie przeszkadzało im to, że przechodzący bydgoszczanie zerkali na nich mimochodem. Byli zajęci sobą. Zamówili sernik z lodami i kawę po turecku. Młoda kelnerka o głębokim dekolcie i wąskiej talii podkreślonej paskiem ekspresowo przyniosła zamówienie i podała je, nie odrywając wzroku od Gustawa. Zupełnie jakby Anna była powietrzem. Mężczyzna jednak rzucił jej tylko grzecznościowe spojrzenie, nie poświęcając więcej uwagi.

– Ogromne tłumy na ulicach – stwierdziła Ania.

– A tak. Też byłem zdziwiony, ale wypytałem i dowiedziałem się, że odbywa się jakiś wielki targ i do Bydgoszczy zjechała masa ludzi. I tych kupujących, i sprzedających.

– Rzeczywiście, coś o tym czytałam w „Dzienniku Bydgoskim”. A i wczoraj Węzyk w restauracji mówił. To wszystko tłumaczy. – Upiła łyk kawy i skosztowała sernika. – Ciasto doskonałe.

– Liczyłem, że będzie ci smakowało.

Uśmiechnęła się oszczędnie i rozejrzała dookoła. Gustaw nie odrywał od niej wzroku i trochę ją to tremowało.

– Szukasz kogoś? – spytał zaczepnie, łapiąc ją za dłoń.

– Nie... Mam niewielu znajomych w Bydgoszczy. Kilka koleżanek ze szkoły, nauczycieli, jakąś dalszą rodzinę, dostawców z „Wiślanej”, ludzi z „Astorii”, klientów mojego taty... – wymieniała nerwowo.

Gustaw uściśnął jej dłoń mocniej, jakby chciał ją uspokoić. Od razu pojęła jego intencje. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Całkiem sporo osób się nazbierało – uśmiechnął się.

– Chyba masz rację. Niemało. Ale to takie dalekie znajomości, nic przyjacielskiego. A ty znasz kogoś z Bydgoszczy?

– Nie. To dla mnie obce miasto. Znam kilka osób, służbowo. Swoich znajomych zostawiłem we Frauenburgu. A mieszkając u babci Julii, w Marienwerder, dopiero zaczynam ich zdobywać. Z moim nazwiskiem to dość łatwe.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Nie jest zbyt powszechne, przez co łatwo je zapamiętać.

– Łabędź to też całkiem niepopularne nazwisko, ale jakoś nikt specjalnie nie zwraca na nas uwagi.

Gustaw mruknął, jakby za tym przeciągłym dźwiękiem chciał ukryć słowa tłące mu się na końcu języka.

– Frauenburg jest bardzo ładny – zagadnął. – Spodobałby ci się.

– Nigdy nie byłam i nigdy nie myślałam o tym, by się tam wybrać. To daleko stąd. Poza moim zasięgiem.

– Daleko? Nie zgodziłbym się, chociaż... Tak! Do Marienwerder masz dużo bliżej!

– Wyjazdu do Marienwerder też nie planowałam. Właściwie nie mam o nim bladego pojęcia.

– Wierzę, że kiedyś to nadrobisz... A raczej nadrobimy... Pokażę ci miasto mojej babci. Chciałabyś?

Ania uśmiechnęła się nieśmiało.

„Tak, oczywiście!” – aż pisnęła w myślach.

– Nigdy daleko nie podróżowałam – przyznała uczciwie – ale myślę, że lubię podróże, lubię poznawać nowe miejsca, podglądać, co się jada, jak się ludzie noszą, jak mówią. Nawet te wyjazdy do Bydgoszczy, Torunia czy Barcina lubię, bo się czegoś uczę, bo zawsze coś nowego zobaczę, w nowe miejsce się udam. Warszawa to najdalsze miasto, jakie odwiedziłam. Byłam tam kilka razy i zawsze wracałam zachwycona i odmieniona. Kiedy powiedziałaś o Stettinie, to sprawdziłam mapę. Taka odległa podróż na zachód, w nieznane miejsce, to byłoby coś!

– Dla mnie to nie był pierwszy raz w Stettinie. Już wcześniej odwiedziłem to miasto. Mam tam daleką ciotkę.

– Czyli to najdalsze miasto, które odwiedziłeś na zachodzie?

Gustaw zaprzeczył ruchem głowy.

– Byłem w Berlinie, w Sellin, w Bonn... Kiedy mieszkałem z rodzicami, sporo podróżowaliśmy. Mój ojciec to lubił. Od zawsze. W naszym otoczeniu wszyscy podróżowali. Od kiedy mieszkam z babcią Julią, wyjeżdżam wyłącznie służbowo.

– Jak na przykład do Fordonu?

– Na to wychodzi.

Ania zapatrzyła się na szykowną kobietę, która właśnie weszła do kawiarni. Miała na głowie kapelusz, o którym mówiono, że jest paryskim krzykiem mody. Gustaw obejrzał się przez ramię.



– Ktoś znajomy? – zapytał, a Annie zrobiło się głupio.

– Przepraszam. – Powróciła wzrokiem do Gustawa, a potem znacznie ciszej dodała: – Tamta kobieta... Ona ma na sobie najmodniejszy kapelusz, ale nie oglądaj się.

Gustaw i tak się obejrzał.

– Doprawdy? To jest najmodniejszy fason?

– Aha.

– Może się nie znam, ale mnie chyba podobały się te mniejsze.

– Nie znasz się – stwierdziła z rozbrajającą szczerością. – Taki kapelusz to teraz marzenie każdej kobiety.

– Zapamiętam.

Po dwóch kwadransach leniwym krokiem zmierzali w stronę kina. Anna szła obok Gustawa, mimo że ponownie zaproponował jej ramię. Rozmawiali na kolejny bezpieczny temat, tym razem związany z Hansem Söhnkerem, który grał w *Szalonej Claudette*, kiedy natknęli się na uliczną bijatykę. Gustaw natychmiast spowaźniał, a z twarzy Ani zniknął uśmiech. Kilku wyrostków kopało leżącego chłopaka, obrzucając go antysemickimi obelgami: „Spierdalaj, brudny Żydzie!”, „Wynoś się, żydowski gnoju!”.

Gapie zebrani dookoła jeszcze podsycali zapal bijących, wołając: „Lejcie żydowskie ścierwo! Niech stąd spieprza!”.

Ania z przerażeniem obserwowała brutalną scenę. W Fordonie zdarzało się, że jeden drugiemu nawtykał, dał w pysk, solidnie sprzął skórę za to, że ktoś komuś podebrał dziewczynę, coś zniszczył lub ukradł. Nigdy jednak nie chodziło o to, kto był kim: Żydem, Niemcem czy Polakiem. Aż do teraz.

Ludzie zaczęli się tłoczyć, wymachiwać pięściami, wrzeszczeć. Niektórzy opluwali leżącego, a nawet rzucali w niego petami. Emocje sięgały zenitu, a mężczyźni zachowywali się tak, jakby znaleźli się w jakimś podziemnym kręgu na nielegalnej walce. Gustaw obronnym ruchem ręki przesunął Anię za siebie. Usłuchała, ale wspięła się na palce, by cokolwiek widzieć.

Mogli z Gustawem stamtąd pójść, ale nie poszli. Mogli się oddalić, ale tego nie zrobili.

– Zabiją go... – jęknęła Ania, widząc, jak jeden z gapiów z całej siły kopnął leżącego w twarz.

W ust chłopaka trysnęła krew, a niektórzy zaczęli wiwatować z ekscytacją.

Gustaw spojrział na Anię. Wyczytał z jej oczu, że należy działać, że należy coś zrobić, by zapobiec tragedii.

– Jest ich zbyt wielu – stwierdził, jakby w odpowiedzi na jej niewypowiedzianą prośbę. – Ale zobacz. – Wskazał na prawo. – Policja już tu jest.

Rwany sygnał policyjnego gwizdka uciszył towarzystwo, a po chwili tłum zaczął się przeredzać.

– Rozejść się! Rozejść się! – grzmiał tubalnym głosem pierwszy z policjantów. Drugi, niższy i potężniejszy, gramolił się za nim.

Kiedy policjanci dobiegli na miejsce, wokół leżącego znajdowali się już tylko nieliczni. Sprawcy pobicia zniknęli. Poszkodowany, wspierając się na ramieniu starej kobiety, próbował się podnieść.

– Straszne... – wydusiła Anna.

– Taki bywa świat... – dodał Gustaw. – Nic tu po nas.

Wykonali tylko kilka kroków, kiedy usłyszeli wołanie zza pleców.

– Panie Guderian?!

Gustaw natychmiast się odwrócił i wyprężył pierś.

W ich stronę zmierzał jakiś mężczyzna. Kiedy był już od nich o krok, ściągnął czapkę i skinął głową. Uśmiechnął się z satysfakcją, ukazując poźółkłe uzębienie.

– Tak mnie się zdawało, że to pan. – Mówił łamaną niemczyzną, z wyraźnym polskim akcentem.

– O co chodzi? – odparł sucho Gustaw.

Nie wyglądał na zadowolonego.

- Mam do pana sprawę. W związku z naszą ostatnią rozmową.
  - Nie wydaje się panu, że to nie jest ani odpowiednie miejsce, ani odpowiedni czas na takie rozmowy? – Gustaw zgromił go wzrokiem.
  - Zdawało mnie się, szanowny panie, że panu zależało, ale skoro nie...? Nie chciałem nachodzić, tylko...
  - Wystarczy, panie Woźniak. Jutro się z panem skontaktuję.
  - Ale jutro może być już za późno.
  - To niech pan zrobi tak, żeby nie było – powiedział Gustaw tonem nieznoszącym sprzeciwu.
  - Yyy... Yyy... Jak pan sobie życzy, panie Guderian. – Mężczyzna uchylił czapki i oddalił się pospiesznie.
- Anna pierwszy raz widziała tak zdecydowanego i chyba podenerwowanego Gustawa. Spotkanie z Polakiem wyraźnie było mu nie na rękę.
- Strasznie namolny człowiek – skwitował. – Chce wkręcić siebie i pół swojej rodziny do późnych zbiorów jabłek...

\*\*\*

Tamtego dnia nie poszli do kina. Po zejściu na ulicy Ania wolała wybrać się na spacer do pobliskiego parku. Gustaw bez oporów na to przystał. Po spotkaniu z Woźniakiem i on stracił chęć na seans. Krążyli więc parkowymi alejkami ukrytymi w półcieniu, omijając główne trakty. O tej porze i tak nie było tłoczno.

- Dla mnie to niezrozumiałe, żeby człowiek dla człowieka był tak okrutny. Nie narodowość jest najważniejsza, lecz czyny. I rozumiem, że za kradzież czy oszustwo każdy musi odpowiedzieć, czy Żyd, czy Polak, czy Niemiec. Nikt nie powinien pozostać bezkarny, ale żeby za ledwie wpis w dokumencie karać...? Tak być nie powinno.

Ania mówiła o swoich przekonaniach i o sprawiedliwości społecznej tak dojrzałe, że Gustaw niczego nie był w stanie dodać. W myślach dziwił się jedynie, że taka zwykła dziewczyna z Fordonu, jak początkowo o niej

myślał, ma tak wyraziste poglądy. I tak zbieżne z jego. Zamiast jej to wyznać, ujął jej drobną dłoń i pocałował.

Znajdowali się tuż przy bocznym wyjściu z parku, skąd słyhać było ruch uliczny. Anna nagle stanęła, a potem cofnęła się o kilka kroków.

– Co się stało? – zaniepokoił się Gustaw.

Nieopodal zaparkowała rozklekotana ciężarówka i po chwili wysiadł z niej młody mężczyzna. Anna patrzyła wprost na niego.

– Czuję się tak, jakbyśmy robili coś złego – stwierdził Gustaw. – Jakbyśmy się ukrywali albo... Jakbyś to ty ukrywała mnie przed innymi.

– Przepraszam. Głupio wyszło. – Ania skrzywiła się. – Nie gniewaj się, ale ten samochód... Przyjechał nim mój kolega z Fordonu, Antek Dziarkowski. Pewnie coś tu załatwia i wiesz...

Odruchowo spojrzała w stronę Antka. Zdziwiła się, bo nie był już sam. Towarzyszyła mu kobieta wyglądająca na prostytutkę.

– Woląabyś, żeby nie widział nas razem? – Gustaw wyrwał ją z zamyślenia.

– Fordon jest mały.

– Rozumiem. Nie chcę, by o tobie plotkowano.

Ania westchnęła.

– Ale... – Gustaw chrząknął. – I w Bydgoszczy ktoś mógł nas widzieć razem, nie uważasz?

– Tak, tylko że tu po prostu szliśmy obok siebie. Nic ponadto.

– Czyli dlatego nie pozwoliłaś się pocałować ani prowadzić pod rękę?

Uśmiechnęła się i stwierdziła wymijająco:

– Piękny dzień na spacer, ale chyba powinniśmy wracać.

Gustaw odwiózł ją niemal pod sam dom. Zgodziła się, bo wiedziała, że ojciec i bracia jeszcze nie wrócili.

Guderian otworzył jej drzwi i z gracją podał rękę. Wysiadła z jego czarnego opla jak wielka dama, mimo że pierwszy krok stawiała nie na czerwonym dywanie, lecz na klepisku.

– Jak zwykle cudownie spędziłem z tobą czas, Anno, i... już żałuję, że musimy się pożegnać.

– Jutro możesz wrócić – stwierdziła zalotnie.

– Z przyjemnością, bo potem znowu zniknę na dłużej. Jadę w delegację na jakieś dwa tygodnie. Tworzenie nowej placówki jest czasochłonne.

– Raz jeszcze Stettin?

Pokiwał głową.

– I chcę mnie tam przenieść na stałe, choć bronię się przed tym, jak mogę.

– Ale to chyba dla ciebie awans, prawda?

– Na pewno. To duże miasto, duże możliwości, ale praca bardzo specyficzna. Poza tym z pewnych względów... – Pocałował Anię w dłoń, dając jej do zrozumienia, że ją ma na myśli. – ...Wolałbym teraz nie wyjeżdżać.

– Taką masz pracę. Wrócisz, a to najważniejsze.

– Tak. Ale jutro jeszcze się spotkamy.

– A zatem do jutra, Gustawie.

– Do jutra, Anno.

Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę furtki. Szła szybko, ale i najbardziej elegancko, jak tylko potrafiła. Kiedy odwróciła się w stronę Gustawa, patrzył za nią, i to tak, jak patrzy zachwycony, a może i... zakochany mężczyzna.

\*\*\*

Weszła do domu. Wsadziła goździki do wazonu, naląła sobie kompotu i pobiegła oporządzić kury. Kiedy wróciła, w domu nadal nikogo nie było. Zabrała się do przygotowywania kolacji.

Ojciec zjawił się, gdy skończyła nakładać biały ser i szczypior na skibki chleba. Dźwigał torbę wypchaną papierzyskami.

– Dziękuję, córuś. – Westchnął, stając w progu kuchni. Spojrzał na talerz z kanapkami. – Marzyłem o takim jedzeniu całą drogę powrotną z Bydgoszczy.

– Byłeś dziś w Bydgoszczy? – zaniepokoiła się.

– Z Ryszardem, a czemu pytasz?

– Ja też byłam, zapomniałeś? Na zakupach.

– Aaa! No tak. A wiesz, że wydawało mi się, że cię widziałem.

– I nie zawołałeś? – zapytała niby bez troski.

– Nie. Bo to nie mogłaś być ty. Tamta była podobna, ale... Nie... – Pokręcił głową. – Była wyższa i szła po parku z jakimś elegantem.

Ania miała wrażenie, że jej serce przestało bić. Potrafiła jednak zachować zimną krew.

– Rzeczywiście, to nie ja.

– W końcu byłaś na zakupach.

– A ty? Spotkanie się udało?

Jan Łabędź zasiadł do stołu, a Ania odetchnęła.

– Udało – odparł i sięgnął po największą kanapkę z górą twarogu.

Ania podała mu herbatę i wyjrzała przez okno, bo usłyszała szczekanie psa. To Radek wrócił do domu.

– Sznytki! – westchnął rozkosznie, stając w progu kuchni. – Jestem głodny jak wilk.

Sięgnął po jedną, ale oberwał od Ani po dłoni.

– Najpierw je umyj. Nie wiesz, że brudne ręce to źródło wielu chorób?

– Jak mógłbym nie wiedzieć, skoro mieszkam z tobą pod jednym dachem?

– No to jazda!

– A jak są czyste? – licytował się, ale zdawał sobie sprawę, że w tej kwestii siostra była nieugięta.

Po chwili był z powrotem, wgrzył się w chleb i z pełnymi ustami zwrócił się do Ani:

– A kto to cię do domu dziś przywiózł? Warzecha widział, jak z jakiegoś samochodu wysiadasz.

– Aaa... – Ania lekceważąco machnęła ręką, czując, jak ogarnia ją fala gorąca. – Taki daleki znajomy. Natknęłam się na niego przypadkiem. Zaproponował podrzucenie prawie pod sam dom, to nie mogłam nie skorzystać.

– Dobrze, dobrze. – Ojciec pokiwał głową. – Na co innego można pieniądze wydać niż na bilet.

– Ale jaki to twój znajomy oplem jeździ? Bo Warzecha mówił, że to jakiś z tych lepszych.

– Nie znam się na samochodach – stwierdziła łagodnie. – Nie patrzę na takie rzeczy. A samochodem starszy brat mojej koleżanki ze szkoły jechał. W jakimś urzędzie pracuje.

– A! To wszystko tłumaczy – oświadczył Jan. – Państwowa posada daje dobrą pensję, ale że samochód, to żem nie wiedział.

– A której koleżanki to brat? – podejrzliwie spytał Radek.

– Nie znasz. Nigdy u mnie nie była, za to ja u niej kilka razy – wymyśliła naprędce. – W Bydgoszczy. Jej brat zobaczył mnie na ulicy, a że jechał do Fordonu, bo miał interes do Dziarkowskiego, to mnie zabrał.

– Dzisiaj wszędzie ten Dziarkowski – podjął Jan. – Nawet z Ryszardem żeśmy o nim gadali, bo ponoć proniemiecki się teraz zrobił!

– Naprawdę? – zainteresował się Radek, a Ania odetchnęła, że rozmowa zesłała na inny temat.

Była bezpieczna.

\*\*\*

Następnego dnia zabrała się z Radkiem do Bydgoszczy. Jej brat od kilku dni pomagał Zdziškowi, koledze ze szkoły powszechnej, naprawić dach w domu, który ten przejął po dziadkach. Teraz jechał do Bydgoszczy po obiecaną tanią papę i worek papiaków.

– Co tam u Zdziśka? – zapytała. – Dobrze żyje z żoną?

– Chyba tak. Nie skarżył się. Ona jest gospodarna, tyle że powolna. Ty to byś trzy obiady zrobiła, kiedy ona jeden.

– Jest w ciąży. Niedługo ma termin. Nie powinna się spieszyć.

– Przed ciążą też była powolna. – Sięgnął po skręcanego papierosa i zapalił. Wypuścił gęsty dym. – Najważniejsze, że Zdzichowi to nie przeszkadza.

– Zdążycie z tym dachem przed porodem?

– Kto wie...? – Radek nagle zahamował, bo z bocznej drogi niespodziewanie wyjechała furmanka. – Jak jedziesz, bambaryło! – Pogroził ręką i cisnął w zwalistego woźnicę soczystym przekleństwem.

Tamten się nie przejął. Spojrzał na Radka nieobecnym wzrokiem i puścił lejce. Wyglądał na kompletnie pijanego.

– Przez takich wypadki są! Ostatnio w Barcinie to ponoć i śmiertelny się zdarzył, bo kierowca nie wyhamował, a pijaczyna mu z bocznej wyjechał. – Radek kilka razy zaciągnął się papierosem, a kiepa wyrzucił przez okno. – O co pytałaś? Czy zdążymy przed dzieciakiem? – Ania pokiwała głową. – Jak pogoda dopisze, to tak. No i jak towar nie podrożeje, bo Zdzichu ma wszystko wyliczone prawie do złotówki.

– Oby się udało.

– Oby... A co ty taka wyrzutowana do Bydgoszczy jedziesz?

– Ja? – zmieszała się. – Wyglądam jak co dzień.

– Nie wydaje mi się. Wymalowałaś się i ubrałaś jak na niedzielę. Z nim się spotykasz?

– Co? Z kim niby?

– Z tym elegantem – stwierdził i spojrzał na nią z ukosa.

Zaskoczył ją, a rzadko mu się to zdarzało.

– O kim ty mówisz? Z jakim elegantem? – udała zdziwienie.

– Zamierzasz się z nim spotkać czy nie?



– Daj spokój! Nie jestem dzieckiem, żebyś mnie tak traktował! – broniła się, lecz niezbyt udolnie.

Chciała brzmieć stanowczo i dojrzałe, nie potrafiła jednak ukrywać prawdziwych uczuć przed bratem. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce.

– Czyli jedziesz się z nim spotkać... – Westchnął ciężko.

– Nic ci do tego, co będę robiła ani z kim się spotykała! – warknęła oburzona. – Zachowujesz się jak ojciec! Podwieź mnie na targ i wystarczy.

– Wiedziałem, że ta bajeczka z wczoraj to kłamstwo. Znam cię, nie pamiętasz? I wiem, kiedy kłamiesz. Ojcu to ty możesz wciskać banialuki, ale nie mnie.

Bydgoszcz jawiła się na horyzoncie, kiedy Radek stanął na poboczu, tuż obok zwalonego domu, przed którym jakaś kobiecina handlowała ziemniakami. Zgasił silnik i spojrzał na siostrę.

– Nie spotkasz się z nim! – rzucił ostro.

– Co?!

– Wiesz, że nigdy nie zrobiłbym niczego przeciw tobie. Że kocham cię najmocniej na świecie. Pewnie teraz grzeszę, ale matki rodzonej ani ojca nigdy nie kochałem tak jak ciebie. W ogień bym za tobą skoczył. I dlatego powtórzę: nie spotkasz się z nim.

– A niby dlaczego? Co takiego przeszkadza ci w kimś, kogo nie znasz i kogo pewnie nigdy w życiu nie widziałeś...? – Olśniło ją. – Właśnie! Skąd niby wiesz, że zamierzam spotkać się z... Gu-sta-wem? – Celowo przesyłabizowała jego imię. – Bo że ma Gustaw na imię, też pewnie wiesz?

– Nie. Nie wiem. I... Nie złość się na mnie. To nic nie da. On, ten Gustaw... On po prostu nie jest dla ciebie. To nie Warzecha was widział, a ja. Byliście razem w samochodzie, w tym eleganckim czarnym oplu. Najpierw dojrzałem samochód, potem kierowcę, a na końcu ciebie.

Do szyby zastukała handlarka. Zgarbiona, z głową obwiązaną kraciatą chustą i dobrotliwym uśmiechem, budziła współczucie.

– Ziemniaków? – zaskrzeczała.

– Nie, babciu. Dziękuję – odpowiedział łagodnie Radek.

Staruszka nagle się ożywiła. Splunęła w bok, a jej garb, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zniknął. Nie wydawała się już taka wiekowa.

– To spieprzaj stąd. Straszysz mi klientów! – huknęła.

– Za moment odjadę...

– Byle krótki, pierunie, bo jak nie...! – burknęła i oddaliła się.

Radek sięgnął po papierosa.

– Powiem prosto z mostu, bo jeszcze tej babie przyjdzie do głowy pogruchotać nam gnaty... Nie możesz z nim być, bo on Niemiec, a Łabędziom Niemcy nie są pisani. – Ostatnie słowa wypowiedział z zastanawiającym smutkiem. – Jak się ojciec dowie, powie ci to samo, tylko dosadniej.

– Ale...

– Niemcy to nie Polacy, a w naszej rodzinie ponoć z dziada pradziada sami Polacy. Niemiec to wróg. Przecież wiesz, co ojciec gada o Niemcach.

– Ale przecież mamy sąsiadów Niemców i nikomu to nie przeszkadza. Mam koleżanki Niemki, a ty kolegów...

– Wroga trzeba mieć na oku. A myślisz, że dlaczego rodzice pozwolili, co więcej, kazali nam się uczyć niemieckiego? Dlaczego w naszym domu leżą i polskie, i niemieckie gazety? Żeby wróg nas niczym nie zaskoczył...

– Wróg?

– Tak, wróg... – Znowu posmutniał. – To nie są moje słowa. I ja byłem zdziwiony, kiedy je usłyszałem, bo myślałem tak samo jak ty: mamy sąsiadów Niemców, od Niemców kupujemy ryby, do Niemca chodzimy na piwo. Podług naszego ojca możemy robić wszystko, poza mieszaniem krwi. Nie wolno nam się oglądać za Niemcami.

– Dlaczego nikt wcześniej mi tego nie powiedział? – zapytała Ania, spuszcżając głowę. – Skąd miałam wiedzieć, że to takie ważne?

– No widzisz...

– Tak nie wolno!

– Może i nie wolno, ale to już bez znaczenia. Teraz wiesz i... Po prostu zapomnij o nim, zanim za bardzo do niego przywykniesz.

Brat dotknął jej ramienia i pogłaskał ją delikatnie.

– To nie jest takie łatwe!

– Wiem. Naprawdę wiem, bo... Bo sam miałem Niemkę... Hildę. Była piękna, mądra, wysoka, gibka, zaradna... I chciała mnie bardzo. Jak ojciec mnie z nią zobaczył, przegonił ją. Byłem wściekły, bo mieliśmy plany... Wyniosłem się wtedy z domu, ale potem zrozumiałem, że muszę wrócić. Że rodzina jest najważniejsza. Że Łabędzie trzymają się razem. Na dobre i na złe. Moja Hilda też zrozumiała i wyjechała na północ, na Pomorze.

– Dlaczego...? Dlaczego mi nie opowiedziałeś o Hildzie?

– Tak wyszło. Nigdy nie było dobrej okazji.

– I papa ci zabronił się z nią spotykać?

– A czemu się dziwisz? Tobie też zabroni, więc lepiej po prostu wycofaj się już teraz.

– Ale... Ja go...

– Kochasz go, wiem. Widziałem to. On mi też wygląda na zakochanego.

– Tak myślisz? – Ożywiła się. – Naprawdę myślisz, że Gustaw mnie kocha?

Radek pokręcił głową z dezaprobatą.

– Tak. I nie ma się z czego cieszyć! Musisz to zakończyć, bo ojciec i tak ci nie da błogosławieństwa.

– A ty byś dał?

– Nie pytaj mnie o takie rzeczy. Nie ja cię na ten świat powołałem.

– Dałbyś?

– Dałbym... Dla mnie Polak czy Niemiec... To bez znaczenia.

Handlarka ziemniakami załomotała w drzwi.

– Wynosić się stąd! To nie miejsce na schadzki! – wyskrzeczwała, grożąc pięścią.

– Tu nie ma żadnej schadzki! – odszczeknął Radek, a po chwili zwrócił się do Anny: – Nie da nam spokoju. – Odpalił silnik i odjechali.

Podczas tego krótkiego odcinka drogi, jaki dzielił ich od targowiska, Radek przekonywał siostrę, by zerwała wszelkie kontakty z Gustawem i nie poszła na spotkanie.

– Będzie mniej bolało, zobaczysz. Ja tak zrobiłem i szybciej zapomniałem o Hildzie.

– Wcale nie! – stwierdziła Anna. – Nie wydaje mi się, że o niej zapomniałeś! Kiedy tylko wspominasz jej imię, drży ci głos i smutniejesz. Ty nadal ją kochasz! Hildę! To dlatego zmieniasz dziewczyny jak rękawiczki! Bo cały czas myślisz o Hildzie! Bo każdą do niej porównujesz! Bo żadna nie może się z nią mierzyć.

– Już lepiej nic nie mów! – syknął przez zaciśnięte usta. – Nic! Hilda to przeszłość i radzę ci, żebyś i o tym, no... Gustawie też zapomniała!

– Jestem dorosła i zrobię, co zechcę! To moje życie!

Radek zatrzymał auto w małej zatoczce tuż przed targowiskiem. Ania już miała wysiąść, kiedy złapał ją za rękę.

– Zostaw go, proszę. Inaczej powiem ojcu, a on...

Popatrzyła na niego smutnymi oczyma, wyswobodziła się z jego uścisku, a wyskakując z auta, rzuciła:

– Udanych zakupów, bracie. Pozdrów Zdziśka i jego żonę.

\*\*\*

Ania nie miała zamiaru iść na targ i nie chciała rezygnować ze spotkania z Gustawem. Pospieszyła w stronę kina. Po drodze wstąpiła jeszcze do pasmanterii, by kupić tasiemki. Odebrała też materiał na sukienkę, który zamówiła już jakiś czas temu. Był to błękitny materiał w białe szarotki – dla Joli. Chciała jej zrobić prezent i zlecić u Mandyczów uszycie sukienki podobnej do swojej. Czuła, że uradowałaby ją tym. Kupiła też pończochy, choć tylko jedną parę, bo ich cena okazała się wyższa, niż Ania się spodziewała. Udało jej się za to okazyjnie nabyć białe krótkie skarpetki

z drobną falbanką. Widziała je w żurnalu i zapragnęła mieć przynajmniej jedną taką parę, by czasami zakładać je do skórzanych sandałów.

Powinna się cieszyć z zakupów, bo choć nieczęsto się na nie wybierała, to je lubiła. Tymczasem rozmowa z bratem niemal całkowicie odebrała jej tę przyjemność. Obracała w myślach każde jego słowo, każdy zakaz, który niby znała, ale którego nie traktowała na tyle poważnie, na ile powinna. Ciekawe, co powiedziałyby mama... Czy tak jak Radek kategorycznie zakazałaby jej spotkań z Gustawem, czy jednak w swej matczynej i kobiecej wrażliwości radziłaby posłuchać głosu serca?

Anna uważana była przez rodziców za dobrą córkę, pomocną i posłuszną, niemniej nie zawsze grzeczną i potulną. Wyróżniała się na tle starszych braci i rówieśników intelektem i ambicją, więc rodzice przymykali oko na jej drobne wysoki: podebranie jabłek z pobliskiego sadu, upaćkanie w szkole zamków klejem, a nawet wypicie porcji wina księdzu proboszczowi, przez co ojciec najadł się sporo wstydu. Ale czy wybaczyłby jej, gdyby przedstawiła mu Gustawa? Miała co do tego wątpliwości.

Udała się w umówione miejsce, ale nie podeszła pod samo wejście, tylko zatrzymała się kilkanaście metrów wcześniej i tam czekała w ukryciu. A on zjawił się już po chwili. W eleganckiej marynarce, pod krawatem, w szykownym kapeluszu i z małym bukietem białych goździków, przykuwał wzrok kobiet. A ona tylko patrzyła na niego, chociaż mogła się tulić do jego boku albo trzymać go pod rękę, rozmawiać z nim, śmiać się do niego... Łzy płynęły jej po policzkach, a na gardle zaciskała się niewidoczna pętla.

Zrozumiała, że nie może podejść do Gustawa, że musi go tu pożegnać.

I zrobiła to. Symbolicznie, bez słów. Zalewając się łzami.

Wyczekiwał jej, rozglądał się za nią. Mijali go przechodnie, ktoś zapytał o godzinę, a grupka hałaśliwych dzieciaków biegała wokół niego, traktując jak filar, za którym mogły się schronić. Był cierpliwy, ale w końcu stracił nadzieję, cisnął kwiatami i udał się w przeciwnym kierunku.

Ania powstała chwilę, po czym wyszła z ukrycia i skierowała się w stronę przystanku autobusowego. Zatrzymała się jeszcze obok grupki osób, by posłuchać łzawej melodii, jaką na skrzypcach wygrywał drobny żydowski chłopiec. Poczowała lekkie szarpnięcie za rękę. Serce podskoczyło jej do gardła.

„Gustaw!” – pomyślała i natychmiast się odwróciła.

Naprawdę miała nadzieję, że to on. Że w przedziwny sposób dojrzał ją nieopodal kina i poszedł jej śladem. Ale... Jej nadzieja ulotniła się prędko niczym dym z gromnicy. To żydowski chłopiec biegał z czapką, prosząc o datek tych, którzy przystanęli, by posłuchać gry jego kolegi. Zmarszczyła nos, pokręciła głową i szybko się oddaliła. Chłopak biegł za nią, prosił o kilka groszy. Nie odwróciła się, ale był namolny. Może dlatego, że swym ubiorem (najbardziej eleganckim, na jaki było ją stać) czyniła mu nadzieję na sowitą zapłatę. Chciałaby mu rzucić dziesięć groszy, chciałaby móc pozwolić sobie na taki gest, ale nie mogła, bo przecież sama nie miała zbyt wiele. Kiedy znowu poczuła uścisk na przedramieniu, przystanęła i odwróciła się z groźną miną, by w kilku gniewnych słowach go przepędzić. Jednak zamiast czarnych oczu zobaczyła niebieskie. Zobaczyła Gustawa.

– Co...? Co ty tu robisz?

– A ty? Dlaczego nie przyszedłeś? – zapytał łagodnie.

– Bo... Nie powinniśmy się widywać, Gustawie. Nie powinniśmy... Wszystko przemyślałam i przepraszam, ale... Naprawdę nie powinniśmy się spotykać.

Złapał ją za rękę. Poczowała ciepło jego dłoni. Wiedziała, że to zgubne, że to nie pomoże jej w byciu niedostępną, chłodną, jak zamierzała. Chciała wydostać się z uścisku, ale choć był ledwie wyczuwalny, nie potrafiła zrezygnować z tego dotyku. Przez chwilę trwali tak niemal bez ruchu. W końcu Anna przemówiła:

– To był błąd.

– Wiem – odparł spokojnie.

– Jak to wiesz? – Na jej twarzy malowało się zdziwienie.

Pociągnął ją w stronę pobliskiego parczku, który może nie miał w sobie krzty romantyzmu, bo był miejscem spotkań okolicznego elementu, ale teraz dawał im odrobinę prywatności. O tej porze dnia, na ruchliwej bydgoskiej ulicy, trudno było o spokój i ciszę.

– Nie pasujemy do siebie – powiedział, gdy stanęli za zwaloną lipą. – Pochodzimy z innych kręgów, stanów społecznych, krajów nawet. Dzieli nas więcej, niż łączy, ale mimo to coś w sobie zobaczyliśmy, czy nie tak?

– Tak.

– I to coś wystarczyło, żeby przez chwilę nie myśleć o tym, co nas dzieli, a tylko o tym, co mamy wspólne.

– Być może, ale...

Gustaw położył palec na jej wargach, chcąc, by umilkła na chwilę.

– A gdybyśmy dali sobie szansę? – zapytał. – Niezależnie od tego, co podpowiada nam zdrowy rozsądek albo jakiś bezlitosny głos zza pleców...?

– Nie wiem, nie wiem... Ja jestem Polką, a ty Niemcem...

– Przecież wiedzieliśmy o tym od pierwszej chwili, od pierwszego spotkania. To jest to, co najbardziej cię martwi?

– Tak, bo... Nie zdawałam sobie sprawy, że w mojej rodzinie związek z Niemcem jest wykluczony.

– Tak jak w mojej związku z Polką.

– Naprawdę?

Pokiwał głową, a potem dodał:

– Gdyby mój ojciec dowiedział się o tobie, wściekłby się i zrobiłby mi karczemną awanturę. Oby tylko tyle. Może nawet by mnie wydziedziczył. – Wzruszył ramionami. – Nie zależy mi na ojcu i jego fortunie.

– Mój papa nie pozwoliłby na to, bym była z tobą. Brat też. Są pewni, że związę się z Polakiem, nawet biednym i niewykształconym, ale z Polakiem. Dla nich to ważne, a dla mnie ważni są oni. Nie potrafiłabym ich skrzywdzić, a jestem przekonana, że wieść o tobie złamałaby im serca.

– Więc ukryjmy nas. Zrobmy wszystko, by nikt się o nas nie dowiedział.

– Jak to?

– Po prostu, Aniu... Spotykajmy się ukradkiem. Mam samochód, możemy widywać się poza Fordonem, poza Bydgoszczą. Znajdę miejsce. Ukryję nas przed całym światem!

– Myślisz, że to możliwe?

– Jeśli obojgu nam będzie na tym zależało.

Anna uciekła wzrokiem, zacisnęła wargi i zamyśliła się. Kochała Gustawa całą sobą, ale wiedziała, że nie powinna się zgadzać. W żadnym wypadku.

„Nie mogę...” – powiedziała w myślach, a na głos wyszeptała:

– Dobrze.

Gustaw rozpromienił się, ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta, najnamiętniej jak tylko potrafił. Po chwili mocno ją do siebie przytulił i patrząc jej głęboko w oczy, wyznał:

– Kocham cię, Aniu.

– Ja też. Ja też cię kocham, Gustawie.

\*\*\*

Kiedy wróciła do domu, w kuchni czekał Radek. Spojrzał na nią wymownie i z dezaprobatą pokręcił głową; znał ją na wylot i doskonale potrafił czytać jej emocje.

Wyciągnął ją przed dom.

– I? – zapytał, patrząc siostrze głęboko w oczy.

– Daj mi spokój. To nie twoja sprawa.

– Naprawdę? Myślisz, że nie moja? I pewnie też nie ojca, nie Olka... Nie nasza?

– Tak! Nie wasza. – Zacisnęła usta, a potem dumnie uniosła brodę i spojrzała w dal, na rytmicznie kołyszące się witki wierzby.

Radek westchnął.



– A więc wybrałaś... Jesteś głupia. – Spojrzała na niego z wyrzutem. – Albo... odważna. – Ania z wrażenia aż zaczerpnęła głośno powietrza. – To drugie raczej. Ja dla miłości nie potrafiłem czegoś takiego zrobić... Postawić się rodzinie i nie skreślać ukochanej... – mówił cicho i pospiesznie. – A Bóg jeden wie, że powinienem! Taka miłość zdarza się być może raz w życiu. Raz! A ja ten raz zaprzepąciłem dla jakichś rodzinnych dziwactw... Co z tego, że Hilda była... że jest Niemką... Dla mnie to bez znaczenia. Dla mnie to ona była ważna. Była, bo ją straciłem. Wyjechała – mruknął smutno. – A ty? Mimo wszystko wybrałaś Gustawa. Mimo moich słów, mimo zakazu, postawiłaś na niego. – Przytulił ją, a ona odwzajemniła uścisk. – Tak się bałem, że nie dasz rady i się złamiesz, i posłuchasz mnie, przegranego w miłości. Że skreślisz go... Aniu, przysięgam. – Położył dłoń na piersi, na wysokości serca. – Będę cię krył! Najlepiej, jak tylko zdołam. Dopóki ta miłość będzie między wami, możesz na mnie liczyć. Będę cię krył, was będę krył.

## NOWE

Gustaw, jak zapowiadał, wyjechał na dłużej, zostawiając Annę z czarno-białym zdjęciem, które ukryła głęboko w torebce, i wspomnieniem namiętnego pocałunku na pożegnanie.

Była zakochana, a każda myśl o Gustawie jeszcze potęgowała to uczucie. Pragnęła go: kolejnego spotkania, spojrzenia, dotyku... I nie zastanawiała się nad tym, że będzie musiała ukrywać go przed wszystkimi.

\*\*\*

Musiało się coś zmienić w Ani, bo jako zakochana wyjątkowo magnetycznie działała na mężczyzn. I nie chodziło tylko o klientów „Wiślanej”, gdyż ci, od kiedy zaczęła tam pracować, zachłannie pożerali ją wzrokiem. W ponurych murach niezbyt wykwintnej restauracji, przez niektórych pogardliwie nazywanej speluną, była przecież najjaśniejszym punktem. Odkąd jednak się zakochała, zarówno tam, jak i w jej domu zaczęli pojawiać się znajomi ze szkolnych lat. Na przykład Irek Żmijewski, starszy o dwa lata, który i w szkole powszechnej smalił do niej cholewki, a także Jurek Łągiewka, młody bokser, który pod pretekstem odwiedzin Jana zawsze wypytywał o Anię, a kiedy była w pobliżu, zagadywał do niej. Najczęściej zjawiał się jednak Antek Dziarkowski. Praktycznie codziennie przyjeżdżał do „Wiślanej”, również wtedy, kiedy nie musiał, bo nie robił żadnej dostawy. Przyjeżdżał, wypatrywał Ani i szukał sposobności do rozmowy. Lubiła go, aczkolwiek po weselu Ewy i Walusia ich relacje się ochłodziły. Antek był jednak jej przyjacielem z dzieciństwa i po prostu nie umiała go ot tak skreślić. Lecz gdy pewnego dnia przyniósł jej bukietik margerytek i zaproponował wspólny spacer w niedzielę, zdziwiła się, zaśmiała i natychmiast odmówiła.

– Antek, daj spokój! Ze mnie nie będziesz miał pożytku – siła się na żartobliwy ton, nie chcąc go urazić.

– Ale... – stropił się.

– Jest wiele dziewczyn w Fordonie, które ucieszyłbyś taką propozycją. Małgosia Paciorkiewicz, Irka Nowaczyk...

– Ale nie ty?! – prychnął.

Pokiwała głową.

W oczach Antka dostrzegła coś na kształt rozczarowania, a może i złości, ale chciała raz na zawsze zakończyć jego podchody. Nie zamierzała mu robić złudnej nadziei. Żadnemu nie chciała ich robić.

– Na zwykły spacer, tak?

– Tak.

– Na taki mogę iść, czemu nie.

– To w niedzielę po ciebie przyjdę.

I rzeczywiście przyszedł. Zjawił się przesadnie elegancko ubrany, ale machnęła na to ręką, bo ucieszyło ją, że nie przyniósł kwiatów. Udali się nad Wisłę, a potem Ania wyciągnęła go na sentymentalną wędrówkę szkolnymi ścieżkami. Na początku nie chciał. Wolał przemierzać bulwary, rynek, Bydgoską, co najmniej jakby zamierzał pysznić się przed przechodniami towarzystwem kobiety. Po krótkich namowach Ani ustąpił.

Szli obrzeżami miasteczka, przez sady Kwaterkiewicza oraz pole Butkiewicza, które i w suchej porze bywało grząskie.

– Upaprałem sobie buty – zrzędził Antek.

– To po co takie włożyłeś? Mieliśmy iść na spacer, a nie na randkę.

Nie odpowiedział, ale Ania kolejny raz dostrzegła na jego twarzy grymas niezadowolenia. Kiedyś poczerwieniałby ze wstydu, teraz tylko ze złości.

– A powiedz, co z samochodem twojego ojca po tamtym wypadku? – zagała. Wiedziała, że ojciec Antka miał kilka aut i lubił się chwalić swoją kolekcją. – Tym, którym potrafił Manię Kwiatkowską?

– Chciałaś raczej powiedzieć, że tym, pod którego koła mu ta latawica wlaźła.

– Ty chyba nie wiesz, co mówisz – obruszyła się. – Ja tam byłam i wszystko widziałam. To wina twojego ojca. Był pijany w sztok.

– Przed policją niczego nie zeznałaś – stwierdził z wyższością.

– Bo nie mogłam – warknęła, czując narastające pulsowanie w skroniach.  
– Twój ojciec mi zabronił.

– I dobrze. Ale nawet jakbyś zeznała, to nic by nie dało, bo i tak nie widziałaś wypadku. Tylko mój ojciec i Kwiatkowska. Ale jej słowo przeciw słowu mojego ojca się nie liczy. Mój ojciec jest kimś!

Ania pokręciła głową.

– Naprawdę? Po tym wszystkim, co ci kiedyś robił, jak cię bił i upokarzał, teraz trzymasz jego stronę?

– Byłem inny i on był inny. Czasy się zmieniły.

Przez chwilę szli w ciszy, ale atmosfera między nimi była napięta. W końcu Antek odezwał się:

– Samochód wymagał dużej naprawy, był kosztowny. Kwiatkowscy musieli za niego zapłacić.

Ania zatrzymała się gwałtownie. W jej oczach malowała się wściekłość.

– Naprawdę? Niby jak oni wam zapłacili?

– Ziemię sprzedali.

– Zabraliście im ostatni kawałek pola?! To w głowie się nie mieści, Antek! Jak mogliście? Przecież oni teraz już niczego nie mają!

– Kwiatkowska mogła uważać na drodze, a nie leżać jak krowa. Ona się tylko do dupczenia nadaje!

Ania trzasnęła Antka w twarz. Odruchowo złapał się za policzek, a potem zamachnął się, jakby chciał jej oddać. Opuścił jednak rękę.

– Jesteś durna tak samo jak ona! Pieprzona pizda!

Ania była tak zszokowana, że w pierwszej chwili nie wiedziała, co odpowiedzieć. Takich słów w ustach Antka w życiu się nie spodziewała.

– Co?!

– Durna! Nie rozumiesz, co to znaczy? – Splunął. – Durna, głupia. Idiotka, kretynka, dziwka. Wypacykowanym to pewnie dajesz dupy, ale mnie to nie chcesz, co?

– Antek! Jak możesz?!

– A co? Wiem, że łąsisz z jakimś po Bydgoszczy. Widziałem, jak się szlajasz z nim po parku. Pewnie jakiś urzędnik albo adwokat...

Ileż nienawiści było w jego słowach! Ileż pogardy i zaciętości.

Ania natychmiast przypomniała sobie, jak widziała Antka z prostytutką, i pomyślała, że być może wcale nie kłamał.

– Nic o mnie nie wiesz – stwierdziła chłodno. – Nic.

– I nic już nie chcę wiedzieć! W dupie mam te końskie zaloty! – Splunął ponownie, po czym wdeptał ślinę w klepisko. – Łażenie do ciebie, łaszenie się, kiedy ty taka durna jesteś! Wielka pani z chałupiny z zapalek! – wyrzucił z siebie z pogardą.

– Opanuj się!

– Mój ojciec miał rację – ciągnął – że nie powinienem na ciebie ścierać cholewek, tylko brać taką, co by mnie po tych cholewkach całowała.

– Tobie się w głowie poprzewracało! – wycedziła przez zęby.

Zbliżył się do niej tak, że dzieliło ich teraz ledwie pół kroku, i ścisnął jej przedramię. Poczwała ból. Jęknęła i spróbowała się wyrwać, ale Antek na to nie pozwolił. Zaczęła się szamotać, a on napawał się tym widokiem, czerpiąc z niego chorą przyjemność. Zamachnął się i trzasnął ją w twarz. Z całej siły. Zapiękło. Zrozumiała, że to nie są przelewki, i wystraszyła się. Co robić, u kogo szukać ratunku? Stali tuż przy bocznej drodze, a od najbliższych domostw dzieliło ich kilkadziesiąt, może nawet kilkaset metrów. Krzyknęła. Jej słowa zniknęły jednak w próżni, napęlniając Antka mroczną satysfakcją. W zasięgu wzroku nie było nikogo. Żadnego ratunku.

„Kopnij w jaja” – przypomniała sobie słowa brata. Wymierzyła cios.

Ale Antek to przewidział. Uchylił się sprytnie i wygiął jej rękę tak, że znalazł się za jej plecami. Był tym tak podniecony, że aż dyszał.

– Nie chcesz po dobroci, to inaczej pogadamy...

– Zostaw mnie! Będziesz tego żałował! – wrzasnęła.

– Oj nie. Nie zostawię... – wysyczał jej do ucha. – Należysz mi się za te wszystkie lata wysługiwania się mną. Za przyniesienie, wyniesienie, podanie... I za to, że zawsze czułaś się lepsza!

– Co?

– Tak, Łabędziówna! – Nazwisko Ani wymówił z odrazą. – Zawsze mną pomiatałaś. Miałaś za sługusa i wyśmiewałaś się ze mnie za plecami. I te kanapki, które mi rzucałaś, jak świni w chlewie...

– Jesteś nienormalny...

Roześmiał się ponuro i jeszcze mocniej wygiął jej rękę, chcąc wzmocnić jej ból. Cierpiała, ale milczała, bo za nic w świecie nie chciała zwiększyć jego satysfakcji. Po chwili poczuła na swojej szyi szorstkie palce Antka i wzdrygnęła się. Sunął nimi wzdłuż jej ramienia, coraz niżej, aż do talii. Ania przez cały czas szarpała się, przeklinała go, próbowała uwolnić, ale on nie dawał za wygraną. Był zadziwiająco silny, a jej opór i przekleństwa, którymi częstowała go obficie, czyniły go jeszcze silniejszym, bardziej władczym. Kiedy wpił się palcami w jej pośladek, oddech znacząco mu przyspieszył, a ona poczuła na sobie jego wzwód. Teraz już była przerażona.

– Spierdalaj! – Cisnęła po raz kolejny z jeszcze większą odrazą. Musiała, musiała spróbować czegoś jeszcze. – Odjebię ci go, jak tylko spróbujesz mi go wsadzić!

Antek jakby przeraził się jej słów, a może bardziej tego, co właśnie działo się z jego ciałem i co odebrał jako swoistą słabość, bo zwolnił uścisk, a po chwili pchnął Anię. Niezbyt silnie. Wystarczająco jednak, by straciła równowagę. Upadła na drogę, na plecy. Ale jakoś tak krzywo, że kolanem zaryła w wysypany żużel. Pisnęła i odruchowo złapała się za nogę. Rozdrapana skóra krwawiła w wielu miejscach. Z ranek wystawały czarne drobiny. Chciała je otrzepać, ale kiedy tylko spróbowała, zapiekło. Wstała więc i nie zastanawiając się ani chwili, zaczęła biec. Po kilkunastu metrach obejrzała się. Antek był tuż za nią, dzieliło ich raptem kilka kroków.

Zawsze była od niego szybsza, on należał do tych bardziej ociężałych, ślamazarnych. Teraz zaskoczył ją tym, że był taki szybki. Spróbowała wydłużyć krok. Pomogło i zyskała dwa, trzy metry. Ale on nadal był blisko. Za blisko.

Nagle dostrzegła światła samochodu. Zbliżał się dość szybko. Natychmiast zrodziła się w niej nadzieja, że oto nadchodzi pomoc, że kierowca zatrzyma się, widząc jej desperackie machanie, i pomoże jej. Tak! Nie mógł się nie zatrzymać! Nie mógł!

Samochód był już całkiem blisko i wtedy to dostrzegła. Boże drogi, przecież tak dobrze знаła ten kształt, tyle razy wypatrywała go przed restauracyjną witryną. Opel. W jej stronę zmierzał Gustawowy opel.

„A więc przyjechał...”

Była pewna, że za chwilę go zobaczy, że Guderian wyskoczy z auta i natychmiast stanie w jej obronie. Uratuje ją. Jak w romansach. A potem sprawi, że Antek już nigdy, ale to przenigdy się do niej nie zbliży! Samochód zatrzymał się, a ona podbiegła do niego. Uśmiech ulgi, który zarysował się na jej twarzy na myśl o Gustawie, w jednej chwili ustąpił miejsca grymasowi przerażenia. Z czarnego opla wysiadł bowiem nie jej ukochany, lecz stary Dziarkowski w wojskowych oficerkach i z nieodłącznym skórzanym batem w ręce. Nie krył wściekłości. Lodowaty dreszcz przebiegł Annie po plecach.

– I jak, Antoni...? – Stary Dziarkowski wyglądał na wściekłego. Do tego był pijany. Na twarzy spocony, pod szyją rozchełstany. – Znowu ci ta szmata spieprza?

Antek zwiesił głowę.

– Kurwa mać. – Stary strzelił batem o ziemię i z dezaprobatą pokręcił głową. – Czy ja cię, bachorze, aż tak dziadowsko wychowałem?

– Nie, proszę ojca – odpowiedział cicho Antek.

Dziarkowski spojrzał z odrazą na Annę.

– A ty? Czego go kuszysz, skoro dupy nie chcesz dać?! Powinnaś się cieszyć, że jaki chłop za tobą patrzy. Na takich z dziadowskich chałup nikt

oka nie wiesz.

Ania stała jak wryta.

– Antoni się na ciebie uparł, chociaż mnie się nie podobasz wcale. – Stefan Dziarkowski rzucił synowi pogardliwe spojrzenie, a potem przeniósł wzrok na Annę. – Co się tak gapisz, głupia pizdo?! Wypierdalaj do domu i już nigdy więcej nie łaś się do mojego syna! – Strzelił w jej stronę batem, smagając ją po łydce.

Ania syknęła z bólu, a mężczyzna wgapił się w nią, jakby się tym bólem karmił. Przez chwilę był jakiś inny, jakby nieobecny. Naraz się ocknął.

– No już! Nie słyszałaś, co mówiłem? Wypierdalaj, bo ci bużkę pokanceruję.

Nie zastanawiając się dłużej, zaczęła biec. Miała wrażenie, że ktoś ją goni. Tak. Wyraźnie słyszała czyjś chrapliwy oddech i stukot ciężkich kroków, który ani na moment nie ustawał. Może to był Antek, który nie dawał za wygraną, może jego ojciec... Nie odwróciła się jednak, tylko biegła. Dopiero na zakręcie odważyła się spojrzeć przez ramię. Nikogo nie zobaczyła, ale nie miała też co do tego pewności, bo przed oczami pojawiły się ciemne plamy. Biegła dalej, aż w końcu dopadła do furtki rodzinnego domu. Brutus witał ją radośnie, a ona ledwie na niego spojrzała i błyskawicznie wpadła do domu. Starannie zamknęła za sobą drzwi, a potem przywarła do nich i osunęła się na podłogę. Z jej oczu popłynęły łzy.

– Ania? – Radek zawołał ją z kuchni. – Chodź, są bakajki! Nasmażyłem, ale nie zezarliśmy z Olkiem wszystkich, chodź!

Nie zareagowała, a przecież normalnie już by leciała do kuchni. Uwielbiała Radkowe racuchy, były lepsze od dawnych maminych... Brat zaniepokojony ciszą w sieni wyjrzał z kuchni i widząc siostrę na podłodze, zrobił głupkowatą minę, taką, którą czasami ją rozśmieszał. Kiedy jednak dostrzegł, że jest zapłakana, natychmiast spoważniał.

– Ejże, Anka, co się stało?



Nie umiała mu odpowiedzieć. Nawet spojrzeć na niego nie potrafiła, jakby wstydziła się tego, co przed chwilą się wydarzyło, choć przecież niczemu nie zawiniła. Uklęknął obok niej.

– Co się stało? – powtórzył łagodnie, zobaczywszy jej rozbite kolano, i złapał siostrę pod brodę, zmuszając do spojrzenia mu prosto w oczy. – Przewróciłaś się? – Zaprzeczyła ruchem głowy. – Spadłaś skąd? – Ponownie pokręciła głową.

Dopiero teraz spostrzegł krwawe smugi na nodze. Dokładnie je obejrzał.

– Gdzieś jeszcze jesteś ranna?

Dała znak, że nie. Zmarszczył brwi. Ania chciała spuścić wzrok, ale nie pozwolił jej na to.

– Kto ci to zrobił? Powiedz.

W korytarzyku pojawił się Olek.

– Co jest? – zapytał, przelękając racucha.

Odpowiedziała mu cisza.

– Czego się wydurniacie? – Mlasnął z beztroską, stając przy nich. – Co to za wygłupy beze mnie?

Znając charakter brata i spodziewając się, że Olek, widząc krzywdę siostry, wybuchnie, Radek podszedł do niego, ścisnął go za ramię i szepnął mu coś na ucho. Olek skinął głową, ale natychmiast zacisnął pięści.

Radek wrócił do Ani. Ukląkł i powiedział cicho:

– Czy coś więcej... – Delikatnie dotknął okaleczonej nogi. Ania drgnęła. – Czy coś więcej ci zrobił? Wiesz, o co pytam... – Potrząsnęła głową. Radek z ulgą przełknął ślinę, a potem dopytał jeszcze ciszej: – To on?

Spojrzała na niego pytająco.

– To ten Niemiec?

– Nie... – odpowiedziała natychmiast. – Nie!

– To kto? Powiedz mi. Nikomu nie powtórzę.

– Antek... – wyszeptała ledwie słyszalnie i w kilku zdaniach opowiedziała bratu o zajściu, a na koniec, widząc niepokojący błysk w jego

oczach, zapewniła: – Ale naprawdę nic więcej... Nic... Uciekłam...

Radek pogładził ją po włosach, a potem pocałował w czoło niczym ojciec i spojrzał jej prosto w oczy.

– Już jesteś bezpieczna. – Silił się na spokój, ale Ania zbyt dobrze знаła brata i wiedziała, że pod tą łagodnością czai się coś mrocznego.

– Jest robota do zrobienia – oznajmił, wstając.

– Kto? – zapytał krótko Olek.

– Dziarkowski.

Olek siarczyście przeklął i zaczął się ubierać. Radek też.

– Nie idźcie nigdzie. Nie chcę, żebyście cokolwiek robili... – poprosiła Ania, podnosząc się z podłogi.

Spojrzeli na nią wymownie, dając jej do zrozumienia, że już podjęli decyzję.

– Zamknij się w domu i nikomu nie otwieraj! – nakazał Radek. – Ojciec niedługo powinien wrócić od Warzechy.

Patrzyła za nimi, jak biegli w stronę pól Dziarkowskiego. Bała się. Piekielnie się bała.

\*\*\*

Radek z Olkiem wrócili po północy. Ojciec już spał, niczego nieświadomy, bo Ania słowem nie wspomniała o zajściu, a nogę starannie ukryła pod długą spódnicą.

– Antek więcej nie stanie ci na drodze – rzucił Radek.

– Chyba już do żadnej nie będzie miał odwagi – kąśliwie dodał Olek.

– Co mu zrobiliście? – Ania przestraszona patrzyła na ich zadowolone twarze. – Mówcie prawdę!

– Czekaliśmy, aż u Dziarkowskich pogasną światła – zaczął Olek. – A potem żeśmy Antkowi zapukali w okno. Dureń otworzył. I oberwał... – Pięścią zamarkował uderzenie w żuchwę. – Musi wiedzieć, żeś nietykalna, żeś nasza siostra.

Ani zrobiło się gorąco ze zdenerwowania.

– Prosiłam was... Wiecie, że jego ojciec tego nie popuści. Wścieknie się. Może i nie ma o Antku dobrego zdania, ale syn to syn.

– Jego ojciec o niczym się nie dowie – stwierdził stanowczo Radek. – Bo... Nic mu nie zrobiliśmy. Olek bajki opowiada.

– Na pewno? – Ania popatrzyła na Olka z niedowierzaniem.

– Niestety – stwierdził Olek. – Byłem naszykowany na mordobicie, ale nie chciałem włamywać się do domu. Jutro go dorwiemy.

– Nikogo nie dorwiecie! Nie zgadzam się! Bo... Nie warto!

– Jak to „nie warto”? Jesteś naszą siostrą i to nasz obowiązek. Jakby coś Joli było, też byśmy poszli.

– A jak powie swojemu ojcu, że to wy? – prychnęła. – Wiecie, jakie wpływy ma stary Dziarkowski? Wielu życzy mu najgorzej, a i tak nikt mu nie podskoczy. Boję się, że może nam nabruździć...

– To wtedy będziemy się martwić. – Radek położył rękę na ramieniu brata.

Ania westchnęła, a potem jeszcze ciszej dodała:

– Niczego nie róbcie, proszę, i... papie ani słowa.

– Tego ostatniego możesz być pewna.

Radek podszedł do siostry i ją objął.

– Niczym się nie martw, siostrzyczko. O wszystko zadbamy. Od tego nas masz.

## POTWÓR

Po ciężkiej, prawie nieprzespanej nocy, podczas której rozmyślała o wieczornym zajściu, Ania z trudem zwlokła się z łóżka i starannie ukrywszy rany na nodze, poszła do kuchni. W całym domu unosił się aromatyczny zapach jajeczniczy.

Przy stole siedzieli jej bracia.

– Chodź – przywołał ją Radek. – Wszystko przygotowaliśmy.

– Sami to zrobiliście? – Nie kryła zdziwienia.

– A widzisz tu jeszcze kogoś?

Dołączyła do nich. Wzięła kanapkę z leberką i nałożyła sobie łyżkę jajeczniczy.

– Dodałem tymianku.

– Właśnie czuję. No, no! – powiedziała z podziwem.

– A wy już w komplecie? – Do kuchni wszedł ojciec. – Co tak prędko?

– Jak prędko? Do roboty przecież czas – stwierdził Olek.

– A ty nie u Joli?

– Mamy z Radkiem robotę pod nosem, a poza tym u Joli od rana jest kontrola z Bydgoszczy, więc wiecie... Nie może mnie tam być.

– Kontrola poważna rzecz. Ale dadzą jej pozytywny wynik, nieprawdaż?  
– zaciekawiał się ojciec, siadając ciężko na krześle.

– Na pewno. U niej wszystko w papierach jest dograne.

\*\*\*

Bracia zazwyczaj pierwsi wychodzili z domu, bo zaczynali pracę wcześniej niż Ania. Tamtego dnia wyjątkowo im towarzyszyła, gdyż dostała od Wężyka fuchę przy pieczeniu ciast na stypę po zegarmistrzu.

– Jak się dziś masz, siostra? – zapytał z troską Radek, kiedy wyszli przed dom.

– Dobrze – skłamała, bo gdzieś w środku czuła niepokój, a i noga ją pobolevała.

– Miej się na baczności i... weź to. – Wyciągnął z kieszeni kozik w skórzanym futerale. – Naostrzyłem. Będziesz miała na wypadek, gdybyś potrzebowała kogo nastraszyć albo co.

– Nie chcę! Nie zamierzam go używać.

– Bierz! – Radek wcisnął jej go do ręki. – Bez gadania! Włóż do torebki i zawsze noś przy sobie. Może nie zaszlachtuje, ale na pewno nastraszy.

Wzięła kozik i obejrzała go dokładnie. Miał wąskie ostrze o haczykowatej końcówce i drewnianą, dość sfatygowaną rękojeść.

– Obym nie musiała tego sprawdzać.

– Oby, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże – dodał Olek.

\*\*\*

Na rynku pożegnała się z braćmi. Poszli w stronę rzeki, a ona skręciła ku „Wiślanej”. Kiedy przekroczyła próg restauracji, od razu natknęła się na Beniamina Wężyka, który jakby na nią czekał. Miał srogi wyraz twarzy, więc pomyślała, że najwyraźniej starł się z żoną o poranku. Chciała jak najszybciej zejść mu z oczu, ale zastąpił jej drogę.

– Już tu nie pracujesz – oświadczył hardo i podał jej zawiniątko. – To wynagrodzenie za ten miesiąc.

– Ale...

– Policzyłem do dziś.

– Ale... Jak to?

Odpowiedziało jej milczenie.

– Panie Wężyk, chyba należy mi się jakieś wyjaśnienie. Czy źle pracowałam? Czy jakiś klient się na mnie poskarżył? Proszę mi powiedzieć, ja wszystko wyjaśnię. W zeszłym tygodniu rozżłościłam się na Staala, ale

był pijany i próbował tych swoich umizgów – mówiła prędko, bardzo zdenerwowana. – Ostatnio niczego nie stłukłam, z nikim się nie pokłóciłam, a do pana Wątroby, tak jak pan kazał, to się uśmiechnęłam, mimo że z czystym sumieniem przy dobrej sposobności pchnęłabym go do Wisły i nie spojrzalabym, czy poradził sobie z nurtem.

– Zabierz swoje rzeczy... – burknął, choć Ania wyczuła, że zrobił to trochę na siłę.

– Czyli zwalnia mnie pan i nawet nie poda powodu?

– Wolałbym cię nie zwalniać – powiedział po chwili. – Ale wyjścia nie mam.

– Jak to nie ma pan wyjścia? Nie musi mnie pan zwalniać! Przecież dobrze pracuję, prawda?

– A idź w pieruny, dziewucho!

– Nie! Muszę wiedzieć! Dlaczego mnie pan wyrzuca?!

– Bo napieprzyłaś u Dziarkowskiego – syknął, a potem skubnął nerwowo brodę. Rozejrzał się, jakby nie chciał, żeby ktokolwiek stał się świadkiem ich rozmowy, a potem cicho dodał: – Był tu i kazał mi się ciebie pozbyć.

Ania spojrzała na niego z niedowierzeniem. Z miejsca wszystko zrozumiała. Przecież doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jakie kontakty miał Dziarkowski, z kim trzymał i komu dawał łapówki.

– Czyli tak...

Przecisnęła się obok zwalistego szefa i poszła na zaplecze po kilka swoich drobiazgów, po czym pożegnawszy załogę, skierowała się do wyjścia. W progu spojrzała jeszcze na Wężyka.

– A nie pomyślał pan, że to Dziarkowskiego powinno się wysłać w pieruny? Że to on ma czorta za skórą i wszystkim życie uprzykrza? – Wgapiła się w Wężyka, który nawet nie drgnął. Ona natomiast cała drżała z nerwów. – Rozumiem i... Nie mam do pana pretensji. Boi się pan Dziarkowskiego – powiedziała spokojnie, a potem zuchwale dodała: – Ale taki mężczyzna jak pan czasami powinien mieć własne zdanie.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

\*\*\*

Nie wróciła do domu od razu. Poszła nad Wisłę, a potem przemykała ulicami, zastanawiając się, jak powinna zakomunikować rodzinie swoje zwolnienie z pracy.

Usiadła w ustronnym miejscu, tuż obok dziury w szkolnym płocie, gdzie niegdyś bunkrowała się, aby czytać romanse Ireny Zarzyckiej, „pożyczane” od intendentki. Myślała o wstrętnym Dziarkowskim. Matka by jej pewnie powiedziała do słuchu za to, że wieszka na nim psy i go przeklina. Ania była jednak zbyt rozgoryczona, by pamiętać o dobrych radach świętej pamięci mamy, że owszem – walczyć o swoje trzeba umieć, ale z kulturą.

„Jest zdolny do wszystkiego, byleby człowieka zniszczyć... – analizowała. – Co za gnój!”

Żal jej było pracy w „Wiślanej”. Potrzebowała przecież pieniędzy. Warszawa cały czas jawiła się na horyzoncie, a i do domowego portfela Ania musiała się dokładać. Wiedziała jednak, że teraz z pewnością pożegna się z dodatkowym groszem, bo Dziarkowski na pewno się postara, o ile już tego nie zrobił, aby nikt jej nie dał pracy ani w Fordonie, ani w najbliższej okolicy.

Jej dumania przerwał klekot starej, zdezelowanej ciężarówki. Doskonale znała ten dźwięk. Z odrazą pomyślała o Antku. Zdawało jej się, że po wczorajszym incydencie, będzie go unikała jak ognia. Przecież tak sobie nocą poprzysięgła. W jednej sekundzie zmieniła zdanie. Zerwała się z miejsca i z zamiarem nawrzcucia Antkowi od najgorszych, ruszyła biegiem za samochodem. Wiedziała, że za chwilę się zatrzyma, że stanie, aby wyładować towar. Znała przecież jego trasę doskonale. Nie pomyliła się.

Krew w jej żyłach wrzała, twarz płonęła od wiatru i gniewu. Zacisnęła dłonie w pięści. Były małe, na pewno dużo mniejsze niż Antka. Ale ona podjęła już decyzję: zamachnie się, sięgnie jego twarzy tak, by poczuł jej gniew. Namacała kozik, którego nie zamierzała użyć, ale postraszyć nim i owszem.

Samochód się zatrzymał, a ona stanęła za nim, czekając, aż Antek wyskoczy z kabiny. W myślach układała już litanie słów, jakimi pragnęła nakarmić Antka, którego do niedawna śmiało mogła nazywać kolegą, przyjacielem nawet. Już niemal wyrzuciła ze swoich ust: „Jesteś taki sam jak ojciec! Najgorszy, parszywy, ohydny!”, kiedy dostrzegła, że z kabiny wysiada nie Antek, a Tomek Gbór, który też pracował u Dziarkowskiego.

– Gdzie Antek? – zapytała zaskoczona.

– A bo co?

– Bo mam do niego sprawę.

Podeszła do barczystego kierowcy, który właśnie wyciągnął lichego papierosa bez filtra i zapalił. Splunął drobinami tytoniu.

– No to będziesz musiała trochę poczekać, bo w szpitalu leży.

– Jak to w szpitalu?

– Ten Antoni to dupa nie Dziarkowski – prychnął. – Ktoś mu mordę wczoraj obił. W sumie, nie tylko mordę, bo i łapy mu połamał.

– Ale...? Wiadomo, kto to zrobił?

Mężczyzna wzruszył ramionami i nie wyciągając z ust papierosa, przeszedł do paki, by wyładowywać towar.

– Nie moja sprawa – stwierdził, wyciągnął pierwszą skrzynkę i rzucił na odchodne: – Poza tym dla mnie to lepiej. Lżejszą mam robotę.

Ania odprowadziła go wzrokiem, a potem oddaliła się szybko. Chciała zostać sama, żeby poukładać w głowie to, co przed momentem usłyszała.

„Obita twarz... Połamane ręce...” – powtórzyła i dotarło do niej, że bracia ją okłamali.

Musieli obić Dziarkowskiego naprawdę ostro, skoro trafił do szpitala. Zdała sobie sprawę, że jeśli się wyda, co zrobili, pójdą do więzienia. Przez nią... Oczami wyobraźni zobaczyła ich na przesłuchaniu, a potem za kratami. Widziała ich smutne, wychudzone twarze, podobne do tych, które umieszczano na rysunkach satyrycznych w gazetach. Wzdrygnęła się.

Nagle, kilkadziesiąt metrów dalej, dostrzegła Olka i Radka. O tej porze nie powinno ich tam być, mieli przecież pracę. A oni szli, jak gdyby nigdy



nic, i wyglądali na zupełnie spokojnych, a Olek nawet pogwizdywał. Pobiegła w ich stronę, czując narastającą złość.

– Co wyście mu zrobili? – wyrzuciła z siebie.

– O co ci chodzi? – Olek był zdziwiony.

Poczuła od niego alkohol.

– Pobiliście wczoraj Antka tak mocno, że wylądował w szpitalu. Może i zasłużył, ale za cholerę nie był tego wart! Wiecie, co wam za to grozi? Zamkną was! Ten występki już wam nie ujdzie na sucho! To poważna sprawa! To nie jakiś tam Szlomo Rubinstein albo Gutek Wątroba. To Dziarkowski!

– Ale myśmy go nawet nie dotkli!

– Akurat! Do szpitala by go nie wzięli, jakby tak było! Jest porządnie obity na twarzy i ma połamane ręce.

Bracia spojrzeli po sobie.

– Jak bym go teraz dorwał w swoje łapy, to bym mu prawdziwie mordę ochlastał i kulony połamał, ale wczoraj...? Wczoraj nie – stwierdził Olek.

– O czym ty mówisz, Anka? Jak to w szpitalu? – zapytał trzeźwo Radek.

– No tak! Tomek Gbór mi przed chwilą powiedział.

– Ale my naprawdę nic mu nie zrobiliśmy. Jak coś mu się stało, to nie z naszej ręki.

– To kto to zrobił? I dlaczego? Przecież nikt nie nastaje na Dziarkowskich.

– Powtarzam ci. Myśmy mu nic nie zrobili.

– Niestety – dodał Olek z niesmakiem.

– To jak? Sam se to wszystko zrobił?

Radek spojrział na Olka, a potem znowu na Anię. Pokręcił głową.

– Pewnie wdał się w jakąś bójkę – rzucił Olek. – Obili mu tę malowaną mordę. Wystarczy na niego spojrzeć i ręce same chodzą.

– Albo...

Bracia wyczekująco spojrzeli na siostrę.

– Albo stary Dziarkowski maczał w tym swoje paluchy. On byłby do tego zdolny. Swoją żonę przecież łał. Leje... A i Antek nieraz od niego obrywał i... – Ania pokiwała głową, jakby nagle ją olśniło. – On był wczoraj taki wściekły na Antka. Do tego pijany. To mógł być on... To mógł być on...

– Jeśli to rzeczywiście on... – Radek pokręcił głową. – To musi być ostro popieprzony. Pobić syna?

– Nie na darmo mówią na niego skurwysyn... – dodał Olek i siarczyście przeklął.

– Spróbuję się czegoś dowiedzieć, ale nie wiem od kogo. Antka przecież nie zapytam.

– Ja myślę! – Olek obruszył się. – Do tego ścierwa nawet nie podchodź.

Ania westchnęła.

– No dobra, tutaj niczego nie wymyślimy, ale dobrze byłoby się dowiedzieć. Nadstawcie uszu, co?

– Się rozumie.

– A tak w ogóle, co wy o tej porze tu robicie? Nie powinniście być w pracy?

– A ty?

– Węzyk mnie zwolnił.

– Przez Dziarkowskiego? – Na twarzy Radka pojawił się gniewny wyraz. Olek spurpurowiał. – Nas też wyrzucili z roboty.

– Co za skurwiel! – Olek splunął.

– Co prawda i tak mieliśmy szukać czegoś nowego, ale wylecieć z roboty a samemu odejść to zupełnie inna rzecz.

– Niepotrzebnie wam wczoraj powiedziałam... – westchnęła Ania. – Czułam, że coś złego się wydarzy...

– Byłbym na ciebie cholernie wściekły, gdybyś nam nie powiedziała. – Radek brzmiał śmiertelnie poważnie, a Olek pokiwał głową. – Jesteśmy twoimi starszymi braćmi! To nasz obowiązek, żeby cię chronić! Cokolwiek

by się działo, gdziekolwiek byś była, masz nam takie rzeczy gadać, rozumiesz?

\*\*\*

Nie chcieli mówić ojcu o utracie pracy, ale dowiedział się sam, a raczej uprzejmie doniosła mu Szusterowa, która niby mimochodem zagadnęła go, gdy zmierzał na autobus do Bydgoszczy. Wrócił do domu i czekał na swoje dzieci, a kiedy bliźniaki i Ania stanęli w progu, od razu wypalił:

– Które mi powie, o co poszło, że jednego dnia cała trójka wylądowała na bruku?

– To nie nasza wina – stwierdził odważnie Radek. – To wszystko przez Dziarkowskiego.

– A co tu niby Dziarkowski ma do rzeczy?

Radek spojrział na Olka, Olek na Anię, a Ania na Radka. Jan zrozumiał, że próbują coś ukryć.

– Do kuchni! – zarządził. – Wszyscy! Będzie jak na spowiedzi!

Radek wziął na siebie ciężar opowiedzenia całej historii, ale tak mocno się plątał, że ojciec w końcu huknął pięścią w stół.

– Nic z tego nie rozumiem! Kręcisz jak stary dziad we młynie. Już mi tu prawdę mówić!

– Ale to prawda. Myśmy nic nie zrobili, choć Bóg nam świadkiem, że chcieliśmy Antkowi ryj obić.

– I za to, że chcieliście, wszystkich was z roboty wywalili? – Pokręcił głową. – Już uwierzę!

– To przeze mnie – wyznała w końcu Ania i oszczędzając tacie szczegółów, opowiedziała o poprzednim dniu.

Kiedy skończyła, ojciec wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Pochwalił synów, że wzięli w obronę siostrę, a potem wygonił ich z kuchni i ocierając łzę z policzka, zapytał cicho:

– Czy on ci czego... No wiesz... Nie zrobił?

– Nie, skądże, papo – obruszyła się, bo nie chciała go martwić. – Niczego wielkiego nie zrobił.

– Co to znaczy „niczego wielkiego”?

Ania odsłoniła ranę na nodze i rozbite kolano. Ojciec najpierw zeszywniał, a potem ukląkł przy córce. Delikatnie ujął jej kolano i dwukrotnie pocałował.

Milczał, ale w jego wzroku dostrzegła wielką troskę, a zaszklone oczy mówiły o bólu. Wstał, podszedł do okna i oparł się o parapet, na którym stały doniczki z małymi żyworódkami.

– Na pewno niczego więcej?

– Nie.

– Pojadę do Dziarkowskiego załatwić sprawę.

– Nie ma mowy! – zaproponowała Ania zdecydowanie. – Nie zgadzam się. Nic się nie stało! Ale jak pojedziesz, to może się stać. Wystarczy, że Dziarkowski się zemścił na mnie, Radku i Olku. Ma jeszcze na tobie? Po co mu się podkładać? Może tylko na to czeka.

– Ale ja jestem twoim ojcem i muszę.

– Musisz dbać o dom, o rodzinę. A teraz tylko ty masz pracę. Chłopaki na pewno coś znajdą, ale mnie nikt nie weźmie. Potrzebujemy twoich pieniędzy, papo. Nie możesz jechać do Dziarkowskiego.

– Ale to godzi w mój honor, rozumiesz?

– A nie będzie godziło, kiedy w spizarni zrobi się pusto?

Racjonalność myślenia Ani przywołała u Jana wspomnienia o Justysi, ukochanej żonie, która zawsze potrafiła utemperować jego zapędy. Jan podszedł do córki, pocałował ją w czoło i przytulił do siebie.

– Kiedyś usłyszałem, że Anna znaczy pełna wdzięku i łaski, i od razu zapragnęłam, by moja córka tak właśnie miała na imię. I jesteś! – Pogładził córkę po włosach.

Trwali w tym uścisku krótką chwilę. Jan odwykł od okazywania uczuć. Lub nigdy do tego nie przywykł.

– Jak ta Szusterowa mnie zaczepiła, mówiła, że ma dobrą maślanekę –  
zmienił temat. – Zamówiłem kankę. Może byś po nią poszła? Ja mam  
trochę zaległej roboty, a teraz...

– Jasne. Już idę.

Ucałowała ojca w policzek i mocno ścisnęła jego dłoń.

– Jesteś najlepszym tatą.

## NIEDOPUSZCZALNE

Zmierzając w stronę domu Szusterowej, który znajdował się tuż za kościołem, rozmyślała. Najpierw o ojcu, jego łzach i uściskach. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz okazał jej tyle miłości. Potem o Antku.

Wydawało jej się, że zna go dobrze. Przecież przyjaźnili się od małego. W ciągu jednej doby zrozumiała, jak niewiele o nim wie. Na lekcji polskiego usłyszała kiedyś, że o ludziach wie się tyle, ile oni zechcą o sobie powiedzieć. Teraz pojęła sens tych słów. Myślała przecież, że Antek jest jej bliski, że łączy ich szkolna przyjaźń. Gdyby ktoś spytał o osoby, na które poza rodziną mogła liczyć, w ciemno postawiłaby na Antka. O, jakaż była naiwna!

Kiedy dotarła do rynku, odruchowo spojrzała w stronę ulicy Bydgoskiej. Pomyślała o restauracji, a przez chwilę i o tym, że chyba jednak nie będzie jej stać na nowe buty, które sobie wymarzyła. Na drugą parę cienkich pończoch, na nowe spinki wypatrzone na targu. Pomyślała też o Gustawie i o tym, że chciałaby, aby był obok niej albo aby zabrał ją gdzieś nad Wisłę i pomógł zapomnieć o koszmarze ostatniej doby.

U Szusterowej zasiedziała się chwilę, bo kobieta celowo zwlekała z wydaniem maślanki, dopóki nie zadała wszystkich nurtujących ją pytań.

– A czy Łabędziówna co o Dziarkowskim wie?

– A czemu mam wiedzieć? Coś się stało? – Ania udała niezorientowaną.

– A pewnie. I myślałam, że skoro wy tak z Antkiem blisko, to może w szpitalu była i wie, co o nim.

– W szpitalu? – zdziwiła się, a Szusterowa najwyraźniej złapała się na haczyk.

– Zabrali go, bo pobity, i to dość mocno. Łapy mu kto przetrącił. A to taki niewinny chłopiec, buźkę ma anielską, że nie widać po nim tych

dziewiętnastu lat, co to ma... – Ania poczuła, jak coś przewraca jej się w żołądku. – Wszyscy wiedzą, że... – Szusterowa ściszyła głos, acz w taki sposób, że siedzący w sąsiednim pokoju usłyszałyby ją bez trudu. – ...Że ady ze starego Dziarkowskiego kawał no... wiadomo czego i że jemu obicie mordy by się zdało za to całe pijaństwo, za te wszystkie burdy na mieście i świństwa, które żonie robi. Ma ich na koncie tyle, co tuzin zwykłych śmiertelników, a może i dziesięć tuzinów. Ale widocznie Bóg chciał za co Antka ukarać. Tylko za co? Co on takiego narobił? Mnie to najbardziej dręczy – trajkotała jak nakręcona – kto to mu zrobił, bo wie Łabędziówna... Takie rzeczy to dobrze wiedzieć. Nie żem ciekawa, ale... Człowiek by uważniej po chodniku szedł, a tak? Kto wie, czy za ścianą nie mam jakiego oprycha?

– Na pewno nie. Pani Kurpios to chodzące dobro. Ona by muchy nie skrzywdziła.

Szusterowa spochmurniała. Nie lubiła, kiedy ktoś miał inne zdanie niż ona.

– Kurpios to rzeczywiście nie, ale już ten Mączka... On to od zawsze był dla mnie podejrzany i zdolny do złych rzeczy. Uuu! – Kobieta mruknęła, podrapała się po szyi i podejrzliwie spojrzała na Anię. – Ale co to mnie Łabędziówna na spytce tak bierze? Nieładnie! Ja tam nie jestem żadną pospolitą plotkarą. Nie, nie! Płaci, bierze maślanekę i do domu idzie.

Ania uśmiechnęła się w duchu i grzecznie pożegnała przekupkę.

Zmierzała prosto w stronę domu. Minęła aptekę, przystanąła przy kobiecym więzieniu i jak zawsze przebiegła wzrokiem po wszystkich oknach, wypatrując naj słynniejszej więźniarki, Rity Gorgonowej. Ta kobieta była dla niej tyleż przerażająca, co ekscytująca. Nie, żeby chciała się z nią spotkać, żeby pragnęła z nią porozmawiać, ale pierwszy raz ktoś, kto był na ustach wszystkich Polaków, znajdował się na wyciągnięcie ręki i Ania marzyła, by przynajmniej raz zobaczyć ją na własne oczy. Żadnej ciemnowłosej kobiety jednak nie dojrzała.

Miała już skrócić w ulicę Piłsudskiego, kiedy postanowiła przejść się nad rzekę. Tam spojrzała na drugi brzeg i uśmiechnęła się na wspomnienie

spotkania z Gustawem. Przeszła przez most i usiadła na kamieniu. Wspomnienia trudów ostatnich godzin uleciały. Po prostu patrzyła przed siebie, na oblany słońcem drugi brzeg, z rzadka przejeżdżające samochody oraz furmanki, na ludzi, którzy z tobołami albo walizkami przemierzali most, i na dwa łabędzie pogrążone w miłosnym płąsie.

\*\*\*

Późnym popołudniem Radek zjawił się w jej pokoju z wiadomością od Gustawa.

– Czeka na ciebie za domem Krügerowej, przy starej szopie. Szukał cię, był w „Wiślanej” i chciał zajechać przed dom, ale odradziłem mu.

– Dobrze zrobiłeś. Papa w warsztacie, a nie chciałabym, żeby...

Brat porozumiewawczo ścisnął jej ramię. Uśmiechnęła się do niego w podziękowaniu.

– Wiem. Nie musisz mi tłumaczyć. A myślisz, że dlaczego podszedłem do niego? Stał w bramie na rynku i palił. Zbaraniałem, jak go zobaczyłem, bo wiesz... Nie spodziewałem się. Tam to najczęściej ten ochlapus, syn piekarza, wystaje, a nie taki elegant w kapeluszu...

– Masz rację.

Ania otworzyła szafę. Opuszkami palców przebiegła po rękawie swojej ulubionej niebieskiej sukienki w drobne szarotki. Chciałaby ją założyć, ale wiedziała, że jeszcze przez długi czas to czarna sukienka będzie jej towarzyszką. Szczerze jej nie cierpiała, bo ilekroć ją zakładała, niezasklepiona rana po stracie mamy rozwierała się ponownie.

– Najpierw zatrzymałem się na rogu – ciągnął Radek – i dobrze mu się przyjrzałem. No bo co on tam robił? Czego szukał? Rozglądał się, ludzi wzrokiem mierzył. Myślałem, że na ciebie czekał, ale nie. Czekał na takiego jednego z cegielni, co to na Szpitalnej<sup>[16]</sup> mieszka. Musi go znać, bo chwilę rozmawiali. Chyba jakiś interes załatwiali. Tak to wyglądało. Patrzyłem dalej za Gustawem, a on wprost do auta szedł. No to odważyłem się, zagadałem, a on mi wtedy po imieniu.



– Wy się znacie? – Odwróciła się od szafy, z nowymi pończochami w ręce. Była wyraźnie zaskoczona.

– Nie, nigdy z nim nie gadałem. Pamiętałbym przecież.

Ania lekko przekrzywiła głowę i potarła czoło.

– Gustaw jest bardzo spostrzegawczy. Może w „Wiślanej” cię widział. Mówiłam mu, że mam braci.

– Może. No, tak czy inaczej, kazałem mu poczekać na ciebie. Obiecałem, że zaraz przyjdiesz. Bo chcesz, co?

Chciała, a im dłużej brat o nim opowiadał, tym bardziej tego pragnęła.

Gustaw czekał dokładnie tam, gdzie mówił Radek. Wysokie krzewy tworzyły swoisty parawan dla szukających chwili spokoju od wścibskich oczu. Guderian stał i palił papierosa, ale kiedy tylko ją zobaczył, natychmiast wyrzucił peta i podszedł do niej. Na ułamek sekundy zastygli, jakby ważyli, co powinni zrobić, jakby zastanawiali się, czy na powitanie powinni skinąć głową, uśmiechnąć się, a może wymienić uścisk dłoni. Wybrali inną opcję. Rzucili się sobie w ramiona. Ania przywarła do Gustawa. Mężczyzna był nieco zdziwiony, ale nie pytał, tylko ją tulił, gładził po włosach.

– Co się stało, Anno?

Nie odpowiedziała, nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa. Ciśniej oplótła go ramionami wokół pasa.

– Szukałem cię w „Wiślanej”, ale Wężyk powiedział, że już nie pracujesz. Dlaczego? – Gustaw uniósł jej brodę i nakłonił, by spojrzała mu w oczy.

– Nie chcę o tym mówić... – Spuściła wzrok.

– Aaa... Chcesz tu stać czy wolisz gdzieś pojechać?

– Pojedźmy. Do lasu obok Jaruzyna. Tam jest ładnie.

– Gdzie tylko zechcesz.

Kiedy dojechali na miejsce, okazało się, że kręcą się tam drwale robiący przecinkę. Nie szukali towarzystwa, więc Gustaw zaproponował:

– Znam inne miejsce, ustronne, niedaleko.

Nie czekając na zgodę Ani, ruszył dalej.

Po kilku minutach zatrzymali się na podjeździe okazałego, ale opuszczonego dworku, otoczonego ze wszystkich stron starym lasem. Niszczą, a powyrywane okiennice, wybite szyby i zdemolowane wnętrza odstraszały. Co prawda drzwi wejściowe zostały zabezpieczone metalowymi sztachetami, ale dla szabrowników nie stanowiło to żadnej przeszkody.

– Znasz to miejsce? – zdziwiła się Ania.

– Yyy... W pewnym sensie – zawahał się, po czym dodał: – Jeden niemiecki przedsiębiorca zamierzał to kupić i... I radził się mnie. Chciał tu uruchomić hotel i restaurację.

– Trochę tu ponuro.

– Odrobinę. Ale nie mnie o tym decydować.

– Kiedyś mieszkali tu Rosenthalowie – stwierdziła Ania. – Ale zdarzyła im się tragedia, dzieci utonęły w Wiśle. A potem wszyscy nagle się wynieśli. Z dnia na dzień. Mało kto tu się zjawia.

– Czyli dla nas idealnie.

– Tak. Masz rację.

Kiedy wysiedli, Ania mocno wtuliła się w ramię Gustawa. Poszli wąską ścieżką w głąb parku. Było bardzo ciepło i tylko lekki wietrzyk muskał ich ciała.

– Tęskniłam.

– Ja też. Dużo o nas myślałem. O tym, co postanowiliśmy. I o twoim wyjeździe do Warszawy. Zrobiłem wstępne rozeznanie. Popytałem w biurze i chyba miałbym tam gdzie się zatrudnić. Byłbym przydatny z moją kiepską, ale jednak zawsze jakąś znajomością polskiego. Dostałbym mieszkanie służbowe w samym centrum miasta. Nie uda się tego załatwić od ręki, bo brakuje mi stażu, ale mój przełożony powiedział, że jeśli się uprę, to mogę starać się o przeniesienie od stycznia przyszłego roku.

– Byłoby wspaniale! A polskiego, jeśli tylko chcesz, mogę cię poduczyć.

Gustaw roześmiał się.

– Chętnie skorzystam, ale musisz wiedzieć, że do polskiego nie mam smykałki. To strasznie trudny język. Potrzeba ci będzie wiele cierpliwości.

– Chyba mnie trochę kokietujesz!

– Nie wierzysz? No to słuchaj.

Gustaw zaczął mówić po polsku, a Ania, najpierw poważna, po chwili śmiała się do rozpuku, słysząc, jak kaleczy końcówki i nieudolnie próbuje naśladować akcent.

– Widzisz? Nie będzie lekko.

– Ale skoro ja nauczyłam się niemieckiego, ty dasz sobie radę z polskim i zobaczysz, że za kilka miesięcy będziesz wprawniejszy.

– Wątpię, ale spróbuję.

– Ja będę cierpliwa, ty... – Ania urwała w pół zdania, bo potknęła się o wystający konar.

Gustaw instynktownie ją złapał. Nie upadła, ale syknęła, bo sucha gałąź zahaczyła o jeszcze nie do końca zabliznioną ranę, noszącą ślad bata Dziarkowskiego.

– Cholera! – Złapała się za łydkę.

– Boli? – Gustaw ukucnął.

Było ciemnawo. Drobne smugi zachodzącego słońca z trudem przebijały się przez gęste korony dębów, lip i klonów. Guderian wyciągnął z wewnętrznej kieszeni małą latarkę i poświecił na nogę Ani. Zobaczył ciemną pręgę.

– Co to jest? Co ci się stało?

– Nieważne. Już nie krwawi, ale jeszcze boli, jak dotykam.

– Wcale się nie dziwię, bo to duża rana. Na moje oko powinna być zszyta. Byłaś z tym u lekarza?

Spojrzała na Gustawa z politowaniem. Od razu zrozumiał, że nie.

– Powinien to obejrzeć. Czy zakażenia jakiegoś nie ma.

– Nie ma. Znam się na tym. Po prostu potrzeba czasu, żeby się na dobre zagoiło. Ślad po bacie pewnie zostanie ze mną na zawsze, ale...

– Po bacie? Po jakim bacie? – W Gustawie wzburzyła się krew.

– Nie chcę do tego wracać. To nie jest miłe wspomnienie.

Gustaw stanął naprzeciwko Anny i ujął ją za ramiona.

– Kto-ci-to-zrobił? – Starał się mówić spokojnie, ale targały nim emocje.

Annę przeraził bezwzględny ton Gustawa i jeszcze groźniejszy wyraz twarzy. Wyswobodziła się z jego uścisku i spojrzała na niego z wyrzutem.

– I tak go nie znasz.

– Stefan Dziarkowski? – zapytał, z trudnością wymawiając nazwisko.

Ania cofnęła się o krok.

– Skąd...? Skąd wiesz? Skąd znasz to nazwisko?

– Słyszałem o nim same złe rzeczy.

Ania uniosła brwi.

– Ty słyszałeś? O Dziarkowskim nie piszą przecież w gazetach. Jest zły, ale to nie żadna Gorgonowa, żeby obchodził dziennikarzy.

– Kiedyś widziałem go w urzędzie. Przyszedł na spotkanie, a do paska miał przymocowany bat. Nie wierzyłem własnym oczom, ale sekretarka wspomniała, że zawsze się z nim pojawia. Opowiedziała mi trochę na jego temat.

Ania pokiwała głową.

– Rozumiem. Dziarkowski nigdy nie doświadczył sprawiedliwości. Co ja mówię... Tutaj ludzie to w nim widzą wymiar sprawiedliwości, bo jeśli ktoś mu się sprzeciwia, jeśli staje po przeciwnej stronie, on go niszczy. Jesteś albo z Dziarkowskim, albo przeciw niemu.

– Powiedz mi, skąd ta blizna.

W kilku zdaniach opisała to, co wydarzyło się rzezonego wieczoru. Pragnęła powiedzieć Gustawowi również o złym dotyku Antoniego, o bluźnierstwach, jakimi obrzucił ją stary Dziarkowski, o lęku, jaki czuła, kiedy uciekała do domu, ale ugryzła się w język. Gustaw poznał tylko

ogólniki, bo szczegółów się wstydziła. Tak, wstydziła się tego, że okazała się naiwna, że zaufała Antkowi i dała mu się obezwładnić. Że pozwoliła mu dotykać miejsc, których nigdy nie powinien tknąć.

Guderian uważnie wysłuchał jej historii, a kiedy skończyła, nie krył wzburzenia.

– Powinien za to ponieść srogą karę – oświadczył.

– Wiem, ale nawet gdybym to zgłosiła, nic by się nie wydarzyło. Albo nie... Wydarzyłoby się wiele, lecz nie względem Dziarkowskiego, a mojej rodziny. Jestem przekonana, że policjanci siedzą mu w kieszeni i palcem nie kiwną, by uprzykrzyć mu życie. Za to on może uprzykrzyć je nam.

– Gdyby wsadzili go do więzienia, nie miałby jak.

– Za coś takiego nikt go do więzienia nie wsadzi. Bez świadków nie ma szans. Myślisz, że co by jego syn zeznał? – Wykrzywiła usta. – Że wariatka ze mnie albo gorzej, znacznie gorzej. Nie tak dawno pijany Dziarkowski stracił kontrolę nad samochodem i wjechał w jedną dziewczynę od nas, Manię Kwiatkowską. Szła z dzieckiem w wózku. Omal ich nie zabił. To była wyłącznie jego wina, ale wszystko na nią zrzucił. Rozbił samochód i wyobraź sobie, że zmusił rodzinę Mani, żeby zapłaciła za naprawę. Sprzedali ostatni kawałek ziemi – dodała z ciężkim westchnieniem. – Mnie zagroził, że zniszczy moją rodzinę, jak spróbuję powiedzieć cokolwiek na jego szkodę. Wiem, że potrafi... Dziś się o tym przekonałam.

Chciała dodać, że to on sprawił, że straciła pracę w „Wiślanej”, ale się powstrzymała. Gustaw jednak jakby czytał w jej myślach, bo natychmiast zapytał:

– To przez niego nie ma cię już w restauracji?

Pokiwała głową.

– To niedopuszczalne – stwierdził.

Łabędziówna roześmiała się gorzko.

– W życiu przytrafia się wiele niedopuszczalnych sytuacji, ale ono po prostu takie jest. Popatrz na nas. Ukrywamy się tu przed wszystkimi,

zamiast spacerować ulicami Fordonu. Dlaczego? Bo to, co nas łączy, jest niedopuszczalne.

Gustaw mocno przytulił Annę.

– To nie jest niedopuszczalne i jeszcze się o nas dowiedzą.

\*\*\*

Kiedy wsiedli do samochodu, Gustaw stwierdził:

– Mam pewne kontakty i obiecuję ci, że zrobię wszystko, żeby Stefan Dziarkowski przestał czuć się bezkarny.

– Jeśli to ci się uda, połowa Fordonu odetchnie.

– Czyli zasłużę sobie na pomnik? – rzucił czupurnie.

– U mnie na pewno.

## CORAZ WIĘCEJ, CORAZ CZĘŚCIEJ

Wieczorami po kolacji Ania wymykała się na randki z Gustawem. Czekwała na te spotkania, bo dzięki nim zapominała o samotności i mogła odetchnąć od obowiązków domowych, na których teraz koncentrował się każdy jej dzień. Ojciec całymi dniami przesiadywał w warsztacie, nadganiając zaległe zlecenia, a bracia poszli do pracy w cegielni. To była bodaj jedyna firma w mieście, w której Dziarkowski nie miał wpływów. O jego kłótni z właścicielem było głośno w całym Fordonie.

Ania i Gustaw spotykali się na skraju lasu, w pobliżu domu Łabędziów. Biegła tamtędy wąska dróżka, którą leśnicy przemierzali najwyżej raz na kwartał, kiedy sprawdzali stan pańników. Było to bezpieczne miejsce dla schadzek, ale mało romantyczne. Oboje woleli dwór Rosenthalów i to tam zdecydowanie najczęściej się udawali. Ania lubiła, kiedy Gustaw kierował, czuła się z nim bezpiecznie, jednak i jej marzyło się spróbować swoich sił za kółkiem.

– A jeździłaś już kiedyś? – zapytał.

– Nigdy, ale czuję, że będę w tym dobra – stwierdziła z ujmującą pewnością siebie. – Potrafię jeździć na rowerze. Z końmi też sobie daję radę.

Rozbawiła go tym stwierdzeniem.

– Ale jazda samochodem to ani jedno, ani drugie.

– To bez znaczenia. I tak wiem, że sobie poradzę.

Guderian cierpliwie objaśnił jej zasady ruszania, jazdy oraz hamowania i choć duszę miał na ramieniu, pozwolił jej zasiąść za kierownicą. Na początku nie szło jej najlepiej. Samochód gasł i dławił się, ale po kilku próbach Ania całkiem nieźle okiełznała mechanicznego rumaka, jak żartobliwie nazwała nobliwy automobil.

– Nie spodziewałem się – stwierdził z uznaniem Gustaw, kiedy patrzył, jak sobie radzi.

– Niby czego? Że jako kobieta mogę być takim dobrym kierowcą?

Zaperzył się nieco.

– Cóż, tak. Wprawdzie moja babcia też jeździ, ale rzadko, a trasy zna na pamięć. Niewiele widziałem kobiet, które w ogóle się tym interesują.

– Ha! Bo nigdy nie patrzyłeś we właściwą stronę, Gustawie! A ja tak! Kiedy w zeszłym roku w Bydgoszczy zobaczyłam za kierownicą Augustynę Konopkę, serce mi podskoczyło. Mistrzynie kierownicy! Nie mistrz, ale mistrzyni! Wiesz, ilu mężczyzn ograła? Ilu nosa utarła? – Cmoknęła z zachwytem. – Już wtedy wiedziałam, że i ja będę kiedyś jeździła samochodem. Bo przecież kobieta ma takie same prawa jak mężczyzna i może robić to samo, co on... – trajkotała radośnie, a on spoglądał na nią z podziwem, spijając słowa z jej ust.

Nie znał dotąd równie fascynującej kobiety jak ona, która tak by go zauroczyła. I pięknej, i ambitnej, i... wyzwolonej. Jego babcia Julia taka była, a on od małego patrzył w nią jak w obrazek. Nie w matkę, nie w siostrę ani żadną ciotkę, tylko w babcię.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? Coś nie tak? – Przetarła twarz dłonią, jakby chciała zetrzeć z niej niewidzialne smugi.

– Wszystko w najlepszym porządku, Anno. W najlepszym.

\*\*\*

Coraz trudniej było im się rozstawać, bo nie mogli się sobą nacieszyć. Na powitanie trwali w długim uścisku, celebrowali namiętny pocałunek, a potem rozmawiali. Tak naprawdę to Ania głównie mówiła. Gustaw słuchał, dopowiadał kilka słów lub zdań i po prostu był obok.

Lubiła to, jak patrzył na nią z zachwytem, jak czule dotykał jej dłoni i nadgarstków. Jak muskał rąbek sukienki i niby przypadkiem ześlizgiwał palce na łydkę. Albo jak poprawiał jej włosy, a potem opuszkami bardzo



delikatnie naznaczał jej szyję i obojczyk, sprawiając, że z podekscytowania zasychało jej w gardle.

Zadurzyła się w nim tak bardzo, że kiedy mimo zapowiedzi nie zjawiał się przez kilka dni, z tęsknoty nie mogła w nocy spać, a w dzień, tuż przed siedemnastą, wypatrywała go przez kuchenne okno. Bo Gustaw zawsze, kiedy mógł, zjawiał się koło siedemnastej. Przystawał na drodze i czekał, aż Ania mu się pokaże, a potem zmierzał na skraj lasu.

– Czego tak przez to okno ciągle spoglądasz? – zapytał raz ojciec, stając w drzwiach kuchni.

Oparł się ramieniem o futrynę, dokładnie tak samo, jak kiedyś, gdy próbował z daleka udobruchać żonę, jakby się bał podejść bliżej; komplementował ją wtedy, a Justyna z każdym jego słowem uśmiechała się coraz szerzej i mniej gniewała.

– Czekasz na kogo?

– A... Nie. Tak sobie patrzę – rzuciła niby od niechcienia, ale spłoszowała.

– Przecież widzę, że od jakiego czasu ty inna jesteś – drążył.

– Wiesz, dlaczego inna. Każdy z nas się zmienił po tym, jak mama...

– To nie to, bo nie o smutek po Justysi mi chodzi, ale... – Cmoknęła przeciągle. – Wiesz, co robisz i... z kim.

Anna zamrugwała kilka razy, udając niedowierzanie. Nie chciała kłamać, ale wiedziała też, że to nie jest dobry czas na wyjawienie ojcu prawdy. Postanowiła milczeć, a i Jan nie ciągnął tematu. Tym drobnym wtrętem dał jej jednak do zrozumienia, że nie jest tak mało spostrzegawczy, jak myślała.

– Dziś też idziesz na to haftowanie? – zagadnął.

– Nie, dziś chyba nie dam rady, papo. – Zmieszała się, bo każde wyjście na haftowanie było pretekstem do spotkań z Gustawem. – Dziś mam dużo pracy tu w obejściu. Będę zapiekała ziemniaki i peklowała mięso. Muszę umyć okna od ulicy. Ten kurz z drogi jest po prostu niemożliwy. A potem z Radkiem zrobimy porządek w kurniku.

Jan Łabędź podszedł do stołu, przejechał spracowaną dłonią po chropowatościach kraciastej ceraty, a potem odsunął krzesło i opadł na nie

ciężko.

– Przepraszam, że przeze mnie tyle musiałaś poświęcić. Że nie pojechałaś do tej Warszawy, bo... Bo to wszystko tu... Bo wszystko się pozmieniało. I teraz siedzisz i... okna myjesz, zamiast kończyć pierwszy rok szkoły pielęgniarstwa.

– To przecież nie twoja wina.

– Moja. Bałaś się o mnie, bo słaby byłem, jak nie chłop, co to jest głową rodziny. Powinienem był się lepiej postarać, wysłać cię do Warszawy na siłę. Żebyś przyszłość jaką miała.

– Ja mam przyszłość, papo – zapewniła go gorąco. – Przecież pójdę do szkoły w tym roku i zdobędę zawód! I jeszcze będziesz ze mnie dumny, kiedy z wyróżnieniem przyjadę. Może i w „Dzienniku Bydgoskim” o mnie napiszą!

– W „Dzienniku”?

– A tak! Coraz więcej się pisze o kobietach, bo coraz więcej ich w świat wychodzi. Ja też pójdę, papo. Zobaczysz!

Jan patrzył na córkę i zastanawiał się, dlaczego tak rzadko z nią rozmawiał, dlaczego ostatnimi laty nie znajdował czasu, by usiąść i po prostu z nią pogawędzić. Żeby zagadnąć czy posłuchać radosnego szczebiotu, którym potrafiła rozjaśnić najchmurniejsze oblicze. Potrafiła to robić i była w tym chyba jeszcze skuteczniejsza niż jego Justysia.

Jan poczuł, jak ze wzruszenia zaciska mu się gardło. Dla niepoznaki sięgnął po jabłko z koszyka. Było soczyste i kilka kropel soku pociekło mu po brodzie. Wytarł ją rękawem.

– Odwiedzisz mnie w Warszawie, papo? – wypaliła Ania. – Jak już się zadamowię? Wtedy ci wszystko pokażę. Na Starówkę razem pójdziemy i na wyścigi konne...

Jan pokiwał głową, bo nie potrafił wydobyć z siebie słowa.

– Papciu, a ty nie w warsztacie? – W kuchni nieoczekiwanie zjawił się Radek. Przywitał się z ojcem serdecznym klepieniem w plecy. – Szukałem cię, bo mam fuchę.

– Fuchę? – Jan spojrział na syna.

– Tralki Zdziśkowi obiecałem naprawić. Pomożesz?

Ojciec skończył jeść jabłko, wyrzucił ogonek, bo nauczony był zjadać je z pestkami, łuskami nawet, i ruszył w stronę drzwi. Zatrzymał się jednak w połowie drogi i rzucił okiem na córkę. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, bo nawet otworzył usta. W ostatniej chwili wycofał się jednak z tego zamiaru i po prostu wyszedł.

\*\*\*

W Gustawie najbardziej imponowało jej to, że był wyjątkowo delikatny. Nigdy nachalny. Całował namiętnie, fakt, ale miała pewność, że nie zdobyłby się na to, gdyby mu nie pozwoliła.

A pozwalala.

– Miałeś wiele kobiet? – zuchwale zapytała pewnego wieczoru, kiedy spacerowali po ich ulubionym Rosenthalowym parku.

– Hmm... Nie liczyłem, bo nigdy nie zależało mi na zdobywaniu kobiet. Ale... – Pokręcił głową. – Opowiem ci coś. W Marienwerder mam przyjaciela, właściwie kolegę, kompana do piwa. Uwe to prawdziwy kobieciarz. Podrywa kobietę za kobietą. Dla niego nie ma znaczenia kolor włosów. Raz spędza czas z blondynką, raz z brunetką. Zdarzają się także czerwonołose. Nie zakochuje się w nich, przynajmniej tak utrzymuje, ale za to rozkochuje je w sobie. Wychodzą z tego różne, czasem wesołe, a czasem całkiem dramatyczne sytuacje.

Ani zaświeciły się oczy.

– Dramatyczne?

– No wiesz... Niektóre z dziewczyn chciałyby mieć Uwe na wyłączność i na wieczność, a on... Nie dość, że zazwyczaj umawia się z kilkoma naraz, to jeszcze zmienia je jak rękawiczki.

– Skądś to znam. Moi bracia też tacy byli. I mój dziadek – skwitowała.

– Hmm...

– A ty? Też taki jesteś?

– A jak myślisz? – Gustaw ujął jej dłoń i pocałował, a potem uniósł brwi.

– Nie lubię, jak odpowiadasz pytaniem na pytanie.

– Jestem po prostu ciekaw, co o mnie myślisz.

– Gdybym wiedziała, nie pytałabym – stwierdziła zadziornie.

Pokiwał głową z podziwem, bo ubóstwiał jej riposty.

– Nie jestem. Nie zdarzyło mi się spotykać z kilkoma kobietami jednocześnie. To nie dla mnie. Poza tym, gdybym uczciwie miał policzyć dziewczyny... To znaczy kobiety, z którymi się spotykałem, byłoby ich raptem kilka. W porównaniu z Uwe wychodzę na słabeusza.

– To ile ich było na liście twojego kolegi?

– Niewiarygodnie dużo. Każdą zapisywał w notesie i rzecz jasna szczylił się tym notesem podczas męskich spotkań. Ostatnim razem miał tam bodaj czterdzieści dwa imiona.

– Ile? Czterdzieści dwa? Czy on ma na drugie imię Casanova?

– Jest przystojny, wygadany, dobrze ubrany... Nigdy tak o nim nie myślałem, ale Casanova pasuje idealnie. – Roześmiali się oboje. – Ale nie zawsze.

Gustaw opowiedział anegdotkę z wypadu z Uwe do Gdańska, kiedy to oporna na jego wdzięki blondwłosa Bernadette o bujnych kształtach odmówiła mu randki i jakby tego było mało, pchnęła go w nurt Motławy. Ania zanosila się śmiechem, bo Gustaw doskonale odegrał dramatyczną scenkę, celowo przerysowując zachowanie Uwe i okoliczności jego niedosłej randki.

\*\*\*

Każde spotkanie Ani i Gustawa było wyjątkowe, bo nigdy się sobą nie nudzili. To dla Ani oznaczało coś zupełnie nowego. Dotychczas na jej drodze nie pojawił się nikt równie intrygujący, zabawny i pociągający jak

Gustaw. Czasami też irytujący, ale Ania we wszystkim widziała dobre strony.

– A gdybym pewnego dnia zaproponował ci, żebyśmy uciekli gdzieś daleko od wszystkich i wszystkiego? I zaczęli nowe życie. Razem. Bez przeszłości... Zgodziłabyś się?

– Pytasz poważnie czy tylko żartujesz?

– Jak najbardziej poważnie.

– Nie. Nie zgodziłabym się. Nie mogłabym tak definitywnie zostawić taty ani braci. To moja rodzina.

– Ale wtedy... Wtedy ja byłbym twoją rodziną.

– Gustawie... – Przesunęła dłonią po włosach i choć uczesanie było perfekcyjne, zamarkowała, że je poprawia. Chciała dać sobie czas na odpowiedź, która by go nie skrzywdziła. – Nigdy nie chciałabym, aby doszło do takiej sytuacji, w której musiałabym wybierać pomiędzy tobą a moją rodziną.

– Przecież robisz to za każdym razem, kiedy się spotykamy. Wtedy wybierasz mnie.

– Wiem. – Zmarszczyła czoło i spuściła wzrok, wbijając go w czubki swoich pantofelków. – I to wcale mi nie służy. Wolałabym powiedzieć tacie o tobie. I Olkowi. Nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo się cieszę, że Radek o nas wie. Przynajmniej on... Dzięki temu jest mi dużo łatwiej.

– Ale kiedyś im powiesz?

– Chciałabym, żeby to „kiedyś” nastąpiło dziś lub jutro, ale wiesz, że na razie to niemożliwe.

## MANIA KWIATKOWSKA

Zmierzając na targ, Ania przystanąła przy „Wiślanej” i zerknęła z sentymentem na jej witrynę. Zatrudniła się tam wyłącznie dla pieniędzy, niemniej z czasem polubiła tę pracę. Może ze względu na Gustawa...

Przez szybę dostrzegła nieco przygarbioną sylwetkę Beniamina Wężyka. Jego chyba nigdy nie polubi. Gderliwy, złośliwy, przepełniony przedziwną niechęcią do pracujących u niego kobiet, zawsze przechadzał się między stolikami i uniżenie kłaniał klientom o grubych portfelach. Przylizana fryzura, którą nazbyt obficie traktował brylantyną, i ostry zapach taniej wody po goleniu były jego znakami rozpoznawczymi. Dziewczyny na zapleczu często śmiały się, że najpierw pojawia się zapach, potem brzuch, a na końcu sam Wężyk.

Teraz właściciel „Wiślanej” kłaniał się uniżenie dwóm nietutejszym mężczyznom, przyjmując zamówienie. Ania nie chciała, by ją zobaczył, by pomyślał, że przyszła po jakąś jałmużnę albo prosić o pracę, więc szybko ruszyła w stronę targu.

Nie zdążyła jednak tam dotrzeć, bo zatrzymał ją tłum ludzi i przedziwne poruszenie. Najczęściej podobne zbiegowisko towarzyszyło wystawianiu rzadko tu dostępnych materiałów z Łodzi, które zawsze budziły ekscytację fordonianek, a niekiedy powodowały ostre kłótnie. Z wodami perfumowanymi po okazyjnej cenie, które stary Izaak Blumstein przywoził ze stolicy, było podobnie. To poruszenie wyglądało jednak na coś innego. Ludzie byli przerażeni. Ania zbliżyła się do grupki kobiet stłoczonych wokół Szusterowej i nadstawiła uszu. Spodziewała się usłyszeć opowieść o niechcianej ciąży jakiejś fordonianki albo o romansie któregoś z lokalnych bogaczy z, jak to mawiała stara Szusterowa, „biedą zza rzeki”. Tymczasem usłyszała coś, co sprawiło, że naraz zrobiło jej się słabo

i poczuła, jak po karku i dalej, wzdłuż pleców, spływa jej strużka zimnego jak lód potu.

Zaczęła się przeciskać przez gęsty tłum kobiet. Jedna z drugą fuknęły niezadowolone, gdy szturchnęła je ramieniem, ale ona była uparta.

– Pani Szusterowa? To... To prawda? – zapytała, kiedy w końcu stanęła z nią twarzą w twarz.

– A co to myśli, że ja plotki sieję? – Oburzona Szusterowa złapała za końce chusty i zawiązała je sobie mocniej pod brodą. – Do plotek mnie daleko, ja ady prawdę mówię. Policjanty były, pytały, spisywały. Sama nie widziałam, jak Mania... No... – Pociągnęła nosem. – Pobiegłam na most czym prędzej. Pomóc chciałam. Zrobić coś, ale matka Mani z siostrami już ją ściągnęły. I lamentowały nad nią. A sina była, bidulka... – Pokręciła głową. – Szkoda gadać...

Jedna z kobiet pocieszycielsko poklepała Szusterową po plecach, inna podsunęła stołek, na który Szusterowa opadła ciężko, jakby właśnie skończyła jakąś tytaniczną pracę.

– Ale jak to? – Ania nie dawała za wygraną. – Co się dokładnie stało?

– A co to, nie słyszy? – zapytała żona piekarza. – Powiesiła się. Powiesiła.

– Mania?

– No ady mówię! – prychnęła Szusterowa. – Nie słyszy czy jak?

– Ale... Tak bez powodu?

– Jak to bez powodu? – obruszyła się tamta. – A bękart to nie dobry powód? A bieda? A głód?

Mimo wszystko Ania nie wierzyła, że Mania Kwiatkowska popełniła samobójstwo. Znała ją przecież. Rozmawiała z nią wiele razy. Najczęściej na targu. Mania nie narzekała na swoje życie, a już na pewno nie martwiła się nieślubnym Wacusiem! Uważała go przecież za największe dobro, jakie jej się trafiło. Przecież podczas tamtego wypadku z Dziarkowskim nie martwiła się o siebie, a o synka, chociaż małemu nic nie było, a ją całą połamało.

Ania postanowiła odwiedzić Kwiatkowskich. Późnym popołudniem, gdy ojciec uciał sobie drzemkę, wyszła z domu i pojechała rowerem prosto do domu Mani. Na podwórku, przed obskurną chatą za rzeką, dostrzegła Wiołę Kwiatkowską, młodszą siostrę Mani. Wiolka liczyła może piętnaście lat, ale wyglądała na starszą. Mówili, że na czas ciąży Mani zajęła miejsce siostry w bydgoskim burdelu. Miała duży biust, szerokie biodra i buźkę dziecka, a to ponoć podobało się wielu. Siedziała teraz na drewnianym zydlu i celowała kamieniami w błakające się po podwórku kury. Dostrzegłszy przybyszkę, przerwała swoje zajęcie, nie odezwała się jednak. Ania ukucnęła obok niej, wydlubała z ziemi kilka kamyczków i podała je dziewczynie na otwartej dłoni.

– Kurewskie życie... – burknęła Wioła.

– No.

– Nie dość, że mamy pod górkę, to jeszcze to.

– Przykro mi. Naprawdę.

– I co z tego. Dziś ci przykro, a jutro zapomnisz. Eee... – Cisnęła od niechcienia w koguta. Trafiła. Kogut zatrzepotał skrzydłami, zagadał i pognał na drugi koniec podwórka, płosząc już i tak zdenerwowane ptactwo. Pies, który dotąd leniwie przyglądał się przebiegowi wydarzeń, zerwał się na nogi. – Mieszkamy w dziurze, o nas nikt nie pamięta.

– Ja pamiętam. Przecież inaczej bym tu nie przyszła. I mogę wam pomagać, jeśli trzeba. Coś do jedzenia przynieść.

– Daj spokój. – Wioła wyrzuciła kamienie i otrzepała dłonie. – Wy to sami wiele nie macie.

– Mamy wystarczająco, żeby się podzielić.

Wioła spojrzała smutno na Anię, a potem utkwiała wzrok w lekko kołyszących się gałęziach sędziwej gruszy.

– Wiesz, że ojciec chciał dziś Wacusia do Wisły ciepnąć...? – powiedziała bez emocji.

Ania popatrzyła na dziewczynę. Na jej pobladłej twarzy dostrzegła drobny uśmiezek.



– Ale sam się do wody wpieprzył. Szarpałyśmy się z nim na brzegu. Wyrwałyśmy małego, a on się poślizgnął i... – mruknęła z nieskrywaną satysfakcją. – Kurwami rzucał, bo żadna mu ręki nie chciała podać. Matka dopiero. Nie pozwolimy Wacusia skrzywdzić. Wiesz, on to gęba do wykarmienia, fakt, ale to nasza, Kwiatkowska gęba. Ja tam bym wołała, żeby ojca szlag trafił. Chleje i bije. Nic więcej. A z Wacusia to może jeszcze ludzie będą. On słodki taki, cichy. Nawet nie zakwili. Ponoć po Mani... – Przeklęła pod nosem i spojrzała na Anię. – Papierosa dasz?

– Nie palę, ale... – Sięgnęła do torebki. – Miętówki mam, chcesz? – Wyciągnęła dłoń z cukierkami, a Wiola zgarnęła je wszystkie. Jedną od razu wsadziła sobie do ust, a resztę schowała do kieszeni. – Powiesz, co dokładnie się stało?

– A żeby to kto wiedział... – Dziewczyna roztarła oczy piąstkami niczym dziecko budzące się ze snu.

Musiała dużo płakać tamtego dnia, bo twarz miała opuchniętą i zupełnie pozbawioną ordynarnego makijażu, który zazwyczaj nosiła.

– Wczoraj wszystko było dobrze, normalnie. Doktor przyjechał ją zbadać i zdjąć ostatni gips. Pieniądzy nie wziął wcale.

– Który doktor?

– Naborow, a czemu?

– Nic. Tak tylko pytam. I co było dalej?

– Mania tak się cieszyła, że w końcu nie ma na sobie żadnego białego cholerstwa. Nie chciała iść z gipsem do sądu... – Ania drgnęła na sam dźwięk tego słowa. – Chciała ładnie wyglądać. To sąd w końcu, szacunek się należy. No i poszła na własnych nogach. Jeszcze ją z Wacusiem odprowadziłam do drogi... Była taka wesoła, zadowolona... No ale do sądu nie dotarła...

– A po co do tego sądu miała iść?

– Wezwali ją na świadka w sprawie Dziarkowskiego. Przyjechał tu taki elegancki gość i z nią rozmawiał o tej szumowinie, że niby mają go upieprzyć, bo dowodów nazbierali za kilka jego wypadków, pobić

i oszustw, i do więzienia go wyślą. Świadków szukali. Mania nie chciała, ale ten gość obiecał dobry pieniądz po sprawie. No to się zgodziła. Była zła na Dziarkowskiego, że Wacusia omal nie zabił i że kazał nam zapłacić za naprawę tego wraka. Przecież my już teraz poletka nijakiego nie mamy. Krowy nie ma gdzie wypasać... – Głośno przełknęła ślinę. – Mania miała do niego cierpliwość. Dobrze go znała, za dobrze. On przecież do niej przyłaził, jak się nachlał. Czasem codziennie tu był, nawet z rana, jak Mania dopiero wracała z roboty, zmęczona jak pierun. Zajeżdżał na podwórko i darł ryja, to szła do niego i robiła, co kazał... Po wszystkim płacił jej, ale... Rzucił grosze na ziemię, w błoto i czekał aż zbierze. Nigdy wcześniej nie odjechał. Skurwysyn... Ja bym mu odgryzła, jakby kiedy do mnie przyłazł, ale Mania była inna. Ona muchy by nie skrzywdziła – wyszeptała. – Ja ci powiem... – Spojrzała na Anię w sposób, który sprawił, że po plecach Łabędziówny przebiegł zimny dreszcz. – To ludzie Dziarkowskiego ją załatwili... Nie ma świadków, ale ja to wiem.

Z domu wytoczył się Kwiatkowski. Był pijany.

– Wiolka, do domu, bo gówniarz się obudził – wymamrotał. – Masz go... no... uciszyć albo... albo ja go...

Umilkł na widok Ani. Wiola bez słowa wstała i zniknęła za drzwiami.

– A ty mi stąd wypieprzaj! – Kwiatkowski splunął Ani pod nogi. – Żadnych sensacyj tu nie ma. Już. Won! Bo... bo psami poszczuję.

Pies jak na komendę zaczął ujadać i wyrywać się z łańcucha.

Ania szybko zniknęła z posesji, ale całą drogę powrotną myślała o Kwiatkowskich. O biednej Mani, o Wioli, o Wacku, który będzie się wychowywał sam, bez matki i ojca, bo Mania ponoć nikomu nie zdradziła, z kim w ciążę zaszła.

Ania zatrzymała się przy moście i rozejrzała dookoła. W głowie kotłowało jej się mnóstwo myśli, ale jedna z nich była głośniejsza od pozostałych: „Mania nie mogła popełnić samobójstwa. To niemożliwe... To sprawka Dziarkowskiego...”.

\*\*\*

Kiedy po południu zjawił się Gustaw, Ania opowiedziała mu o Mani, a on aż pobałdł.

– To niemożliwe – skwitował.

– Ale co?

– Po tym wszystkim, co opowiedziałś o Dziarkowskim, uruchomiłem kontakty, żeby dotrzymać danego ci słowa i zrobić z nim porządek. Dochodzenie ruszyło i wiem, że ktoś zjawił się u Kwiatkowskich, żeby jeszcze raz się w sprawie rozeznać. Jednocześnie wrócono do jakiejś innej sprawy Dziarkowskiego, o gwałt. Dziś miała się odbyć rozprawa. Byłem zdziwiony, kiedy dowiedziałem się, że ją odroczyli, ale nie dochodziłem, z jakiego powodu. Pomyślałem, że sędzia zaniemógł. Ostatnio chorował. A tu taka historia... – Potarł brodę. – Myślisz, że Dziarkowski przyłożył rękę do śmierci tej dziewczyny?

– Nie bezpośrednio. On raczej nie brudzi sobie rąk. Od tego ma ludzi. Ale uważam, że przyczynił się do śmierci Mani. Bo ona... Ona nie mogła się zabić. Nie zrobiłaby tego. Doktor Naborow też tak uważa. Poszłam do niego, bo badał ją wczoraj. Powiedział, że była w dobrej kondycji i nic nie wskazywało, że mogłaby się targnąć na własne życie. Mówił, że bardzo chciała iść do sądu złożyć zeznania.

Guderian wyraźnie się zdenerwował. Wsiadł z samochodu, zapalił papierosa i głęboko się zaciągnął. Ania patrzyła na niego zza szyby, aż w końcu sama też wysiadła. Oparła się o maskę samochodu i wyczekująco patrzyła na Gustawa.

– W takim razie zrobię to inaczej – stwierdził nagle.

– Czyli jak?

– Tak, żeby już nikogo nie skrzywdził.

– Chcesz go zabić? – wypaliła.

– Nie jestem mordercą. – W jego głosie pobrzmiwał przerażający chłód.

– Poza tym śmierć dla kogoś takiego jak Dziarkowski byłaby nagrodą. Ma dużo na sumieniu.

– I co z tego? Mam wrażenie, że jest nietykalny.

– Nie ma nietykalnych ludzi, uwierz mi.

Ania uwierzyła tydzień później, kiedy po Fordonie się rozeszło, że Dziarkowski został aresztowany.

– Capnęli go w Bydgoszczy, w burdelu. – Późnym wieczorem, po powrocie z Jaruzyna, Olek wpadł do domu z radosną nowiną. – Ponoć bez gaci był. – Zarechotał.

– Bądź cicho, ojca zbudzisz – fuknęła na niego Ania.

– On też musi się dowiedzieć. Toż to dobra nowina!

– On już wie. Cały Fordon aż huczy od plotek. Ze trzy wizyty od rana mieliśmy. Ludzie świętują co najmniej jak na Boże Ciało. Najchętniej by procesję jaką dziękczynną zorganizowali.

– I dobrze! Mam nadzieję, że go porządnie udupią i długo posiedzi. Ciekawe, co na niego mają.

Ania zastanawiała się nad tym od samego rana, od wizyty Krügerowej, która kilka minut po ósmej zjawiła się u Łabędziów z dobrą wiadomością. Anna nie przypuszczała, że stara koronkarka o niemieckich korzeniach tak bardzo nie cierpiała proniemieckiego Dziarkowskiego.

Rozważała, czy Gustaw maczał w tym palce albo raczej jak bardzo. Nie dawało jej to spokoju. Postanowiła zapytać go o tę sprawę, ale nie przyjechał następnego popołudnia. Pod kamieniem, na skraju lasu, tak jak byli umówieni, zostawił jej krótki liścik:

*Najdroższa.*

*Nie mogłem dziś zostać, ale nie omieszkałem wypatrzeć Cię na podwórku. Pięknie wyglądasz, nawet kiedy w dłoni, zamiast należnych kwiatów, trzymasz kosz z jabłkami.*

*Obiecuję wrócić za tydzień, może dziesięć dni. Tymczasem trzymaj się z dala od niebezpieczeństw.*

G.

Zjawił się dziesięć dni później i z tryumfalnym uśmiechem oświadczył:

– Dziarkowski trochę posiedzi. Wszystko na to wskazuje. Znaleźli się świadkowie i jakieś mocne dokumenty. Łatwo nie będzie, bo ma najlepszych adwokatów. To bogaty szczywany lis.

– Nie masz pojęcia, jak się ludzie w Fordonie cieszą, że go aresztowali, że jest od niego chwila oddechu. A skoro mówisz, że może zostać za kratami na dłużej, to... Będzie święto.

Guderian ujął zimne dłonie Ani i przez chwilę pocierał je, jakby chciał ogrzać, mimo że Ania nie skarżyła się na chłód w ten ciepły czerwcowy wieczór.

– Chciałbym cię stąd zabrać, mieć przy sobie – mówił powoli i podniośle, jakby dokonywał poważnego oświadczenia przed wysokim urzędem. – Wtedy byłbym pewien, że jesteś bezpieczna, ale skoro na razie nie mogę, to zrobię wszystko, żeby cię chronić. Wszystko...

„Nawet bym zabił” – pomyślał, ale zachował tę deklarację tylko dla siebie.

\*\*\*

Z długiego spaceru wracali okrężną drogą. Ania podekscytowana wieściami o Dziarkowskim wypytywała Gustawa o szczegóły sprawy, a gdy ten nie potrafił jej zbyt wielu zdradzić, wtuliła się w jego ramię i poprosiła, by kolejny raz opowiedział jej o Stettinie. W tej materii Guderian nigdy jej nie odmawiał, bo sam był pod urokiem zachodniego miasta. Malował więc w jej wyobraźni obraz bez skaz, idealny niemal, ze szpalerami urokliwych kamienic, budynkami miejskimi o istic światowej architekturze, kolistymi skrzyżowaniami tak licznymi, że przyjezdni kierowcy tracili głowę i gubili się w pajęczynie ulic.

– Parki są, biblioteki, teatry, kina, restauracje, szkoły, drogerie... Wszystko. Byłabyś zachwycona.

– Może kiedyś zobaczę je na własne oczy.

– Chciałbym.

Nieopodal samochodu Guderiana nieoczekiwanie dostrzegli światła innego samochodu, który zatrzymał się tuż obok czarnego opla. Gustaw porozumiewawczo spojrzął na Anię.

– To ktoś od was? – wyszeptał, ale ona pokręciła głową.

Było za ciemno, aby mogła to jednoznacznie stwierdzić. Dopiero kiedy usłyszała głos, nabrała pewności.

– To Antek Dziarkowski.

– Syn tamtego?

– Tak – potwierdziła natychmiast.

Stanęli za stosem suchych gałęzi i czekali na obrót wydarzeń.

Antek nie był sam. Towarzyszyła mu lichy ubrana dziewczyna. Warknęła na nią, a ona posłusznie zbliżyła się do niego. Dziarkowski oparł się o drzwi kierowcy, rozpiął spodnie i zmusił dziewczynę do klęknienia.

Gustaw natychmiast ruszył w ich stronę, gestem nakazując Ani pozostać w ukryciu.

– A panu, panie Dziarkowski, też tak spieszo do więzienia jak ojcu?

Tubalny głos Gustawa sprawił, że Antek odepchnął dziewczynę i szybko zapiął spodnie.

– Wynoś się stąd – syknął do niej po polsku, a potem po niemiecku, bardzo łagodnie, odezwał się do Guderiana: – A z kim mam przyjemność?

– Ważne, że ja wiem, z kim jej nie mam.

Antek stropił się.

– Te dziwki są zwodnicze – skwitował, okraszając to głupkowskim uśmiechem. – Stała pod lasem i weszła na mnie.

– Nie wydaje mi się, ale nie jestem drobiazgowy, nie obchodzi mnie to. Wjechał pan jednak na cudzą posesję. To nie jest miejsce publiczne i nie może pan tu być. Za to grożą paragrafy.

– Aaa! O to chodzi! – Antek wyraźnie się ucieszył. – Już stąd odjeżdżam. Za chwilę mnie tu nie będzie. – Lekko skłonił głowę, a potem nagle uniósł

ją gwałtownie, jakby doznał objawienia. – Ale skoro mnie tu nie wolno być, to co pan tu robi? – Spojrzał na tablice czarnego opla. – I to z tak daleka?

– Panie Dziarkowski, Antoni Dziarkowski, niech pana moje tablice nie interesują, tylko niech pan stąd zabiera swoje, bo spiszę je i podam Engelsteinowi, a wtedy nazwisko panu nie pomoże! O ile wiem, straciło na wadze, odkąd na pana ojcu ciąży oskarżenia. – Guderian zagrzmiął tak dobitnie i przerażająco, że Antek natychmiast odstąpił od dalszych dyskusji, zapuścił silnik i odjechał.

Po dłuższej chwili Ania stanęła u boku Gustawa.

– Nie podejrzewałam cię o taką stanowczość.

– W pracy spotykam różnych delikwentów. Muszę umieć się z nimi obchodzić również w taki sposób.

– Aż tak ostro?

– Bywa, że i ostrzej muszę, ale... Tylko wtedy, gdy sobie na to zasłużą.

## DWA ZŁOTE WIĘCEJ

Koniec roku szkolnego sprawił, że Jola miała więcej wolnego czasu i stała się częstszym gościem w Bydgoszczy u rodziców i w Fordonie u Łabędziów.

– Mówią, że jaki pierwszy rok w pracy, taka cała kariera – powiedziała do Ani, pomagając jej przy wekowaniu jabłek.

Czekała na powrót Olka z pracy w cegielni. Mieli później wybrać się na spacer nad Wisłę.

– To jaka będzie twoja?

– Szalona. Boże drogi! – Sięgnęła po papierówkę i ją ugryzła. – Moje koleżanki, które poszły do miejskich szkół, połowy sytuacji, których doświadczyłam w ciągu tego roku, nie zaznają w trakcie całej swojej kariery. Przecież ja musiałam tę szkołę postawić na nogi. Budynek naprawić, zdobyć meble i jeszcze o materiały szkolne zadbać.

– Nie mówiąc o tym, że mieszkałaś z dziećmi. I to różnymi. I na dodatek je karmiłaś.

Jolka westchnęła i uśmiechnęła się.

– Niedawno z Olkiem pojechaliśmy odwiedzić moje sierotki. Tę piątkę z Jaruzyna, której rodzice utonęli. Dobrze im tam, nie narzekają. Nawet Władzio. Ulżyło mi, bo ostatnio miałam koszmary i myślałam, że chodzi o coś z dziećmi.

– Widzisz? Niepotrzebnie się martwiłaś.

– Aaa... – Machnęła ręką. – Taka już jestem.

– Wiesz, teraz to koszmary wielu męczą. Czasy okropne się robią.

– Ludzie o wojnie coraz głośniejszą mówią, gotują się do walki. Ciągłe tylko słyszę, że jesteśmy silni, że mamy potężną armię, ale ojciec mi



powtarza, że to nieprawda. Że to tylko propaganda i jeśli dojdzie do wojny, to będzie kiepsko.

– Mój mówi to samo – Ania westchnęła – ale na tych swoich mowach patriotycznych utwierdza ludzi, że Polska nigdy nie była tak silna jak teraz.

– Mój też. Tylko w domu markotnieje, przy mamie, przy mnie i przy twoim ojcu. Boli go to, że nasze wojska są słabo uzbrojone, ale pociesza się, że duch walki jest cenniejszy niż skrzynki z nabojami. Dlatego ludzi, co tu dużo mówić, okłamuje.

– Bez ducha walki niczego nie zwojujemy, taka prawda. Czasami chodzę na te odczyty i widzę podniecone twarze ludzi. Pieśni patriotyczne śpiewają, wiersze recytują, całują flagę, a potem leżą na popijawy i chleją albo na potańcówki i też chleją. Albo wiwatują na zawodach sportowych. Te ostatnie, które mieliśmy w Fordonie... Mój ojciec za głowę się łapał, kiedy wyliczył, ile broni i amunicji można było kupić, zamiast organizować zawody na ponad tysiąc sportowców.

Ania otarła pot z czoła.

– Potrzebują normalności – skwitowała Jola. – Mnie samej nie w głowie tańce czy sport. Za dużo wiem i coraz bardziej się boję. A co, jak naprawdę ta wojna się zacznie?

– Musimy liczyć na to, że jednak się nie zacznie albo jeśli się zacznie, to szybko się skończy.

– Co się skończy? – Do kuchni wparował Olek, skuszony aromatem gotowanych jabłek.

Od razu podszedł do Joli, soczyście pocałował ją w usta i wyszeptał coś wstydliwego na ucho, bo zarumieniła się i pacnęła go w ramię. Olek roześmiał się i porwał z kosza papierówkę.

– To co się skończy? – powtórzył pytanie, wgrzyzając się w jabłko.

– Wtrącanie nosa w nie swoje sprawy, braciszku!

– Czyli że macie jakieś tajemnice, tak?

– Każda prawdziwa kobieta ma, Oluś, musi. Tak zostałyśmy stworzone.

– No ładnie. A mnie mówiłaś, że nie będziemy mieć przed sobą żadnych, ale to żadnych tajemnic. – Pocałował Jolę w koniuszek nosa i puścił do niej oko, a potem otaksował ją wzrokiem. Anię też. – No, no! Jakie wy do siebie podobne! I widzę, Joluś, że masz taką samą sukienkę, jak moja siostrzyczka.

Jola zrobiła radosną minę i przeciągnęła dłońmi po materiale.

– Dostałam od Ani w prezencie. Bez okazji.

Ania wzruszyła ramionami.

– Siostrze można i bez okazji – rzuciła wesoło, szczerze ciesząc się, że kupując kupon niebieskiego materiału w białe szarotki, zrobiła Joli tak wielką przyjemność. Od razu pomyślała, że kiedy skończy się żałoba, umówi się z nią na spacer i pójdą nań w identycznych sukienkach. – Ważne, żeby dobrze wyglądała.

– Jola wcale nie wygląda dobrze, tylko wspaniale. – Olek złapał narzeczoną w pasie i raz jeszcze pocałował.

Ania przyglądała im się z lekką zazdrością. Patrzyła na ich splecione dłonie i żarliwe pocałunki, których sobie nie szczędzili. I marzyła, by i ona doczekała chwili, kiedy Gustaw będzie mógł beztrósco przekroczyć próg ich domu, podejść do niej i pocałować ją w obecności Olka, Joli i przede wszystkim taty. Czy będzie jej to kiedykolwiek dane? Tego nie wiedziała. Nikt tego nie wiedział...

\*\*\*

Jakiś czas po aresztowaniu Dziarkowskiego w domu Łabędziów zjawił się Benjamin Wężyk i zaproponował Ani powrót do „Wiślanej”. Pracy w Fordonie było jak na lekarstwo, bezrobocie kwitło, a ludzie walczyli o fuchy, więc wizyta właściciela restauracji bardzo Anię zdziwiła.

– Chodzi o to, że... Ych... – Wężyk odchrząknął i nerwowo poskubał skórę przy paznokciu. – Mamy teraz dużo pracy. Ruch się zrobił, bo w „Dworcowej” remont. Potrzebuję jakiejś obrotnej, która się zna i której

nie będę musiał uczyć od nowa. Justyna znowu zaciężła, a dziewczucha, którą podesłała, to ćmyra, jakich mało. To jak?

– Chce mnie pan z powrotem – stwierdziła, obracając w dłoni butelkę likieru, który Wężyk (o dziwo!) przyniósł w prezencie.

– Tak – odparł zdecydowanie. Dumnie wydał usta i dodał: – Oferuję niezmienione warunki płacy, mimo że czasy gorsze.

– Ach tak. Zatem niestety. – Wzruszyła ramionami. – Nie mogę się zgodzić.

Jan Łabędź, który siedział z nimi przy stole, zrobił wielkie oczy.

– Jak to? – Wężyk wyglądał na nie mniej zdziwionego.

– No po prostu. Mam lepszą ofertę. Zaczynam w przyszłym tygodniu.

– Lepszą? O ile lepszą? – Na czoło Wężyka wystąpiły krople potu. Dłonie chyba również mu się spociły, bo wytarł je o spodnie.

– Nieważne. To dość duża różnica.

– Żądam... – rzucił ostro, a potem spokorniał, bo spojrzał na chmurne czoło Jana. – Yyy... Chciałbym jednak poznać tę różnicę.

– Dostanę dwa złote więcej.

– Ooo... – Trzykrotnie cmoknął, pokręcił głową, siąknął nosem i powiedział: – Tyle mogę dać.

– Nie liczyłam na to, panie Wężyk – zdziwiła się Ania. – Dwa złote więcej na tydzień?

– Na tydzień? Toż to zdzierstwo w biały dzień! Jakże na tydzień?! Na miesiąc, to ja rozumiem, ale nie na tydzień!

– Przykro mi, bo lubię pana, ale taką dostałam propozycję.

– Ciekawe od kogo? Kto tak szasta groszem?

– Nie mogę zdradzić. Tajemnica zawodowa, rozumie pan.

Wężyk ponownie cmoknął trzy razy, pokręcił głową i siąknął nosem.

– Niech stracę. – Wstał i wyciągnął rękę w stronę Ani. – Jutro masz się stawić w „Wiślanej”.

Kiedy wyszedł, ojciec od razu zapytał:

- Jaką ty se pracę znalazłaś?
- Żadnej, ale widziałam, że Węzykowi na mnie zależy.  
Jan roześmiał się.
- Oszukałaś tego cwaniaka?
- W dobrej wierze, papo. On na mnie nie straci, a my na nim zarobimy ciut więcej.

\*\*\*

Zaczęła tak, jak się umówili, następnego dnia. Błyskawicznie wszystko sobie przypomniała. Nie miała zresztą wyjścia, bo w restauracji rzeczywiście dużo się działo. Czuła się jednak spełniona znacznie bardziej, niż kiedy zajmowała się domem. Tam też nie leżała, cały czas miała coś do robienia, ale praca z ludźmi była tym, co dawało jej większą satysfakcję.

Jola zobowiązała się pomóc jej w obowiązkach domowych i bywała teraz często na Piłsudskiego, dzięki czemu Ania, która przeznaczala na pracę w „Wiślanej” kilka godzin tygodniowo więcej niż wcześniej, nie czuła wyrzutów sumienia. Tak samo jak podczas wieczornych spotkań z Gustawem.

Były one coraz rzadsze, bo Guderian ciągle przebywał na zachodzie, głównie w Stettinie. W mieście nad Odrą pracował tydzień, czasami dwa. Wracał na krótko, a potem znowu tam wyjeżdżał. W końcu oświadczył:

- Dostałem awans.
- O! Cudownie, Gustawie. Należało ci się. Poświęcasz się dla swojej pracy.

Gustaw uśmiechnął się kwaśno.

- Ale muszę na dobre przenieść się do Stettina.

Ania znieruchomiała. Tamtego dnia czuła, że Gustaw miał jej coś ważnego do powiedzenia, widziała to w jego oczach, ale myślała o zgoła innym wyznaniu.

- Jak to „na dobre”? Przecież i tak ciągle tam jesteś.

– Moi przełożeni uznali, że potrzebują mnie na miejscu, że nie mogę tak bez przerwy się przemieszczać. Mam zamieszkać w Stettinie. Dadzą mi samochód do dyspozycji i nowe, większe mieszkanie z wygodami.

– Zgodziłeś się?

– Nie mogłem odmówić.

– Oczywiście, że mogłeś. Mogłeś powiedzieć, że ten Stettin ci nie pasuje. Że to za daleko... Że...

– To tak nie działa – odparł spokojnie.

– A jak? Kiedy Węzyk przyszedł zaproponować mi pracę, musiałam się zgodzić. Nie ma innej możliwości. Bez mojej zgody nic by z tego nie wyszło. Przecież niewolnictwo to zamierzchłe czasy, które już nie wrócą! Nie można nikogo zmuszać do pracy ani do przenoszenia się do innego miasta. Gustawie!

– Postawili mi warunek. Skoro mam od stycznia przenieść się do Warszawy, teraz muszę się sprawdzić w Stettinie. Będę pracował na tym samym stanowisku, które potencjalnie dostałbym w waszej stolicy, a oni chcą mieć pewność, że dam sobie radę. Inaczej nie zezwolą na wyjazd do Warszawy. Wolałbym, żeby przenieśli mnie bliżej Fordonu albo żeby nie ruszali i zostawili w Marienwerder, ale cóż.

– Ale będziesz przyjeżdżał?

– Znacznie rzadziej niż dotychczas. Może raz na miesiąc. Nie pozwolą mi częściej. Ale będę pisał. Dużo.

Westchnęła ciężko.

– Nie gniewaj się. Moja przeprowadzka niczego przecież nie zmieni.

– Chciałabym, żeby tak było.

Ania знаła pary, które mimo wielkiej miłości rozchodziły się przez dzielącą je odległość. On wyjeżdżał do pracy, ona zostawała na miejscu. Na początku wszystko układało się dobrze, on przyjeżdżał, słał listy. Z czasem zapominał, zakochiwał się w nowej, zostawiał „starą”. Nie chciała tak.

– Będzie. Ja to czuję.

Ania z wyrzutem spojrzała na Gustawa.

– Skąd masz taką pewność? Skąd?

Kąciaki jego ust drgnęły. Ujął dłoń Ani.

– Bo nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie, panno Anno Łabędziówno – powiedział idealną polszczyzną.

Z jej oczu pociekły łzy. Nigdy wcześniej nie wyznał jej miłości po polsku.

– Ja też cię kocham, Gustawie – odwzajemniła wyznanie w swoim ojczystym języku.

Gustaw długo trzymał przy ustach jej dłoń, jakby chciał na nieco spracowanej skórze zachować odcisk swoich warg albo zapamiętać smak jej skóry. Potem, nie puszczać jej ręki, ukląkł. Nie zważał na to, że żółtawa glina zostawi ślad na jego eleganckich, świeżo wyprasowanych spodniach.

– Wiem o wyprawdzie nie od dziś i długo nad nią myślałem. Nad nami myślałem. Ta rozłąka... Chciałbym, aby ona niczego nie zmieniła, ale... – Spojrzał jej głęboko w oczy. – Aniu, czy zgodzisz się zostać moją żoną?

Ania wysunęła dłoń z uścisku klęczącego przed nią mężczyzny.

– Gustawie... – wyszeptła. – Gustawie... Przepraszam, ale... Nie mogę. Chciałabym bardzo, bardzo, ale nie mogę. Musiałabym zostawić wszystko i wszystkich, i wyjechać z tobą do tego... Stettina. A to bardzo daleko od domu, od taty, braci, od mojego życia. Tam, w Stettinie, byłabym sama, bez nikogo...

Gustaw wstał. Nie krył zaskoczenia, ale nie był oburzony. Co innego rozczarowanie. Tak, był rozczarowany.

– Nie byłabyś sama, tylko ze mną.

Anna wzięła jego dłoń i przyłożyła do policzka.

– Kocham cię... Kocham, kocham! Uwierz mi, Gustawie, chciałabym uciec z tobą, dokądkolwiek byś pragnął. Na koniec świata nawet. I być tam z tobą, budzić się wtulona w twoje ramię o poranku i kłaść spać przy twym boku o zmierzchu. Tańczyć na wielkiej sali, nie bacząc na spojrzenia innych, nie bojąc się słów żadnych ani pomówień. Śmiać się głośno

podczas spaceru, trzymać cię za rękę w kinie, a w teatrze podczas antraktu razem pić wino. Chciałabym po prostu z tobą być. Ale... Nie mogę teraz zgodzić się na Stettin, na zostawienie rodziny, kiedy mnie potrzebuje, na złamanie ojcu serca. Obiecałam mamie, że się nim zajmę, i muszę tej obietnicy dotrzymać.

Gustaw pokiwał głową.

– A gdybym powiedział, że poczekam tyle, ile będziesz potrzebowała? Że cierpliwie wyczekam chwili, w której powiesz „tak”.

– Nie mogłabym tego od ciebie oczekiwać, Gustawie. To zbyt wiele.

– Ale ja nie proszę cię o pozwolenie. Po prostu chciałbym poczekać, aż wydarzy się coś, co sprawi, że się zgodzisz.

– A jeśli potrwa to nie pół roku, a dłużej? Znacznie dłużej?

– Poczekaam.

– A więc dobrze, Gustawie. Na to możemy się umówić.

Ujął jej twarz w obie dłonie, a ona poczuła się tak błogo, jak nigdy dotąd. Zamknęła oczy i się uśmiechnęła. Gustaw pocałował najpierw prawy kącik jej ust, potem lewy, a na końcu zbliżył swoje wargi do jej warg i wyszeptał:

– Wszystko, bylebyś była moja.

\*\*\*

Wieczór należał do tych, o których pamięta się długo, być może do końca swoich dni. Bo jak można zapomnieć o chwilach utkanych z pożądania, nadziei i miłości, w których zakochani naznaczają spragnione ciała dotykiem tak niepewnym i czułym zarazem, że pod każdym muśnięciem drży ciało, a każdy pocałunek rodzi westchnienie rozkoszy?

Pierwszy, wspólny raz. Niezapomniany.

## LIPCOWE POPOŁUDNIA, SIERPNIOWE WIECZORY

Myślała, że pierwsze dni bez Gustawa będą się ciągnęły w nieskończoność, że tęsknota da jej się we znaki, ale wcale tak nie było. Tyle się działo, że czasami kładła się spać z wyrzutami sumienia, kiedy zdawała sobie sprawę, że z całego dnia oddawała Gustawowi zaledwie kwadrans.

– Salomon zapłacił dziś za regał. – Ojciec skinął głową na pieniądze leżące na kredensie. – Nareszcie! Bo już miałem iść do tego Żyda.

– Papo, u wielu teraz krucho z gotówką. Bez pracy siedzą, a niektórzy puciekali do rodzin.

– I dobrze! Mniej Żydów i Niemców to mniej problemów.

W obecności Ani Jan Łabędź rzadko już psioczył na obce narody, zapewne z braku czasu, lecz przy każdej nadarzającej się okazji jasno wyrażał swoją niechęć. Nigdy jednak nie odmawiał wykonania dla nich stołu, szafki czy krzesła, choć nie omieszkiał zażądać wyższego wynagrodzenia, niżby wziął od rodaków. Obecnie najczęściej zlecano mu naprawy okien i drzwi. Robili to i Żydzi, i Niemcy. Wszystko przez narodowców, którzy dopuszczali się aktów wandalizmu.

\*\*\*

Na jedną z lipcowych niedziel Olek z Jolą zaprosili wszystkich na rodzinny obiad. W Jaruzynie zjawili się Pietrankowie i Łabędziowie, podejrzewając, że usłyszą zaproszenie na ślub.

Józefina już pogodziła się z tym, że jej córka wybrała dzikusa z małego miasta, jak zwykła określać Olka.

– Oby tylko dzieci poszły w jej ślady, a nie w jego – powiedziała do męża, kiedy zmierzali do Jaruzyna.



– Daj spokój, kochanie. Olek to porządny chłopak. Pracowity i szczerzy. Znacznie lepszy od niejednego inteligenta, który rozmarzony skleca wiersze i nie ma co do portfela dołożyć. Zobacz, ile Olek Joli pomógł w tym Jaruzynie.

– Nie musiałby, gdyby została w mieście.

– Racja, ale wybrała wieś i... I nie wracajmy już do tego, bo doskonale wiesz, że podjęła bardzo dobrą decyzję. Takich mężnych kobiet nauczycielek nam trzeba, by język polski nie zanikł.

– Wiem, ale nigdy nie chciałam, by była nią moja córka, Ryszardzie! Całe życie planowałam dla niej coś innego.

– I po co, kochanie?

Józefina cicho zapłakała.

– No, już. – Mąż poklepał ją po ręce. – Przecież Jola nie zniknęła. Mieszka niedaleko nas. Summa summarum, to mamy szczęście, że jest tak blisko, bo mogła jej się trafić jakaś podkrakowska wieś.

Józefina nieco teatralnie zanosła się płaczem, choć nie uroniła ani łzy.

– Nawet mi o tym nie mów! Nie chcę tego słyszeć. Tego bym nie zniosła. Umarłabym. – Zmarkotniała.

Rozpromieniła się dopiero, gdy zajechali na podwórko w Jaruzynie i zobaczyła Jana. Wskoczyła z samochodu i nie czekając na męża, pospieszyła w jego stronę. A Jan, zachowując się jak człowiek wysoko urodzony, uklonił się, lecz nie za nisko, ujął drobną dłoń Józefiny i ucałował. Potem zaś skierował pod jej adresem sznur komplementów w języku francuskim, na które Józefina zareagowała skąpym rumieńcem.

Podczas obiadu cała rodzina siedziała jak na szpilkach, bo wszyscy czuli, że coś jest na rzeczy. Radek pospieszał Olka, mało dyskretnie kopiąc brata pod stołem, ale ten zwlekał, jak mógł. Dopiero po drugim daniu, kiedy Jola z Anią zebrały naczynia, wstał, odchrząknął i przemówił:

– To by było tak, że... My tu z Jolą... Z Jolantą... My dobrze żyjemy i w zgodzie... – Nie mógł się wysławić i stał sztywno, jakby kij połknął

albo jakby go piaskowy wąż pokąsał i jadem ciało usztywnił. – I narzeczeństwem już jesteśmy... Ile to Jolu będzie? Sześć miesięcy?

– Siedem, Olku. Siedem – poprawiła go Jola.

– No właśnie. Siedem miesięcy. – Wziął głęboki wdech i na jednym wydechu oświadczył: – Zaszczyt mi przypadł poinformować was, że wspólnie z Jolantą Apolonią Pietranek postanowiliśmy się pobrać, by przed urzędem i przed Bogiem nie ukrywać twarzy i dumnie świadczyć o chwalebności związku małżeńskiego.

Zapadła cisza. Jola wstała i podała narzeczonemu dłoń, a ten spojrzał na nią, jakby nie wiedział, co powinien zrobić. Najwyraźniej jeszcze był w szoku po własnym oświadczeniu. Wyrecytowanie wyuczonej formułki kosztowało go sporo nerwów.

– Ale żeś powiedział! – Radek odezwał się jako pierwszy. Podszedł do brata i przyszłej bratowej i pogratulował im.

Po nim to samo zrobili pozostali członkowie rodziny. Józefina na końcu, bez wylewności, ale spokojnie i uprzejmie.

– Uszanujemy rok żałoby po odejściu mamy i weźmiemy ślub w październiku – powiedział Olek, kiedy z powrotem usiedli do stołu.

– Justysia nie kazałaby czekać do października, więc nie musicie ulegać konwenansom – rzekł Jan.

– Ale chcemy – odezwała się Jola. – Nigdzie nam się nie spieszy, a i do października niedaleko.

– Czyli to nie jest żadna paląca sprawa? – dopytała Józefina.

– Jeśli miłość to paląca sprawa, mamó, to tak. Jest to paląca sprawa.

Józefinie nie o to chodziło, ale pokiwała głową i już nie drążyła tematu, choć Bóg jej świadkiem, że chciała, że pragnęła zadać swej jedynaczce pytanie o to, czy nie nosi w swym łonie dziecka. Jan na szczęście od razu zajął ją rozmową, słusznie wyczuwając narastające napięcie.

Zmierzchało, kiedy kończyli biesiadować. Jan bardzo uroczyście wzniósł ostatni toast.

– Powiem wam, drogie dzieci, że od dawna nie czułem tak wielkiej radości jak dziś, słysząc wiadomość o zaślubinach. Nasze spotkanie to dowód na to, że mimo zewnętrznych niepokojów w ludziach nadal drzemie radość, miłość i nadzieja. – Mówił podniosłym głosem, dokładnie tak jak czynił to na patriotycznych odczytach. – Wprawdzie czasy są niepewne, co odczuwamy każdego dnia, a informacje, które do nas trafiają, opływają kłamstwem, to dla takich chwil, jak dzisiejsza, warto żyć! – Uniósł kieliszek. – Na zdrowie, kochani! Obyśmy przywitani październik bez lęku i w pokoju, i byśmy potrafili się radować na waszym weselu!

\*\*\*

Dwa tygodnie później spotkali się ponownie, ale tym razem to Jan zaprosił wszystkich do fordońskiego domu na popołudniową kawę i ciasto. Józefina przywiozła, jak miała w zwyczaju, francuskie makaroniki, które zdobywała z niewiadomego źródła.

Do tego spotkania Jan szykował się bardzo długo. Wiedział, że kiedyś ono nastąpi, i choć jego serce cierpiało, musiał do niego doprowadzić.

– Kiedy moja najdroższa żona, Justysia, nieoczekiwanie i całkowicie niepotrzebnie odchodziła z tego świata, poleciła mi zrobić jedną rzecz – mówić powoli, jakby słowa sprawiały mu ból. – Z naszych obrączek, pierścionka zaręczynowego oraz zerwanego łańcuszka kazała przygotować obrączki ślubne dla naszych dzieci i ich małżonków. I dziś... – Wyciągnął małe pudełko i podał je Joli. – Chciałem wam podarować dwie pierwsze obrączki i życzyć, by przyniosły wam tyle szczęścia w miłości, ile przyniosły mnie i Justysi.

Z oczu Jana popłynęły łzy. Natychmiast otarł je wierzchem dłoni. Jola podeszła do przyszłego teścia, podziękowała skinieniem głowy, bo żadne słowa nie chciały przejść jej przez gardło, i mocno się do niego przytuliła. Olek po chwili zrobił to samo i stali tak we trójkę w dziwnym splocie, który wzbudził wzruszenie we wszystkich, również w Józefinie, która pod pozorem znalezienia czegoś w torebce odwróciła wzrok.

## ŻDŹBŁO TRAWY

Ania wychodziła z pracy w doskonałym humorze. Przy starej szopie Krügerowej czekał na nią Gustaw. Dostała od niego wiadomość i jak na skrzydłach pędziła w tamtą stronę.

Na rynku dostrzegła dawno niewidzianego Antka Dziarkowskiego. Miał się dobrze. Stał w bramie i palił papierosa. Pomachał do niej, jakby nadal się przyjaźnili, i ruszył w jej kierunku. Anię zmroziło na jego widok, a może nawet odrzuciło. Miała pewność, że nie chce mieć z nim do czynienia.

Przyspieszyła kroku, nawet namacała w torebce kozik, który podarował jej brat. Słyszała za plecami nawoływania Antka, ale nie miała najmniejszego zamiaru się odwrócić.

W końcu usłyszała jego ciężkie kroki. Biegł. Odwróciła się, a gdy zobaczyła na jego twarzy uśmiech, poczuła mdłości.

– Nie zbliżaj się do mnie, tyyy...! – wydarła się tak głośno, że idąca drugą stroną ulicy kobieta z dzieckiem zasłoniła chłopczykowi uszy.

– Anka, daj spokój. Nie ciskaj się. Co było, to było – odparł lekkim tonem.

– Lepiej zejź mi z oczu, bo ja nigdy ci nie wybaczę tego, co chciałeś mi zrobić.

– Zmieniłem się. Inny jestem. Pogódźmy się.

– Nigdy! Nienawidzę cię i nie chcę cię znać, rozumiesz?

– A nasza przeszłość? Ona się nie liczy?

Jakiś pies zaczął ujadać zaciekle zza bramy.

– Nigdy nic nas nie łączyło! I nigdy nie będzie!

Antek zrobił kolejny krok w jej stronę. Wydawał się obrzydliwie pewny siebie.

– Nie podchodź! Rozumiesz? Idę do domu i nie chcę, żebyś za mną łazł.

– I myślisz – teraz brzmiał już zupełnie inaczej – że obchodzi mnie, co chcesz, a czego nie? – Splunął pod jej nogi.

– To po co za mną łazisz?

– Bo chciałem ci powiedzieć, że cię widziałem...

– No i...?

– Widziałem cię, jak ślinisz się do tego bogatego Niemca. – Nagle zaschło jej w gardle. – Widziałem. I jak mi się zachce, powiem, komu trzeba!

– Co?

– Powiem, komu trzeba – powtórzyl.

– Nikomu nie powiesz! – usłyszeli czyjś gniewny głos.

Z bocznej uliczki nagle wyłonił się Gustaw. Otaksował Antka wzrokiem, i to tak kąśliwie, że Dziarkowski jakby zmałał. Gustaw złapał go za ramię, mocno ścisnął i pociągnął w uliczkę. Tamten zaskowyczał jak zraniony zwierz.

– Nie powiesz, a co więcej, zapomnisz o tym – jego polski z mocnym niemieckim akcentem brzmiał przerażająco – że kiedykolwiek widziałeś mnie z Anną. Jeśli jednak uparcie byś pamiętał, wyciągnę dokumenty dotyczące twojego udziału w rzekomym samobójstwie Marii Kwiatkowskiej i postaram się, by zamknęli cię w najcięższym więzieniu w okolicy.

– Kłamiesz! Nie ma żadnych dokumentów! – Antek roześmiał się, ale jakby na siłę, i natychmiast zgasł, kiedy Gustaw jeszcze mocniej wbił palce w jego ramię.

– Są. I lepiej żebyś w to uwierzył.

– Kiedy ona się powiesiła, nie było mnie nawet w mieście – parsknął.

– W aktach stoi inaczej. – Spokój bijący od Gustawa wzbudził w Antku niepewność.

– Nie wierzę. Nikt mnie przecież nie przesłuchiwał.

– Jeszcze. Sprawa jest rozwojowa.

– Jaka?

– W toku. Obaj wiemy, że to nie było samobójstwo, a zabójstwo.

Ania wpatrywała się w tę scenę z lekko rozchylonymi ustami. Rozmowa, której stała się świadkiem, była taka irracjonalna, niemożliwa. Dziewczyna miała wrażenie, jakby oglądała film.

– Więc jak, Dziarkowski?

Antek tępo wgapiał się w Niemca.

– No? – ponaglił go Guderian.

– Nic nie widziałem.

– Na pewno?

Antek skinął głową, a Gustaw zwolnił uścisk. Dziarkowski natychmiast oddalił się i już się nie odwrócił.

Ania podeszła do Gustawa.

– Naprawdę są jakieś dowody? – zapytała z nadzieją.

– Nie mam pojęcia, ale po jego minie wnioskuję, że mógł maczać w tym palce.

– Blefowałeś...?

– Tak. Przecież nie zajmuję się... takimi sprawami. Ale mam kolegów w policji. Tych, którzy wpakowali Stefana Dziarkowskiego za kraty. Muszę im podsunąć nowy trop.

– Czyli nie dotrzymasz złożonej obietnicy?

– Względem takiego typa jak on? Nigdy.

– A jeśli Antek powie komuś o nas?

– Nie powie. Zadbam o to.

\*\*\*

Ania nie mogła się pozbierać po konfrontacji z Antkiem. Jej ciałem targały dreszcze i dopiero bezpieczne ramię Gustawa pomogło. Zabrał ją nad Wisłę

i w ustronnym miejscu rozłożył koc.

– Ja już chyba chcę wyjechać do Warszawy – powiedziała, tuląc głowę do jego piersi. – Tam nikt mnie nie zna i nikt nie zna ciebie. Tam będziemy bezpieczni.

– Tak, ale... Nie wiem, czy w ogóle będziesz mogła wyjechać, Aniu.

– Dlaczego? Wszystko mam załatwione. I przyznali mi stypendium.

– Aniu – zwrócił się do niej, tak by mogli patrzeć sobie w oczy – wojna jest o krok i nie mam pojęcia, jak to będzie.

Napięcie, które dopiero co opuściło jej ciało, powróciło dwukrotnie silniejsze.

– Jeśli ta wojna wybuchnie, jeśli ona nastąpi, to ty i ja... To my... będziemy po przeciwnych stronach.

– Wiem. – Pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Myślałam o tym... – stwierdziła smutno. – Rozważałam, analizowałam, bo... bo przecież ja kocham swój kraj i nie wolno mi kochać jego wroga. Nie wolno, ale... kocham.

Spojrzał znów na nią. W jego oczach pojawiły się iskry nadziei.

– Czuję to samo. To dziwne, Aniu. To bardzo dziwne. Wokół mnie w Stettinie są sami naziści. Oni tak bardzo nienawidzą Polaków! I Żydów. Gardzą wami, a ja? Gdyby dowiedzieli się, że kocham Polkę i że jeśli ona wyraziłaby zgodę, wziąłbym ją za żonę, zabiliby mnie. To pewne.

– Ze mną byłoby to samo. Ojciec na pewno by mnie przepędził, a inni...?

Gustaw pocałował Anię w dłoń. Raz, drugi i trzeci, a potem spojrzał w jej ufne oczy i zobaczył całkowite oddanie i miłość. Zanurzył się w jej ustach, palcami naznaczał szyję i dekolt, a potem zrobił to samo wargami. Kiedy dotknął nimi jej jędrnych piersi, cichutko jęknęła, złapała go za głowę i nie wahając się, skierowała ją w stronę podbrzusza. A potem kochali się żarliwie.

Kiedy po wszystkim tulili się do siebie, Ania spojrzała w ciemniejące niebo, na którym już pojawił się księżycowy rogal. Jego towarzyszki

migotały jak każdego bezchmurnego dnia. Wiślane fale odgrywały rytmiczną melodię. Ania usiadła na kocu i spojrzała na ukochanego.

– Ślubuję ci miłość, wierność i uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Gustaw podniósł się i przez chwilę nie odrywał od niej wzroku, a potem powtórzył jej słowa, ale nie bez trudu.

– Ślubuję ci miłość, wierność i usz... Uczciwość małżeńską oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

Z oczu Ani popłynęły łzy.

Gustaw zerwał źdźbło trawy i owinął je wokół palca serdecznego Ani. Ona zrobiła to samo. A potem... Potem ponownie się kochali.

\*\*\*

Końcówka sierpnia była dla Ani najgorszym czasem, bo wszystkie czarne scenariusze zaczęły się spełniać. Wojna wisiała w powietrzu. Pachniała kurzem po uciekających z Fordonu mieszkańcach, którzy w pośpiechu wynosili się na głęboką wieś, i deszczem, który splukiwał z dróg ślady ich stóp i kół furmanek. Najwięcej uciekło Żydów. Oni obawiali się najbardziej, zwłaszcza wprowadzenia w życie antysemitycznych haseł. W samym mieście została ich ledwie garstka.

– Mówią, że we wrześniu będzie wojna. Albo nawet i pod koniec sierpnia – powiedział Radek, kiedy pomagał Ani w kurniku. – Powszechna mobilizacja jest nieunikniona. Nas, mnie i Olka też wezwą. Może ojca też.

Ania z wrażenia upuściła jajko. Skorupka pękła i żółtko rozbryzgało się na zdrapanym kurzymi pazurami klepisku, brudząc przy tym lewy chodak dziewczyny.

Radek spojrzał na siostrę z ukosa. Ostatnio chodził ponury, zamyślony. Palił jednego papierosa za drugim, mało jadł, przez co niemilosiernie schudł. Dawniej, kiedy zdejmował koszulkę, dziewczyny wzdychały do jego muskulatury. Teraz zapewne stęknęłyby z przestrawienia, bo widać było żebra i obojczyki.



Obydwaj z Olkiem stracili pracę w cegielni, jak większość mieszkańców Fordonu i okolic. Trzymali się więc ojca i pana Pietranka, którzy nie dawali im głodem przymierać i załatwiali fuchy, czasami podłe, na przykład gońców i przy ładowaniu desek w tartaku. Ale nie narzekali.

– Nie mogę słuchać tych plotek – powiedziała smutno Ania.

– Chciałbym, żeby to były plotki... Ostatnio bywam z ojcem w Bydgoszczy i... nie mogę ci wiele powiedzieć, poza tym, że już chyba nie ma odwrotu od wojny.

– Ciągłe słyszę, że będzie ta wojna. I patrzę na ludzi, którzy panikują albo ekscytują się tym, że dostaną karabin i pójdą na Niemca. Albo tym, że przyjdą polscy żołnierze i raz–dwa zrobią z Niemcami porządek. Ja nie chcę wojny. Na samą myśl o niej mam ciarki.

Radek podszedł do siostry i wziął ją w ramiona, a ona przytuliła się do niego, jak zwykła robić, kiedy zjawiała się u jego boku z jakąś skargą.

– To nie będzie tak szybko. Niemcy są lepiej uzbrojeni od nas, a nie wiadomo, czy ktoś z zachodu pospieszy nam z pomocą – westchnął. – Nie chcę cię smucić, ale nie licz na to, że wyjedziesz do Warszawy.

Ania drgnęła, ale się nie odezwała. Już od kilku dni, nawet tygodni czuła, że z Warszawy nici. Że znowu będzie musiała odłożyć realizację swojego wielkiego marzenia na później. Znowu...

– Chyba nie jest mi dane zostać pielęgniarką. Już drugi raz nie pojadę do Warszawy.

– Myślę, że będziesz świetną pielęgniarką, a w zasadzie to już nią jesteś. Taką naszą, domową, od Łabędziów. Tylko z papierkiem musisz chwilę poczekać. Wojna nie odbiera marzeń, tylko je oddala.

– Oby tak było.

– Tak będzie, zobaczysz. – Wypuścił ją z ramion.

Ania pochwyciła kosz. Podeszła do ostatniej grzędy i zebrała kilka białych jajek. Radek sprzątał.

– A! – Nagle się ożywił. – Zapomniałem ci powiedzieć. Ponoć zwinęli Dziarkowskiego.

– Antka?

– No a jak. Stary przecież już siedzi. Nie wiem, z jakiego powodu, ale to nieważne. Kolejnego gnoja mniej.

Ania uśmiechnęła się i od razu pomyślała o Gustawie.

„A jednak on dużo może...”

– To jest najlepsza wiadomość tego dnia – stwierdziła z pełnym przekonaniem, choć myśl o wojnie i tak tłumiała radość.

## OSTATNI RAZ

Nie wiedziała, że Gustaw przyjedzie. Nie miała od niego żadnego sygnału. Radek też nie miał, choć wiedziała, że czasami się kontaktowali, a raczej, że to Gustaw kontaktował się z Radkiem, dopytując o nią, jej zdrowie i samopoczucie. Ania nie miała pojęcia, jak to robili i gdzie, ale kiedy tak się działo, brat zawsze przynosił jej wiadomości. Najczęściej były to pozdrowienia, krótkie zdania w stylu „przyjadę w następny piątek” lub „w tę sobotę na pewno nie dam rady”. Nigdy nie przekazywał intymnych wynurzeń.

Tęskniła za nim ogromnie. Ostatnimi tygodniami widziała go raptem raz. Czym był ten jeden raz wobec rozpierającej ją miłości? Pragnęła go tak bardzo... I nie chodziło jej tylko o fizyczne zbliżenie, a przede wszystkim o poczucie bezpieczeństwa, jakie zawsze jej dawał. A tego potrzebowała teraz najbardziej. Wszyscy mówili o wojnie, o zbrojeniu się, o składkach na obronność, o żołnierzach polskiej kawalerii, których ulokowano w murach cegielni. Wojna, wojna, wojna... Całe życie toczyło się wokół jednego tematu. W jej domu w szczególności, bo oprócz ojca, który od miesięcy był zaangażowany w działania patriotyczne, Radek z Olkiem też zaczęli chodzić na spotkania i się udzielać.

Kiedy zobaczyła czarnego opla na niemieckich tablicach parkującego przed „Wiślaną”, głośno westchnęła i omal nie wypuściła z rąk kufła piwa, który niosła dla pana Wątroby.

– Łabędziówna niech lepiej pod nogi patrzy, jak idzie w moją stronę z napitkiem – powiedział Wątroba z wyższością tak wielką, jakby statusem społecznym przewyższał Anię o kilka szczebli. – Nie żebym miał coś przeciw wywinięciu orła przez Łabędziównę. O nie. To by było całkiem miłe dla oka. Szczególnie jakby sukieneczka pękła i kawał goleni odsłoniła.

– Oblizął się oblesnie. – Nie chciałbym być jednak upačkany piwskim marnej marki, bo jeszcze by mi skórkowe mokasyny zniszczyło.

Oczami wyobraźni Ania natychmiast zobaczyła, jak wylewa na głowę znienawidzonego Wątroby zawartość kufła i z rozkoszą przygląda się, jak ten sarka, sapie i dyszy, jak przeciera twarz oraz próbuje odgarnąć posklejane od chmielu włosy. Widziała też wspomniane mokasyny, które, co było absolutnie niemożliwe, przesiąkły piwem tak mocno, że aż rozmiękły.

– Przepraszam – powiedziała najuprzejmiej, jak potrafiła, chociaż Beniamin Wężyk na pewno by jej wytknął, że nie ukłoniła się uniżenie. – Postaram się uważać.

Kiedy stawiała piwo przed mężczyzną, ten zamachnął się, by klepnąć ją w pośladek. Wiedziała, że będzie chciał to zrobić – zawsze próbował – dlatego sprytnie uchyliła się przed jego ręką, a on trzasnął nią w sąsiednie krzesło. Syknął i zgromił Łabędziównę wzrokiem; ona jednak nawet już tego nie zauważyła, bo dzwoneczek u drzwi dał jej znać, że do restauracji wszedł Gustaw.

Usiadł, skinął głową na „dzień dobry” w kierunku Wężyka, a potem zdjął kapelusz i od razu przerzucił wzrok na Anię, czekając, aż podejdzie.

– Dzień dobry. Co dla pana? – zapytała, podając mu menu, a on wziął je, muskając palcami jej dłoń.

– A co pani poleca? – odbił pytanie, a potem podał jej kartkę.

Rozłożyła ją na notesiku i przeczytała:

*Wojna wybuchnie. To pewne. Musisz uciekać. Cała Twoja rodzina musi, bo to będzie zła wojna. Przyjechałem tu dziś nielegalnie, nie mam zgody, ale musiałem Cię zobaczyć i ostrzec. Nie zdołałem porozmawiać z Twoim bratem, więc przyszedłem do Ciebie.*

*Ukryję was w Marienwerder, a jak trzeba będzie, zabiorę do Stettina albo jeszcze dalej. Załatwię dokumenty. Wszystko załatwię, co będzie trzeba,*

*bylebyście byli bezpieczni. Przyjadę za pięć dni wieczorem i proszę, miej dla mnie dobre wieści.*

Ania jeszcze przez chwilę wgapiała się w wiadomość, a potem przeniosła wzrok na Gustawa, który patrzył na nią z niepokojem. Powoli złożyła kartkę i wsadziła ją do kieszonki fartuszka.

– Coś się stało? – Zza pleców Ani wychynął Wężyk, który miał w zwyczaju interweniować, kiedy kelnerka, według jego uznania, była nieporadna lub zbyt opieszala. – Jakiś problem, szanowny panie?

– Nie. – Gustaw odezwał się zdecydowanym tonem. – Czy pan zawsze musi przeszkadzać swoim pracownikom? I to akurat w chwili, gdy tak smakowicie opowiadają o pańskich daniach?

– Przepraszam szanownego pana – odparł skruszony Beniamin i pokuśtykał z powrotem za kontuar.

Guderian spojrzał na Anię wyczekująco.

– Nie mogę ci niczego obiecać – szepnęła – ale porozmawiam z Radkiem.

– Musisz mi obiecać. Nie wyjadę bez ciebie.

– Gustawie, to nie jest takie łatwe...

Cały czas szeptali, wymieniając uwagi o wojnie, ale dla niepoznaki dużo głośniej rozmawiali o antrykocie, smażonej kapuście i wędzonym boczku, które Ania zachwalała pod niebiosa.

– To jest bardzo łatwe. Bardzo. Jeśli tu zostaniecie... Tu będą się działy złe rzeczy, potworne. – Gustaw potarł twarz, a potem sięgnął po papierosa i nerwowo się nim zaciągnął. – A zatem antrykot jest świeży, czy tak? – zapytał głośno, po czym dodał ledwo słyszalnie: – Ja nie wiem wszystkiego, ale to, co mi przekazano, wystarczy, bym był pewien, że szykuje się straszny czas.

– Oczywiście, antrykot dziś przyrządzany! Rozpływa się w ustach! – Ania zerknęła na Wężyka. – Gustawie... Ja to wiem. Papa mi mówił. My też wiemy o waszych planach, o niemieckich planach... Boję się, ale nie

zostawię rodziny, a tata nigdzie stąd nie pójdzie, chyba że... – zająknęła się.  
– Chyba że... wezwą go na front. I Radka... I Olka... Jeśli oni zostaną, ja też.

– Przyjadę za pięć dni po twojej pracy. Proszę. Błagam... – Spojrzał na nią wzrokiem zbitego psa. Dopiero wtedy Ania dostrzegła podkrążone oczy, zapadnięte policzki i przesuszone wargi.

– Źle wyglądasz, Gustawie. Coś ci jest?

– To przez brak snu, bo... Cały czas myślę, jak was uratować.

– Czyli eintopf dla pana? – zapytała głośno, bo wścibski Wątroba zaczął nadstawiać uszu. – Już przynoszę.

– Nie zdążę zjeść, ale zapłacę – znowu szeptał.

– Musisz zjeść.

Gustaw zjadł, a raczej pochłonął całą porcję. Była duża i pełna mięsa, o co osobiście postarała się Ania. Poczul się najedzony, wprost przejedzony, bo od dwóch dni nie jadł niczego treściwego. Dał jej sowity napiwek, nie omieszkując przy tej sposobności musnąć jej dłoni. Ona za to niemo, samym tylko ruchem warg, wyznała mu miłość. Gustaw przymknął oczy, jakby w ten symboliczny sposób chciał zachować jej słowa dla siebie. Na zawsze.

Kiedy wyszedł, rozejrzała się. Ludzie plotkowali, śmiali się, pili i jedli. Rozmawiali też o wojnie, niektórzy szeptem, ale w słowach większości nie wyczuwała strachu, który od kilku dni był jej nieodłącznym towarzyszem.

## RDZAWY WRZESIEŃ

Nie spotkali się po pięciu dniach. Nie mogli.

Wybuchła wojna i tylko to się liczyło.

Radek z Olkiem zostali zmobilizowani. Odjeżdżali, nie myśląc o rychłym powrocie. Spodziewali się, że pochłonie ich wojenny wir, że pójda na front walczyć z najeźdźcą. Tymczasem wrócili niebawem. Nie było dla nich ani mundurów, ani broni, a przecież nie poszliby na Niemca z grabiami. Skierowano ich do kopania okopów pod Bydgoszczą. Cieszyli się, że choć tak mogą przysłużyć się ojczyźnie. Czekali jednak na wezwanie na front. Bo chcieli bić się o Polskę.

Jan ściągnął wszystkich do Fordonu, również Jolę, która musiała uciekać z Jaruzyna. Była przecież nauczycielką, a chodziły słuchy, że nikt o tej profesji nie mógł czuć się bezpieczny.

Namawiał też na przyjazd Ryszarda z Józefiną, ale stanowczo odmówili. W Bydgoszczy oboje czuli się niezbędni, bo teraz i Józefina, tak jak wielu bydgoskich pedagogów, zaangażowała się w sprawy ważne dla Polski.

– Nie wiem, ile to potrwa, ale na pewno jutro się nie skończy, więc musimy być przygotowani na wszystko – oznajmił Jan. – Niemcy napadli na nas, a teraz odwracają kota ogonem. Chcą nas zmiażdżyć, ale my się dzielnie trzymamy. I musimy się trzymać. Tam i tu, w Fordonie. Bo rzecz to pewna, że i do nas dotrą niepokoje. Nasz most jest w centrum uwagi Niemców.

– Jest przecież zaminowany – stwierdził Olek.

– Ja to wiem, ty to wiesz, więc oni też to wiedzą. To szczerwane lisy. A skoro tak, gdy przyjdzie czas, wykorzystają tę wiedzę.

Ojciec mówił z powagą i bez powątpiewania, które ostatnio mu towarzyszyło. Ani razu się nie zająknął, zupełnie jakby przemawiał na

jednym ze spotkań. Nie siedział, tylko stał albo chodził i zaciskał pięść, jakby gotował się do boksterskiego pojedynku, i to nie z byle jakim przeciwnikiem.

– Musimy im pokazać, że w nas siła! Oni muszą zrozumieć, że Polak na swojej ziemi panem, a nie poddanym!

– Tak! – dodał Olek, podszedł do ojca i w geście wsparcia chwycił go za ramię.

Radek po chwili zrobił to samo. Potem ojciec wydał im kilka poleceń, przekazał jakieś dokumenty i wysłał ich, jak to mówił, w teren. Pojechali bez słowa dyskusji. A Ania z Jolą zostały z ojcem.

– Ja też wychodzę. – Jan poszedł do sieni, by włożyć buty i marynarkę. – Idę posłuchać nastrojów i... I mam coś jeszcze do zrobienia. A wy róbcie zapasy, chowajcie wszystko w ziemiance i w piwnicy, za winklem. Tam bezpiecznie. Spakujcie najpotrzebniejsze rzeczy do małej torby tak, by w razie czego chwycić ją i uciekać. Kosztowności... Niewiele ich, ale znasz miejsce, Aniu. – Pokiwała głową. – Wpakuj wszystko do jakiej sakiewki i schowaj do torby.

– Dobrze. A ty, papo... – Odchrząknęła, bo głos jej się łamał. – A ty, papo, uważaj na siebie.

Jan stanął w progu domu i poklepał starą drewnianą, dawno nieodmalowywaną framugę drzwi, jakby się z nią żegnał, jakby jej coś szeptał na „do widzenia” albo polecenie wydawał. Potem pogłaskał Brutusa, który łąsił się do jego nóg. Po czym, nie oglądając się za siebie, poszedł w stronę rynku.

Długo za nim patrzyły. Potem zaś na tego przerośniętego kundla o oklapniętych uszach, który lekko przygaszony, jakby czuł wlewający się do serc domowników niepokój, ocierał się o ich nogi. Na koniec na kury, które chyba żadnych lęków nie czuły, bo wyjątkowo odważnie wyszły przed szopę i dziobały ziarno na swoim poletku.

Wróciły do domu. Starannie zamknęły drzwi, choć wcześniej przez cały dzień, a bywało, że i noc nikt o to nie dbał. W środku było nieprzyjemnie głucho. Tylko stary zegar wybijał rytm kolejnych sekund. Ania rozejrzała



się uważnie dokoła, jakby nie znała miejsca swojego urodzenia. Jakby to był obcy dom, w którym znalazła się przez przypadek albo z konieczności. Wyglądała na skołowaną. Zatrzymała wzrok na Joli, na drobniutkiej Joli, z której oczu nawet teraz, w godzinie strachu, biło ciepło.

– Aniu... – Jola zbliżyła się do przyjaciółki. – Musimy być silne jak oni. Jak Olek, Radek i nasi ojcowie. A może silniejsze od nich, bo niezależnie od wszystkiego powinniśmy być dla nich opoką, rozumiesz? Nie mamy wyboru ani czasu na słabości. Bez nas nie przetrwają.

Ania skinęła głową, a potem gorliwie nią pokiwała.

– Musimy im pokazać, że się nie boimy, nawet jeśli w środku będziemy trząść się ze strachu. Że rozumiemy, nawet jeśli w głowie będziemy miały chaos. Że wiemy, jak zrobić, jak załatwić, jak przekonać, pomimo że to będzie ponad nasze siły i możliwości.

Ania chłonęła słowa Joli, a ta mówiła spokojnie, bez napięcia, jakby opowiadała historię ze szczęśliwym zakończeniem, jakby snuła bajkę na dobranoc tym swoim łagodnym, pozbawionym szorstkości głosem.

– Tak... – zgodziła się cicho Ania, a potem głośniejsz dodała: – Tak, Jolu. Tak. Masz rację, musimy być silne.

I były.

I podczas niemieckiego nalotu, który sprawił, że zawaliło się przeszło fordońskiego mostu. I wtedy, gdy bomby spadły na cegielnię Medzega, gdy burzyły domy, restauracje, w tym „Wiślaną”, i gdy odbierały życie mieszkańcom Fordonu. Gdy burmistrz Wawrzyniak powoływał fordońskie oddziały obronne. Gdy po amnestii do Fordonu, do swych rodzin, powrócili skazańcy i aresztanci z innych stron kraju. Gdy sąsiedzi płakali nad ciałami synów, którzy zginęli w boju. Gdy ludzie w panice uciekali na drugi brzeg Wisły i nie widząc tam dla siebie nadziei, z tego brzegu powracali. Gdy Niemcy przejęli władzę w mieście oraz gdy rozeszły się pogłoski o zamordowaniu proboszcza Szydzika. Były silne nawet wtedy, gdy z oddali zobaczyły znienawidzone sylwetki Stefana Dziarkowskiego i jego syna Antka, którzy, choć po zmroku, dumnie kroczyli przez plac, co najmniej jakby wracali z pola chwały, a nie z za krat.

Były silne, przynajmniej na zewnątrz. I nieustannie się wspierały, niczym siostry.

Jola nie wychodziła z domu, by nie kłuć nieszczerych ludzi w oczy, a Ania załatwiała wszystkie sprawy na zewnątrz i starała się pokrzepiać znajomych, którzy czuli się zagubieni w tych niepewnych czasach. Nikomu nie odmówiła pomocy.

Starsi, z przytułku, zniedołężniali i sieroty. Zagadywali ją, łaknęli dobrego słowa, szklanki mleka, skiby chleba. Pytali też o sprawy Polski, a ona zawsze mówiła prawdę, ale taką, jaką rozmówca chciał usłyszeć albo jaką czuła, że przyjmie bez nerwów. Bo nikomu nie chciała dokładać emocji, których i tak każdy miał ponad miarę.

Po powrocie do domu opowiadała o wszystkim Joli, a ona słuchała. Czasem z uśmiechem na twarzy, zazwyczaj jednak ze smutkiem. Mimo to nie traciły hartu ducha, choć kiedy dowiedziały się o wydarzeniach krwawej niedzieli<sup>[17]</sup>, płakały. Szczególnie Jola, bo truchlała na myśl o tym, że jej rodzice mogliby stracić życie. Nie stracili. Na szczęście.

Kiedy Jan oświadczył, że Himmler oficjalnie polecił stworzyć jednostki Selbstschutzu<sup>[18]</sup>, po raz pierwszy poczuły się bezradne.

– Będą próbować nas już dokumentnie zastraszyć, zniszczyć. I to w zgodzie z prawem... – mówił Jan. – Teraz nie wiadomo, czy sąsiad Niemiec nas na widły nie nadzieje i jeszcze za to medalu nie dostanie.

– Medalu? Papo, sąsiad nic nam nie zrobi. Razem z nim płakaliśmy nad zabitym synem. – Ale Jan tylko pokręcił głową.

– Płakaliśmy tydzień temu, teraz sytuacja się zmieniła – osądził trzeźwo Radek, sięgając po kolejnego papierosa. – Wtłoczą w te bojówki najgorszy element, który rwie się do obicia Polaków, a jak trzeba będzie, wtłoczą i ten, który nam sprzyjał.

– Szlag by to trafił! – odezwał się Olek. – Trzeba coś zrobić.

Jan, Radek i Olek w porozumieniu z Ryszardem robili wiele, ale nigdy nie wtajemniczali w to Ani i Joli.

– Im mniej wiecie, tym jesteście bezpieczniejsze – mawiali zgodnie, ale Ania podsłuchiwała ich szeptane rozmowy, które prowadzili w ojcowym pokoju.

Słyszała tylko półsłówka, ale i tak miała z tego powodu mętlik w głowie i odsuwała szklankę od ściany. Bo za dużo, zbyt boleśnie, zbyt niewiarygodnie.

– Przecież w czerwcu było normalnie, zwyczajnie. Do pracy chodziłam, a dziś? Po „Wiślanej” nie został kamień na kamieniu. Na obiady się spraszaliśmy, a teraz w pośpiechu jemy byle co. Na zakupy jeździłam, Jolu...!

– Wszyscy jeździliśmy – odparła spokojnie przyjaciółka. – Nie ma co myśleć o tym, co było, bo i tak niczego w ten sposób nie zmienimy. – Potarła pierścionek zaręczynowy. – Mieliśmy ślub brać w październiku...

Ania podeszła i przytuliła ją.

– Może się uda?

– Mnie nie musisz ani kłamać, ani pocieszać, Aniu. Obie wiemy, że ta wojna nie skończy się w miesiąc... Gdybym jednak się myliła, gdybyśmy wszyscy się mylili, to na kolanach poszłabym na pielgrzymkę, nawet i do Rzymu.

Zaśmiały się cicho, ale nie było w tym radości.

– Każdego dnia, w każdej godzinie i każdej minucie boję się o Olka, bo... Tak niemożliwie go kocham. Nie wiedziałam, że tak można. Kochać... Nie jestem gotowa, by go stracić, bo dopiero niedawno go zyskałam.

– Nie stracisz go.

– Tak. Też to sobie wmawiam, ale to jest wojna i trzeba się liczyć ze wszystkim. Za moment wezwą go na front i... Wolałabym raczej z nim zginąć niż go stracić. Z nim odejść niż iść dalej sama...

– Nie mów tak i nie zakładaj, że ktokolwiek z nas umrze!

Jola spuściła wzrok, jakby się wstydziła tego, że w ogóle mogła mieć takie myśli. A przecież oni wszyscy je mieli. I wszyscy się bali. Jeden

o drugiego. Kiedy się rozchodzili, to z trwogą. Kiedy słyszeli strzały, to drżeli.

– Nie zakładam, ale czuję tę piekielną kostuchę ze swastyką na piersi. Tak boleśnie ją czuję... I myślę, że przez to, że tak mocno kocham, to równie mocno się boję o to, że tę miłość stracę.

– Ja też się boję... – wyznała Ania po chwili. – Bo i w moim sercu ktoś jest. Ktoś, kto nie powinien tam być, ale się znalazł.

Jola popatrzyła na nią z wdzięcznością.

– Wiem. Czuję to od dawna, ale nie chciałam wypytywać. Uznałam, że powiesz, kiedy będziesz gotowa.

Teraz Ania była gotowa. Chciała w końcu opowiedzieć swojej najlepszej przyjaciółce historię zakazanej miłości, której bohaterką jest ona, Anna Łabędź, a nie jakaś fikcyjna postać z powieści dla panien. Pragnęła w końcu zrzucić z ramion ciężką jej od miesięcy tajemnicę. Układała wszak w głowie tę opowieść setki razy, bo przed Jolą nie miała tajemnic – poza tą jedną, wcześniej niemożliwą do wyjawienia. Już otworzyła usta i miała zacząć mówić, kiedy długa seria karabinowych strzałów odebrała jej głos. Natychmiast padły na podłogę, jedna przy drugiej.

– Myślisz, że to gdzieś na ulicy? – zapytała Jola.

– To w lesie. Ale cholernie blisko.

Jakby w odpowiedzi na jej pytanie w drzwiach pojawił się Olek.

– Idziemy z Radkiem sprawdzić – zakomunikował.

– Nigdzie nie idźcie – zaproponowała Jola.

Olek podszedł do narzeczonej i przytulił ją, a potem ucałował we włosy i wyszeptał coś, co sprawiło, że Jola mocno do niego przywarła.

– Niedługo wrócimy. Nic się nie martw. Nikt nie zna okolicy lepiej od nas.

Tamtego wieczoru długo nie wracali, a kiedy już przyszli, opowiadali o żydowskiej rodzinie, którą volksdeutsche wyciągnęli przed dom i bez zastanowienia zamordowali, jedno po drugim, pod starą jabłónką. Nie oszczędzili nawet pięcioletniej dziewczynki. Po wszystkim zaś ograbili

i zwłoki, i biedny dom, w którym, jak mówili sąsiedzi, zdobyczy było tyle, co kot napłakał.

– Zaczyna się... – stwierdził ojciec. – Zaczyna się najgorszy czas...

## NAJGORSZY CZAS

Przez kilka dni nie słyhać było wystrzałów, a i złe wieści jakoś ucichły, dzięki czemu mieszkańcom nieco poprawiły się nastroje. Nikt nie mówił o końcu wojny, ale ten oddech przydał się każdemu. Tylko Jan nie wyglądał na uspokojonego i ciągle powtarzał, że Niemcy coś szykują, bo przed burzą zawsze jest cisza.

Nie mylił się.

Drugiego października wszystko uległo zmianie.

Ania z Jolą były wtedy w gabinecie Naborowa – przyszły po opatrunki, które doktor zdobył w Bydgoszczy – kiedy za oknem wychodzącym na rynek nagle zrobił się rumor. Wyjrzały więc ostrożnie. Doktor też.

Nie mogli uwierzyć własnym oczom i chociaż łamało to jakiegokolwiek zasady bezpieczeństwa, odsłonili cienką firankę i po prostu gapili się na coś, o czym nie śniło im się w najgorszych sennych koszmarach.

Oto przed kościołem zebrano ośmiu ludzi. Ania dostrzegła księży, burmistrza Wawrzyniaka, rzeźnika Podgórskiego, drogerzystę Kaszewskiego, pana Ziółkowskiego i Zalesiaka oraz... młodego Piotrowskiego.

– Albin... – wymusknęło się z jej ust na widok tego ostatniego.

Naprzeciwko nich stał pluton egzekucyjny. Ania nie pojmowała. Tu? W ich spokojnym Fordonie? Przed kościołem? Przed tłumem ludzi przyciągniętych na plac?

I wtedy dostrzegła Antka Dziarkowskiego. Stał w szerokim rozkroku, jako jeden ze strzelców, i dumnie celował w tych, których znał i którym kłaniał się na co dzień.

Zadrzała, ale nie ze strachu, lecz ze złości.

Nawet przez zamknięte okno słyszeli ludzkie okrzyki, lamentsy, piski. Widzieli poruszenie. Ludzie, jak to ludzie, przepychali się, chcieli być bliżej, widzieć więcej.

Padły strzały. Padły ciała. Zapadła cisza.

A potem na nowo podniosła się wrzawa. Ludzie, którzy dotąd niemrawo przyglądali się krwawemu widowisku, zaczęli uciekać, kryć się po bramach. Jeden z plutonu, wyglądający na dowódcę, oddał strzały dobijające, które jeszcze wzmogły panikę. Naborow natychmiast zabrał kobiety od okna. Ania oparła się o ścianę i tępo wgapiała w Jolę, która z szeroko rozwartymi oczami, blada i przerażona, stała naprzeciwko niej. Łabędziówna osunęła się na podłogę, która teraz była niczym lawa, rozpalona i parząca. Powietrze drażniło jej krtań, jakby wdychała truciznę. Na chwilę, na moment tylko, zamknęła oczy, ale nadal jej głowę plądrowały piski, krzyki i echem rozchodzący się tupot stóp. Po chwili poczuła mentolowy zapach w nozdrzach i słodki smak w ustach. Otworzyła oczy.

– No, jesteś – powiedział doktor.

– Czy to był sen? – zapytała ze szczerą nadzieją. – Czy te strzały, to wszystko... Tam, przed kościołem... Albin... Czy to był sen?

Naborow przyłożył pięść do ust. Jego przeczący ruch głową odebrał Ani nadzieję.

– Nie. To prawda. Najstraszniejsza.

Doktor jednak się mylił. Najstraszniejsze było dopiero przed nimi.

## ZNAJDĘ CIĘ

Egzekucja na rynku zasiała strach wśród mieszkańców Fordonu. Ludzie byli zdezorientowani, nie rozumieli tego, co się wydarzyło, bo spadło to na ich spokojne miasto jak grom z jasnego nieba. Ania też nie rozumiała. Po co? Dlaczego? Ku czemu to prowadzi? Może i rozumiała więcej niż przeciętna fordonianka, bo ojciec i bracia nie bali się z nią o tym rozmawiać, ale i tak nie mieściło jej się to w głowie.

I Antek butnie trzymający karabin... Tego nikt nie byłby w stanie jej wytłumaczyć.

„Jak mógł to zrobić...? Gdybym spotkała go na swojej drodze, cisnęłabym w niego kamieniem, prosto w skroń. Zabiłabym szybciej niż on mnie kulą...”

Ta przerażająca myśl sprawiła, że jej ciało przeszył dreszcz. Nigdy wcześniej nikomu nie życzyła śmierci, a tu sama chciała ją zadać... Boże wszechmogący... Co się dzieje?

I wtedy pomyślała o mamie, mateńce, i o słowach proboszcza, który pocieszał ojca po jej śmierci. Przecież mówił wtedy, że Bóg zabrał mamę, bo chciał oszczędzić jej trosk, bólu... Mądry ksiądz... Miał rację...

Po południu na Piłsudskiego zjawili się państwo Pietrankowie. Ania nie widziała ich od dłuższego czasu, słyszała jedynie od ojca, że mają się dobrze. Kiedy jednak zobaczyła Józefinę odartą z elegancji, w prostym, chłopskim stroju, z chustą na głowie i bez odrobiny makijażu, głośno przełknęła ślinę.

– Szczęść Boże! – przywitała się Józefina.

Wcześniej nie takich słów używała. Raczej: „Dzień dobry, państwu” lub elegancko kiwała głową, bez słowa pozdrowienia.

Jakże była inna w tym przebraniu!



Zdjęła chustę, palcami przeczesła posklejane włosy i nie patrząc w lustro, starała się je jakoś ułożyć. Przerwała, gdy zobaczyła Jolę. Natychmiast padły sobie w ramiona.

– Moja córeczka... Moja córeczka...! – Pocałowała dziewczynę w czoło i przyjrzała jej się dokładnie. – Piękna jak zawsze. Ta piekielna wojna urody nie zdołała ci odebrać. Moja córeczka... Nie to co ja, ale...

– Pięknie wyglądasz, mammo.

– Ach, dajże spokój! – Józefina odruchowo chciała wygładzić niewidzialne fałdy. Kiedyś często tak robiła, zwykle ukradkiem. Tym razem tylko dotknęła kibici i od razu oderwała dłoń. Miała bowiem na sobie grubą spódnicę, chyba nie jedną. – Muszę się kamuflować, w łąkach chodzić, bo tak by już dawno ktoś mnie wydał. A poza tym z tego całego pośpiechu nie mam czasu na kosmetyki. Zresztą, skoro noszę strój chłopki, to nie mogę sobie kolorów dodawać.

Ryszard pokiwał głową. Jego strój też był skromniejszy, ale nie dziwił tak jak ten małżonki.

Nerwowo przywitał się ze wszystkimi, a córkę ucałował w czoło i szepnął jej coś na ucho.

– Dotarły do nas potworne wiadomości i musieliśmy przyjechać. Chciałam sama, ale Ryszard nie zamierzał mnie puścić, więc jesteśmy oboje. – Józefina mówiła bez zwyczajowej wyższości.

– Niemcy chcą nas wszystkich wybić – zakomunikował ciężko Ryszard. – Przyjeżdżają pod domy ciężarówkami, zgarniają ludzi i mordują w lasach, w dolinach, gdzie popadnie. To znaczy, nie do końca gdzie popadnie, bo Niemcy na wszystko mają plan.

Jola zasłoniła usta dłonią, a Józefina, widząc to, natychmiast dodała:

– To prawda, ale... Za cholerę nie możemy im na to pozwolić, co!?

Pan Pietranek zrobił skwaszoną minę, jakby miał już dość walecznego tonu żony.

– Ja cały czas wszystkim powtarzam, że najważniejszy jest duch walki i dopóki on w nas jest, to... – Zacisnęła pięści. – Gównu Niemcy dostaną!

– Mamo! – Jola z zachwytu aż sapnęła.

– No co? A myślałaś, że ja nie znam tych wszystkich słów? Znam te i dużo więcej, a teraz same cisną się na usta, bo tym plugawcom należą się niczym kulka w łeb! Nie możemy tracić ducha! Nie wolno nam!

Optymizm Józefiny udzielił się niemal wszystkim, poza Ryszardem i Janem, którzy stanęli z boku i cicho o czymś rozmawiali.

– Wolałbym mówić, kiedy Radek wróci – odezwał się w końcu Jan. – Ale najwyżej mu potem powtórzę. Jest taka lista... Musicie o niej wiedzieć, bo... Tak, Józefino, zgadzam się z tobą, że duch walki jest tym, czego nie może nam zabraknąć, ale jeśli nie będziemy planować i starać się wyprzedzić Niemców, choćby o krok, a najlepiej o dzień, na nic zda się wiara w powodzenie.

– Co to za lista? – chciała wiedzieć Ania.

– Z nazwiskami, z tysiącami nazwisk ludzi, którzy są Niemcom nie na rękę. I których chcą się pozbyć.

– Jak to pozbyć? – zapytał Olek.

– Nie wiesz, jak oni pozbywają się ludzi? – Jan okazał zniecierpliwienie.

Olek pokręcił z niedowierzaniem głową, a potem spojrzął na przerażoną Jolę. Podszedł do niej i objął ramieniem, a ona jakby tego w ogóle nie dostrzegła.

– Czy my...? Czy my jesteśmy na tej liście? – wydusiła.

Jan pokiwał głową, a Józefina przemówiła:

– Tak. Jesteśmy. Wszyscy. Siebie jeszcze rozumiem, Ryszarda i Jana. No, Olka z Radkiem też, ale skąd na tej liście Ania i ty? Jakiemuś skurwysynowi musiało zależeć, żebyście się tam znalazły.

Przeszli do kuchni i usiedli przy stole. Ryszard rozłożył na nim mapy i dokumenty, które przyniósł. Józefina opowiadała o liście z nazwiskami, Jan z Ryszardem potakiwali, Olek zadawał pytania, a Jola słuchała. Ania myślami była gdzieś indziej.

– Antek! – wypaliła, przerywając pani Pietranek w połowie zdania. – To on nas musiał podać.

– Ten gówniarz Dziarkowski? – Z pytania Olka wybrzmiewała pogarda.

– Tak. On mógł coś takiego zrobić. Przecież mi groził, a poza tym on strzelał przed kościołem...

– Zabiję skurwiela – warknął Olek.

– Na razie nikogo nie zabijesz – uciszył go Jan. – Zresztą i tak się nie dowiemy, czy to Dziarkowski, czy ktoś inny. Ale... Zgłosimy naszym, żeby mieli na niego oko. – Poczytał notatkę w małym notesie. – Tymczasem musimy was wtajemniczyć w to, co zrobimy jutro – oznajmił.

Wskazał na mapę, ale nie zdołał powiedzieć ani słowa, bo do domu wszedł Radek.

– Ania! – zawołał od progu.

Poderwała się, bo w jego głosie usłyszała nutę strachu i od razu pomyślała, że bratu coś się stało. Że może ranny...

– Co jest? – Olek pierwszy zjawił się w korytarzu. – Całyś?

– Taaa... Potrzebuję Ani, ale nie dla siebie.

Dziewczyna bez sekundy zwłoki założyła buty i chwyciła sweter. Jola też chciała się ubierać.

– Ania wystarczy. Jeden chłopak pokaleczył się o druty. Trzeba opatrzyć. Szkoda byłoby, żeby gangrena się wdała. – Spojrzał na Anię. – Weź z apteczki, co tam trzeba.

Zanim wyszli na ulicę, Radek dokładnie się rozejrzał, a potem ruszył opłótkami w stronę ściany dębowego lasu. Ania szła za nim.

– Gustaw na ciebie czeka – powiedział w końcu.

– Jak to? – Ania aż stanęła.

– No czeka na ciebie, chodź. Nie wiem, po co teraz przyjechał i jak mnie znalazł, ale jest. Cholernie niebezpieczne czasy na schadzki. Oddał mi swój pistolet i pozwolił się przeszukać. Nie ma żadnej broni.

– Nie ufasz mu?

– A ty ufasz sąsiadowi Niemcowi?

– Gustaw nie jest byle Niemcem – fuknęła.

– Ale jest Niemcem, a mamy wojnę. Nie zapominaj o tym.  
Temu akurat nie potrafiła zaprzeczyć.

Dostrzegła Gustawa pomiędzy drzewami. Stał i palił papierosa, ale kiedy tylko zobaczył Anię, rzucił go na ziemię i pognał w jej stronę, a potem porwał ją w ramiona, a ona wczepiła się w niego. Łzy spływały z jej policzków i tworzyły nieregularne plamy na bluzce.

– Co ty tutaj robisz? Teraz? Po co przyjechałeś? – rzucała pytaniami, obcałując jego twarz, ale on nie odpowiadał, tylko zamykał jej usta swoimi.

Spleceni ramionami, złączeni, nienasyчени... Trwali tak dłuższą chwilę, aż w końcu Anna odstała od Gustawa.

– Przecież jesteś... – Nie skończyła, ale on rozumiał ją bez słów.

– Niemcem, wiem. I nic na to nie mogę poradzić. W tej chwili wstydę się tego, co robi mój naród. Tak nie wolno. Aniu, ty mnie znasz. Wiesz, że ja nie jestem nazistą, nie dla mnie wybijanie Polaków czy jakiegokolwiek innej nacji, wiesz o tym, prawda? – Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Wiem.

– Ufasz mi?

Spuściła wzrok, bo przez chwilę poczuła się źle z tym, gdzie jest i z kim. Tam, w domu, jej rodzina planowała, jak uciec przed Niemcami, a ona tu stała z jednym z nich.

– Ufam ci – powiedziała po dłuższej chwili.

Uśmiechnął się niemrawo i ujął jej rękę.

– Jestem Niemcem i nic tego nie zmieni, ale przede wszystkim jestem człowiekiem uwikłanym w tragiczną wojenną historię.

– Wiem i bardzo mi przykro...

Pocałowała go w usta, a on nie pozostał jej dłużny.

– Anno – odezwał się w końcu. – Jestem tu tylko na chwilę. Zaraz muszę wracać. W zasadzie już powinienem być z powrotem, ale musiałem, musiałem przyjechać do ciebie, do was, bo... – Pokręcił głową. – Znalazłem

was wszystkich: Jana, Radosława, Aleksandra i ciebie... Na liście proskrypcyjnej.

– Na czym? – Zza drzew wyłonił się Radek.

Zapewne dyskretnie przysłuchiwał się ich rozmowie.

– Jesteście wpisani do takiej księgi gończej. – Gustaw przełknął ślinę i dodał: – Wpisali was na... listę śmierci.

Gustaw spodziewał się, że Ania stanie we łzach albo zacznie krzyczeć, a jej brat zareaguje nerwowo. Nic z tych rzeczy.

– Wiem – powiedziała Ania bardzo spokojnie.

– Wiesz? – zdziwił się Radek.

– Cała rodzina została tam wpisana. Pietrankowie także. Przed chwilą rozmawialiśmy o tym w domu.

– Szlag! – Radek sięgnął po papierosa.

– I co w związku z tym? Co zamierza twój ojciec?

– Nie mam pojęcia, bo wyszłam, zanim czegokolwiek się dowiedziałam, ale nawet gdybym wiedziała, to rozumiesz... Nie mogłabym ci powiedzieć.

Pokiwał głową.

– Bo jestem Niemcem...

– Nie, Gustawie! Bo mamy wojnę. Polsko-niemiecką – zirytowała się.

– Przepraszam. – Przytulił ją mocno do siebie. – Przepraszam... Ale ja zupełnie wariuję. Od kilku godzin, odkąd zobaczyłem cię na tej liście, wariuję. Będą was ścigać, aż złapią, a potem...

Położyła mu palec na ustach.

– Cii... Bądźmy dobrej myśli. Na pewno nie będzie tak źle. Mój papa coś wykombinuje. Jutro nas tu nie będzie.

– Ucieknijcie jeszcze dzisiaj, proszę. Nie wiadomo, kiedy zaczną was szukać. Ponoć to kwestia godzin.

– Myślisz, że to pewne? – zapytał Radek.

– Tak. Już zaczęły się aresztowania. To ma być błyskawiczna, pokazowa akcja. Szybkie aresztowanie i szybka...

– Śmierć – rzucił Radek. – Nazwijmy to po imieniu.

– Mogę wam pomóc. Mogę was wywieźć. Ukryć w Marienwerder u mojej babki. To niedaleko, a tam będziecie bezpieczni. W Marienwerder.

Radek uważnie słuchał Gustawa, a potem pokręcił głową.

– Nie da rady. Jak mielibyśmy przekazać to ojcu? Nie pojechałby z tobą, a bez niego my się nigdzie nie ruszymy. Ale dziękuję, żeś nas ostrzegł. Zbierzemy się gdzieś. Może już dzisiaj. Uciekniemy.

– Gdzie was szukać?

– Sam nie wiem... Zresztą... Tak jak powiedziała Ania, nawet gdybym wiedział, nie mógłbym ci powiedzieć.

– W razie potrzeby znasz mój numer telefonu – przypomniał Gustaw. – Tam możesz zostawić wiadomość. Na pewno odpowiem. Mogę wam pomóc. – Spojrzał na niego prosząco.

– Gustawie – odezwała się Ania. – Nie nalegaj, bo to i tak niczego nie zmieni.

Przytulił ją znów do siebie. Była taka malutka w jego ramionach. Pocałował jej włosy, a potem pogładził ją po głowie i wyszeptał najpiękniejsze zaklęcia kochanków. Uniosła twarz i odważnie wyszeptała po polsku:

– Mój Gustawie...

Z kieszonki w swetrze wyciągnęła ususzoną trawę zwiniętą na kształt obrączki i wsunęła sobie na palec.

Oczy Gustawa się zaszklily. Złożył długi pocałunek na tej obrączce, a potem wyszeptał:

– Odnajdę cię.

## DOLINA ŚMIERCI

Po powrocie do domu Ania i Radek natychmiast poszli do kuchni. Ryszard z Józefiną i Olkiem pochylali się nad rozłożoną na stole mapą. Jola pakowała jedzenie.

– Gdzie ojciec? – zapytał Radek.

– Wyszedł zaraz za wami. Miał coś zanieść do Warzechy – odpowiedział Olek.

– O której wróci?

– Skąd mam wiedzieć? – Brat wzruszył ramionami. – On się przed nikim nie tłumaczy.

Jan jednak zjawił się dość szybko, mimo że u Warzechy zawsze długo mu schodziło, i od razu zaczęli debatować nad zmianą adresu. Ryszard miał bezpieczną kryjówkę pod Toruniem, ale Józefina nie chciała tam jechać. Wolała przedostać się do Łodzi, gdzie mieszkała jej daleka krewna.

– Ma fabrykę. Robią dla Niemca, ale właśnie dlatego tam będziemy bezpieczni. Najciemniej przecież pod latarnią – argumentowała.

– Nie chcę tak – zaproponował Jan. – Wolę zostać tu, w Fordonie. Muszę mieć blisko do moich, do naszych ludzi. Nie po to od roku mówię do nich o patriotyzmie, żeby teraz podkulać ogon z powodu byle listy i czmychać. Wtedy Niemcy na pewno z nami wygrają, bo nas złamią.

Debatowali jeszcze dobrą godzinę i postanowili, że przed świtem pójdą do opuszczonej leśniczówki przy dworku Rosenthalów. Tam nikt nie będzie ich szukał, bo też nikt tam od lat nie zagląda.

Spakowali tylko najpotrzebniejsze rzeczy i trochę jedzenia. Zapasy pozakopywali na posesji tak, by nikt prócz nich ich nie znalazł. Poszli spać. Ale to nie była spokojna noc. Słyszeli strzały i co chwilę zrywali się z łóżka. Radek z Olkiem wyglądali na ulicę, ale na Piłsudskiego było

spokojnie. Sporo po północy posnęli wszyscy poza Jolą, którą męczyły torsje, i Olkiem, który przy niej czuwał. W końcu odesłała go do łóżka.

– To pewnie z nerwów, Oluś. Albo coś mi zaszkodziło. Idź spać. Niech przynajmniej jedno z nas będzie w miarę wypoczęte przed jutrem.

Ucałował ją w czoło, bo w usta nie pozwoliła, wstydząc się kwaśnego posmaku wymiocin, i poszedł. Zasnął od razu, a ona otulona kocem siedziała przy wychodku, półprzytomna. Torsje targwały nią w przedziwny sposób. Kiedy już myślała, że przeszły, i wstawiała, by pójść do domu, znowu dawały o sobie znać i choć nie miała już czego oddawać, klęczała nad sławojkową dziurą, przytulając się do tego wątpliwego przybytku.

Przysnęła z policzkiem opartym o deskę. Sen miała piękny, aż za piękny jak na takie straszne czasy. Śniła jej się dziewczynka, zdrowa i pulchna. Jak malowana. Wierzgała nóżkami i chichotała na rękach u Olka.

Jola obudziła się nagle i złapała za piersi. Były obrzmiałe. Już wiedziała, co jej dolega. Zaczęła płakać, ale nie z żalu, a ze szczęścia.

– Boże! Teraz? Teraz mi ją zsyłasz? – Pokręciła głową i położyła dłoń na podbrzuszu.

Nagle usłyszała zbliżający się samochód. Zdarzało się często, że tędy jeździły, również nocą. Tyle że ten brzmiał jak ciężarówka, a to już była rzadkość. Coś ją zaniepokoiło. Zgięta w pół, by nie czuć torsji, podeszła bliżej domu i nasłuchiwała. Ciężarówka stanęła na ulicy. Brutus i okoliczne psy ujadły jak szalone.

„To oni...” – przeszło jej przez myśl.

Metaliczny chrobot.

Ciężki stukot butów.

Skowyt Brutusa.

– Boże...

Zrzuciła z siebie koc i podbiegła do tylnych drzwi. Chciała wszystkich ostrzec, krzyknąć, by się ratowali. Cicho nacisnęła klamkę, bo oni już tam byli. Byli i robili kipisz. Słyszała matczyne krzyki, które ucichły wraz



z ciężkim trzaskiem. A potem padały już tylko męskie rozkazy: wyłączyć, brać, spieprzać. I przekleństwa. Tych ostatnich najwięcej.

– Co robić? Co robić?

Przy ogrodzeniu nagle pojawił się sąsiad, pan Krüger. Jola zamarła. Nie chciała, by ją zobaczył. Był przecież Niemcem. Ale on wpatrywał się w nią, a potem zaczął do niej machać, by podeszła. Nagiał siatkę, by mogła bezpiecznie do niego przejść, by się nie nadziała. Kręciła głową, ale on nalegał. Głosy w domu przeszły we wrzask. Usłyszała strzały, krzyk Olka.

– No chodź. Pomogę – powiedział stary Krüger po polsku. – Nie bój, ja swój.

Poszła. I kiedy tylko zniknęła w szopie sąsiada, na tylne podwórko w obejściu Łabędziów wpadło dwóch uzbrojonych mężczyzn. Zaczęli szukać, wołać Jolę po nazwisku, strzelać w powietrze. Psy z sąsiednich zagród zaczęły ujadać jeszcze zajadlej. A ona telepała się jak osika. Krüger uspokajająco kiwał głową i powtarzał:

– Nie bój, nie bój...

Przestała się trząść dopiero, kiedy usłyszała odjeżdżającą ciężarówkę. Chciała wyjść, ale Krüger jej nie pozwolił.

– Poczekaj, sprawdzę.

Po chwili wrócił i skinął głową.

– Dziękuję. – Tylko tyle zdołała z siebie wydusić, choć pewnie powinna więcej.

Krüger nie oczekiwał jednak nic ponadto. Pomógł z potrzeby serca. Nienawidził wojny. Syna mu zabrała. I to wcale nie na polu walki. Wtedy może by Polce nie pomógł, może by ją wydał. Ale jego syna rozerwała niemiecka bomba.

\*\*\*

Jola przebiegła przez dom. Nikogo w nim – na szczęście – nie było, a ona tak bardzo bała się, że kogoś znajdzie. Słyszała przecież strzały i łomot. Oczami wyobraźni widziała ciało matki leżącej bez ducha. Naprawdę jej

ulżyło. Odetchnęła, ale zaraz potem przeraziła się, bo dotarło do niej, że nie wie, dokąd wszystkich zabrali, kto ich zabrał i czy rzeczywiście miało to związek z listą.

Sięgnęła po sweter i zarzuciwszy go na zziębnięte ramiona, wybiegła z domu, wsiadła na rower i pognęła w stronę rynku. Nie miała planu, ale wiedziała, że musi tam jechać. Gnała, jakby ją ktoś ścigał, mimo że za plecami nikogo nie było.

„Warzecha!” – pojawiło się w jej głowie i uznała, że to dobry plan, aby udać się do współpracownika Jana.

„A co, jeśli jego też zabrali?” – przemknęło jej przez myśl, ale po chwili, niemal jak na zawołanie, tuż przed nią zmaterializował się Warzecha, który wyjechał z bocznej uliczki wprost na nią. Zdążyli wyhamować, ale po okrytej snem ulicy poniósł się pisk opon.

– Co ty tu...? – wycharczał.

– Zabrali! Zabrali ich – mówiła pospiesznie, wcale nie cicho. – Nie wiem dokąd, ale zabrali!

– Ciężarówką?

– Tak.

– To wiem gdzie. Chodź!

Wsiadł na rower. Przecinał ciemne ulice, a Jola jechała za nim, starając się nie stracić go z oczu. Był już grubo po sześćdziesiątce, ale sił miał niczym młokos.

Dotarli pod Czarną Górę. Ludzie lubili to miejsce, miało w sobie coś magicznego, choć akurat Jola tej magii nigdy nie dostrzegała. Bała się wysokiej góry o gładkich stokach, z których zlatywały szybownice.

Warzecha zatrzymał się tak gwałtownie, że rower pod nim jęknął.

– Tam są. Na górze. Zobacz. – Wskazał ręką.

Patrzyła w rozświetlone punkty i słyszała, wyraźnie słyszała klekot ciężarówek.

– Co oni z nimi zrobią? Pan wie? Tam jest jakiś obóz? Przesłuchują ich?

Warzecha splunął i przeklął pod nosem.

– Rozpieprzą ich, jak tamtych w Tryszczyńce.

– W jakim Tryszczyńce?

– Jan nie mówił?

– Nie.

– Pewnie nie chciał was straszyć. Ale te strzały ostatnio... Może słyszeliście, dużo ich było. To... – Machnął ręką. – Nie będę owijał w bawełnę, bo nie ma czasu. To były egzekucje.

Jola zeskoczyła z roweru i puściła go na trawiaste pobocze. Znowu chwyciły ją torsje.

– Co ci? Nerwy?

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła głową, ale w myślach zganiła się ostro za to, że rozczuła się nad sobą, że okazuje słabość, kiedy oni tam pewnie umierają ze strachu.

– Musimy jechać.

Wzięła głęboki wdech i skinęła do Warzechy. Ruszyli w górę, krętą piaszczystą ścieżką. Było jej ciężko, bo nie przywykła do takich tras, ale nie zająknęła się ani słowem. Mijali огоłocone z liści krzaki i samosiejki brzoź. Wiatr delikatnie poruszał nagimi witkami. W pewnym momencie Warzecha wyhamował i rozejrzał się. Wrzucił rower do rowu, a Joli polecił zrobić tak samo.

– Teraz cicho... – wyszeptał, a Pietrankówna skinęła głową.

Byli już całkiem blisko wielkiej, dobrze oświetlonej stodoły, w której panował gwar. Na zewnątrz też było głośno i kręciło się tu mnóstwo mężczyzn z karabinami. Jola od razu rozpoznała miejscowych volksdeutschów, widzianego na egzekucji przed kościołem Dziarkowskiego też. Przynajmniej tak jej się wydawało. Amorkowate rysy twarzy nie były raczej charakterystyczne dla niemal dwudziestoletnich mężczyzn. Znowu poczuła skurcz w żołądku, ale tym razem nie okazała słabości. Stąpała za Warzechą najciszej, jak potrafiła. I wtedy usłyszeli ujadanie owczarków. Warzecha zrobił krok w tył.

– Cholera, mają psy – burknął pod nosem. – Musimy iść od tyłu, ale – spojrzał na nią – ty nie powinnaś. W ciąży jesteś, co?

Jola skinęła głową, pomimo że nie miała pojęcia, skąd on wie.

– Tam trzeba skakać. Jest głęboki rów. Nie dasz rady w tym stanie.

– Dam – powiedziała stanowczo.

– Jak chcesz.

Poszli. Dopiero wtedy Jola dostrzegła za pasem Warzechy pistolet i duży nóż, coś na kształt rzeźnickiego tasaka. Dotarło do niej, co może się wydarzyć.

– Chce ich pan uratować? – zapytała z nadzieją w głosie.

– W pojedynkę? Z tobą w tej sukience? Niby jak? – wypluwał słowa pospiesznie, niechętnie. – Idę na rozeznanie, a potem dam znać, komu trzeba.

– Ale jeśli byłaby okazja... Uratujemy ich?

Nie odpowiedział. Stary Warzecha wiedział, że okazje zdarzały się rzadko, a ostatnio prawie wcale.

W końcu dotarli na tyły stodoły. Jola miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi. Nigdy w życiu tak się nie bała.

Warzecha ruchem ręki wskazał na rów. Był rzeczywiście szeroki i głęboki, a w dole rosły kolczaste dzikie jeżyny. Zapytał wzrokiem Jolę, czy da radę, jakby chciał się upewnić, że skoczy za nim. Skinęła głową.

Wziął krótki rozbieg i bez trudu przeskoczył na drugą stronę, co najmniej jakby miał za sobą karierę lekkoatletyczną. A może i miał...? Jola nie miała, więc nie wiedziała, jak powinna to zrobić, żeby jej się udało, ale nie zamierzała rezygnować. Nie teraz, kiedy była tak blisko celu.

Wzięła dwa razy większy rozbieg i nagle przed oczami stanęła jej scena ze snu, w której Olek trzymał na rękach tę słodką dziewczynkę. To dodało jej skrzydeł i... przeskoczyła. Nie bez trudu, bo Warzecha musiał użyć sporo sił, żeby ją złapać.

Stanęli za stodołą. Zza ściany zbitej z desek usłyszeli ciche polskie rozmowy, pojedyncze słowa. Stodoła była wielka, długa i dość solidna, ale

szpary między deskami nie najmniejsze, więc co chwilę zerkali to w jedną, to w drugą szczelinę, szukając swoich. Wewnątrz było sporo ludzi, pięćdziesięciu, może więcej. Zdejmowali z siebie płaszcze, oddawali dokumenty, ściągali łańcuszki, pierścionki, spinki z włosów nawet. Esesmani i volksdeutsche poganiali ich, niesubordynowanych tręcali albo tłukli kolbami karabinów w żebra, a niekiedy kopali w golenie.

I nagle go zobaczyła. Serce podskoczyło jej do gardła, przede wszystkim dlatego, że był ranny. Miał obwiązaną szyję, a ubranie całe obryzganę krwią. Z bólem wypisanym na twarzy i z wielkim trudem rozbierał się, wspierając na ramieniu Radka. Obok nich stali Jan, Ania oraz ksiądz Polichnowski, który przyjeżdżał do dzieci z jarużyńskiej szkoły. Jola szturchnęła Warzechę. Natychmiast spojrział w tamtym kierunku, ona natomiast zaczęła szukać wzrokiem rodziców. Nigdzie ich nie było. Wróciła do miejsca, w którym dostrzegła Olka. Ktoś zasłonił jej widok. Chciała przejść dalej, ale wtedy dotarło do niej, że tym kimś była Ania. Zobaczyła przed sobą błękitną sukienkę w białe szarotki, identyczną, jaką sama miała na sobie; pierwszą sukienkę, którą Ania założyła zaraz po tym, jak zdjęła żałobę po matce. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Nerwowo zaczęła się rozglądać i macać deski, z nadzieją, że któraś z nich okaże się obluzowana. Jedna lekko odstawała. Jola szybko wstała i ponownie spojrzała w szczelinę.

– Nie oglądaj się – wyszeptała do Ani.

Łabędziówna drgnęła, ale nic ponad to.

Warzecha natychmiast zjawił się obok Joli i ścisnął ją za ramię tak, jakby chciał ją powstrzymać przed mówieniem czegokolwiek. Nic z tego. Ona miała już w głowie plan.

– Jestem tu z panem Warzechą. Przy twoich nogach jest szeroka deska. Spróbujemy ją oderwać. Przeciśnijcie się. Powiedz naszym. Jeśli rozumiesz, kiwnij głową.

Ania lekko skinęła.

W stodole podniosły się głosy, ponaglenia przybrały na sile. Jakiś esesman wrzasnął, a jeden z volksdeutschów kilkakrotnie strzelił w górę.

Ludzie kucnęli odruchowo, niektórzy nawet padli na ziemię i zakryli głowę dłońmi.

Jola w pośpiechu wzięła od Warzechy nóż i zaczęła podwazyć nim krawędzie dużej deski. Ku jej zaskoczeniu drewno bez problemu odskoczyło. Warzecha spojrzał na Jolę, a ona na niego. Nie dowierzali własnemu szczęściu.

„Tak łatwo...?”

Warzecha najciszej, jak potrafił, przesunął deskę na bok. Do ich nozdrzy dotarł intensywny zapach potu.

Po chwili w dziurze pojawiły się podrapane do krwi nogi Ani. Ukucnęła i nie bez trudu znalazła się po drugiej stronie. Uśmiechnęła się nerwowo i padła w ramiona Joli.

– Nie czas na to – obsztorcował je Warzecha i spojrzał na Łabędziównę.  
– Migiem przeskakuj na drugą stronę. Tam. – Wskazał ręką miejsce. – I w krzakach na nas czekaj.

Wykonała jego polecenie bez zastanowienia.

W dziurze pojawiły się szerokie nogawki Olkowych spodni, a potem w tę dziurę zwały się całe ciało Olka. Jola poczuła, że robi jej się słabo, i oparła się ręką o ścianę.

– Nie mdlej mi tu. Oddychaj – usłyszała gromiący szept Warzechy.

Robiła, co kazał, i po chwili poczuła się lepiej.

A oni szarpali się z Olkiem, który bez sił utknął w dziurze. Radek próbował go wypchnąć, Warzecha ciągnął za spodnie, bo rąk nie mógł sięgnąć. Jan i ksiądz ich zasłaniali.

– Kurwa mać – wydobyło się z zaciśniętych ust Warzechy.

W stodole nagle rozgorzało. Niemcy najwyraźniej stracili cierpliwość i zaczęli wypędzać ludzi na zewnątrz.

– Nie damy rady... Nie damy, kurwa, rady... – szeptał Warzecha, ale nie przestawał ciągnąć Olka.

Przez szczelinę w deskach usłyszeli głos Radka:

– Uciekajcie. Ratujcie się.

Warzecha puścił Olka, a brat złapał go i podniósł do pionu. Warzecha już chciał zasłaniać dziurę, żeby nikt ich nie zobaczył, kiedy Jola go zatrzymała. Ona wiedziała, co powinna zrobić. Wiedziała to od chwili, w której poznała Olka, od ich pierwszego uścisku, spaceru, wspólnego śniadania i pamiętnej nocy, podczas której złożył na jej ciele więcej pocałunków niż w całym jej wcześniejszym życiu wszyscy kochankowie razem wzięci. Ona wiedziała, że są sobie pisani, że jeśli będzie miała wybór, to wybierze śmierć u jego boku, a nie życie bez jego dotyku.

Podziękowawszy niemo Warzesze i zawołał w ciemność: „Kocham cię, siostrze!”, wślizgnęła się do stodoły.

Kiedy Olek ją zobaczył, ocknął się z letargu, jakby dostał zastrzyk nowych sił. Jego źrenice rozszerzyły się.

– Co ty tu robisz? – zapytał, kiedy szli popychani przez innych w stronę wyjścia.

– Jestem.

– Ale dlaczego?

– Nie mogłam zostawić cię samego... I musiałam ci powiedzieć, że będziesz ojcem.

– Ojcem? – Złapał ją za dłoń, a potem, nie bacząc na konsekwencje, mocno ją ucałował.

A ona wzięła tę dłoń i natychmiast przyłożyła do podbrzusza.

– Musi cię poznać. Powiedz coś do niej.

– Do niej...? – Ledwo był w stanie to wyrzec, bo wzruszenie ścisnęło go za gardło. – Po coś tu przyszła...? – wymamrotał przez łyżę. – Moja najukochańsza Jolu. Po co?

– Wolę żyć z tobą dziesięć minut niż resztę życia bez ciebie.

Jeden z volksdeutschów musiał dostrzec, że rozmawiają, bo podszedł do Olka i uderzył go kolbą w bok. Radek złapał brata w ostatniej chwili i pomógł mu utrzymać równowagę.

– Gdzie moi rodzice? – Jola zwróciła się do Radka.

– Zabrali ich... W inne miejsce.

Pokiwała głową, a potem dotknęła ramienia księdza, który szedł przed nimi.

Odwrócił się i odważnie wykonał znak krzyża. Tej nocy powtarzał ów gest nieustannie.

– Tak. Rozgrzeszam cię – powiedział naprędce.

– Nie o to chodzi. Proszę nam dać ślub. Chcę umrzeć jako żona, wraz z mężem. Jestem w ciąży.

– W ciąży? – zapytał Jan, który wcześniej nie odzywał się wcale.

Jola skinęła głową.

Ksiądz kazał im połączyć dłonie, wyszeptał coś pod nosem, zapytał oboje o wolę ślubu i oznajmił:

– Przed Bogiem jesteście już mężem i żoną.

Jola udała, że podtrzymuje Olka własnym ramieniem, a tak naprawdę wtuliła się w niego i ucałowała jego pierś, podczas gdy on zebrał wszystkie tłące się jeszcze w jego ciele siły i złożył długi pocałunek w jej włosach. Wyznali sobie miłość, a potem w pośpiechu się żegnali, bo już ustawiano ich w szeregu.

\*\*\*

Warzecha nie chciał patrzeć na egzekucję, ale nie mógł zostawić Anny samej. Nie potrafiłby. To była córka jego najlepszego przyjaciela, który za kilka chwil miał oddać życie za kraj.

Więc poszedł, wytyczając szlak. Przemieszczali się bokiem, osłonięci ciemnością; widzieli gęsi rząd wystraszonych ludzi pchanych przez uzbrojonych parszywców ku rowom śmierci. Zatrzymali się dopiero w sporej odległości od rowów; miejsce było kompletnie odsłonięte, więc ukryć się bliżej nie dało rady.

Anna posłusznie przypadła do ziemi. Na jej oczach rozgrywał się najokrutniejszy spektakl jej młodego życia.



– Tylko ani słowa – syknął Warzecha.

Liczyła na cud, na rozstąpienie się niebios, najazd polskich wojsk lub tajnych oddziałów, nawet na stado spłoszonych saren, cokolwiek. Liczyła, że zjawi się ktoś i uratuje jej bliskich. Ojca, Radka, Olka i Jolę.

– Ona jest w ciąży – szepnął Warzecha.

– Co?

– Dlatego poszła. Chciała, żeby wiedział.

Rozległy się strzały i już nic nie było ważne ani takie samo jak wcześniej.

\*\*\*

Jechała rowerem Joli, nie widząc prawie drogi przed sobą, jakby była zamroczona. Dwa razy musiała się zatrzymać, bo brakowało jej tchu. Łzy, które bez końca napływały jej do oczu, początkowo usiłowała ścierać wierzchem dłoni, ale w końcu dała za wygraną.

Warzecha polecił jej jechać do leśniczówki w majątku Rosenthalów, a sam obiecał dołączyć niebawem, po zabraniu rzeczy z domu. Zabronił jej zaglądać do własnego.

– Ktoś tam może być. Poza tym masz sąsiadów Niemców. To nie jest dobre miejsce. Nie jedź do domu. Rozumiesz?

Rozumiała. Chyba.

Dla pewności nie pojechała Piłsudskiego, ale następną, równoległą do niej ulicą. Zatrzymała się w ślepym zaułku między budynkami i z daleka spojrzała na swój rodzinny dom. Zastygła, bo w oknach paliło się światło. Ktoś w nim był, ktoś deptał jego podłogi, dotykał ścian. Ania sprzed tygodnia pobiegłaby tam natychmiast, narobiła krzyku, odważnie splunęłaby grabieżcy w twarz, a jeśli miałaby szansę, trzasnęłaby go grabiami, szczotką, czymkolwiek, co miałaby pod ręką, byle go ogłuszyć. Ania z tej nocy była inna; zupełnie opuścił ją duch walki.

Wsiadła więc na rower i nie myśląc o tym, że ktoś panoszy się w jej domu, pojechała w stronę leśniczówki. Zatrzymała się dopiero przy dworku

Rosenthalów. Rower niedbale rzuciła w krzaki i już miała się przedzierać w stronę miejsca spotkania z Warzechą, kiedy doszedł ją dźwięk silnika samochodu.

„Znaleźli mnie... Ktoś musiał mnie widzieć...” – pomyślała z przestrawieniem.

Stała za drzewem i czekała na rozwój wypadków.

Z samochodu ktoś wysiadł, bo usłyszała trzask zamykanych drzwiczek. Musiał to być mężczyzna, bo krok był ciężki, potężny. W ciemnościach nie mogła go rozpoznać, choć bardzo wyteżęła wzrok. Nieznajomy zatrzymał się przy jej rowerze.

„Teraz już wie, że tu jestem”.

Tamten przez chwilę stał bez ruchu, a potem nagle zawołał:

– Ania? Jesteś tu? Ania!

Gustaw.

Zadrżała na dźwięk jego głosu. Chciała wyjść, pobiec i paść w jego ramiona, ale coś ją trzymało tam, za drzewem, coś hamowało przed tym, by zbliżyć się do... Niemca. Skuliła się i objąłszy kolana ramionami, oddychała ciężko. Słyszała jego kroki, nawoływania. Słyszała, jak przedzierał się przez krzaki. Słyszała to wszystko, a w końcu... zobaczyła jego twarz tuż przed sobą. Ukląkł przy niej, objął ją i rozplakał się niczym chłopiec.

– Myślałem, że po tobie. Aniu, myślałem, że nie zdążę...

– Nie zdążyłeś – rzuciła z goryczą.

– Żyjesz przecież! Żyjesz! – mówił przez łzy.

– Ale wszyscy pozostali zginęli. Nie ma ich. – Odepchnęła go od siebie z wielką mocą. – Nie ma! Rozumiesz?! Zabili ich! Zabiliście ich! Wszystkich!

Zaczęła nerwowo krążyć w kółko, jak po niewidzialnym okręgu, powtarzała przy tym: „Zabiliście ich, zabiliście ich”. W końcu Gustaw złapał ją za rękę, by się zatrzymała.

– Posłuchaj, Aniu. Posłuchaj, proszę. Jeśli zostaniemy tu zbyt długo, nie uda mi się ciebie stąd wydostać, rozumiesz? Nie uda mi się cię wywieźć.

– Ale ja nie chcę wyjeżdżać. To jest moje miejsce.

– To już nie jest twoje miejsce i nim nie będzie. Przynajmniej na razie. Przykro mi.

Ania podniosła wzrok. Chciała mu spojrzeć prosto w oczy, ale było zbyt ciemno, by mogła dostrzec jego źrenice, a potrzebowała tego, by przekonać się, czy mówi prawdę.

– Przepraszam, że nie zdążyłem. Wyjechałem, kiedy tylko dowiedziałem się, że w nocy po was przyjdą. Jechałem do was z dokumentami. – Z wewnętrznej kieszeni czarnego płaszcza wyjął plik papierów. – Chciałem was wszystkich uratować. Staralem się, ale...

– Nie zdążyłeś. – Ania westchnęła ciężko.

– Tak. Nie zdążyłem uratować wszystkich, ale... Ciebie jeszcze mogę. Aniu, chodź, proszę. Proszę... Ja... – Jeszcze raz sięgnął do kieszeni. Wyciągnął z niej kopertę. – Mam coś. Mam dla ciebie coś od twojego ojca.

Ania chwyciła kopertę i zaczęła obracać ją w palcach.

– Rozmawiałem z nim. Wiedziałem, że ukryjecie się w leśniczówce. Powiedział mi, że was przekona.

– Nie rozumiem.

– Umówiliśmy się, że przyjadę tam po was. Że zabiorę was stamtąd. Wszystkich.

– Jak to? Przecież mój ojciec...

– Wiem. Mówił mi, że nie ufa Niemcom. Wiem, ja to wiem. Wieczorem, po tym, jak do mnie przyszedł z Radkiem, spotkałem się z nim. Rozmawialiśmy.

Gustaw brzmiał bardzo przekonująco.

– Przeczytaj.

Wyciągnął latarkę i poświecił. Ania szybko rozerwała kopertę.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by żołądek podszedł jej do gardła.

*Najdroższa córuś!*

*Skoro to czytasz, nie ma mnie już na tym podłym ziemskim padole. Ale nie wyplakuj za mną oczu, bom z nadzieją odchodził, że wraz z Justysią na jakiejś niebiańskiej łące odpocznę i podziwiać obłoki będziemy, a może nawet je liczyć. Ona tak to lubiła! Może i ja polubię, choć nigdy cierpliwości do tego nie miał.*

*Na pewno dziwisz się, skąd mój list w rękach pana Guderiana, zawsze wobec Niemców pogardę i niechęć żywiłem, a wojna przyniosła tego jeszcze więcej. Ale Bóg zdążył wyjawić mnie, niegodnemu, wielką tajemnicę: że w człowieku trzeba przede wszystkim człowieka szukać, a nie Niemca czy Żyda.*

*Wiem o Tobie i o panu Guderianie już od wczesnego lata. Te Twoje lekcje haftowania spokoju mi nie dawały i sprawdziłem je. Nigdy się na nich nie pojawiłaś. Pewnego razu poszedłem za Tobą. I zobaczyłem samochód, który miał niemieckie tablice. Byłem wzburzony. Ba! Wściekły! Pędziłem za Wami na rowerze, ale zgubiłem Was. Gdzie mi do samochodu. Ale w końcu Was znalazłem. Najpierw opla pana Guderiana, a potem Was, nad brzegiem jeziora przy dworze Rosenthalów. Chciałem zrobić Ci awanturę, o tym myślałem, kiedy skradałem się parkiem, ale jakaś siła ogromna mnie przed tym wstrzymała. I dobrze. Bo kiedy tak wrzała we mnie złość, dostrzegłem Waszą delikatność, szczerłość i... miłość. Zobaczyłem ją tak wyraźnie. Nie mogłem oderwać oczu... Przypomniały mi się wspólne chwile z Justysią... Stałem tak i patrzyłem.*

*Potem długo myślałem, co zrobić. Wychodziłaś na to haftowanie, a ja myślałem. Czasami Was podglądałem, bo chciałem mieć pewność, że się kochacie. Że on Cię szczerze kocha. Znam się na tym, choć może nie wyglądam.*

*Nie darowałbym sobie, gdybym swoimi sposobami go nie sprawdził. Możesz być o niego spokojna, córcia. I o jego babkę również. Być może będzie jedyną przepustką do życia, a Ty musisz żyć, jakeś Łabędź.*

*Rozmawiam z nim teraz. Siedzę z nim w jego samochodzie i piszę ten list. Przyjechał namawiać Cię do wyjazdu. Jestem dumny, że się nie zgodziłaś. Moja córuś.*

*Pan Guderian obiecał nas wszystkich zabrać. Na to mogłem przystać. Przyjedzie po nas do leśniczówki, weźmie dokumenty dla wszystkich.*

*Piszę to na wszelki wypadek, gdyby coś pokrzyżowało nasze plany i gdybym nie mógł... Gdybyś w leśniczówce zjawiała się z innymi, ale beze mnie.*

*To jest glejt, który ma Cię przekonać do wyjazdu. Bo musisz wyjechać.*

*Rzadko Ci to mówiłem, ale teraz jest ku temu dobra sposobność: kocham Cię, córuś. Bądź szczęśliwa.*

*Błogosławię każdej decyzji, którą podejmiesz.*

*Jan, Twój papa*

Kiedy skończyła, rozplakała się rzewnie. Gustaw natychmiast ją objął i ucałował we włosy.

– Powiedział mi, że ten list cię przekona.

– Papa dobrze mnie znał. Miał rację.

Poszli do auta. Anna wzięła od Gustawa płaszcz, chustkę, torebkę i mały kapelusik. Przetarła buty i wsiadła do samochodu. Spojrzawszy w lusterko, wprawnym ruchem ręki poprawiła uczesanie. Gustaw czekał, aż skończy, a potem podał jej dokumenty.

Kiedy ruszyli, a u swego boku nie miał już Anny Łabędź, lecz Annę Schmidt, która właśnie wróciła do niego, do dawno niewidzianego narzeczonego, z dalekiej Rygi.

IV

SNY O PRZESZŁOŚCI

*Szczecin, rok 2000*

## NIECH ONE SIĘ JUŻ SKOŃCZĄ

Obudziłam się w środku nocy złana potem. Znowu śniłam ten sen...

Wstałam z łóżka nie bez trudu, bo w kolanach piekło niemiłosiernie. Nie wzięłam tabletek, ot co. Kolejny raz o nich zapomniałam.

Podeszłam do okna i otworzyłam je na oścież, by ostudzić eksplodującą od myśli głowę. Może i nie było to najmądrzejsze posunięcie, bo jak nic ryzykowałam przeziębienie. Czułam jednak, że jeśli tego nie zrobię, zwyczajnie zwariuję. A na to jeszcze nie pora.

Nocne życie w Szczecinie było zupełnie inne niż w Krakowie. Tam na okrągło coś się działo, wrzało, a tu panował spokój. Ale czy na pewno kojący?

Już nie chcę tych snów. Mam dość. Męczą mnie od tylu lat i każdego ranka po przebudzeniu czuję to samo. Ogromną, dojmującą pustkę. Czy jeśli opowiem je komuś, jeśli wypowiem je na głos, jak doradzał mi mój przyjaciel, lekarz od kolan i duszy, to mi przejdzie? Przeszaną mnie dręczyć? Te sny?

Chcę, żeby się skończyły, żeby zniknęły. Żeby ktoś narzucił na nie płaszcz niepamięci.

Niech one się już skończą.

KONIEC części I

*Szczecin Podjuchy, 13 maja 2021*

## OD AUTORKI

Pomysł napisania *Łabędzia* zrodził się w 2018 roku. Pisałam wówczas *Sekrety i kłamstwa* – pierwszą część serii o Ludwiku Starkowskim i czytałam wszystko, co wpadło mi w ręce, a co dotyczyło czasów drugiej wojny światowej oraz wczesnego powojnia w Szczecinie. Zafascynowana odkrywaniem dziejów swojego miasta, zapragnęłam napisać więcej niż tylko jedną opowieść o jego losach i o ludziach tkających jego historię. Kiedy postawiłam ostatnią kropkę w trylogii, w głowie zaczynał się rodzić pomysł na kolejną fabułę. Miałam już wtedy wybrane imię i nazwisko głównej bohaterki. Natknęłam się na nie, czytając *Wspomnienia prezydenta Szczecina* Piotra Zaremby. Pomyślałam, że „Anna Łabędź” brzmi idealnie w odniesieniu do postaci, która pojawiła się w mojej wyobraźni.

Od pierwszych przebłysków na temat *Łabędzia* do chwili rozpoczęcia pisania minęły ponad dwa lata. W tym czasie tworzyłam inne powieści, ale powracałam myślami do Anny Łabędź i Gustawa Guderiana (który pojawił się zaraz po Ani). Widziałam Anię oraz jej otoczenie coraz wyraźniej. Intensywniej czułam też międzywojenny Fordon, z jego ulicami, zakamarkami i mieszkańcami. W początkowym zamyśle fabuła miała się toczyć przede wszystkim w Szczecinie, a raczej w Stettinie, a tylko na krótko w Fordonie. Tymczasem zostałam nad Wisłą przez całą powieść i absolutnie tego nie żałuję.

*Łabędź* jest zasadniczo powieścią fikcyjną, starałam się ją jednak możliwie jak najbardziej uwiarygodnić. Zachowałam oryginalne nazwy ulic. Nazwy niektórych obiektów (uwierzycie, że apteka „Pod Łabędziem” istniała naprawdę? Cóż za wspaniały zbieg okoliczności!) i miejsc, a także pewne nazwiska mieszkańców również są prawdziwe. Starałam się jak najlepiej opisać tło historyczne i przedstawić realia społeczne, a przy tym oddać atmosferę panującą w Fordonie w latach 1938–1939.



Na kartach powieści wspominam autentyczne postaci, między innymi: Wandę Modlibowską, Ritę Gorgonową, Wacława Wawrzyniaka. Znalazły się tam nieprzypadkowo, bo oprócz tego, że idealnie wpisały się w opowieść międzywojenną, to mieszkały lub przebywały w Fordonie, kiedy żyła tam powieściowa rodzina Łabędziów.

Ze szczególną starannością pochyliłam się nad zapisem scen związanych z ponurą historią Fordonu: egzekucji na rynku, która (tak jak w powieści) odbyła się 2 października 1939 roku i (tak jak w powieści) pochłonęła osiem ludzkich istnień (nazwiska i zawody, którymi posługuję się w zapisie tej sceny, są autentyczne), oraz egzekucji w Dolinie Śmierci, które rozpoczęły się 20 października i pochłonęły, w zależności od źródeł od 300 do 3000 osób<sup>[19]</sup>. Zależało mi na tym, by te dwa ponure wydarzenia znalazły się w *Łabędziu* ku pamięci i przestrodze kolejnych pokoleń.

Droga Czytelniczko i drogi Czytelniku! Oddając w Wasze ręce powieść o ludziach, których los złączył z Fordonem, którzy tam się rodzili i umierali, przeżywali chwile najszcześniejsze i najokrutniejsze, życzę Wam emocjonującej i niezapomnianej lektury.

W tym miejscu pragnę złożyć podziękowania osobom, które wsparły mnie w trakcie powstawania *Łabędzia*. Dziękuję zatem mojej rodzinie, w szczególności: mężowi i synowi (jesteście dla mnie najważniejsi!), siostrze i rodzicom, którzy zawsze, ale to zawsze okazują mi pomoc; przyjacielom i zaufanym kolegom po piórze, na których dobre słowo zawsze mogę liczyć; zespołowi DELVE, który daje mi przestrzeń do pisania. Bibliotekarzom i księgarzom, dziennikarzom i wszystkim, którzy wspierają mnie w promocji moich książek. Konsultantom powieści, którzy odpowiadali na moje najbardziej zawiłe pytania i podpowiadali rozwiązania. W kwestiach historycznych wsparli mnie: prof. UKW dr hab. Zdzisław Biegański, dr Michał Paziewski oraz dr Tomasz Ślepowroński; w kwestiach medycznych po raz kolejny ogromnym wsparciem okazał się Paweł Janowicz.

Wielkie ukłony kieruję w stronę zespołu Wydawnictwa Marginesy za wiarę w *Łabędzia* i wymierne wsparcie na każdym etapie procesu wydawniczego. Dziękuję mojej redaktorce Marii Konopce-Wichrowskiej za cenne wskazówki i podpowiedzi, które pomogły uczynić tekst jeszcze lepszym.

Ogromne podziękowania ślę do moich pierwszych Czytelniczek i doradczyń fabularno-językowych: Malwiny Kozłowskiej, Katarzyny Chojnackiej-Musiał, Agnieszki Lis, Grażyny Wróbel, Kamili Pępiak-Kowalskiej, Renaty Wit, Justyny Redmer, Marty Reszke i Iwony Mokrzejckiej. Jesteście boskie!

Dziękuję mojej cudownej społeczności na Facebooku i na Instagramie. Wasze wsparcie, które czuję każdego (i radosnego, i bardzo ponurego) dnia jest dla mnie bezcenne.

To już absolutna tradycja, że na końcu szczerze podziękowania kieruję do Was, moja droga Czytelniczko i mój drogi Czytelniku, za to, że czytacie, kupujecie i wypożyczacie moje książki. Za to, że dzielicie się swoimi odczuciami po lekturze. To dla Was obmyślam fabuły i staram się, by każdorazowo były one lepsze i lepsze. Bez Was nie byłoby moich książek! Do usłyszenia, do zobaczenia, do zaczytania!

Sylwia

Zapraszam do mojego wirtualnego świata:

[www.sylwia.trojanowska.com.pl](http://www.sylwia.trojanowska.com.pl)

[www.facebook.com/Sylwia.Trojanowska.pisarz](https://www.facebook.com/Sylwia.Trojanowska.pisarz)

[www.facebook.com/groups/274983242930256/](https://www.facebook.com/groups/274983242930256/)

[www.instagram.com/sylwiatrojanowska.pisarka/](https://www.instagram.com/sylwiatrojanowska.pisarka/)

## PRZYPISY

- [1] Niem. plac Królewski, ob. plac Żołnierza Polskiego.
- [2] Niem. Szczecin.
- [3] Niem., ob. Papieża Jana Pawła II.
- [4] W 1973 roku Fordon został przyłączony do Bydgoszczy i stał się jej dzielnicą; w okresie międzywojennym był odrębnym miastem.
- [5] Ob. ul. Wyzwolenia.
- [6] Wiele fordońskich rodzin zatajało fakt posiadania radioodbiornika, co spowodowało wprowadzenie działań zwalczających radiopajęczarstwo. Obiecywano wysokie nagrody pieniężne za wskazanie nielegalnych użytkowników. Za: Z. Biegański (red.), *Dzieje Fordonu i okolic*, Bydgoszcz 1997.
- [7] Słodkie karmelki o mleczno-słodowym smaku.
- [8] Ob. ul. Generała Władysława Sikorskiego.
- [9] Dawn. arbuż.
- [10] Niemiecka tradycyjna potrawa jednogarnkowa, najczęściej z mięsem, ziemniakami i innymi warzywami.
- [11] Obrona przeciwlotnicza.
- [12] Frombork.
- [13] Kwidzyn.
- [14] Szczecin.
- [15] Urząd Pracy.
- [16] Ob. ulica Pielęgniarska.
- [17] Krwawa niedziela rozegrała się 3–4 września 1939 roku w Bydgoszczy i miała na celu stłumienie dywersji niemieckiej przez Wojsko Polskie i Straż Obywatelską. W odwecie okupanci dokonali na Polakach masowych egzekucji i mordów oraz zsyłali mieszkańców Pomorza do niemieckich obozów koncentracyjnych.

[18] Selbstschutz (niem. Samoobrona) – niemiecka organizacja paramilitarna złożona z niemieckiej mniejszości narodowej mieszkającej w obrębie II RP, mająca na celu eksterminację Polaków, w szczególności grup inteligenckich i naukowych, powołana rozkazem Himmlera 26 września 1939 roku.

[19] Za: Z. Biegański (red.), *Dzieje Fordonu i okolic*, Bydgoszcz 1997.